

A L E K S A N D E R S O W A



SERIA Z EMILEM STOMPOREM

WIELKI PIES

Mroczny kryminał inspirowany prawdziwym zabójstwem, nazwanym krakowskim *Milczeniem owiec!*

L I R A
WYDAWNICTWO

A L E K S A N D E R S O W A

WIELKI
PIES

L  R A
WYDAWNICTWO

© Copyright by Lira Publishing Sp. z o.o., Warszawa 2022
© Copyright by Aleksander Sowa, 2022

Redakcja: Paweł Pokora
Korekta: Renata Kufirska-Biegajło
Skład: Klara Perepiłyś-Pajak

Projekt okładki: Magdalena Wójcik
Zdjęcie na okładce i źródła ilustracji: © racool_studio / Adobe Stock
Zdjęcie autora: © Maciej Zienkiewicz Photography
Retusz zdjęcia okładkowego: Katarzyna Stachacz
Redakcja techniczna: Kaja Mikoszevska

Producenci wydawniczy:
Anna Laskowska, Magdalena Wójcik, Wojciech Jannasz

Wydawca: Marek Jannasz

L i R A
W Y D A W N I C T W O

Lira Publishing Sp. z o.o.
al. J.Ch. Szucha 11 lok. 30, 00-580 Warszawa
www.wydawnictwolira.pl

Wydawnictwa Lira szukaj też na:



Lira Publishing Sp. z o.o.
tel:691962519

Wydanie pierwsze
Warszawa 2022
ISBN: 978-83-67388-35-1

Spis treści

Karta tytułowa

Strona redakcyjna

Spis treści

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

22

23

24

25

26

27

28

29

30

31

32

33

34

35

36

37
38
39
40
41
42
43
44
45
46
47
48
49
50
51
52
53
54
55
56
57
58
59
60
61
62
63
64
65
66
67
68
69
70
71
72
73
74
75
76
77
78
79

80
81
82
83
84
85
86
87
88
89
90
91
92
93
94
95
96
97
98
99
100
101
102
103
104
105
106
107
108
109
110
111
112
113
114
115
116
117
118
119

Imiona, nazwiska i daty zmieniłem. Fakty zostały.

(+++)

Szóstego stycznia 2001 roku w Krakowie jest zimno i mokro. Brzeg Wisły ledwie rysuje się w mlecznobiałym tle. Inspektor Krajewski ma wrażenie, jakby znalazł się nad Tamizą. Czynności dobiegają końca, doktor Rajski nieśpiesznie wkłada szkło powiększające do torby, wstaje i spogląda w oczy kobiety. Powietrze nad rzeką jest lepkie i gęste.

– To ludzka skóra, szanowna pani.

– Zwariował pan?

– Przykro mi.

– Miałam nadzieję – odpowiada Wolska – że pan nam powie coś innego.

Rajski jest z nich najstarszy, dawno skończył sześćdziesiąt lat i osiwiął. Gliniarz jest młodszy, w listopadzie złożył raport o emeryturę. Mimo skończonej pięćdziesiątki trzyma się prosto. Jest wysoki i szczupły, a siwizna dodaje zastępcy naczelnika Wydziału Kryminalnego Małopolskiej Komendy Wojewódzkiej Policji uroku.

– A pan? – Wolska zwraca się do Krajewskiego.

Krajewski odrywa wzrok od Wisły przelewającej brudne wody przez próg wodny, spogląda na lekarza, zaciąga się i kaszle.

– Co pan na to? Jakież pomysły?

– Chyba nie sądzi pani, że to zwykłe utonięcie? – detektyw spogląda na kobietę w drogim płaszczu i rękawiczkach z cielejącej skóry. – Jaruzelskiego przeżyłem, Gierka, Rakowskiego, Lecha, a teraz Kwaśniewskiego. Byłem pewien, że już wszystko widziałem.

– Więc co to jest pana zdaniem?

– Pani tego nie widzi? – pyta Krajewski.

– Chce pan coś jeszcze dodać? Nie? To dobrze, że się rozumiemy.

– Kiedy my się zupełnie nie rozumiemy – Krajewski odpowiada, spoglądając na doktora Rajskiego. – Mamy tu do czynienia z zabójstwem. Ewentualnie znieważeniem zwłok, ale tylko w najlepszym razie.

– To ja tu jestem prokuratorem!

– To wygląda jak kombinezon do dymania się, za przeproszeniem, dla różnego rodzaju dewiantów i pomyśleńców.

– Nonsens.

– Więc co to jest?

– Nie wiem, do cholery! – Wolska się unosi. – Nie jestem lekarzem!

– Ja jestem – wtrąca Rajski. – I zgadzam się z kolegą.

– A może pochodzi od zwierzęcia?

– A włosy łonowe, sutki, rozstępy, siniaki i pieprzyki?

– I tatuaż – szepcze Krajewski.

– Popieprzyło się wam?

– Nam? – Rajski unosi brwi.

– A co? Hollywood chcecie mi tu, do kurwy nędzy, zrobić?

– Najwyraźniej ktoś chyba zrobił to za nas.

– Na razie jest tylko podejrzenie, że to jest skóra.

– Ludzka – wtrąca Rajski.

– A jakie papiery na to figurują? Macie opinię, sekcję, badania? A pan, doktorze, co? – Wolska odpowiada bojowo. – Na wróżbitę się pan przekwalifikował? Nie mam zamiaru słuchać pieprzenia o kombinezonach! – kobieta w szpilkach mówi tonem nieznośnym sprzeciwu. – Jesteśmy w pracy! Nie w jakimś kinie, do kurwy nędzy, panowie, no! Dajcie żyć.

Z nisko zawieszonych, ciężkich chmur zaczyna siąpić drobny, przenikliwy deszcz. Technik przy znalezisku błyska fleszem. Obcesowa i protekcyjna nuta nienagannie ubranej i młodszej o połowę od obu mężczyzn kobiety brzmi groteskowo. Pokład pod ich stopami delikatnie faluje. Policjant kieruje spojrzenie na brzeg. Prokurator spogląda na lekarza z wyczekiwaniem. Ten nabiera purpurowej barwy, zwęża usta.

– Nie pozwolę sobie na takie traktowanie – Rajski wolno cedzi przez zęby.

– To proszę nie opowiadać mi bajek, doktorze!

– Moja cierpliwość ma ograniczone zasoby, więc proszę, aby szanowna pani przyjęła łaskawie do wiadomości, że oglądałem wyłowione z wody zwłoki wcześniej, niż pani zaczęła bajki w ogóle rozumieć.

– To, co słyszę, nie mieści się w głowie!

– To zależy w czyjej. Ktoś tę skórę zdjął z ciała, rozwiesił do wyschnięcia, a następnie namoczył, usunął resztki tkanek podskórnych – Rajski wyjaśnia ponurym, grobowym tonem.

— A może śruba holownika poprzecinała włóki?
— Nie.
— Łopatki pędnika przecież mogły odciąć fragmenty skóry...
— Nie, nie mogły. Skóra była szyta.
— Pan w szwalni pracuje czy ekspertyzę mechanoskopijną ad hoc nam tu funduje? Myślałam, że pan jest lekarzem sądowym — Wolska odpowiada, spogląda na lekarza i nagle urywa. — Jeśli okaże się — dodaje ciszej — że ma pan rację...
— Ona jest ludzka. Ktoś precyzyjnie ją odciął od ciała skalpelem albo innym bardzo ostrym narzędziem. Usunął tkankę tłuszczową i mięśnie. Co więcej, zrobił to po mistrzowsku. Nie wiem kto, jak oraz dlaczego to zrobił, ale tego na pewno nie zrobiła śruba.
— To oznacza sprawcę — wtrąca Krajewski — który może zechcieć to powtórzyć.
— Jeśli ten gość znowu uderzy, będzie afera na miarę Wampira z Zagłębia, Władcy Much, Frankensteina albo Skorpionosa! — Wolska spogląda z wściekłością w stronę tłoczących się na brzegu gapiów i dziennikarzy.
Krajewski zaciąga się, zerka na drugiego, zziębniętego mężczyznę i spluwa do wody. Nad ich głowami przelatuje rybitwa, skrzecząc przeciągle. Wolska poprawia włosy i okulary.
— Została spreparowana — dodaje lekarz. — Zabezpieczona przed rozkładem.
— Czyli wygarbowana?
— Jestem lekarzem, a nie kuśnierzem czy kaletnikiem. Ktoś ją zakonserwował, żeby się nie rozpadła. Posolił ją i natłuścił. Prawdopodobnie olejkami, możliwe, że użył wosku lub środka chemicznego. Do czegoś takiego trzeba umiejętności, narzędzi, miejsca i znajomości rzeczy. Kimkolwiek on jest, to bestia. Patrzmy na dzieło potwora.
— Nie mamy innej możliwości?
— Mamy ich dziesiątki — dodaje Krajewski. — Ta wydaje się najbardziej realna.
— Panowie, chwileczkę! Moment! Oceńmy to chłodno. Chcecie powiedzieć, że mamy do czynienia ze sprawcą, który zdjął skórę z czyichś włók, wygarbował ją, a potem uszył z niej jakieś ubranie, a potem wyrzucił to coś do Wisły?
— Najwyraźniej — odparł Krajewski.
— Po co miałyby to robić?
— Jest wiele możliwości.
— Nie, no nie uwierzę w te brednie! To nie film, do cholery! Może to tylko nekrofil?
— A to coś zmienia? — pyta Krajewski.
— Lepsze to niż nielegalny ubój.
— Naprawdę podziwiam pani optymizm. Tak, może mamy do czynienia tylko z facetem rozkopującym groby. To jednak nie rozwiązuje problemu. Nie wiemy, jak się nazywa, gdzie go szukać i czy zechce to zrobić ponownie. Bo jeśli tak, możemy mieć problem — gliniarz odparł, wskazując ruchem głowy radiwozy na brzegu. — Proszę pomyśleć, co się stanie, jak to przecieknie do prasy. I wciąż nie wiemy, co wykaże badanie chemiczne.
— A co może wykazać?
— Czy ofiara nie żyła w chwili, kiedy „Kuśnierz” ją skórował.
— O ile nie żyła — zauważył Rajski.
— „Kuśnierz”? — Wolska unosi brwi.
— Rzemieślnik zajmujący się ręcznym wytwarzaniem wyrobów skórzanych, tradycyjnie z wyprawianych skór — Krajewski mruży ponuro. — Do niedawna myślałem, że to zawód ginący.
— Powiedział pan, o ile żyła? — prokurator pyta lekarza.
— Badanie wykaże, czy skórował ją żywą.
— Żywą? Przecież to niemożliwe!
— Wystarczą odpowiednie leki.
— Czy wyście powariowali?
— Wciąż pani nie rozumie? — Rajski odpowiada bez namysłu. — Nie jest łatwo zajmować się ludzkimi włoskami. Mało kto jest w stanie to robić. Nie wiemy, jak było, ale musimy przyjąć, że sprawca zwalczył bardzo silny ludzki wstręt i opory psychiczne. Chyba że ich nie miał. A jeśli tak, mamy do czynienia z człowiekiem o obniżonym poziomie lęku, wrażliwości, uczuciowości wyższej. Słowem: chorym psychicznie albo psychopatą — kończy lekarz. — Ewentualnie sadystą, jeśli ten skurwiel zrobił to, zanim ją zabił.
— Spokojnie, panowie! Przecież nie powiem im tego. To brzmi jak...
— Hollywood? — pyta Krajewski.
— Jak oni to podchwycą — kobieta narzeka, wyjmując cienkie, mentolowe papierosy — zrobią nam tu krakowskie *Milczenie owiec*.
Mgła sprawia, że wszystko staje się jakieś nierzeczywiste, wyciszone. Marciniak i Zenek Chmielarz poprawiają włosy przed kamerą. Błysk lampy odbija się od mokrego nabrzeża i burt statku. Dziennikarz

podsuwa mikrofon pod usta kapitana. Gliniarz widząc to, spogląda na Wolską, która bez zastanowienia rusza w stronę marynarzy.

Dwadzieścia dziewięć miesięcy później komisarz Emil Stompor wysiada z tramwaju na Marymonckiej, nieopodal bloków Przy Agorze. Jak na piąty dzień maja jest zimno. Przenikliwy wiatr wieje w twarz. Do wschodu słońca pozostało trzydzieści minut. Nic jeszcze nie wskazuje na świt. I chociaż gлина wie, że za kilka godzin słońce rozleje się między świeżą zielenią drzew, a jego promienie będą biczować spragnione ciepła bruki, mury i ulice, to jest zmarznięty. Idzie szybkim krokiem. Po niezaplanowanej, nocnej służbie pragnie położyć się do łóżka, przytulić do żony, a potem zasnąć. Wie jednak, że po tym, co widział, sen prędko nie nadejdzie. Z lasu, zza pleców gliniarza, dobiega radosny śpiew ptaków. Tu, w miejscu, gdzie wysiadał z tramwaju, trele stykają się ze złowieszczym pomrukiem stalowni. Oświetlony pomarańczowym światłem latarni i mokry od mżawki asfalt odbija żółtawe światło. Wrzeczono jeszcze śpi, ale po drugiej stronie Marymonckiej kilka pierwszych okien w blokach już jaśnieje. Gliniarz przechodzi na drugą stronę ulicy i czuje mocniejszy powiew. A z nim smród przypominający spaliznę. Chociaż do hal dawnej Huty Warszawa są stamtąd dwa kilometry, nozdrza mężczyzny wychwytyują dobrze znane, chemiczne wyziewy. Emil nienawidzi ich tak samo jak Wrzeczona, Wawrzyszewa i całej Warszawy. Idąc między blokami myśli, że niczego nie pragnie bardziej, jak spakować się i wyjechać. A potem zapomnieć o spaliznie, kominach, nocnym buczeniu z huty. Wyprowadzić się ze zbudowanego dla pracowników Huty Warszawa osiedla. Daleko od dumy socjalistycznej Polski. Emil ma dość ponurego, śmierzącego na każdym rogu i pełnego brudu osiedla, gdzie mówi się tylko o masowych zwolnieniach i widmie bankructwa. Ma dość powrotów po nocach z trupem. Powrotów w zniechęczone miejsce, zamieszkiwane przez patologię i zmęczonych kaszlem emerytów z psami, rencistów ciągnących torby na kółkach oraz smutnych, steranych ludzi. Teraz jednak o tym nie myśli. Pragnie tylko spać, więc idzie z postawionym kołnierzem i rękami w kieszeniach zielonej, wojskowej kurtki do wynajmowanego, ciasnego mieszkania, którego jedyną zaletą jest to, że z małego kuchennego okna widać wschody słońca. Wolałyby jednak ich nie widywać, bo wysuwające się znad horyzontu słońce zwykle ogląda przed położeniem się do łóżka. Policjant pragnie od życia więcej. Dla siebie, dla żony i córki, która niebawem pójdzie do przedszkola. A nade wszystko nie chce, by jego dziecko dorastało na zbudowanym wokół Okrąglaka osiedlu, pełnym socjalnych mieszkań, nierobów i alkoholików. Przechodząc obok monopolowego, słyszy przejeżdżający z łoskotem tramwaj. Za trzy, cztery godziny staną tu miejscowi w błyszczących dresach i będą spode łba wypatrywać kogoś, od kogo można wyciągnąć parę groszy na wino i papierosy. Idąc wzdłuż bloku, detektyw mija pomazaną farbami w sprayu szarą ścianę z wielkiej płyty. W brudnej klatce schodowej śmierdzi psim moczem. Sen nie będzie nadchodził. Za to wróci widok roztrzaskanej pałką głowy zgwałconej licealistki.

Kilka godzin później powietrze zastygło nad betonem i asfaltem Warszawy. Jest upalnie i parno, zbiera się na burzę. Lekarz odłożył stetoskop, siadając za biurkiem. Emil czuje niepokój.

— Ile pan ma lat?

— Rok temu skończyłem czterdziestkę.

— I jak się pan czuje?

— W porządku. Oprócz tego, że ciągle jestem zmęczony.

— A sen?

— Nie jest najlepiej.

— Czyli jak? — lekarz podniósł wzrok. — Źle, fatalnie? Ile pan śpi?

— Czasem dwie, trzy godziny. Reszta to obracanie się z boku na bok. I natłok myśli.

— O czym?

— O wszystkim.

— Od jakiego czasu?

— Cztery, może pięć lat — Emil odparł, przypominając sobie bezsenne noce w Sudetach.

— Neurastenia.

— To przecież zaburzenie nerwicowe.

— Pana to dziwi? — lekarz zapytał, spoglądając z zaciekawieniem. — Bo ona jest oczywista przy takim trybie życia. Pali pan?

— Paliłem.

— Długo?

Wzrok Emila przebiegł po łysej głowie lekarza i zatrzymał się na wydatnym nosie. Stompor zastanowił się, wydymając usta. A potem dopiął ostatnie guziki w koszuli, potarł ręką siwiejący zarost. Doktor wypisując coś zamaszystymi ruchami na druczku przed sobą, zdawał się nie zwracać na pacjenta uwagi.

— Umiarkowanie.

— Pytałem, czy długo — lekarz zerknął na pacjenta. — Rok, pięć lat?

— Od dziewięćdziesiątego pierwszego.

— Czyli dwanaście lat, tak?

— Z przerwami. Kilka lat nie paliłem.

— Może pan jaśniej?

— Pięć lat temu rzuciłem — mruknął gliniarz.

— Czyli palił pan siedem?

— Tak można powiedzieć.

— Powiedzieć można wszystko. Mnie interesuje, jak długo pan palił. A siedem i dwanaście lat to nie to samo. To jak? Ile pan palił dziennie i jak długo?

Emil usiadł i nabrał powietrza. Nagle, zupełnie nieoczekiwanie poczuł dreszcz wzdłuż kręgosłupa. Wiedział, że za chwilę wydarzy się coś, czego się nie spodziewa, coś, co zmieni bieg rzeczy. Miał tak, odkąd pamiętać. Nieprzyjemne doznanie, do którego dawno temu się przyzwyczał. Dreszcz, a potem jakaś zmiana.

— Bywało, że paczkę dziennie. I więcej — odpowiedział ciszej. — Potem ograniczałem, aż prawie przestałem. Teraz tylko od czasu do czasu.

— To zupełnie czy od czasu do czasu?

— Czasem.

— Często?

— Raz, dwa razy w tygodniu. Czasem trzy dziennie.

— Czyli regularnie?

— No, bywa, że sobie zapalę.

— Bywa, że sobie zapalę — lekarz powtórzył. — Czyli regularnie pali pan nadal. A alkohol?

Emil zakaszłał. Lekarz odłożył pióro, odchylił się na oparcie krzesła i przygwoździł pacjenta wzrokiem. Stompor zrozumiał, że nie jest dobrze. Poczł strach. Pomyślał o żonie i córce, a potem jego myśli nieoczekiwanie uciekły kilka lat wstecz, do czasów, kiedy zaczęło się to wszystko. Był młody, zaczynał karierę i odkrył, że w tej pracy nie można nie pić i nie palić.

— Na dobre zacząłem pić kilka lat temu. Aż straciłem kontrolę.

— Aha — lekarz spojrział w oczy Emila. — Zupełnie?

— Jakieś pięć lat temu.

— Co dalej?

— Odstawiłem.

— Tak samo jak papierosy?
— Nie. Ani grama.
— A wtedy? — zapytał lekarz. — Jak było?
— Problemy w pracy. Potem picie i...
— Zaawansowana toksykomania alkoholowa?
— Szpital z urazem komunikacyjnym.
— Czyli wypadek?
— Potrącenie. Potem rehabilitacja. W jej trakcie ostry zespół abstynencyjny. I depresja urojeniowa z przemijającymi epizodami psychotycznymi — Emil wyrzucił jednym tchem.
Lekarz splótł ramiona na piersiach i przekrzywił głowę. Emil pomyślał, że patrzy na sobowtóra Savalasa z serialu *Kojak*, ale nie wytrzymał świdującego spojrzenia. Opuścił wzrok. A potem postanowił, że nie będzie niczego ukrywał.
— Oddział zamknięty w klinice — dodał szeptem.
— I ośrodek uzależnień?
— Nie. Postanowiłem sam z tym skończyć. Wyjechałem w góry. Na wakacjach minie sześćdziesiąt miesięcy, odkąd nie piję.
— Dni pan już nie liczy?
— Ożeniłem się, urodziła mi się córka.
— Przynajmniej wiem, na czym stoję. A inne używki, narkotyki, kawa?
— Kawa.
— Praca w nocy? — lekarz nachylił się nad stołem.
— Kiedyś dużo, teraz rzadziej, ale się zdarza.
— Problemy osobiste?
Emil w milczeniu kiwnął głową, jakby sobowtór Kojaka zapytał o coś wstydliwego. Zastanowił się, czy nie dodać zdania więcej. Zamiast tego skupił uwagę na piosence Budki Suflera z radia.
— Stres?
— Sporo.
— A z jakiego powodu?
— Policjantem jestem.
— A... policjantem — lekarz odparł, jakby to była diagnoza. — No tak. To nawet dobrze. Skoro naoglądał się pan denatów, to skórę pan ma grubą. Więc powiem bez ogródek. To, co pan skutecznie, proszę pana, to zabójstwo na sobie samym, rozumie pan?
— Zabójstwo na sobie samym nie jest zabójstwem.
— A tak — mruknął lekarz. — Jest samobójstwem. I to, co pan skutecznie ze sobą, jest samobójstwem. Tylko odłożonym w czasie, coś jak lokata w banku. W badaniu widzę sześćdziesięciolatka w średnim stanie. Nadciśnienie tętnicze, podwyższona bilirubina, czyli zniszczona wątroba. Spirometria jakby panu tylko jedno płuco funkcjonowało. Wiadomo, wychodzi rzucanie palenia. Do tego wysoki cholesterol, cukier tak samo. Ile ma pan wzrostu?
— Metr siedemdziesiąt osiem.
— I waży pan osiemdziesiąt osiem kilogramów — lekarz kiwnął głową. Nadwaga. Nieduża, ale ona pana sercu nie pomaga. I stawom także. Dobrze, że chociaż morfologia jest w miarę w porządku. Powiedziałem — w miarę. Jak na sześćdziesięciolatka. Na EKG nawet nie chcę patrzeć, bo może się okazać, że powinienem rozważyć pomostowanie aortalno-wieńcowe.
— Bajpasy? Jest aż tak źle?
— Ubezpieczył się pan na życie?
— Proszę?
— Wspomniał pan o żonie i córce. Z czego będzie pan utrzymywał rodzinę, jak przyjdzie czas lokatę zlikwidować? Chyba nie chce pan ich zostawić bez środków do życia? Wprawdzie ma pan szansę, ale papiery bym uporządkował.
— Co to znaczy?
— Jeśli pan nie zmieni trybu życia, może być niewesoło.
— Co mam robić?
— Ruch, odżywianie się, unikanie używek.
— Kiedyś biegałem.
— A ja miałem włosy. Pana w najlepszym razie czeka rozległy zawał.
— Naprawdę?
— Ewentualnie udar niedokrwienny.
— Ale ja na ogół czuję się nie najgorzej — Emil skłamał.
— I dlatego pan o sobie nie dba. Wyjdzie na to samo: zawał, udar albo Powązki. Wdowa i córka półsierota. Tak, jak powiedziałem: lokata terminowa.

Zapadła cisza. Emil przyłożył obie dłonie do brody i znów potarł twarde, szorstki i siwiejący zarost, po czym spojrział lekarzowi prosto w oczy i kiwnął głową. Nie było sensu dłużej udawać, że jest lepiej, kiedy dobrze było kiedyś.

— Nie pocieszył mnie pan, doktorze.

— Mnie już włosy nie odrosną. Pan może zdrowiej jeść, wysypiać się i rzucić palenie.

— Mam zrezygnować z policji?

— Jak pan fiknie, policja i tak nie będzie miała z pana pożytku. Chociaż z drugiej strony słyszałem, że pogrzeby gliniarzy to widowisko — lekarz powiedział, stuknął pieczętką i podał Emilowi kartkę papieru.

Emil spojrział na skierowanie do kardiologa. A potem wstał, podziękował i wyszedł na ulicę. Co teraz? Ma iść na urlop, jechać do sanatorium, wywracać życie do góry nogami, pomyślał, zatrzymując się przy samochodzie. Sięgnął po camele. W głowie wciąż brzmiały słowa Czasu ołowiu z radia, więc się powstrzymał.

Zabicie jednego człowieka uważa się za niedopuszczalne. Godzimy się jednak bez słowa na to, że każdego dnia umiera wiele tysięcy ludzi z chorób, które można wyleczyć. A także z głodu, który można by powstrzymać. Więc cóż znaczy jedno życie mniej na tym świecie? Nic. Czy znaczyła cokolwiek śmierć w ułamku sekundy kilkudziesięciu tysięcy ludzi w Nagasaki? A Drezno? Warszawa? Auschwitz-Birkenau? Trzy miliony ofiar wojny w Wietnamie? Osiem w pierwszej wojnie światowej, trzydzieści trzy w drugiej, sześćdziesiąt milionów w radzieckich łagrach. To wszystko tylko nic nieznaczące liczby. Nic, pod warunkiem, że żadna z nich nas nie dotyczy. Nie jest zawarte w niej nasze życie. Taka jest natura rzeczy. Spełnienie snu o zabijaniu jest niczym w porównaniu z potęgą fantazji. Dzięki temu moje życie może być wreszcie fascynujące. I nie myśl, że chodzi o to, aby marzenia realizować. Rzeczywistość prawie zawsze rozczarowuje. I dlatego jestem mordercą. Zabijam dla marzeń. One są zawsze dużo bardziej stymulujące niż bezpośrednie następstwa zbrodni albo sam jej akt. Nie liczy się to, co się stało, ale oczekiwanie na to, co się dopiero wydarzy. A zatem voilà. Kurtyna w górę.

Stompor w ponurym milczeniu patrzył, jak funkcjonariusze Wydziału Realizacyjnego KSP wychodzą z zatrzymanym mężczyzną z budynku komendy. Błyski fleszy odbijają się na ich kamizelkach kuloodpornych, hełmach, pistoletach maszynowych i zasłoniętych kominiarkami twarzach.

– Kolejny sukces — naczelnik mruknął półgębkiem.

– Tylko czyj?

– Policji, Emil. Prokuratury, nas wszystkich — Zolner odparł z przyklejonym, sztucznym uśmiechem. — Wszystkich niosących sprawiedliwość na tym podłym świecie.

Stompor, starając się ukryć obrzydzenie, obserwował przepychających się za taśmą fotoreporterów, którzy usiłowali złapać najbardziej interesujące ujęcie skutego kajdankami zatrzymanego.

– Nie podoba mi się to — odparł.

– Nie cieszysz się?

– Nie powinno tak być.

– Masz na myśli tę konferencję?

– Szopkę. Tę, którą tu odstawiamy.

– Ciszej! — Naczelnik warknął. — Może i tak. Może to i szopka, ale takie jest życie. Dla ciebie media to ucieleśnienie tego, czego nie akceptujesz, ale trzeba korzystać z sukcesu. Spróbuj zrobić dobrą minę do złej gry.

– Nie powinno tak być — powtórzył Stompor.

– Mnie też się to nie podoba, ale jesteś gliniarzem.

– I co?

– To nie był mój pomysł. Stołeczny naciska, wydział wisi na włosku, trzeba jakoś sobie z tym radzić, niestety.

– I dlatego robimy ten cyrk pod kamery? Przecież oni — Stompor wskazał medialnych — zrobią z niego do jutra seryjnego mordercę.

– Empatia ci się włączyła?

– Raczej prawda.

– Trzeba było na adwokaturę iść.

– Nie lubię, jak coś jest nie w porządku. Fabryka wyciera się mną, jakbym był rzecznikiem prasowym.

– Cztery lata temu pokazywali cię w wiadomościach. Swoją drogą, nie wiem, jak to robisz, że wciąż jesteś skuteczny jako operacyjny.

– Zatrzymani nie narzekają.

– Jesteś policjantem publicznym.

– Nie prosiłem się o to — mruknął Stompor.

– Rozpracowałeś mordercę, złapałeś, dzięki tobie świat jest lepszy.

– Cukier podobno szkodzi.

– Gnojek, którego przyskrzytniłeś, przynajmniej już więcej nie zabije. I możemy się tym pochwalić — naczelnik powiedział, spoglądając znacząco na podwładnego. — Zrobiłeś dobrą robotę. Tak, fabryka nie jest idealna, ale komendanci i politycy będą zadowoleni.

– Jestem przeciwnikiem cyrku.

– Ludzie go lubią.

Naczelnik uśmiechnął się do celującego w nich obiektywem fotoreportera. Był zażywnym, drobnej budowy, eleganckim i ogolonym mężczyzną około pięćdziesiątki o zawsze nienagannie odprasowanej koszuli i zwykle fatalnie dobranym krawacie.

– Trzeba z nimi żyć w zgodzie — dodał.

– Mówimy o mediach czy politykach?

– O ludziach, kurka wodna! Lepiej powtórz sobie, co im powiedzieć — Zolner mruknął, wskazując dziennikarzy. — Pamiętaj, masz mówić to, co ustaliliśmy.

Chrząknął, rozłożył ręce, spojrzał na podwładnego, uśmiechnął się do fotoreporterów. Znowu błysnęły flesze, obiektywy kamer skierowały się na policjantów. Emil zbierał myśli. Potem skupił się na tym, żeby przetrwać. Wyobraził sobie, że gdzieś daleko jest ciepły port. Nie ma w nim policji, naczelnika, problemów, dziennikarzy, a w cichej, portowej tawernie wieczorem gra jakaś przyjemna muzyka, do której pływają tancerki z zasłoniętymi ustami. Powietrze wokół pachnie egzotycznym, niezapalonym tytoniem. Detektyw zdawał sobie sprawę, że w gazetach pojawi się jego zdjęcie pod wytłuszczonymi nagłówkami. Dla policjanta kryminalnego to katastrofa, ale w wypadku Emila wydarzyła się ona wcześniej. Czapka z daszkiem i zarost niewiele pomogą, ale pocieszał się, że przez całe życie mało kto zauważał jego

obecność. Ludzie najczęściej nie zwracali na Emila uwagi. Było tak, odkąd pamiętał. Stompora nic szczególnego w wyglądzie nie wyróżniało.

— Mamy dwudziesty pierwszy wiek, polska policja korzysta z najnowszych zdobyczy nauki i nowoczesnych technologii — perorował naczelnik. — Nasi policjanci szkolą się w najlepszych ośrodkach na świecie. Komisarz odbył praktyki w centrum szkolenia FBI. I jak widać, są efekty.

— A ja... jak, panowie — padło kolejne pytanie — od... odniesiecie się do wydarzeń w Krakowie? Eryk Mordka, „Głos spod Wawelu”. Mówi się, że działa tam pra... prawdopodobnie najbardziej ma... makabryczny zbrodniarz w polskiej historii.

— Jesteśmy w Warszawie — rzucił naczelnik.

— Morderca zyskał przydomek „Kuśnierz” — nieoczekiwane dodał dziennikarz.

— Bez komentarza.

— Dla... dlaczego policja...

— To sprawa Krakowa, szanowny panie redaktorze.

— Policja ukrywała dzia... działalność te... tego człowieka przed opinią publiczną?

Zolner obrzucił zaskoczonym spojrzeniem Emila, po czym uśmiechnął się do kamer. Widać, że nie spodziewał się takiego pytania. Emil tymczasem dyskretnie zawiesił wzrok na jąkającym się dziennikarzu o rybiej twarzy. Mężczyzna miał około czterdziestu lat, okrągłe okulary à la John Lennon i przyklejony do twarzy bezczelny wyraz lekceważenia.

— Wia... wiadomo, że dwa lata temu wyłowiono z Wisły skórę kobiety. Ustalono...

— Spotkaliśmy się tu w innej sprawie — Zolner uciął, usiłując uratować przedstawienie.

— Ustalono, że zdjęto ją z ciała zaginionej kilka tygodni wcześniej studentki.

— Proszę pana...

— Opinia pu... publiczna nie zo... została o tym fakcie poinformowana.

— To jest pytanie czy stwierdzenie?

— Pytanie.

— Uprzejmie proszę je skierować do rzecznika prasowego KGP.

— Czy Wydział Zabójstw KSP będzie się tą sprawą zajmował? — zapytała z innej strony przedstawicielka RMF FM.

— Nic na ten temat mi nie wiadomo.

— Skoro ma... macie w KSP taką gwiazdę kryminalistyki — wtrącił raz jeszcze jąkała o rybiej twarzy — to dlaczego komisarz Stompor nie zajmie się sprawą „Kuśnierza”?

— Ponieważ nie mogę zajmować się wszystkim — Emil odpowiedział, a potem uniósł rękę, ukłonił się dziennikarzom i odwrócił się od kamer i mikrofonów.

Zolner zrobił to samo. Stało się jasne, że szopka niezupełnie się naczelnikowi udała.

Sierżant Rudzki pomyślał, że nie jest dobrze. Minęła dziewiąta wieczorem. Dyżurny wspominał o nieprzyjemnym zapachu. I rzeczywiście, kiedy znaleźli się na klatce schodowej, poczuli to. Rudzki podszedł do niziutkiego i szczupłego dozorca, stojącego w towarzystwie dwukrotnie wyższej żony.

— Od kiedy? A cholera wie! — Dozorca odparł, przestępując z nogi na nogę. — Od paru dni chyba, ze dwa, może trzy będzie. Najpierw coś tak delikatnie zalatywało, aż mocniej i mocniej. Parę dni już cuchnie.

— Albo i lepiej — wtrąciła żona. — Z tydzień.

— Jak się plama na suficie zrobiła, to małżonka mówi — dozorca spojrzął na kobietę — idź, Marian, zobacz, co się tam wyrabia.

— I co dalej?

— Nie otworzył — odparł dozorca.

— Kiedy to było?

— Mówię przecież, że dzisiaj.

— A kiedy widzieliście sąsiada po raz ostatni? — dopytał Rudzki.

— W zeszłym tygodniu, zdaje się.

— Lepiej będzie — wtrąciła żona. — Ze dwa tygodnie. Jak do lekarza z mężem jechałam. W każdym razie nie śmierdziało jeszcze. No chyba sami panowie czujecie? — powiedziała. — To nie do zniesienia jest, zróbcie coś z tym, coś zrobić trzeba, bo żyć tak nie idzie, się nie da. Lokatorzy się skarżą, on nie otwiera, a z dnia na dzień śmierdzi mocniej. A my pod nim mieszkamy — kobieta wskazała piętro niżej. — I zalał nas chyba, zalał najpewniej, bo plama na suficie.

— A rodzina?

— Nie wiem — odpowiedział dozorca. — Nie interesuję się, sam chyba był.

— Nikt go nie odwiedzał?

— Nikogo nie miał — wtrąciła kobieta. — Przeprowadził się tutaj może ze dwa lata temu. Grzeczny, zawsze się kłaniał, na ulicy albo w windzie. Normalny. Wie pan, jak to w bloku. Ludzie się z widzenia znają, wdają, ale wiadomo o człowieku, co takiemu strzeli do głowy?

W mieszkaniu Rudzki zauważył uchylone okna, smród był słabszy. Kolega z notatnikiem dostrzegł na suficie wielką plamę. Rudzki wiedział, co może ona oznaczać. Fetor nasilał się w miarę zbliżania się do drzwi mieszkania, o którym mówili zgłaszający. Rudzki wiedział, co to za odór.

— Z Krakowa przyjechał — powiedział dozorca.

— Podobno gliniarz — kobieta wtrąciła, zniżając głos. — Policjant, znaczy się. Na emeryturze już, oficer, wysoko postawiony chyba.

— Skąd pani wie?

— To Sandomierz. Tu wie się wszystko o wszystkich.

— I nic państwo nie słyszeliście podejrzanego? Krzyki, wołania, stukanie?

— Nic — odparł dozorca. — Mówię przecież.

— Jak nic, Marian? No wiadomo, było słychać, jak w bloku — fuknęła dozorczyńni. — Ale normalnie, nie tak, żeby się niepokoić. Stukanie, szuranie, radio było słychać czasem albo telewizor. Kto by pomyślał, że sąsiadowi coś takiego strzeli do głowy.

— To znaczy, co?

— Przecież czuć — mruknęła. — Pan niech nie myśli, że głupia jestem. Tak trup śmierdzi. Każdy to wie. Powieścił się albo zachlał, czy coś. I smród na cały blok.

— A często pił?

— Nie wiem, czy często — odpowiedziała. — Normalnie, raczej jak każdy. Czuję alkohol od niego parę razy w windzie, nie żeby pijany, ale chycony był taki, nie ożarty, wie pan? Nie dziwota, kawaler, sam znaczy, bo może rozwodnik albo wdowiec, nie wiem. Na emeryturze i wiadomo, policjant — trajkotała przejęta. — Co miał robić?

Na schodach zjawili się pierwsi strażacy ze sprzętem. Dowódca akcji, podchodząc do drzwi, wskazał wypełzające z mieszkania białe larwy. Chwilę później rozległy się pierwsze hałasy. Jeden ze strażaków kilka razy uderzył siekieromłotem w szczelinę między drzwiami a ramą, robiąc miejsce dla stopki wyważarki. Kolejni uruchomili silnik przypominający Rudzkiemu agregat prądotwórczy. Rygiel ustąpił i zapadła cisza. Rudzki zasłonił usta i nos, co niewiele dało. Wchodząc, policjant pomyślał, że fetor przypomina czosnek zmieszany z mocno przejrzałym serem. Powietrze wypełniały czarne, ruchliwe i bzyzące punkciki. Owady sprawiały, że nic niemal nic widział. A jednak wszedł, powstrzymując odruch wymiotny. Nadepnął na coś, co strzelało pod butami. Jedno spojrzenie wystarczyło, żeby zrozumieć, że to suche ciałka much. Oprócz nich parkiet pokrywała warstwa kleistej mazi, w której ochoczo ucztowało robactwo.

Jest wtorek, dwudziesty dzień maja dwa tysiące trzeciego roku, południe. Przy stole zasiadają: Witold Wolf, minister sprawiedliwości, jego zastępca Wiesław Goldmann oraz komendant główny policji Leszek Kowal. Naprzeciw usadowił się komendant wojewódzki policji z Krakowa Hubert Lerman. Żaden z mężczyzn wezwanych tego słonecznego, ale zimnego i wietrznego popołudnia do Kancelarii Prezesa Rady Ministrów przy Alejach Ujazdowskich w Warszawie nie ma nastoju do żartów. Premier mówi wyraźnie, spokojnie i widać, że trzyma nerwy na wodzy. Po tym, co wydarzyło się w ostatnich dniach, nie ma wątpliwości, czego będzie dotyczyło spotkanie. Już pod koniec ostatnich wakacji mówiło się, że Wolf, minister od służb, po zlikwidowaniu UOP i WSI nie radzi sobie z resortem. Powtarzane w kuluarach plotki głosiły, że premier będzie wreszcie musiał coś zrobić. Przyszła jednak jesień, Boże Narodzenie, a potem wiosna. Rządowy śmigłowiec rozbił się, wyłączając polityka z pracy. Do tego media ujawniły kulisy prac sejmku nad projektem nowelizacji ustawy o radiofonii i telewizji, przy których pojawiła się propozycja korupcyjna. Wybuchła afera i powołano komisję śledczą. I jakby tego było mało, pojawił się kolejny skandal, tym razem dotyczący policji. A ostatnie wydarzenia w kraju nie postawiły tej pogardzanej przez społeczeństwo i polityków formacji w dobrym świetle. To, że w Magdalence zginęło dwóch antyterrorystów, a kilkunastu zostało rannych, resortowi nie pomogło. Przeciwnie, opinia publiczna odebrała strzelaninę jako słabość i dowód na nieudolność. Nic dziwnego, że brutalne stłumienie na ulicach stolicy pokojowej manifestacji przeciwników amerykańskiego ataku na Irak zaledwie trzy tygodnie później rozpoczęło dyskusję w mediach, z której przebijała się ciągle taka sama narracja: w policji dzieje się źle. Premier grzmi zimnym, dźwięcznym głosem, że najważniejszym tematem w mediach nie jest wejście Polski do Unii Europejskiej, ale to, co się dzieje w garnizonie komendanta Lermana. Komendant główny słucha z ponurą miną o tym, że jego ludzie nie zrobili nic w sprawie krakowskiego *Milczenia owiec*. Wreszcie szef rządu uderza pięścią w stół nakryty kilkunastoma egzemplarzami dzienników, wykrzykując o tym, co stało się w Sandomierzu! Potem zapada cisza. Komendant główny wyciera pot z czoła, zaczyna mówić. Premier unosi brodę i kompulsywnie bawi się długopisem. Ze zmarszczonymi brwiami słucha generała Kowala oraz komendanta z Krakowa. Na koniec spogląda na ministra Wolfa, a potem na Goldmanna, po czym się zgadza.

Mieszkanie wypełnia tylko dźwięk telewizyjnych wiadomości. Stojący w łazience przed lustrem nagi mężczyzna cicho nuci pod nosem coś niezrozumiałego. Zupełnie nie zwraca uwagi na to, co się dzieje na ekranie, skupiony na dokładnym goleniu nóg. Nagle jednak jego ucho wyławia coś, co sprawia, że przerywa golenie. Staje przed telewizorem, wydyma usta. Przez następnych kilka chwil w pełnym skupieniu patrzy na relację z czegoś, co wygląda na konferencję prasową. Patrząc, napina mięśnie, które rysują się pod pozbawioną grama tłuszczu skórą. Jest w świetnej kondycji. Ma wysportowane ciało i skórę pokrytą równomierną opalenizną. I chociaż na jego ogolonej twarzy widać pogardę, nie odrywa wzroku od telewizora. Uważnie wpatruje się pustymi, błyszczącymi oczyma. Mieszkanie nie jest duże, ale ma wysoki sufit. Na ścianach króluje biel, podłogi pokrywają jasne deski, przez duże okna wpada sporo światła, a kilka oprawionych w ramy czarno-białych fotosów i odpowiednio dobrane sprzęty dodają wnętrzu uroku. Kiedy policjant na ekranie unosi rękę i odwraca się, by wejść do Pałacu Mostowskich, na twarzy mężczyzny odmalowuje się rozczarowanie. Wyłącza telewizor i podchodzi do okna. Zastanawia się nad tym, co zobaczył. Patrzy w jasność za oknem jak urzeczony. A potem na jego przystojnej twarzy pojawia się szeroki, piękny uśmiech. Wolno odwraca się i podchodzi do regału z biblioteką płyt kompaktowych, potem wraca do jasno oświetlonej, wyłożonej kafelkami łazienki bez okien. Słuchając muzyki, wpatruje się w odbicie w lustrze: w pociągłą, nieco kanciastą twarz z kwadratową szczęką i wyraźnie zarysowanymi kośćmi policzków oraz błękitne, wyblakłe oczy i krótkie, przypominające zboże w sierpniu włosy. Wreszcie kończy, wyciera dokładnie ciało białym, bawełnianym ręcznikiem, wciera balsam w skórę i perfumuje nadgarstki.

Komendant stołeczny, nadinspektor Julian Woronicz, zmarszczył czoło. Widząc jak wielki, otyły oficer bębni palcami, Zolner poprawił kołnierzyk. Czuł pot spływający po plecach.

— Nie wiem tylko, jaki mam z tym związek, panie komendancie — odparł.

— Sraki! Słyszysz pan?

— Tak jest.

— Gdybym to ja zadał takie pytanie, to generał Kowal by mnie wypierdolił przez to okno — Woronicz wskazał przeszkloną część gabinetu. — Skoro jesteś pan u mnie, to znaczy, że związek jest, rozumiesz pan?

— Tak jest.

— Niepotrzebnie dałeś się pan sprowokować. Mordka to cwany lis. Narobił w Krakowie gnoju. Naprawdę nic pan nie rozumiesz?

— Kraków jest przecież...

— Tu nie chodzi o Kraków! — stołeczny odpowiedział ze złością. — A nawet gdyby o niego chodziło, to przecież jest częścią Polski? A my reprezentujemy polską policję, rozumiesz pan? Jestem pana bezpośrednim przełożonym, moim jest komendant główny, a generał Kowal odpowiada przed ministrem. Więc chyba nie muszę przypominać, że minister sprawiedliwości to także prokurator generalny — tu komendant Woronicz uniósł palec w górę.

— Nie musi pan.

— Zresztą nie tylko o ministra chodzi. Najbardziej naciska jego zastępcę. Prokurator krajowy, Goldmann, Wiesław Goldmann. Pochodzi z Krakowa. Tak samo, jak nasz główny, rozumiesz pan?

— Oczywiście.

— Więc nie mów pan głupio, że Kraków to, Kraków tamto. Tak naprawdę gównu mnie Kraków obchodzi, sram na Kraków, ale zaczyna się robić wokół tego tematu syf. Nieprzyjemny, śmierdzący i zaraźliwy. A ja zarazków sobie kategorycznie w moim garnizonie nie życzę. Ludzie z najwyższej ligi wyrażają zaniepokojenie. Musimy z tym coś zrobić. I to szybko. Wystarczająco długo jesteś pan policjantem, aby wiedzieć, że gówno podlega grawitacji. Więc najpierw komendant Kowal wysłuchał, potem ja zebrałem opierdół, a teraz pan wysłuchujesz. Pana rola polega na tym, aby coś z tym zrobić. Potrzebujemy bardzo dobrego policjanta. Wirtuoza w tym fachu.

— No ale policja to nie filharmonia — odparł Zolner.

— Nie pierdol mi pan tu! Filharmonia! Mam na myśli kogoś, kto jest prawdziwym psem, a nie szkolonym maminsynkiem w tych naszych przyzakładówkach dla debili, typu Szczytno czy Legionowo. Potrzebujemy człowieka, który jak już złapie, to nie puści. I nie jest anonimowy. I właśnie pan masz kogoś takiego.

— Ja?

— A co, ja? No pewnie, że pan.

— Niby gdzie?

— W dupie! No, jak gdzie? U siebie.

— W Wydziale Zabójstw? I co? On ma złapać tego zabójcę z Krakowa?

— Nie kpjij pan. No, byłoby dobrze, gdyby go złapał — Woronicz kiwnął głową — ale nie ma szans. Nie chodzi zresztą o wynik, ale o tak zwany pijar. To beznadziejna sprawa. Z tego, co twierdzi Lerman, podobno jest nie do rozwiązania. I żaden Sherlock Holmes, Kojak, James Bond, porucznik Borewicz czy pana człowiek tu, kurwa jego mać, nie pomoże.

— Więc po co mam wam go oddawać?

— Po gównu! Mógłbyś pan pomyśleć, nim coś pan powiesz. Po co? Po to, żeby tam być, a po co? Nie jest potrzebny nam, ale tym patałachom z Krakowa. Zresztą, jeden chuj. Policja to policja, jedna mafia. Przy okazji... Jaki ten pana człowiek ma stopień?

— A o kogo chodzi?

— Prezentowałeś się pan z nim w telewizji.

— Komisarz.

— Oficer — Woronicz odparł, zadowolony. — No to i lepiej. Nam dokładnie kogoś takiego potrzeba. Słuchaj pan, zapadły decyzje. Stompor pojedzie do Krakowa. I zrobi dobre wrażenie. Ono jest nam najbardziej potrzebne. A cała reszta mnie gównu obchodzi. Krakowiacy wyłowili skórę w styczniu dwa tysiące pierwszego. A teraz dzięki Bogu jest już prawie czerwiec dwa tysiące trzeciego. Dwa lata, Zolner. Ponad dwa lata. Prawie trzydzieści miesięcy. Wyłowili skórę, potem pojawiła się noga i jakieś pierdoły. Zrobili oględziny, ekspertyzy, wszczęli śledztwo, ustalili, że to szczątki jakiejś zaginionej studentki i tyle. Dupa! Gliniarz, który zaczął sprawę, poszedł na emeryturę. I temat utknął. Widocznie myśleli, że szafy z aktami to też pomieszczą, ale okazało się, że nie tym razem.

— Jak to możliwe?

— No, możliwe. Sprawa leżała, aż nabrała mocy, żeby ją umorzyć. I pani prokurator, niejaka Wolska, umorzyła. A wcześniej zdecydowała, że media nie będą o niczym informowane.

— Ktoś włożył palce między drzwi?

— Ten cholerny pana pismak.

— Mój?

— A mój? Mordka. Nie wiem jak, ale jakimś cudem się o wszystkim dowiedział. I teraz mamy smród. A że najbardziej obsmarowana gównem jest Wolska, to my też oberwaliśmy. To bratanica zastępcy ministra sprawiedliwości. Niestety, media szaleją. Rozpisują się o tym, jakby świnia w gorący dzień znalazła bajoro z gnojówką. No, mamy skandal, cholera jasna! Tym razem to, kurwa mać, już nie są przelewki. Wszyscy na tym cierpimy. Dlatego zrobisz pan dokładnie tak, jak mówię. To polecenie służbowe. Nieoficjalnie, masz pan rację, pojawiły się naciski. I to kurewsko mocne, z samej góry. Prawdę mówiąc, jest niewesoło. Mam polecenia. Wiem, że będą podejmowane jakieś decyzje. Jakie? Nie wiem i nie wiem kiedy.

— A co mam zrobić?

— Masz pan przygotować swojego detektywa. No, jak mu tam?

— Stompor?

— Właśnie.

— Jest na urlopie.

— Bernard!

— Tak jest, panie komendancie! Chciałem tylko zapytać, kiedy ma tam jechać?

— Pan słuchasz, co do pana mówię? Jeszcze nie wiem. Sytuacja jest dynamiczna, a sprawa delikatna. Mnie też nie o wszystkim informują. Przypomnij mi pan to nazwisko?

— Mojego człowieka?

— A czyje? Moje?

— Emil Stompor, komisarz.

— Właśnie, Stompor. Pan posłucha. Sprawa wygląda tak: w KGP wymyślili, że w Krakowie działa niejawna, nieetatowa komórka. Czterech gliniarzy. Zajmują się starymi sprawami, zamkniętymi. Po umorzeniu — wyjaśnił Woronicz.

— Ale po co?

— Nie wiem, kurwa, dla mnie to też dziwne. Teoretycznie ich zadanie to odgrzebać niektóre stare, ostatecznie zamknięte, ale niewykryte sprawy. I jeśli się da, to je wyjaśnić. Sam pan wiesz, że grzebanie w cudzych, ozetowanych sprawach to strata czasu, głupota i świństwo. No ale to się ma spodobać mediom. Prawda, że to światowe i amerykańskie?

— No tak, ale...

— Bez ale. Tym na górze się podoba — Woronicz przewrócił oczyma. — Bez dyskusji. Premier zadowolony, ministrowie to samo. Rzecznik w głównej uważa, że pomysł chwyci. Ujawnimy, że w naszej polskiej, nowoczesnej, ponadpartyjnej, skutecznej i cieszącej się rosnącym zaufaniem społecznym policji mamy komórki na miarę FBI, rozumiesz pan?

— Tak, tylko uwierzyć nie mogę.

— Ta komórka jest nasza, przez nas stworzona i to nie jest nasze ostatnie słowo!

— Już gdzieś to słyszałem — mruknął Zolner.

— Co pan tam mruyczysz pod nosem?

— Nic, nic. Po prostu słucham.

— Przyjdzie zielone światło, to spowodujesz pan, żeby Stompor znalazł się w Krakowie. Udzieli im tylko pomocy. Oficjalnie przecież nie istnieją, chociaż niebawem wszyscy się o nich dowiedzą. Jest plan, żeby takie zespoły powstały przy każdej komendzie wojewódzkiej. Ciemny lud wszystko kupi.

— I do tego potrzebny jest Stompor?

— Szkolił się w FBI. Przynajmniej kilka razy brał udział w bardzo głośnych, medialnych sprawach. Jest znany, niezbyt stary. Przyjął się po dziewięćdziesiątym. To uspokoi ludzi i polityków. I nie zapominaj pan, że pana los wisi na włosku. Stompor się sprawi, to pan też zyska. Od tej sprawy może zależeć więcej. Możliwe, że mamy do czynienia nie tylko z najbardziej zagadkowym i bulwersującym zabójstwem w historii polskiej kryminalistyki, ale też z najbardziej szokującą zbrodnią w cywilizowanym świecie.

— Każda zbrodnia szokuje.

— Nie każda budzi zainteresowanie nie tylko naszych, ale i światowych mediów.

Naczelnikowi to wszystko zaczynało się coraz mniej podobać. Nie wierzył, że cokolwiek może jeszcze w tej firmie osiągnąć. Obietnice Woronicza słyszał nie raz i wiedział, że lepiej jest dobrze obiecać, niż dać coś niespecjalnie atrakcyjnego. Woronicz łypnął na naczelnika, wyjął z szuflady dwie szklanki i bez pytania nalał wódki do obu.

— To, co się dzieje, nie każdemu odpowiada. Komputery, systemy, reformy. Szykują się duże zakupy floty, warto ocieplić przy tym i polepszyć nasz wizerunek. Do tego ta cholerna Unia! A po cholere mnie ona? Najgorsze, że w perspektywie najbliższych miesięcy szykuje się zmiana w polityce. A zmiany nie są dobre. Nie w fabryce. Możliwe, że będę musiał odejść. Licz się pan z tym, że na decyzję mogą dostać kilka

godzin. Nie zagwarantuję panu tego, co zrobi mój następca. Jestem panu przychylny, ale on nie musi. Z mojej strony masz pan zapewnienie, że na odchodnym podniosę panu dodatek. A w każdym razie o tyle, o ile będę mógł.

Wypili. Wódka ma ostry, intensywny, ziemniaczany aromat. Krzywią się, ponieważ wódka jest ciepła, choć markowa. Zolner nabrał powietrza, zerknął na przełożonego. Dawno przestał zwracać uwagę na to, że stołeczny nie potrafi pić jak na oficera przystało. Woronicz nie ma pojęcia, że Zolner woli wypalanki, określane przez znawców pokroju komendanta koniakami albo nawet napoleonami.

— Ciepła.

— Wódkę powinno się pić ciepłą — odpowiedział Zolner.

— Żartujesz pan?

— Tak twierdzą znawcy.

— Mam gdzieś znawców. To ja jestem znawca. Wolę zmrożoną. Na emeryturze nigdy nie napiję się ciepłej, tylko zmrożoną — komendant oznajmia, znów napełniając szklanki.

A potem stary knur wykrzywił mięsiste usta, a jego ogromna, pomarszczona twarz z krzaczastymi brwiami zmarszczyła się jeszcze bardziej. Wreszcie sapnął, wydając pomruk niezadowolenia.

— Chcą połączyć zabójstwa z terrorem.

— Kiedy?

— Przy okazji zmian.

— Kiedy wydział powstawał, mieliśmy sto spraw rocznie — przypomniał Zolner.

— Pan myślisz, że jak zabójstw jest mniej to dobrze? A gówno! Mniej znaczy gorzej. Zabójstw jest mniej, to znaczy, że wydział jest niepotrzebny.

— Mamy przecież sprawy.

— One nie są głośne. Medialne. Na przykład ten wasz gwałciciel. No tak, zgwałcił. Zgwałcił to zgwałcił i co?

— Udusił, roztrzaskał pałką jej głowę, a my go złapaliśmy.

— I co z tego? Nic.

— Może teraz nikogo już nie udusi?

— A to akurat zależy od prokuratora, sędziego i tego, jak dobrego adwokata ten wasz majtkowy wynajmie. Nas to nie interesuje. Złapano? Dobrze, ale to za mało. To tylko anonimowy gwałciciel. Jeden z wielu, rozumiesz pan?

— Przecież zrobiliśmy ustawkę z dziennikarzami, jak pan sobie życzył.

— To nic szczególnego. Nic sensacyjnego.

— Rozumiem — Zolner dodał ciszej. — Zupełnie inaczej niż „Kuśnierz”?

— „Kuśnierz” to co innego. On funkcjonuje w mediach. Gdybyście to jego zamknęli, to byłoby coś. Szczególnie teraz, kiedy gówno przez tego pierdolonego jąkałę rozlało się wszędzie. Proszę na to jednak spojrzeć jak na szansę, żeby utrzymać wydział. Stompor pojedzie tam jako fachowiec, specjalista od zabójstw z Warszawy. Zrobi się szum pod media. Kto wie, czy sam komendant główny się tam nie pofatyguje, a może nawet i ja tam pojedę.

Bernard Zolner oczywiście rozumiał. Woronicz miał prawie trzydzieści pięć lat służby. Mówiło się coraz głośniej, że niebawem przejdzie do Komendy Głównej. Możliwe, że już w lipcu awansuje na generała, a potem dostanie etat zastępcy komendanta głównego. Może i Woronicz na takiego nie wyglądał, ale miał w sobie coś, co sprawiło, że przetrwał w milicji dokładnie dwie dekady. I teraz miał się całkiem dobrze.

— Wybierasz się pan na koncert? Będzie komendant główny. I minister oraz paru innych, którzy dużo mogą. Powinieneś pan przyjść, nawet jeśli masz pan w dupie muzykę — Woronicz poklepał Zolnera po plecach. — Też wolę Krawczyka, ale jak to mówią, służba nie drużba.

Naczelnik kiwnął głową. Stołeczny jakimś cudem przetrwał przełom, weryfikację, a nawet przemianę mentalną, jaką policja przeszła podobno pod koniec lat dziewięćdziesiątych. No i pił jak wszyscy. A tego, na pewnym szczeblu, nie wolno pomijać.

Emil patrzy, jak w światłach zmieniają się barwy w całym zakresie widma. Kolory przywodzą na pamięć rozmowę ze specjalistą z laboratorium na temat fotonów i ujawniania śladów daktyloskopijnych, więc aby odciąć się od skojarzeń ze służbą, gliniarz zamyka oczy i skupia uwagę na aranżacji hitu Queen. Minutę później spektakl kończył się burzą braw. Loli się podobało, co mężczyzna dostrzega, zerkając na żonę podczas owacji na stojąco.

— Cieszę się, że się nam udało — Dolores mówi, kiedy opuszczają widownię.

— Solista mógłby być lepszy.

— Przedstawienie było świetne.

— Mówię tylko, że w wypadku niektórych utworów nawet najbardziej genialna interpretacja nie zamaskuje braków wokalnych — detektyw uśmiecha się do żony.

Foyer Teatru Roma wypełnia się. Emil nie przywykł do bywania w takich miejscach. Nie znosi tłumów. Dawno też nie zakładał garnituru. Krawat również zaczyna go uwierać. Gliniarza mało obchodzi, że na spektaklu jest sporo ważnych osobistości, co tak przyciąga jego małżonkę. Mają dziś czwartą rocznicę ślubu. Zjedli romantyczną kolację w restauracji na Nowym Świecie, a że Dolores uwielbia muzykę, to po kolacji wybrali się do teatru.

— Czy to nie twój szef? — kobieta szepcze.

Policjant spogląda niechętnie. Rozpoznając kilkanaście kroków dalej Zolnera, odwraca głowę. Zatrzymuje wzrok na pejzażu olejnym przy Loli. Lola wyciąga szyję, by lepiej widzieć, a kiedy pojawiają się dziewczynny z tacami pełnymi kieliszków z szampanem oraz aktorzy, kobieta bierze jeden.

— Jakoś za nim nie tęsknię.

— A ten, obok? To komendant główny?

— Stołeczny. Główny jest tam — Emil wskazuje ludzi na godzinie trzeciej. — Rozmawia z ministrem sprawiedliwości.

— Poznają. Nazywa się Goldmann. Wiesław Goldmann.

— Dzień dobry — nagle słyszą z boku.

Zaskoczona Lola otwiera usta. Emil odwraca głowę, patrzy na aktora, który jej zdaniem świetnie zinterpretował piosenkę Freddiego Mercury'ego. Mężczyzna z kieliszkiem jest nienagannie ubrany i uśmiecha się, jak gdyby właśnie odebrał Oscara.

— Komisarz Stompor, prawda?

— Tak, Emil Stompor — odpowiada policjant, podając rękę. — Czy my się już...

— Nie. Nie spotkaliśmy się. Na szczęście, bo podobno ci, których pan spotyka, trafiają za kraty — aktor odpowiada żartem.

— Tylko niedobrzy.

— A tak na poważnie: zapamiętałem pana.

— A to ciekawe.

— Dlaczego?

— Zwykle ludzie nie zauważają mojego istnienia.

— Miał pan kiedyś pięć minut w gazetach i telewizji.

— Wątpliwa przyjemność — Emil dodaje głośnie.

— Teraz znów budził pan zainteresowanie mediów.

— Bez wzajemności.

— W gazetach piszą, że złapał pan bardzo złego człowieka.

— Wolę ich nie czytać.

— A ja zazdrościłem panu popularności.

— Niebywałe, a mnie brak czasu na bzdury.

— Rozumiem, że to skromność. Nad czym pan teraz pracuje?

— Odpoczywam — Emil mówi cierpko.

— Urlop?

— Raczej przedłużony weekend.

— Gratuluję — aktor dodaje, ściskając Emilowi rękę. — Edmund Mazurkiewicz.

Emil kiwa głową bez słowa. Emilowi to, że aktor się przedstawił, wydaje się dziwne. Wprawdzie pasuje do etykiety i sytuacji, ale policjant myśli, że więcej w tym bufonady niż kultury. Mazurkiewicz jest wyższy, dobrze zbudowany i na pewno przystojny. Szczególnie kiedy odśladania idealne użębie. Policjant odwzajemnia uścisk, po czym przedstawia Lolę. Na policzki kobiety występują rumieńce, co Emilowi się nie podoba.

– Pewne przyjemności — aktor odpowiada, z żartobliwym naciskiem na ostatnie słowo — są wpisane w nasze zawody. I to niezależnie od tego, czy nam się to podoba. Tak czy inaczej, skoro nie mogę panu zazdrościć popularności, to pięknej żony z pewnością. Nie pije pan?

– Prowadzę.

– W czym problem? Przecież i tak by pan sobie poradził, gdyby ktoś pana zatrzymał.

– Nie prowadzę po alkoholu.

– Nie jest pan na służbie?

– Dziś jestem zwykłym człowiekiem.

– Naprawdę?

– Jest pan rozczarowany?

– Miałem nadzieję, że na widowni był jakiś drapieżny morderca.

– Mógł być też na scenie.

– Od razu słysząc, że jest pan geniuszem.

– Geniuszem był dzisiejszy solista — wtrąca Lola. — Gratuluję występu. Był wspaniały. Jestem pewna, że jeszcze o panu usłyszymy.

– Będę się starał.

– Podbije pan Hollywood.

– Czekam na rolę życia — odpowiada Mazurkiewicz. — Wprawdzie na Ameryce mi nie zależy, ale i tak dziękuję.

Aktor kłania się i wtapia w tłum, który zagęszcza się z każdą chwilą. Sekundę później policjant wychwytuje spojrzenie Zolnera. Emil bierze oddech, tłumiąc pragnienie, by zaczerpnąć wilgotnego, majowego powietrza. Wie jednak, że zamiast kwiatami i wiosną wszystko będzie śmierdziało Warszawą, którą znienawidził.

– Ted Bundy był podobny. Uśmiechał się nawet po osądzeniu, czekając na krzesło elektryczne — policjant powiedział, nie kryjąc pogardy dla przystojnego aktora.

– Jesteś zazdrosny?

– Po prostu myślałem, że ludzie już zapomnieli.

– Jak widać, nie wszyscy.

– To akurat prawda — Emil wdycha ponuro. — Też pamiętam. Niebawem minie pięć lat, a mnie się ciągle wydaje, jakby to było wczoraj.

Emil urywa, wychwytyjąc w tłumie rybią twarz. Zapamiętał łysą, szczupłą, ale wysportowaną gnidę, która nosi źle dobrane okulary. Teraz widzi, jak dziennikarzyna rozgląda się w tłumie.

– Mordka — mruczy. — Wolałbym, żeby mnie tu nie zaczepił. A widzę, że węższy.

– Masz już dość?

– A o co pytasz?

– O to — Lola przewraca oczyma.

Emil spogląda w jasnoniebieskie oczy żony. A potem kładzie dłoń na ręce ukochanej i uśmiecha się. Dziś mają rocznicę, więc kobieta tylko przykładła kieliszek do ust. Szampan jest zwykłym winem z dwutlenkiem węgla, które nie zostało nawet odpowiednio schłodzone.

Od kilku dni stara się ograniczać papierosy i mniej jeść. Dziś postanowił w Lasku Bielańskim zacząć znów dbać o kondycję. Stara się trzymać w nieruchomym, wilgotnym powietrzu równe tempo, ale czuje, jakby już nie był tym samym mężczyzną, który kiedyś biegał regularnie. Z miniaturowych słuchawek w uszach płynie *L'amour toujours*. Emil nie lubi klubowej muzyki elektronicznej. Nie ma najmniejszego pojęcia, kim jest Gigi D'Agostino, ale wie, że techno z nowoczesnego odtwarzacza nadaje się do biegania. Pograżająca się w zmroku wąska ścieżka pomiędzy drzewami jest bardzo podobna do tamtej, po której biegał wzdłuż ogrodzenia jednostki warszawskich Oddziałów Prewencji Policji w Piasecznie, pozwalając umysłowi odpoczywać od dowódcy swojej kompanii, którego nie znosił. Na tym podobieństwa się jednak kończą. W 1991 roku miał niecały rok służby, był przed trzydziestką. Tamtej jesieni dym ze świeżo rozpalonych pieców snuł się leniwie nad ziemią od strony osiedla domków jednorodzinnych, a on po prostu biegł, by się odprężyć. I zapomnieć o tym, gdzie trafił. Wtedy nie liczyło się nic więcej, gliniarz myśli. Rytmiczny utwór zachęca, by biec, ale nie ma już sił. Zwalnia przed Marymoncką. Dobiegając do przejścia dla pieszych, przystaje przed blokiem, czuje klucie pod mostkiem. Opiera ręce na udach i przez trzy kolejne minuty ciężko oddycha. Biegł ledwie dwadzieścia minut, a jego serce wali, jak gdyby miało się wyrwać z piersi. Jest niczym silnik ze zdezelowanego samochodu, któremu kierowca bezlitośnie wcisnął gaz do końca. Policjant wyjmuje camela i zapalniczkę. Wiatr przynosi swąd dymu od strony Młocin. Nad Warszawą niebo rozlewa się na czerwono. Emil z papierosem przypomina sobie rozmowę tamtego dnia, kiedy chorąży Kostecki oznajmił, że ich drogi niebawem prawdopodobnie na zawsze się rozejdą.

Lola rzuca krótkie spojrzenie, ale nic nie mówi. Jej wyraz twarzy zdradza, że jest niezadowolona. Mężczyzna czuje zmęczenie, żal i smutek.

— Gdzie byłeś?

— Nie widać?

— Co cię ugryzło?

— Randkowałem z tężyzną fizyczną.

— Noc chyba nie jest najlepszą na to porą — Lola mówi, splatając ręce na piersiach.

— Każdy czas jest dobry na tężyznę fizyczną. Zresztą jest dopiero dwudziesta pierwsza trzydzieści.

— Prawie dwudziesta druga.

— To jakaś różnica?

— Nie wracasz na noc. A jak łaskawie wracasz, to rano zaraz znów idziesz do pracy. Dziś też cały dzień byłeś zajęty. I do tego wybrałeś się na bieganie — kobieta odpowiada spokojnie, ale z wyraźnym wyrzutem. — Jak dwudziestolatek.

— O co ci chodzi? — jego pytanie wbija się pomiędzy nich jak klin.

— Nie jesteś kawalerem.

— Lola, co się dzieje?

— Martwię się, bo się prawie nie widzimy.

— Policjant powinien dbać o kondycję — Emil stara się zażartować, ale Lola się nie uśmiecha. — Ostatni raz biegałem chyba z sześć lat temu, nad Wisłą w czasach służby w patrolu na Grenadierów. Utyłem, za mało się ruszam i coraz gorzej się czuję.

— Martwię się.

— Niepotrzebnie.

— Mam nie martwić się o męża, który jest kimś takim jak ty? — odpowiada kobieta, a Emil czuje, że za tymi słowami kryje się coś więcej. — Przecież wiesz, co mam na myśli. Nie jesteś lekarzem ani nauczycielem — Lola dopowiada z wahaniem. — Jesteś policjantem kryminalnym. Przez te szopki w telewizji ktoś przecież może cię w końcu rozpoznać.

— Lekarz powiedział, że powinienem zadbać o siebie.

— I dlatego poszedłeś biegać?

— Potrzebowałem odprężenia, oderwania się od napięć. I kłopotów, także we własnym domu — Emil mówi i niemal natychmiast tego żałuje.

— Dzwonił do ciebie.

— Kto?

— A kto mógł dzwonić o tej porze? — kobieta dodaje z goryczą. — Naczelnik.

— Czego chciał?

— Oddzwon.

Policjant spogląda w lustro, odkręca kurek i przemywa twarz zimną wodą. Gdzie się podział tamten chłopak, któremu jeszcze niedawno wydawało się, że może prawie wszystko? A potem zrzuca z siebie przepecone ubranie. Za tą wymianą zdań kryje się coś znacznie więcej. Coś, co ich systematycznie od siebie oddala.

Lola patrzyła, jak Emil, stojąc w przedpokoju, ze słuchawką przy uchu demonstracyjnie przewrócił oczami, obrócił się w kierunku ściany i westchnął. Domyśliła się, że jego sprzeciw nie zrobił na Zolnerze najmniejszego wrażenia.

– Już? – powiedział. – Uspokoileś się?

– Cały czas jestem spokojny.

– To po co ta dyskusja?

– Na urlopie jestem.

– Jesteś policjantem – odparł Zolner.

– A ja myślałem, że człowiekiem.

– Takie jest życie.

– I co? To automatycznie oznacza, że nie mam nic do powiedzenia?

– Ciekawe, czy z prywaciarzem też byś tak dyskutował?

– Dlaczego pan mi to robi?

– Zawsze muszę ci dwa razy powtarzać polecenia?

– Tylko te głupie.

– Zadałem ci pytanie. Po co ta dyskusja? – Naczelnik dodał głośniejszym głosem, a Emil zrezygnowany znów westchnął i opadł na krzesło. – To nie jest rozmowa na teraz i na telefon – naczelnik dodał spokojniej – ale dzwonię, żebyś nie był zaskoczony. Ta decyzja nie jest moja.

– No nic, tylko dziękować.

– Nie mam wyjścia – Zolner warknął i zapadła cisza.

Emil spojrział na żonę. Lola tymczasem weszła do pokoju córki, która wciąż mimo późnej pory nie spała. Kobieta starała się nie dać poznać po sobie, że jest na tę całą sytuację wściekła. Zbyt długo byli razem, by nie zdawać sobie sprawy z tego, co taki telefon może oznaczać.

– Też mi to nie pasuje. Nie będę miał prawie żadnych starych gliniarzy na miejscu.

– Nigdzie nie jadę. Coś sobie obiecywaliśmy, nie? Jadę do Stanów, potem daje mi pan odpocząć. Umówiliśmy się jak dorośli, to chyba trzeba dotrzymywać obietnic. Takie są zasady.

– Ludzi nie mam, roboty więcej. Wszystko szlag trafia. Nie wiem, jak długo to jeszcze wytrzymam, a dla ciebie liczą się tylko te twoje idiotyczne zasady.

– Nieprawda.

– Nie?

– Może kiedyś. Teraz najważniejsza jest dla mnie rodzina.

– Na jaką cholere najmowałeś się do fabryki?

– Zawsze można z niej zrezygnować.

– Ty mi grozisz? – parsknął Zolner. – Chyba na łeb z chujem się zamieniliście. Posłuchaj. Jak będzie trzeba, to pojedziesz tam i koniec. Gównu mnie obchodzi, co na ten temat uważasz. Nie życzę sobie słyszeć nic więcej.

– Może inni też mają już dość tego wszystkiego?

– A może ja mam dosyć użerania się z tobą?!

– Każdy niesie swój krzyż, naczelniku – odparł Emil.

– Nie mędrkuj. Dobrze wiesz, że sam sobie jesteś winny.

– Nieprawda.

– To nie było pytanie – stwierdził naczelnik.

– To nie ja się pchałem do tego cholernego Quantico. To pan razem z Woroniczem mnie tam wystaliście. A nie chciałem jechać. I to nie był mój pomysł, żeby robić ze mnie małą w zoo i przed kamery pchać jak durnia jakiegoś.

– Masz szczęście, że to ja jestem naczelnikiem.

– Bo co?

– Co to za odzywki?! – ryknął Zolner. – Ktoś inny nie użerałby się z tobą. Hanys jest na zwolnieniu, obie dziewczyny na macierzyńskim, Karlos zajęty, prowadzi sprawę. Nie będę chłopakowi roboty dokładał. Nie mam kim robić, zrozum. I przyjmij do wiadomości, że nie będę się przed podwładnym tłumaczył, do cholery!

Emil przez kilka chwil nic nie odpowiadał, nabrał powietrza i przetarł palcami oczy. Będzie musiał znów ich zostawić. Westchnął. Było późno, był zmęczony, a telefon oznaczał rozmowę z Lolą.

– Usiłowałem cię bronić, chciałem pomóc, ale nie dało się. Pojedziesz i koniec.

– A to się jeszcze akurat okaże – odparł detektyw.

– Stawiasz się?

- A może mi pan powie, co mam powiedzieć żonie i trzyletniej córce?
 - To twoja żona i córka, nie moja. — Zolner dodał spokojnie. — Co ja ci poradzę?
 - Jak?
 - Wszyscy jedziemy na tym samym wózku.
 - Pana do Krakowa nie wysyłają.
 - Ale ta robota każdemu z nas niszczy zdrowie i życie prywatne. Tobie i mnie.
 - Jak pan naczelnik pocieszy, to nie ma chuja.
 - Jakoś dasz sobie radę.
 - Niech pan lepiej powie, jaka jest prawda?
 - Prawda? Ty jak zwykle swoje. Powiedziałem ci. — Naczelnik odparł. — Sprawa skóry odżyła i masz im pomoc. Tydzień, może dwa. Zrobisz wrażenie przed kamerami i wracasz. Przyjdź w poniedziałek, to dowiesz się więcej.
 - Kiedy?
 - Co kiedy? No, mówię przecież, że w poniedziałek.
 - Kiedy wyjazd?
 - A... wyjazd.
 - Tak, bo gdyby pan nie był zorientowany, to dziś jest sobota.
 - No i co?
 - Julka w czwartek ma urodziny.
 - Może się uda — odparł naczelnik. — Dam ci znać, jak będę wiedział.
 - Jak tak, to nie wiadomo też, czy ten mój wyjazd dojdzie do skutku.
 - Dość! — Zolner warknął. — Jeszcze słowo! Będzie, jak powiedziałem i przestań mnie wkurwiać! To ci nie pasuje, tamo też nie, a mnie wydział się sypie. Co to ma być? Przedszkole czy koncert życzeń? Warunki będziesz stawiał? Ogarnij się, kurka wodna, bo coś ci się chyba pomyliło! Powiedziałem ci już, stąpasz po cienkim lodzie. Ręczę ci, że jak nie przestaniesz mnie drażnić, to on kiedyś pęknie. I to z hukiem. Same problemy mi robisz.
 - Taka natura.
 - Może doceniłbyś, że staram się ogarnąć gnój, który narobiłeś, co?
 - Oczywiście, naczelniku.
 - Gdyby nie ta twoja afera z...
 - Dobra, dobra rozumiem! — Emil uciał natychmiast. — Wystarczy! Już! Nie musimy do tego wracać.
- Oszczędź panu gadaniny, naczelniku.
- Panie naczelniku.
 - Przyjdę, to pogadamy — gliniarz odparł.
- W słuchawce zapadła cisza. Emil miał dość. Na samą myśl, że zamiast spędzić ten wieczór z żoną, miałyby wyjść do pracy, robiło mu się niedobrze. Czuł też nieopisaną wściekłość, myśląc o tym, że będzie musiał zostawić żonę, córkę i jechać trzysta kilometrów. W takich chwilach najbardziej nienawidził policji. A także przełożonych i tego, kim był.
- A o czym chcesz jeszcze gadać? — Zolner spytał podejrzliwie.
 - No a co? Boi się pan?
 - Zastanawiam się, co kombinujesz.
 - Mam się cieszyć?
 - Znowu zaczynasz?
 - Przyjąłem.
 - Może i przyjąłeś, ale czy zrozumiałeś?
 - To dwie różne sprawy.
 - I to mnie martwi. Słyszę, że nie jesteś szczęśliwy — odparł Zolner.
 - Urlop mam. Mówiłem, obiecałem żonie, że spędzę w domu trochę czasu.
 - Nie urlop, a wolne. Za nadgodziny. I nie masz, ale miałeś, bo wyraziłem na to wolne zgodę, ale teraz ją cofam, bo taka jest potrzeba służby. Coś jeszcze? Nie? I dobrze! Bo właśnie wydałem ci polecenie. I proszę je właściwie wykonać.
 - I pan się dziwi, że jestem wkurwiony?
 - Przecież to nie ja obdarłem tę dziewczuchę ze skóry!
 - Dzwoni pan do mnie na wolnym. W nocy. Mam prawie piętnaście lat służby, nie jestem jakimś zawszonym sierściuchem po szkole. Gdyby nie ja to ten pana zasrany wydział dawno by się rozsypał w pizdu!
 - Odpuść sobie, dobrze ci radzę.
 - Mam udawać, że jestem szczęśliwy?
 - Udawaj, co chcesz. Gównu mnie to obchodzi! W poniedziałek raniutko masz się stawić w pałacu, a potem jechać do tego cholernego Krakowa. I nie radzę kombinować.
 - Powiedziałem przecież, że jeszcze nie wiem, czy pojedę.

— Nie wiesz? Przecież nie każe ci robić czynności do całego gówna, które się tam rozlało, tylko zająć się tym, za co ci ojczyzna płaci. Znamy się prawie pięć lat i przez ten czas tolerowałem cię, przymykałem oko na twoją niewyparzoną gębę oraz na to, że zawsze robisz po swojemu.

— Pan też ma za uszami.

— Rozmawiamy o tobie! — Naczelnik odparował natychmiast. — Zrobisz, co ci poleciłem, albo będziesz miał u mnie przesrane. I przysięgam, że nie chcę, ale zrobię ci koło dupy, bo mam już dość tego, że ciągle mam z tobą problemy!

Emil nie odpowiedział. Spojrzał na zegarek, a potem w stronę drzwi do pokoiku córki. Była dwudziesta druga trzydzieści i światło się wciąż paliło.

— Pytam, czy rozumiesz?

— Tak.

— Mam powtórzyć?

— Nie.

— Na pewno?

— Nie trzeba.

— I nie zrób jakiegoś syfu — Zolner dodał spokojniej — bo sprawa nie tylko nas dotyczy.

Emil odłożył słuchawkę. A potem głośno wypuścił powietrze, jeszcze raz westchnął głęboko. Wiedział, że żona wszystko słyszała. I wiedział, jaką minę zrobiłaby, gdyby spojrzał na nią w tej chwili. Dlatego cicho otworzył drzwi i wyszedł bez słowa. W kieszeni ścisnął paczkę cameli.

Julka w małym pokoju spała przytulona do pluszowego króliczka z naderwanym uszkiem i bez oczka. Maskotkę dostała w prezencie od taty. Dochodziła północ. W mieszkaniu przy Marymonckiej nie paliła się nawet jedna żarówka.

— Jeśli nie pojedziesz — powiedziała Lola szeptem — Zolner narobi ci kłopotów. Jesteś policjantem. Nie możesz odmówić wykonania polecenia.

— Mogę pójść na zwolnienie lekarskie.

— To nie jest wyjście.

— Lola, ale mam dosyć wszystkiego — odparł, przykładając papieros do nosa.

— Przecież kiedyś będziesz musiał wrócić z chorobowego.

— Wiem — dodał ponuro. — Jeśli nie pojedę, stołeczny się wścieknie, a Zolner mnie dojedzie. Oni już mają swoje sposoby. Doczepią się do czegoś i zrobią mi dyscyplinarkę.

Emil zamknął oczy. Przez chwilę leżeli w łóżku bez słowa. Warszawska noc wypełniała się dźwiękami wielkiego miasta. Gdzieś daleko słyszał wycie syren karettek, przetaczające się po mostach nad Wisłą składy, trąbienie i dziesiątki innych dźwięków, które zlewały się w jeden niezbyt głośny, niepokojący szum.

— I co zrobisz?

— Nie wiem — odparł.

— Julka ma dopiero trzy lata, ale zdziwiłbyś się, jak dużo rozumie. Czasem mnie serce ściska. Niedawno była taka malutka, a teraz już zaczyna mówić zupełnie do rzeczy. Boję się, że nim się obejrzymy, pójdzie do szkoły. Potem zaczniesz się stroić, malować. Pewnego dnia wykrzyczy, że taty nigdy nie było w domu.

— Nie chcę tak dalej żyć, Lola.

— Więc zrobimy coś.

— Muszę coś zmienić.

— A policja?

— Napiszę raport o przeniesienie do innej jednostki.

— Przecież już pisałeś raporty.

— Do Woronicza, bo raporty dotyczyły przenosin wewnątrz garnizonu. Jeśli poproszę o przeniesienie do innego województwa, raport trafi do komendanta głównego.

— I co napiszesz?

— Jestem zmuszony zmienić miejsce zamieszkania.

— To ma być argument?

— Podam przyczyny osobiste. Komendant wyrazi zgodę.

— Zolner zaopiniuje to negatywnie.

— Tym razem to nie będzie miało znaczenia. Liczy się, kto jest wyżej. Zostały mi niecałe dwa lata do emerytury.

— Chyba do zapomogi. Ile jej dostaniesz? Czterdzieści procent tego, co masz teraz.

— Nie zamierzam siedzieć na kanapie i oglądać Kiepskich.

— Pamiętaj tylko, że nadal będziesz tylko byłym policjantem — odpowiedziała. — Nie neurochirurgiem albo prezesem. Nasz portfel się skurczy. Nie wytrzymam jednak kolejnego roku w Warszawie! Nienawidzę jej bardziej niż ty. Zacznę się do przeprowadzki przygotowywać. Ty i tak nie będziesz miał czasu. A musimy gdzieś mieszkać. Julce będzie potrzebne przedszkole, mnie praca — wyszeptała bez cienia wyrzutu. — Dokąd cię wysyłają?

— W każdym razie nie za granicę.

— A na jak długo?

— Dwa tygodnie. — Mężczyzna bąknął cicho. — Mam się rozejrzeć i wrócić. Paskudna sprawa. Sprzed dwóch lat. Potrzebują mnie, żeby urobić ministra, komendanta głównego i media.

— Media? Czyli jedziesz do Krakowa.

— Nie odpowiedział. Po chwili powtórzyła ciszej.

— Będę przyjeżdżał w weekendy — odparł wymijająco.

— Czyli to będą dwa tygodnie. Zamierzasz być weekendowym mężem i ojcem?

— Może uda się nam szybko gościa dopaść.

— W takich sprawach nie liczyłabym na to.

— Policja to nie prywatna firma, nie mam nic do powiedzenia.

— Gdyby nie ty, wydział dawno szlag by trafił — stwierdziła z przekąsem. — Kto, oprócz ciebie, złapał ostatnio jakiegoś prawdziwego mordercę? Nie pijaczka, który zabił kogoś przy kieliszku, a prorok doklepał takimto paragraf sto czterdzieści osiem?

— Słysząc, że jesteś żoną policjanta.

— A widać po tym, że nigdy nie byliśmy na prawdziwym urlopie. Żyjemy w wynajmowanym mieszkaniu. Do pracy jeździsz gratem i prawie z niej nie wychodzisz.

Emil pożałował ostatniej uwagi. Tym razem nie odpowiedział. Lola miała rację. I miał tego dość. Czuł, że jest wypalony. Kiedyś chciał, uważał, że powinien, ale teraz wszystko z każdym dniem przestawało mieć znaczenie. Miały je tylko żona i córka.

— Zolner powinien cię lepiej traktować.

— Powinien — odparł policjant.

— A ty nie powinieneś zostawiać nas samych.

— Myślisz, że mi się to podoba?

— Jesteśmy rodziną.

— Wiem, Lola — odpowiedział, a kobieta wyczuła, że tym razem to nie zwykłe narzekanie. Za jego słowami kryło się coś więcej. — Najchętniej rzuciłbym tym w cholerę już teraz. Spakował wszystko i wyjechał z tego przeklętego miasta.

— Dokąd?

— Nad morze, w góry, do lasu. Nie wiem. Obojętnie. Tam, gdzie nie ma policji, smogu, miasta, korków i zabójstw. Gdzie Zolner nie dzwoni, gdzie w ogóle nikt nie dzwoni. Gdzieś, gdzie nasza córka nie będzie musiała oddychać zatrutym powietrzem. A kiedy już pójdzie do szkoły, będę mógł złapać wiatr w żagle.

— To stanie się szybciej, niż myślisz. Julka kończy trzy latka. Niebawem zaprowadzę ją do przedszkola. Pewnie sama, bo będziesz na służbie. Potem zaczniesz się uczyć czytać i pisać. Pójdzie do szkoły, a ciebie przy tym też nie będzie — jej głos był smutny, ale rzeczowy. — Będziesz stał nad jakimś trupem albo użerał się z naczelnikiem.

— Zabrzmiało jak groźba.

— Życie ucieka nam między palcami.

— Myślisz, że tego nie wiem?

— A ty, że nie wiem, jak tęsknisz za żaglami? Nie żeglujesz, chociaż kochasz swoje łodzie co najmniej tak samo jak podróże i nas.

— Żałujesz, że zostawiłeś góry? — zapytał ciszej.

— Nie — odpowiedziała, wtulając się w bok męża. — Nie żałuję ani jednego dnia z tobą. Bez tego nie byłoby nas i Julki. Twoja policja to nie wszystko. To tylko praca. Gdzieś jest przecież jeszcze normalne życie. Musi gdzieś jeszcze być normalny świat — dodała sennie.

Nie mógł spać. Jego myśli krążyły wokół lat spędzonych na służbie, żony, córki oraz tego, że nie jest już tym samym młodzikiem, który wiele lat temu pojechał na pełen pyłów i dymu Śląsk, wierząc w sprawiedliwość, prawo i policję. Potem śnił, że spóźnił się na pociąg do Katowic. Po przebudzeniu zadał sobie pytanie: gdzie byłby teraz, gdyby tamtego dnia naprawdę nie wyjechał z Warszawy.

Prawdopodobnie zginę przy próbie zatrzymania. Jeśli nie, dostanę dożywocie i następnego dnia powieszę się na tygrysie. Nie zamierzam być męczennikiem. Nikt z nas nie jest jedynie dobry lub wyłącznie zły. Nawet ja. Zresztą, czy jestem zły? To zależy, jak sąd spojrzy na pewne sprawy. Kot, który schwyci wróbla, nie jest zły. Tak został stworzony. Nie jestem kotem, składam się z sumy życiowych doświadczeń i wyborów. Lepszych lub gorszych, ale one mnie ulepiły w to, kim jestem. Mordercą: powie każdy prokurator. Ofiarą, odpowie obrońca. Sąd to przecież jeden wielki teatr dla mas. Tak było w czasach antycznych, średniowieczu i jest po dziś. Gawiedź ma rozrywkę. Nie myśl, że oczekuję współczucia. Nonsens. Nie zabiegam o nie, interesuje mnie raczej, żebyś docenił dzieło, którego jestem autorem. Sumienie? Nie myśl, że mam jakieś. Może kiedyś, dawno, może miałem, miałem na pewno, ale nie teraz. Teraz nie. Teraz nie pamiętam. Nie chcę pamiętać, bo po co wracać do czegoś, co nie ma znaczenia? Nie jestem sentymentalny, nie gromadzę wspomnień. To niepraktyczne, a zabijanie wymaga pragmatyzmu. Sumienie przeszkadza. Zabijanie jest najpiękniejszą ze sztuk, ale trudną, wymagającą. Tylko dla wybranych. Jak ja. Trudność polega na tym, żeby nie dać się złapać. Zabijanie ludzi zwykle nie jest legalne. Możesz myśleć, że jestem psychopatą, zdeprawowanym zwyrodnialcem. Powiesz, że jestem nienormalny. Zapytam, czym jest normalność? Czy świat jest taki? Jestem potrzebny. Obaj jesteśmy. Ja tobie, ty mnie. Dla mnie liczy się, że patrzysz. Nikt nie zapomni tego, co zrobiłem. W annałach kryminologii będę niczym Horacy w literaturze, a moje dzieło będzie porównywane przez autorytety do jego słów, do najsłynniejszej frazy poezji antycznej: Postawiłem sobie pomnik trwalszy niż ze spiżu. Jesteśmy po przeciwnej stronie, ale jesteście do mnie podobni. To, że oglądasz mój przekaz, jest znakiem, że zwyciężyłem. Pozwoliłem ci na to. Nigdy byś tego nie obejrzał, gdybym tego nie chciał. Wysłuchaj mojej historii do końca, a zrozumiesz dlaczego.

Zolner wszedł energicznym krokiem. W prawej ręce trzymał uchwyt czarnej walizki, w lewej książkę. Obrzucił detektywa badawczym wzrokiem, podszedł i zatrzymał się przed biurkiem. Detektyw spojrzał na jak zwykle fatalnie dobrany krawat i skrzyżował ramiona na piersiach.

— O, pan naczelnik. Może się pan kawy napije?

— Jesteś gotowy?

— Do czego?

— Nie drażnij mnie!

— Człowiek do przełożonego uprzejmie, a panu od razu ciśnienie skacze.

— Skacze, bo widzę, że znowu zaczynasz.

— To do lekarza czas iść.

— Masz dla mnie jeszcze jakieś rady? Nie? To dobrze. Mów, czytałeś? — Zolner warknął, rzucając książkę na biurko Emila.

Najważniejszym elementem jej okładki był wizerunek ogromnej ćmy z rysunkiem trupiej główki na tułowiu. Zolner na chwilę włożył ręce w kieszenie spodni i czekał na reakcję Emila. Ten nawet nie zwrócił uwagi na książkę.

— To teraz tu Empik będzie?

— Czytałeś czy nie?

— Nie lubię kryminałów.

— Są za mało prawdziwe?

— Nie mam czasu na fikcję.

— Tym razem to nie fikcja — Zolner rzekł ponuro.

Przez kilka chwil szukał odpowiedniej riposty. Nie znajdując, wyjął z walizki tekturową teczkę z ręcznie skreślonym dopiskiem „Skóra”. Emil spojrzał na pierwsze polskie wydanie *Milczenia owiec* Harrisa, wstał i podszedł do okna.

— Przyszedłem tu w sprawie krakowskiego Buffalo Billa — dodał naczelnik.

— Pan się nazywa warszawski Jack Crawford i jest szefem Sekcji Behawioralnej FBI, a ja jestem Clarice Starling z Opola, tak? A gdzie jest ukryta kamera?

— Nigdzie.

— To kaftan bezpieczeństwa, bo jednemu z nas tu konkretnie odpierdoliło.

— Naprawdę to cię śmieszy?

— Wyglądam na uśmiechniętego?

Zolner łypnął na swojego najlepszego gliniarza, potem zdjął okulary i przez chwilę masował skronie palcami. Robił to wystarczająco długo, żeby Emil dostrzegł, że jest zmęczony.

— Dwa lata temu zaginęła im studentka. Jakies dziesięć tygodni później załoga holownika na Wiśle wyłowiła coś w rodzaju uszytego z jej skóry płaszczka czy kombinezonu. W tej książce Buffalo Bill też szył sobie ubranko z ludzkiej skóry. W Krakowie uważają, że sprawca prawdopodobnie inspirował się tą książką albo filmem.

— Czyli mają do czynienia z konkretnym pojebem.

— Ty masz.

— Nie, oni. Nie mam z nimi nic wspólnego.

— Dostałem telefon.

— Mam jechać?

— Tak — Zolner odparł, spoglądając Emilowi w oczy.

— Musimy pogadać.

— Nie teraz, Emil — westchnął Zolner. — Naprawdę, nie teraz — rozłożył ręce, jakby chciał się uchronić przed czymś, co zaraz może usłyszeć. — Teraz zrób tylko to, co ci kazałem. Chyba że masz coś jeszcze do powiedzenia?

Emil przez stanowczo za długą chwilę nic nie odpowiadał. Milczenie sprawiło, że Zolner poczuł niepokój. Zbyt dobrze Emila znał, by nie wyczuć, że ten krnąbrny glina coś kombinuje.

— Najgorsze, co możesz zrobić, to iść na zwolnienie lekarskie.

— No, tak się właśnie zastanawiam.

— Nie radzę.

— To zabrzmiało jak groźba.

— Tylko ostrzegam — Zolner dodał, patrząc na policjanta. — Jeden dzień zwolnienia i nie licz, że będę cię bronił. A oni na pewno ci tego nie odpuszczą. Zresztą, czy ty kiedyś nie miałeś już przypadkiem podobnej sprawy?

- Byłem wtedy kimś innym.
- Na Śląsku, prawda?
- Te sprawy nie były podobne.
- Zrób to dla mnie. I dla pozostałych — Zolner odparł, a Emilowi się wydało, że na jego twarzy odmalowało się zrozumienie.

Naczelnik stuknął raz jeszcze palcem w teczkę, chwycił walizkę i szybko wyszedł. Na korytarzu głośno wypuścił powietrze, poluzował krawat i zdjął okulary. Emil patrzył na teczkę. Zwrócił uwagę, że miała idealnie zawiązaną tasiemkę. Potem spojrzął na egzemplarz *Milczenia owiec* Thomasa Harrisa i pokręcił głową z niedowierzaniem.

Dźwięk hejnału z wieży Mariackiej urwał się po raz czwarty, więc podinspektor Klemens Szepela włączył czajnik. Pozostali dwaj policjanci nie zwrócili na to uwagi. Pierwszy kołysał się na krześle, drugi otarł chusteczką pot z czoła. Szepela wrócił do skubania niewidzialnych skórek na wewnętrznych stronach dłoni. W zajmowanym przez nich budynku Komendy Wojewódzkiej Policji w Krakowie przy Mogilskiej 109 zaczynało robić się gorąco.

— Podobno ma ktoś do nas przyjechać? — zapytał Jarecki. — Słyszał pan?

— Może.

— Jakiś gliniarz z Warszawy.

— Weź się że za robotę! — odparł Szepela.

— Myślałem, że kierownik coś wie.

— To akurat nie twój problem — dodał, zalewając kubek wrzątkiem.

Miał wygląd prostaka. Liczył nie więcej niż metr siedemdziesiąt i był krępy. Z jego zawziętej twarzy nie zniknął lekceważący uśmiešek. Wszystko w nim było źle zwymiarowane. Za duże usta, zbyt grube przedramiona i za krótkie nogi. Nawet głos, z tym charakterystycznym akcentem zdradzającym pochodzenie spod Tatr, wydawał się nie pasować.

— Jakoś nie chce mi się wierzyć, żeby kierownik nic nie wiedział.

— Może coś wiem.

— Ludzie gadają.

— Jacy ludzie?

— Cały wydział o tym huczy.

— Co konkretnie mówią?

— No, że warszawiak i w ogóle.

— Jak w ogóle — odparł Szepela — to teraz jest pora na kawę, a nie plotki.

Szepela zaczynał dzień w pracy od przygotowania popołudniowej kawy. Czarnej, mocnej. Jednak zalewał brązowy pył nie wcześniej niż przed końcem hejnału. Trzeci, milczący detektyw uśmiechnął się. Zbyt długo znał się z nim, żeby nie wiedzieć, że kierownik ich oficjalnie nieistniejącego zresztą zespołu tak łatwo nie powie, co wie.

— To nie plotki — zaprotestował Jarecki. — To oficjalne.

— Tak?

— Podobno.

— Co jest oficjalne, Janek?

— No, o tym warszawiaku — młodszy detektyw odpowiedział. — Z wydziału zabójstw.

Klemens Szepela wydał grube usta, odstawił kubek i bez entuzjazmu sięgnął po szarą, dość grubą teczkę z niebieskawego papieru. Następnie spojrzął przebiegle zbyt małymi, błyszczącymi oczyma, które nie wzbudzały zaufania.

— Kto ci powiedział?

— Modry — odparł Jarecki.

— Mówił ci?

— Podśledzałem, jak gadał z Grzybkiem.

Jan Jarecki był młodzieńcem energicznym. Nie potrafił wytrzymać w milczeniu dłużej niż kilka chwil. Mimo że nie grzeszył błyskotliwością, dzięki oddaniu i posłuszeństwu awansował znacznie szybciej od innych. Miał trzydzieści lat i wytatuowanego pająka na szyi.

— Tylko tak między nami — dodał.

— Skoro to nie tajemnica. No, coś tam jednak wiem, w mordę.

— Coś ciekawego?

— Same ciekawe rzeczy.

— Podobno to jakiś przechuj?

— Co się tak dopytujesz? — zapytał spod okna trzeci, dotąd milczący glina. — Spokojnie. Przyjedzie, to się okaże, jaki z niego gieroj.

Szepela spojrzął, mrużąc oczy. Gustaw Kaffka mówił niskim, ochrypłym głosem. Wyglądał na więcej niż swoje pół wieku. Ważył sto czterdzieści kilogramów i dawno temu zupełnie wyłysiał. Spojrzenie spode łba głęboko osadzonych brązowawych oczu upodabniało Kaffkę do wilka morskiego, drwała, dziewiętnastowiecznego trapera albo ulicznego zbira, który nie stroni od mocnych trunków.

— Jarecki może mieć rację. — Szepela sapnął, otwierając teczkę.

— Nie tacy byli.

— Ten jest wyjątkowy — dodał, śliniąc palec. — Sam jestem ciekaw. Nazywa się Stomper.

– Dziwne nazwisko.
– Dlaczego dziwne?
– Jakieś takie niepolskie — skomentował Jarecki.
– A jakie? Niemieckie, francuskie?
– Może żydowskie.
– Tobie każdy śmierdzi Żydem — Kaffka odpowiedział, zmarszczył krzaczaste brwi i łypnął, jakby zastanawiając się nad tym, co właśnie usłyszał. Potem w milczeniu przecesał palcami rudawą brodę.

Szepela sięgnął po kubek. Minęło południe, promienie słońca zaczynały przesuwac się po oknach, a w ich pomieszczeniu błyskawicznie zaczęło robić się gorąco. Zaskrzypiała podłoga. Dochodzeniowiec zasłonił trzy czwarte okna żaluzjami. Potem to samo zrobił z drugim. Zapadł półmrok. W rozproszonym świetle pojawiły się wirujące drobinki kurzu.

– A Kaffka to polskie nazwisko? — zapytał Jarecki.

– Nie wiem.

– No właśnie.

– Lepiej pilnuj swojego — Kaffka warknął, celując palcem. — Bo kiedyś ci po prostu przyjebię.

– No, no! Już czekam.

– Gustaw! — wtrącił Szepela. — Odsuść.

Aspirant sztabowy Gustaw Kaffka patrzył przez chwilę na detektywa z pajakiem na szyi, po czym włączył zawieszony pod sufitem wentylator. Cała trójka wiedziała, że niewiele to da. Za pół godziny wszystko wokół będzie gorące, lepkie i nieprzyjemne.

– Nie masz pojęcia, jak on mnie czasem wkurwia.

– I vice versa.

– Versa, durniu jeden!

Kaffka otarł pot z czoła chusteczką.

– Dawno nauczyłybym cię szacunku, gdyby nie to, że narobiłbym tym nam kłopotów.

– Czekam.

– I sobie.

– Zapraszam do tańca — Jarecki rozłożył ręce.

– Jeszcze słowo!

– Dajże spokój — Szepela powtórzył, spoglądając na Jareckiego.

– To on się przyjebał!

– Jest starszy służbą o ćwierć wieku! Ty, Gustaw, też! Co cię tak nagle ruszyło?

– Kurwicy można dostać z gówniarzem — wielki dochodzeniowiec sapnął, przesuwając ręką po łysinie, a potem dotknął splaszczonego i krzywego nosa, jakby przypominając sobie bójkę, po której zostało to oszpecenie. Patrząc na Szepelę wzrokiem bandyty, pogładził dłonią gęstą, siwiejącą brodę i odparł niskim, ochryplym głosem, wyraźnie artykułując słowa. — Do tego gorąc jak w piekle. Dobra. Zajmijmy się Stomporom.

– To Stompor czy Stomper? — dopytał Jarecki.

– Stompor.

– Nie Stomper?

– Mówię przecież — warknął Kaffka.

– Sermater, jak mu tam. Mamy ważniejsze sprawy niż poprawna pisownia — Szepela odparł pojednawczo. — I niż skakanie sobie do oczu.

– No, pięknie zaczynamy, Klimek! Całe życie tłumaczę, że trza być dokładnym. Moje rzekomo niepolskie nazwisko, jak wnikliwie zauważył nasz bystrzak — wielki gliniarz zerknął na Jareckiego — też się pisze przez podwójne „ef”. I co? Ni chuja! Co drugi dzień dostaję pismo z błędem w moim nazwisku.

– Jesteś przewrażliwiony.

– W papierach trza mieć porządek. On jest Stompor. Tak samo jak ja jestem Kaffka, przez zdublowane „ef”.

– Dobra, dobra — wtrącił Jarecki. — Jeden chuj.

– Sam jesteś chuj, Janek!

– No, pogadaj sobie.

– Zasadniczo nic do niego nie mam, ale...

– Zacznie cię wkurwiać — uciął Jarecki.

– Znowu zaczynasz?

– Tak jak jest ze mną. Krajewski też cię wkurwiał, Modry cię wkurwia...

– Wystarczy! — Szepela rzucił groźnie. — Będziemy mieli tu piąte koło u wozu i trzeba się przygotować, do chuja! Janek, masz przeglądać rejestry! To się tym zajmij, a nie pierdolisz bez sensu. Zresztą, obaj dajcie spokój — dodał, spoglądając na dochodzeniowca.

Ten podrzucił ostrzażkę do ołówków pod sufit i zręcznym ruchem ją złapał. A potem odwrócił się na obrotowym krześle i spojrzął przez okno. Zapadła cisza. W zajmowanym przez nich pomieszczeniu

z minuty na minutę zaczęło robić się gorąco. Szepela zagłębił się w lekturze teczek Emila.

Blachy, druty i ramy z rozbitych okien zwisały nieruchomo. Powietrze zastygło, jakby czekając na to, co się zaraz stanie. Pomiędzy starą wozownią, stajnią a portiernią panowała cisza. Piękna majowa noc pomiędzy zrujnowanymi budynkami pachniała kwitnącym jaśminem, dziką różą i lilakami okalającymi nieczynną fabrykę drutu na Szmulkach. Patrzył szeroko otwartymi oczyma, jak łąka na kłęczkach. Zastanawiał się, czy drut, którym związał jej ręce za plecami, odebrał jej już czucie w dłoniach, jak tego pragnął.

- Przecież... nie możesz... – wybełkotała, drżąc – mnie tu zabić!
- Nie w taką piękną noc, prawda?
- Błagam cię – załkała. – Wiesz, kim jestem!
- Wiem, wiem. Ona czyni to wszystko trudniejszym. Mnie też nie jest łatwo.
- ...coś mi się stanie to...

Mężczyzna uniósł podbródek i przekrzywił głowę. Jest wysoki, ma na sobie wojskową kurtkę. Gdyby był tam ktoś jeszcze, widziałyby, jak siada na dwudziestolitrowym, metalowym kanistrze w kolorze khaki.

- Rozpętasz piekło! – dopowiada kobieta.
- To nie będzie już twój problem.
- Będą cię szukać i...
- I co? – uciął. – No, co?
- Złapią! Będą ścigać do końca życia!
- A co to zmieni dla ciebie?

Nie odpowiedziała. Mężczyzna nieoczekiwanie obrócił głowę, nasłuchując dźwięku zbliżającego się w ich kierunku. Kiedy upewnił się, że pociąg nadjeżdża, wydał usta, wyjął paczkę papierosów, spojrzął raz jeszcze w jej pełne przerażenia oczy. A potem z uśmiechem wsadził papierosa do ust, sięgnął po rewolwer i wstając, włożył broń za pasek.

– Gównu mnie to obchodzi – wyszeptał. – Tak samo, jak ciebie gównu obchodziła tamta dziewczyna. Pamiętasz ją?

- To nie moja wina.
- Nie masz prawa tak mówić! – powiedział i ciepłe powietrze wypełnił ostry zapach benzyny. – To była twoja sprawa! Odpowiadasz za to, że usiłowałeś ukryć moje dzieło.
- Boże, nie!
- Tak! Teraz jest dobry moment, by się wypowiedzieć – powiedział głucho, oblewając jej głowę benzyną.

Wrzasnęła, ale kopniak w żuchwę ją uciszył. Padła, on dokończył polewanie jej paliwem. Odzyskując przytomność, instynktownie szarpnęła spętanymi drutem rękoma, chcąc przetrzeć mokre od cuchnącej cieczy, zakrwawione policzki. Poczwała w nadgarstkach silniejszy ból.

- Każdy policjant, sędzia i polityk – łkała, wciągając powietrze płytkimi, szybkimi oddechami – zrobi wszystko, żeby cię dopaść! Słyszysz?
- Do tej pory nikt mnie nie szukał.
- Nie możesz mnie zabić! Błagam! Proszę! – powiedziała, usiłując wstać. – Błagam!
- To nic nie da.
- Twoja twarz pojawi się w każdej gazecie.
- O! – mruknął, wyjmując zapalniczkę. – Wreszcie zaczynasz gadać z sensem.
- Pokażą cię w telewizji.

Błysnął niebieskoczerwony płomyk. Papieros się rozżarzył. Mężczyzna kiwnął teatralnie głową, wyrzucając papierosa w jej stronę. Płomień z fuknięciem objął postać na ziemi. Z wypełnionego ogniem gardła wydobył się krzyk. Mężczyzna strzelił. Wrzask ucichł. Huk zlał się z hałasem przetaczanego po torach składu towarowego. Słup ognia oświetlił jego twarz. Patrzył na tańczące płomienie. Potem podszedł do kamery na statywie, zbliżył twarz do obiektywu. Uśmiechnął się i wyłączył nagrywanie.

Upał powoli stawał się nie do zniesienia. Kaffka wstał, podszedł do okna, po czym wyjął papierosy. Zapalił i spojrzął na Szepelę głęboko osadzonymi oczyma. Szepela błędnym wzrokiem po aktach. Przez chwilę wielki dochodzeniowiec palił w milczeniu, po czym odezwał się niskim, ochryplym basem, spoglądając spode łba na obu policjantów.

– Zapamiętałem to jego cholerne nazwisko. I dlatego się martwię.

– Co ty pierdolisz? – Szepela zmarszczył czoło.

– To było chyba w dziewięćdziesiątym pierwszym albo drugim. Ściągnęli nas na obławę do Katowic. A może to Chorzów był? Nie pamiętam, ale on był w tamtej grupie.

– Znasz go?

– Powiedziałem tylko, że pamiętam.

– Tu jest napisane, że – kierownik zespołu stuknął w teczkę – zaraz po szkoleniu podstawowym wszedł w skład specjalnej grupy operacyjnej.

– Łapali „Wampira” – Kaffka mruknął ponuro. – Miał stworzyć portret psychologiczny.

– No, w mordę, nie wiedziałem, że znasz takich utalentowanych gliniarzy!

– No i co? – wtrącił Jarecki. – Każdy ma jakiś talent.

– Nie jakiś. Tamten facet był nieuchwytny przez kilka lat – mruknął Kaffka.

– Naprawdę?

– Przecież słyszałeś – wtrącił Szepela. – Po co się dopytujesz?

– Bo jeśli to prawda, to facet może naprawdę mieć jaja – stwierdził Jarecki.

Szepela zdjął okulary, odłożył na biurko. Spojrzął na młodego policjanta, a potem na Gustawa Kaffkę. Ten odchylił palcami żaluzję i popatrzył w stronę Wisły. Słońce minęło już róg budynku komendy i zaczynało świecić niemal pod kątem prostym w ich wystawione na południowy wschód okna. Gliniarz zmrużył oczy, otarł łysinę i czoło papierową chusteczką. Powietrze w ich kancelarii zaczynało przypominać wnętrze pieca.

– Mówiłem, że pamiętam to cholerne nazwisko.

– No, z tej gównianej perspektywy to brzmi nieciekawie – stwierdził Szepela.

– Mówiłem.

– Wyobraźcie sobie, że w zeszłym roku wysłali go na kurs FBI do USA.

– Kierownik żartuje? – zapytał Jarecki.

– Ani trochę.

– Wielki Pies, kurwa.

– Czyli zrobił karierę – skomentował Kaffka.

– No, chyba nie bardzo – zauważył Jarecki. – Coś tu nie gra. Skoro to taki as, powinien być już co najmniej majorem.

Klemens Szepela wiedział, że wygląd stadionowego bandyty i erudycja głupka u młodego oficera to tylko pozory. Jarecki potrafił szybko liczyć. Miał też również fenomenalną pamięć do dat, cyfr, nazw, nazwisk, adresów i wszystkiego, co zapamiętanie obu gliniarzom sprawiało trudność. Szepela spojrzął w akta i ze zdumieniem stwierdził, że Jarecki ma rację.

– Faktycznie – odparł, marszcząc czoło. – Niby taki przechuj, ale miał zarzuty i dwa postępowania dyscyplinarne. Mało tego! Był ukarany zdegradowaniem, potem kara została cofnięta.

– To można tak? – zapytał Jarecki.

– Jak widać – Szepela odparł, przygryzając nausznik okularów. – Tak samo jak przez prawie rok siedzieć na zwolnieniu lekarskim i urlopie zdrowotnym.

– Napisali dlaczego? – zainteresował się Kaffka.

– Nie.

– Czyli będziemy mieć problem – mruknął Jarecki.

– Skąd wiesz?

– Postępowania, nagrody, wyróżnienia i sukcesy – Jarecki odparł, splatając ramiona. – No i to nazwisko. Założę się, że cwaniak i gwiazdor z niego. To warszawiak! Będzie zadzierał nosa, jak oni wszyscy.

– Nie pochodzi z Warszawy – wtrącił Szepela.

– A skąd?

– Z Opola.

– Znaczą się słoiki?

– Na to wygląda.

– Jeden chuj, szefie – odparł Jarecki. – Co nam tutaj pomoże?

— Pomoże? — Kaffka powtórzył z ironią. — Żeby przynajmniej nie przeszkadzał.

— Może nie będzie? — zauważył Szepela. — Nie ma się co nakręcać. Jest polecenie, musimy się dostosować. Jak będziemy robić swoje, to włos nam z głowy nie spadnie. Nikt nam naszej nieposzlakowanej opinii szargać nie będzie.

Szepela spojrział na dochodzeniowca, ale dobrze znane w zespole powiedzonko wcale nie poprawiło nikomu humoru. Jarecki wyłożył nogi na biurko i zaczął się bawić dziurkaczem do dokumentów. Kaffka skrzyżował palce obu rąk na karku, odchylając się na oparcie krzesła. Szepela włożył zauszniak okularów w zęby i wpatrywał się w teczkę Stompora.

— Rzeczywiście. Pasuje — odparł. — Nam tu potrzeba spokoju. A ten pewnie przyjedzie tu, pan detektyw ze stolicy, i będzie zadzierał nosa — mruknął, spoglądając na starego dochodzeniowca. Wybitny śledczy, utalentowany detektyw, Wielki Pies, kurwa.

— Poradzimy sobie — powiedział Kaffka.

— Tak myślisz?

— Będzie kogoś od nas potrzebował.

— To samo pomyślałem — Szepela odparł ponuro, spoglądając na Jareckiego.

— Mamy Modrego — Jarecki rzucił pośpiesznie. — Sparuje się ich i na jednym ogniu upieczemy dwie pieczenie. Odsuniemy gówna. Przynajmniej nie będzie nam tutaj śmierdziało.

Szepela kiwnął głową, ruszył do swojego pokoju, usiadł za biurkiem i wyjął z szuflady klaser ze znaczkami. Mała wskazówka zawieszona nad drzwiami starego zegara zaczynała się zbliżać do cyfry jeden, kiedy przyłożył szkło powiększające do pierwszego znaczka. Gorąco tężało, a powietrze stawało się ciężkie, lepkie i duszne.

Zapalił już na przedmieściach. Słońce grzało przez przednią i boczną szybę, z krutek wiało gorącym powietrzem. Zapowiadał się upalny, czerwcowy dzień. Iggy Pop w radiu śpiewał, że jest pasażerem, a policjant analizował w myślach, co po powrocie z Krakowa oznajmi naczelnikowi. Mijając brudne przedmieścia i obdarte zadupia, zastanawiał się nad życiem. Jak to się stało, że został gliną? Pamiętał, jak pewnego wieczoru w Opolu, będąc dziesięcioletkiem, jeździł latem po parku rowerem. Był rok 1972, drózkę oświetlały złotawym blaskiem latarnie, a chłodne powietrze przypominało, że za kilka dni wakacje się skończą. Był tylko on, rower i park na wyspie Bolko. Kilka dni wcześniej, z ojcem i braćmi na cmentarzu w Półwsi pochowali matkę. Diagnoza zabiła tak naprawdę ich wszystkich: rak macicy. Wraz z matką w Emilu coś umarło. Wtedy, w chłodny, sierpniowy wieczór zadawał sobie pytanie: dlaczego? Jechał i płakał. Nie potrafił jej pomóc. Nic nie mógł zrobić. Był tylko rower, ścieżka w parku i łyż w cisy, które pęd powietrza zwięwał na policzki. Tamtej nocy myśl zaczęła się krystalizować. Wciąż przecież pamiętał burzę, podczas której zrozumiał, czym jest strach. I dostrzegł go w oczach matki. Obiecał sobie, że będzie robił coś, by ludzie przestali się bać, ale nie miał pojęcia, co to będzie. Niebawem i ojca zabrała choroba, więc Emil zaczął myśleć o medycynie. Ostatecznie została psychologia kliniczna. Potem psychiatria dorosłych. Nieukończona, bo dla dwudziestokilkuletniego mężczyzny stało się jasne, że nie ma takiej nauki, która wymazuje wspomnienia. Wspomnienia strachu w matczynych oczach nie wymazał upadek komunizmu i już nie trzeba było się wstydzić tego, że rodzice należeli do Armii Krajowej. Nie trzeba było unikać odpowiedzi na pytania o ich bitwę na gruzach Starego Miasta. Skończył szkolenie podstawowe. Dostał przypadkiem wielką sprawę na Śląsku. Potem była Praga, komenda na Grenadierów. Wszystko to, co go tam spotkało, przysłoniło te radosne wspomnienia. Nocne zatrzymania. Złodzieje, bandyci, których znał i którzy znali jego. Adrenalina. Wymuszony awans do kryminalnego i kolejna wielka sprawa. Szczytno, oficerka i gwiazdki. A potem wszystko nagle szlag trafił — gliniarz westchnął i wyjął jeszcze jednego papierosa. Bez tego, co się stało, bez wyjazdu w góry pewnie nie byłoby Loli, a potem kochanej Juleczki. Co pozostało z tamtego młodzieńca? Gdzie jest chłopak, który wstąpił do policji, by sprawić, aby ludzie nie musieli się bać, jak jego matka? Gdzie podział się szeregowy, który wiele lat temu stojąc naprzeciw mordercy, ze wzrokiem utkwionym w mrocznym spojrzeniu, przypomniał sobie matkę, tamtą burzę i jej strach? Chyba niewiele. Może doskonałe wyniki z egzaminów strzeleckich w arkuszach, zarchiwizowane gdzieś w czeluściach komend razem z aktami ludzi, którzy już nigdy nie wyjdą z za krat. Albo nie wstaną z grobów. Tak czy inaczej, nie zrobią już nikomu nic złego. Kilka opinii służbowych z wyróżnieniem i postępowania dyscyplinarne z powodu przekroczenia uprawnień. Tony notatek, ekspertyz, wniosków i wspomnienia. Litry wypitej wódki i tysiące wypalonych cameli. Godziny spędzone w pracy i uśmiechy znajomych. Wszystko odległe jak z innego życia. Miał wrażenie, że od pewnego czasu wszystko stało się jakieś inne. Gdzie się podziały obietnice, by sprawić, aby ludzie już nie musieli się bać? Teraz robił to, czego od niego wymagano i czuł obrzydzenie do służby. Pragnął czegoś innego, a coś inne pragnęło jego. Zaczął się starzeć. Nie był już tym samym pełnym zapału młodym gliniarzem, któremu wydawało się, że nie przesypiając kilku nocy, może uratować każdego albo rozwiązać każdą zagadkę kryminalną. Wciąż wiele mógł, ale teraz co innego nabrało znaczenia.

Szepela wyglądał jak większość gliniarzy około pięćdziesiątki i zupełnie inaczej niż detektywi z kryminalnych filmów. Nosił za duże okulary, a koszulę nad paskiem spodni wypychał krągłości. Reszty sylwetki dopełniał wąs i palony w pośpiechu papieros.

– Myśleliśmy, że pan przyjedzie wczoraj – rzekł.

– Była niedziela.

– No, ale dobrze, że jest pan wreszcie.

– Staram się pracować od poniedziałku do piątku.

– A jak się wam zdarzy nielegalny ubój w sobotę, to pana naczelnik pozwala czekać do poniedziałku?

– Nie narzekam.

– No, jeśli tak, to ma pan szczęście.

– I to wielkie – Emil przytaknął.

– Taki naczelnik to skarb.

– Też zawsze to powtarzam.

– Klemens Szepela – gliniarz rzekł i podając rękę, dodał: – Witamy w Krakowie.

Emil spojrzawszy badawczym wzrokiem. Szepela niemal niezauważalnie stawiał akcent na pierwszą sylabę. Poprawił okulary. Jego ton był denerwująco pyszałkowaty.

– Jestem podinspektorem. I nieetatowym kierownikiem.

– Czyli za frajer?

– Robota spokojna, nie trzeba się wychylać. Radzimy sobie.

– Czyli nie jestem tu wam potrzebny – stwierdził Stompor.

– Skoro stolica nam pana przysłała, to widać zna się pan na tym, co my tu mamy. Liczymy, że nam pan powie: szukajcie wysokiego, przystojnego blondyna, utykającego na prawą nogę, z blizną pod lewym okiem.

Szepela uśmiechnął się, a Emil poczuł, że więcej w tym udawania niż prawdziwego dowcipu. W oczach starego, grubawego gliny nie było nawet cienia wesołości. Pokazywał równiutkie jak u rekina zęby, lecz patrzył lodowatymi oczyma wpatrującego się w mysz węża.

– Przecież od razu nam pan może powiedzieć do których drzwi pukać o szóstej?

– Tego panu nie powiem.

– Szkoda – Szepela mrugnął i znów uśmiechnął się nieszczerze. – Naprawdę szkoda, ale w porządku. Żarty na bok – powiedział, wskazując długi, ciemny korytarz. – Mamy tu panie...

– Stompor. Emil Stompor, Wydział Zabójstw KSP.

– Podinspektor, dobrze pamiętam?

– Komisarz.

– No trudno.

– Spodziewał się pan generała?

– Nie, nie. Broń Panie Boże! Myślałem tylko, że w stolicy to jakoś łatwiej.

– O co?

– No, o stopnie, awanse, grupy, medale.

– Zależy komu – odparł Emil, starając się nie denerwować tym czymś, co było drażniące w sposobie, w jaki Szepela prowadził rozmowę. – W każdym razie mnie nie. Jak widać.

– No ale jeszcze nie umieramy.

– I tak będzie do końca. Naszego lub jej.

– Zawsze może się zdarzyć nieoczekiwany ruch kadrowy. Nie wiadomo.

– Wiadomo. I nic się w tej materii nie zmieni. Trzynaście lat służby i sto złotych dodatku. Jedyna perspektywa to najwcześniejsza emerytura.

– Niech pan na pieniądze nie narzeka. Wy macie dodatek stołeczny, my małopolskiego nie mamy.

Emil nie odpowiedział. Szepela miał rację. W sposobie, jaki się wyrażał krakowiak, najbardziej policjanta z Warszawy denerwowało specyficzne pomieszanie żartu z wredną uszczypliwością tylko dla niepoznaki ubraną w ciuszkę dowcipu.

– Mogę być szczerzy?

– No oczywiście!

Emil nagle przystanął. Stanęli naprzeciw. W długim, ciemnym korytarzu z rzędami drzwi po obu stronach zapadła cisza, którą wypełniło jedynie rzeżenie dopalającej się i mrugającej jarzeniówki.

– To nie był mój pomysł, żeby tutaj przyjeżdżać. Mam nadzieję, że pan to rozumie?

– Domyślam się, w mordę.

– I rozumie pan też, co mam przez to na myśli?

– Powiedzmy.
– Nie chcę się wychylać. Nic mnie nie obchodzi. Nie zamierzam sprawiać kłopotów.
– A może się pan nam przyda?
– Dobrze wiem, że mnie tu nie chcecie.
– O! Broń Panie Boże! Nieprawda.
– Dajmy temu już spokój — Emil machnął ręką. — I nie mieszajmy do tego Boga. Obaj wiemy, jak jest.
– Patrzą nam teraz na ręce, naciskają, musimy coś robić, bo to ważna sprawa nagle się zrobiła — Szepela zauważył. — Ale nie powinien pan tak do tego podchodzić.

– A jak?
– Rozsądnie.
– Pracuję w innym mieście, trzysta kilometrów stąd, nikogo tu nie znam, a wy myślicie, że jestem jakimś gwiazdorem. Rzeczywiście rozsądek się od tego wszystkiego prawie wylewa — Emil odpowiedział z ironią.

Szepela spojrział wzrokiem, z którego Emil wyczytał więcej, niż mógłby wyczytać z setek słów starego, cwane psa. Przez chwilę szli długim, ciemnym korytarzem w milczeniu. Policjant z Warszawy zastanawiał się, co tutaj właściwie robi. Wreszcie zapytał o pozostałe, oprócz szczątków i swetra, ślady.

– Tylko plecak.
– Pusty?
– Z kasetą magnetofonową. I rozmoczoną pracą magisterską.
– Nic więcej?
– Skóra, plecak, kawałek pośladka, sweter — powiedział Szepela.
– Wszystkie ślady należały do ofiary? — zapytał Emil.
– Nie wiemy. Zrobiliśmy DNA, ale nic nie znaleźliśmy.
– Nurkowie byli?
– Nie na początku.
– To jak było?
– Skóra i sweter wypłynęły szóstego stycznia. Dwa dni później na kracie progu wodnego zatrzymał się kawałek pośladka. Wolska zleciła penetrację dna.

– Wolska to prokurator?
– Nurków wymyśliła, w mordę. Szukaliśmy ich po całej Polsce! Wreszcie zebrali się, przywieźli skafandry, namioty, pontony i balony wypornościowe. Po tygodniu mieliśmy plecak.

– Z kasetą i pracą magisterską?
– Szukaliśmy też georadarem. Nic. Wolska niespecjalnie jednak uparła się na drażnienie sprawy. Wtedy pracowała w rejonowej Kraków-Podgórze i liczyła na awans. Nie za bardzo wtedy się wychylała.

– Awansowała?
– Do regionalnej.
– A pan twierdzi, że w Warszawie łatwiej o awans?
– Żartowałem — odpowiedział Szepela.
– Awansowała po takiej wpadce?
– Sprawa wypłynęła niedawno.
– Jaka ona jest?
– Radzę uważać.
– Młoda, ambitna, nie lubi gliniarzy?
– Jej wujek to wiceminister sprawiedliwości — Szepela powiedział ciszej.
– Jakkolwiek by na to patrzeć, to jednak jest jakiś taki nieszczęśliwy zbieg okoliczności.

– Uhm. Po prawdzie trochę nieszczęścia też przy tym było. Sprawę prowadził mój poprzednik, podinspektor Krajewski, ale odszedł na emeryturę, a Wolska nie miała parcia. Zresztą to jedna z tych spraw, w których od początku widać, że choćby się człowiek, za przeproszeniem, zesrał, to i tak jej nie rozwiąże.

– Nie ma takich spraw.
– Ta jest taka.
– No ale coś przecież zrobiliście?
– Z powodu braku dowodów na zabójstwo Wolska uznała, że dziewczyna zmarła w nieznanych okolicznościach. Sprawca zbeczczył zwłoki, ale wobec jego niewykrycia śledztwo zamknęła. Matka pochowała to, co jej oddaliśmy.

– A hipotezy śledcze?
– Zabójstwo, samobójstwo, wypadek oraz śmierć z przyczyn naturalnych. Krajewski przesłuchał matkę, znajomych dziewczyny ze studiów, marynarzy z kutra. Żadnej z wytypowanych hipotez śledczych nie udało się zweryfikować.
– Co wiemy o ofierze?

— Alicja Andrzejewska, dwadzieścia trzy lata, mieszkała z matką. Między nimi nie dochodziło do konfliktów — Szepela zatrzymał się przed drzwiami, spojrzął na Stompora i podrapał się po głowie. — Trzy lata wcześniej straciła ojca. Kilka razy zmieniała kierunek studiów. Nie była gwiazdą socjogramu. Raczej introwertyczna i skryta.

— A coś nietypowego?

— Przez ostatni miesiąc wagarowała. Matka nie wiedziała nic o tym.

— Nie zauważyła?

— Andrzejewska wychodziła do szkoły. I normalnie wracała.

— I musiała gdzieś być, coś robić.

— Wiem o tym — odparł Szepela.

— Nic więcej?

— Dwa tygodnie przed zaginięciem poszła do fryzjera. Ufarbowała włosy. Zaczęła biegać i przeszła na jakąś tam, kurwa, specjalną dietę. Kupiła nowe ubrania. Zaczęła robić makijaż. Wcześniej się nie malowała. Potem wyszła z domu, ale już nie wróciła — Szepela powiedział, wprowadzając Emila.

Ten się uśmiechnął, chociaż ostatnie zdanie nie zabrzmiało optymistycznie.

Pomieszczenie było dość dużym pokojem z wolno obracającym się wentylatorem pod sufitem i trzema dużymi oknami, niemal w całości zasłoniętymi przez materiałowe rolety. Z tego powodu wszystkie pięć biurków tonęło w półmroku. Podeszli do Jareckiego, a potem Szepela przedstawił Kaffkę z nazwiska.

— Jak literat — Emil zażartował.

— Nie rozumiem.

— No, jak ten czeski pisarz z Pragi. Franz Kafka.

— Może z Pragi, ale nie czeski — wtrącił Szepela. — On pisał po niemiecku.

Kaffka uśmiechnął się nieco nerwowo. Emil zauważył dziwny błysk w jego oczach. Wielki glina rzucił w stronę Szepeli krótkie spojrzenie. Stompór nie wiedział, co miało znaczyć.

— Moje nazwisko pisze się przez podwójne „ef” — powiedział.

— I jak się panu podoba? — Szepela zmienił temat. — Nastrojowo tu, co? Jak odsłonimy okna, można na biurkach jajecznicę smażyć. W stołecznej macie chyba klimatyzację?

Emil pokiwał głową. Rozejrzał się, czując, że jest oceniany. Po takiej uwadze nie było wątpliwości, w jakiej roli tutaj wystąpił. Zdawał sobie sprawę, że nie zostanie entuzjastycznie przyjęty, ale ostatecznie miał to gdzieś. Nie zamierzał zagrzać u nich miejsca.

— Podejrzewamy kogoś?

— Kolegę ze studiów. Macieja Eliaszewskiego.

— O co?

— Nic na niego nie znaleźliśmy — odparł Szepela.

— Szukamy — wtrącił Jarecki.

— Jak straciła ojca?

— Normalnie — wyjaśnił. — Umarł w szpitalu.

— Czyli przed śmiercią kogoś poznała?

— Tak uważam — Szepela kiwnął głową. — Krajewski też poszedł w tym kierunku.

— Nie dziwię się, to oczywiste — Emil odparł, przyglądając się przypiętej do korkowej tablicy dużej, czarno-białej odbitce fotografii z legitymacji studenckiej zamordowanej. — Poznała kogoś, na bank. Może mordercę?

Kaffka spojrział na Jareckiego. Młody policjant pokręcił głową i splótł ramiona na piersiach. Szepela spiorunował obu wzrokiem. Emil tymczasem wciąż stał, wpatrując się w wielokrotnie powiększoną fotografię. Dziewczyna miała sweter w kratę, fryzurę z przedziałkiem, kształtne usta i zwykłe, za małe oczy.

— Zaczęła się modlić — dodał Szepela.

— Do kogo? Modlić się można różnie.

— Do naszego, katolickiego — odparł, czyniąc znak krzyża. — Poszła też przynajmniej dwa, trzy razy przed zaginięciem do kościoła, a wcześniej tam nie chodziła.

— W niedzielę?

— Nie, w piątek — Szepela zmarszczył brwi. — A to jakaś różnica?

— Wszystko może ją robić.

— Widzę, że się pan przygotował? — wtrącił trzeci glina ochryplym głosem.

— Wystarczy poczytać gazety.

— Nie ukrywamy, że to problem.

— Problem w tym, że coś tu nie gra. Nie wierzę, że jakiś psychol inspiruje się filmem.

— Nic więcej nie mamy — Kaffka dodał niskim, ochryplym głosem.

— Kompletny brak śladów na miejscu zabójstwa to też jest ślad — Emil rzekł, czując niechęć do wielkiego, brodatego gliniarza.

Szepela opuścił głowę i zaczął od niechcienia skubać niewidzialne skórki na wewnętrznej stronie lewej dłoni. Kaffka popatrzył na Jareckiego, który demonstracyjnie bawił się spinaczem do dokumentów. Emil spojrział w stronę rosnącego brodacza, a potem zerknął na kierownika.

— Nie słyszałem o mordercy, który by skórował ofiary. Byli tacy, co zdejmowali skalp, ale nikt nie zdejmował skóry z tułowia.

— Ma pan do dyspozycji dokumentację — powiedział Szepela. — Proszę robić swoje. Aspirant Modraszek pana wprowadzi. Modry dobry jest. Bystry jest, dlatego przydzieliliśmy chłopaka panu. Pokaże panu, co z czym się je.

Emil kiwnął głową. Jarecki wciąż bawił się spinaczem. Stało się jasne, że żaden z trójki gliniarzy zespołu w tym dusznym, ciemnym pomieszczeniu na ostatnim piętrze Komendy Wojewódzkiej Policji w Krakowie przy Mogiłskiej nie wierzył w słowa, które tu padły.

W niewielkim, jasnym mieszkaniu słyhać tylko muzykę. To ścieżka dźwiękowa Lorenca do filmu *Bandyta*. Mężczyzna stoi z przekrzywioną głową i słyha *Tańca Eleny*, wpatrując się w kamerę ustawioną na statywie z bukowego drewna. W pokoju jest ciemno, z wyjątkiem miejsca, w które skierowany jest obiektyw. Mordercę oświetlają dwie drogie, profesjonalne lampy studyjne. Mężczyzna stoi przy parasolach do rozpraszania światła, zatrzymuje wzrok na kasetach, które już nagrał. Zastanawia się, czy nie przebrać się i wrócić do dziewczyny albo prokuratorce. Ostatecznie pozwala sobie na błogostan. Dlatego kładzie się na kanapie przed kamerą, na plecach. Wpatrując się w sufit, słyha muzyki, tylko od czasu do czasu sięgając po kryształowy kieliszek, napełniony wytrawnym, czerwonym winem. Od alkoholu, a także od szalejących w głowie myśli twarz mężczyzny nabiera rumieńców. Myśli. To, że sprawa dzieła, które zapoczątkował z dziewczyną, pozostała niezauważona, utajniona i pominięta w gąszczu innych, obrzydliwie nieistnych spraw, pali jego wnętrze. Prawniczka zapłaciła już, lecz dzieło należy kontynuować. Tylko tym sposobem zostanie zauważony. Sprawa wreszcie przebija się do mediów. Ludzie zaczynają o niej rozmawiać, podziwiać i doceniać wkład, jaki stał się jego udziałem. To kwestia czasu, kiedy sława sprawy wypłynie na szersze wody. Trzeba działać. Należy sprawić, aby o tym wszystkim usłyszała nie tylko cała Polska, ale i Europa, a potem świat. Niech wszyscy, niech każde dziecko zna i podziwia dzieło. Dlatego trzeba uderzyć ponownie. To było tylko preludium, dopiero pierwszym aktem monodramu, który właśnie się toczy. Aktem najwspanialszej produkcji, jaka kiedykolwiek została stworzona. A jej właściwa fabuła dopiero się zaczyna, myśli z lubością, a delikatne i ciche dźwięki oraz alkohol wprawiają go w wysmienity humor. Podchodzi do szuflady. Wyjmuje rewolwer z oksydowanej na czarno stali, o nieproporcjonalnie krótkiej lufie. Bierze broń, otwiera bębenek i spogląda z zadowoleniem na żółte spłonki naboarów. Broń nie zawiodła i nie zawiedzie. Uderzy ponownie. Patrząc na broń, przypomina sobie to, co zobaczył w telewizji. W jego głowie kiełkuje myśl. Chwilę później włącza lampy, kamerę, siada na kanapie, uśmiecha się, rozciąga usta niczym telewizyjny spiker.

Aspirant Hektor Modraszek otworzył drzwi i uśmiechnął się szeroko. Był wysokim, chudym, piegowatym chłopakiem o rdzawych, sztywnych włosach i brwiach w takim samym kolorze.

– To moje Bizancjum — powiedział.

– Umywalka, dwa biurka, klimatyzacja.

– Coś nie tak?

– Boję się, że pierdolnę z wrażenia — glina z Warszawy odparł z przekąsem.

Modraszek wzruszył ramionami. Emil pokiwał głową.

– Tamci zajmują we trzech dwa pomieszczenia. Mają pięć razy więcej miejsca niż ty. Co zrobiłeś, że skazano cię na banicję?

– Mnie się tu podoba.

– Jasne — Emil kiwnął głową.

– Mam komputer.

– A, to przepraszam — odparł Emil. — Faktycznie Bizancjum.

– Wszystko ma swoje zalety.

– Tam miałybyś więcej miejsca — Emil odpowiedział, lustrując klitkę Modrego.

Oprócz dwóch biurka stało w niej pięć szaf pancernych na akta, regał na dokumenty, spore akwarium i kilka roślin na parapecie. Wszystko to potęgowało wrażenie niemiłosiernej ciasnoty i zagrącenia.

– Higiena pracy też jest ważna.

– A, rozumiem. Chodzi o zieleń — Emil wskazał rośliny na parapecie. — Tu masz nie tylko ogród botaniczny, ale oceanarium — dodał, spoglądając na akwarium przy ścianie, pod mapą Krakowa.

– To tylko pamiątki.

– Czyli luksusy.

– Mnie nic więcej nie trzeba. A kiedy Szepela zwołuje odprawę w kancelarii zespołu, to mam niedaleko.

– Nie żebym się skarżył. — Emil rzucił, opierając się o framugę. — Tu nawet mi się bardziej podoba — dodał z emfazą — ale czy dokwaterowanie mnie tutaj powinienem odbierać jako aluzję?

– Przynajmniej będziemy mogli pracować. Wiele o panu słyszałem.

Emil w kilku żołnierskich słowach wyjaśnił, że bardziej interesuje się sprawą i tym, jak tak naprawdę zespół funkcjonuje niż tytułowaniem policyjnymi szarżami.

– Więc superglina chce wiedzieć, na czym stoi? Bezczelny, wulgarny, nieobliczalny.

– Oto jestem, do usług — detektyw ukłonił się nisko.

– A do tego z Warszawy.

– Nie wiadomo co gorsze?

– Wiadomo, wiadomo.

– Z tym że nie z Warszawy — Stompor uniósł palec w górę. — Z Opola.

– A reszta się zgadza?

– Zaczynam cię lubić.

– Miałem nadzieję, że gry wstępnej nie zaczniesz od dupy.

– Interesujące porównanie.

– Powiesz coś wreszcie o tym waszym zespole?

– Czyli naprawdę chcesz wiedzieć?

– A miałeś nadzieję, że jednak zacznę cię podrywać?

Modraszek spojrzał na Emila z mieszaniną rozbawienia i ostrożności. Pracował w policji wystarczająco długo, by wiedzieć, że czasem nie wszystko jest takie, na jakie wygląda. I czasem lepiej nie być szczególnie wylewnym, bo policyjne pozory często potrafią boleśnie mylić.

– Co na początek, komisarzu?

– Zacznijmy od dinozaurów.

– Dinozaurów — Modraszek powtórzył, spoglądając na drzwi. — No cóż, coś w tym jest. Faktycznie oni są sprzed ostatniego zlodowacenia, a raczej betonowania. Obaj w tym roku obchodzą trzydziestopięciolecie służby.

– Brzmi dumnie.

– Makabrycznie.

– Zależy dla kogo — Emil rzekł, wyjmując camela. — Mnie to pachnie komuną.

– Raczej cuchnie. Jak sfermentowane szczyny.

– Jak wiele kątów w naszej fabryce, aspirancie.

– Czeka ją na lipiec — zauważył Modraszek. — Dostaną nagrodę za wysługę i wiosną hyc! do cywila. Jak to mówią, wesołe jest życie staruszka na policyjnej emeryturze.

— To przez pierwsze dwadzieścia pięć byli w harcerstwie, a nie w milicji?
— No, teraz są policjantami.
— Podobno.
— Mówiłem ci, że zaczynam cię lubić?
— A ja — szepnął Modry — że lepiej o pewne tematy nie pytać? Niektórzy nie lubią pytać.
— To może wiesz, co robili?
— Tu się o tym nie mówi, bo ściany mogą mieć uszy, a dinozaury, jak powiedziałeś, mają pochowane po zufladach czerwone, partyjne książeczki — Modraszek uniósł rękę. — I dobrze ci radzę, kolego z Warszawy, nie draż, bo narobisz kłopotów. Zajmij się tym, po co tu przyjechałeś. Dinozaury już organizują ci pracę. Jutro w południe masz termin. Przesłuchanie Eliaszewskiego. Może tobie uda się z niego coś wyciągnąć?
— Nikt ze mną tego nie skonsultował.
— A w czym problem?
— Chyba powinienem się zapoznać z tematem — mruknął Stompor — nim zacznę o coś pytać. Jak mam pytać, skoro nic nie wiem? Czyj to był pomysł?
— Kierownika.
— Będę musiał z nim zamienić dwa słowa.
— Nie radzę.
— Bo co?
— Przyjmij radę i się nie wychylaj.
— Jakoś mnie nie przekonałeś — Stompor uśmiechnął się i usiadł na krześle.
Hektor Modraszek prawdopodobnie był jednym z tych policjantów, którzy nie dają się złamać. Tacy jak on nie wyzbywają się zapału do pracy, jaki cechuje wszystkich na początku zawodowej ścieżki i mimo wszystko robią to, co do nich należy, mając przy tym oczywiście ponurą świadomość, że to i tak absolutnie niczego nie zmienia.
— Nie za bardzo ci się z nimi układa? — Emil spytał.
— Zajmują stołki, nic nie robią, kasują kolejne wypłaty, trzynastki, mundurówki i nagrody kwartalne, na święta i, kurwa, bez żadnej okazji. Za nic. A inni pracują.
— Czyli chodzi ci o pieniądze?
— Przecież nie pracuję tutaj dla chwały.
— Jeśli zostałeś gliną dla hajsu, to pisz raport i zostań politykiem.
— A czy zwykły glina nie może godnie zarobić? — odparował Modraszek.
— Nie mówili ci, że to służba?
— Mówili, że awansuję, ale ci dwaj blokują miejsca.
— No a Jarecki?
— W zeszłym roku wysłali go na oficerkę.
— Za co?
— Za lojalność.
— A ty?
— Ja? Jestem święty!
— Ktoś musi pracować na chwałę zespołu.
— Gównno, nie zespół. Nie ma żadnego zespołu.
— Jak to? — Emil zmarszczył brwi.
— Zespół to ściema, pod media — odparł Modraszek. — Oficjalnie czerwone betony analizują stare sprawy — uniósł po dwa palce w górę, stawiając wyimaginowany cudzysłów — żeby sprawdzić, czy czegoś nie pominięto. Prawda jest taka, że przerzucają akta, zajmując grupy, które dawno powinny się trafić gliniarzom, którym coś jeszcze się chce.
— Na przykład tobie?
— A dlaczego nie? W końcu coś robię, zamiast ślęczeć z lupą nad klaserem i parzyć kawę. Przecież obaj stwarzają tylko pozory. Robią głupie miny przed Grzybkim, a tak naprawdę żadnemu nie zależy na prawdzie. Robota ich nie interesuje. Obdarowują się medalami za długoletnią służbę, ściskają ręce z komendantami na święto policji i liżą się po kutasach.
— Psy tak robią.
— Zespół powstał dopiero, jak się ta sprawa ze skórą zrobiła głośna. Ot, wymyślili wytłumaczenie, dlaczego sprawę zamieciono pod dywan. Tych ludzi toczy degrengolada. Chciałeś wiedzieć, to wiesz. To tylko chwyt pod media. Przyznaję, dobrze brzmi, ale nic poza tym. Nikomu nie zależy, aby coś wykryć. Pomyśl! Przecież to Szepela dostał skórę po Krajewskim. Jeśli znajdziemy coś nowego, będzie to oznaczało, że on to pominął.
— On albo Krajewski.
— Ktoś może dostać po dupie.
— Taki urok naszej fabryki.

- Właśnie dlatego dalej nic nie odkryliśmy – dodał Modry. – I dzięki Bogu.
- Taki jesteś wierzący?
- W to, że lepiej uważać. Może i zacząłem dopiero dziesiąty rok służby i jestem aspirantem pomiędzy łożycerami nadszyszkownikami, ale znam się na tym, co robię.
- Czyli niby Kraków, a tak samo jak w cholernej Warszawie. Chyba nawet zacznę cię lubić, o ile nie będziesz mnie wkurwiał i zbyt często wzywał Boga. I zaczynam rozumieć, dlaczego kierowniczek mnie ci przydzielił.
- To ciebie przydzielił do mnie. Nie puszcze cię bez maczety na Nową Hutę.
- Kiedyś nawet nieźle strzelałem.
- Masz papiery – Modraszek wskazał akta – biureczko z lampeczką. I to jest twoje zadanie. Z tego, co wiem, nie masz czego szukać w terenie.
- Jakoś się dogadamy – Emil odparł, po czym zaczął wypytywać o szczegóły związane z zabójstwem Andrzejewskiej. Modraszek zaimponował mu szczegółami. Gliniarz z Warszawy słuchał Modrego, który opowiadał, snując się od drzwi do okna pomiędzy wentylatorem, umywalką a biurkami.

Stompor pomyślał, że ten szczupły, inteligentny glina z proszącą się o interwencję fryzjera kudłatą czupryną w kolorze pomarańczowym oraz koszulą z kołnierzem jak u Słowackiego chyba rzeczywiście jako jedyny w zespole naprawdę zajmuje się tym, czym powinien.

— Krajewski nie zabezpieczył zbyt wiele — Modry przyznał.

— Słyszałem, siedem śladów.

— Skóra, plecak, kasetka, trochę papieru, kawałek dupy i trochę szmat. Nawet nie wiemy, gdzie dokonano zabójstwa. O ile go dokonano, bo tego też nie wiemy.

— A co wiemy?

— Umówiła się z matką. Miały iść do lekarza, ale w przychodni się nie pojawiła. Po kilku godzinach pani Andrzejewska zaczęła się niepokoić, potem zgłosiła nam zaginięcie. Telegram poszedł w Polskę i tyle. Jest przecież sporo ważniejszych spraw w tej robocie.

— Co może być ważniejszego od życia obywatela?

— Może wylizanie dupy komendantowi? — odparł Modraszek.

— Co dalej?

— Wieszkała plakaty. Wynajęła nawet prywatnego detektywa.

— Szczerzuckiego?

— Nie, takiego stąd. Nie pamiętam nazwiska.

— Przydałoby się z nim porozmawiać.

— Szkoda czasu — odparł Modraszek. — Niczego nie ustalili.

— Domyślam się, że tak samo jak policyjne poszukiwania?

— Kompletnie.

— Co wiemy o dziewczynie?

— Studiowała na Uniwersytecie Jagiellońskim, historię. Po maturze dostała się na psychologię, po semestrze dała sobie spokój. Studiowała też w szkole filmowej, ale zrezygnowała. Dwa miesiące przed zaginięciem zaczęła też religioznawstwo. Jej pasją była muzyka rockowej grupy HIM.

— Spodziewałbym się czegoś innego — mruknął Emil. — To mroczne klimaty.

— W wyłowionym po znalezieniu skóry plecaku znaleźliśmy kasetę tej kapeli. Matka twierdzi, że nigdy jej u niej nie widziała.

— Więc od kogo ją miała?

— Kasetę? — zapytał Modraszek. — Nie wiem.

— Ktoś to sprawdził?

— Kto miał to sprawdzać? Facet, który pieprznął blachą, idąc na emkę? A może Szepela?

Emil wyjął papierosa z paczki, zmrużył oczy i z camelem w palcach czekał, aż poczuje na plecach ów nieprzyjemny dreszcz, który zwiastował przecucie, że oto właśnie zbliżył się do miejsca, gdzie jest jakaś wskazówka, odpowiedź prawdy. Ta chwila jednak nie nadeszła.

— No, no — mruknął. — Ciekawy *modus vivendi*.

— Co proszę?

— Sposób życia. Teatr, skryta dziewczucha, maska, kasetka i rock alternatywny.

— Raczej gotycki albo gothic metal.

— Niezła mikstura.

— I szkoła filmowa, a nie teatr.

— Tak czy inaczej, trochę to dziwne. Nie uważasz? Coś jak wódka z maślanką.

— Nie wiem, mam uczulenie.

— Na wódkę?

— Na laktozę.

— Nie chcę wyjść na dupka z Warszawy, ale nie podoba mi się to, co usłyszałem. Wychodzi na to, że nikt nie sprawdził, od kogo pochodzą kasetka i maska. Możliwe, że to najważniejsze dowody.

— Sam możesz sprawdzić.

— Mówiłem, że nie chcę wyjść na waźniaka.

— Nie to miałem na myśli. I nie wysilaj się — Modry machnął ręką. — Tak cię tu będą traktować. Kasetę znaleźliśmy w plecaku, razem z dokumentnie rozmokniętą pracą magisterską. Nikt nie uznał, że ma znaczenie.

— Wiemy coś jeszcze?

— Nie — odparł Modry. — Nie mamy nawet tak naprawdę dowodów, że jej śmierć była zabójstwem.

— A czym miała być? Samobójem?

— Profanacją zwłok — odparł Modry. — Wolska mogła mieć rację. Jej hipoteza o wypadku komunikacyjnym i zdjęciem skóry po śmierci jest realna. W końcu nie udało się stwierdzić, w jaki sposób powstały obrażenia na pośladkach. To mógł być wypadek.

— Albo tortury. Mnie to pachnie zamiataniem pod dywan. Prokuratorce pasowało, bo wołała iść w bezczeszczenie zwłok niż zabójstwo. Trochę to naciągane. Tak samo jak to, że facet wzoruje się na filmie.

— Nie wierzysz w to?

— Wierzę w to, co widzę. A nie mieliśmy w Polsce nawet odrobinę podobnego zabójstwa.

— Nie wszystkie są do siebie podobne.

— A co z tą maską?

— Nic — Modry wzruszył ramionami. — Nie wiemy, czy należała do mordercy, czy do niej, chociaż raczej to drugie. W końcu interesowała się filmem i teatrem. Mówię ci, to beznadziejna sprawa.

— Poznałem kiedyś glinę, który uważał, że nie ma spraw beznadziejnych. Nie ma przecież zbrodni doskonałej. Istnieją jedynie niewykryte sprawy. I są takie, ponieważ ktoś z nas czegoś nie dostrzegł, inny coś zlekceważył, a kolejny zwyczajnie czegoś nie dopilnował albo po prostu zepsuł.

— Nie tym razem.

— Nie? — Emil uniósł brwi. — Rozmawiamy parę minut i dowiaduję się na przykład, że ofiara miała od niedawna kasetę zespołu, na którego punkcie miała fioła, a ty mi mówisz, że nikt nie sprawdził skąd.

— Aleś się czeplił. I co z tego?

— Ta sprawa nie jest beznadziejna. Ktoś coś zawałił, schrzanił, jednym słowem: dał dupy.

— Dał dupy to dwa słowa. I czuję, że nie spodobasz się Szepeli.

— Sram na to — odparł Stompor.

— A może każda sprawa musi mieć własny czas? Jej jeszcze nie nadszedł? Janek z polecenia Szepeli szuka czegoś w rejestrach karnych, ale jak dotąd niczego nie znalazł. Wszystko wskazuje, że to jedyny taki przypadek w historii kryminalistyki.

— Więc wygląda na to, że facet jest oryginalny.

— To bestia — stwierdził Modraszek.

— Widzę, że starasz się dotrzeć do prawdy.

— A co jeśli ją torturował?

— To prawdopodobne.

— Problem w tym, że nikt nie chce dotrzeć do prawdy. Ta dziewczyna, jej śmierć od początku nikogo nie interesowała. Rozumiesz? Zwykła studentka, półsierota, niezamożna, niczym się niewyróżniająca. Kogo obchodzi jej śmierć?

— Ciebie? No dobrze, zobaczymy, co mamy — Stompor odparł, spoglądając na stosy teczek przed sobą. — Może coś uda się jednak znaleźć, wszak przecież mówi się, że zabójca znajduje się zwykle w pierwszym tomie akt.

— To tylko chwytliwe hasło ze słabych kryminalistów.

— Zbyt często się sprawdza. Jestem pewien, że morderca gdzieś tutaj jest — Emil pokazał palcem dokumentację. — Musi być.

— No ale nie wiemy, kim jest!

— Nie znajdziemy faceta, zastanawiając się nad tym, kim jest, ale kim był.

— Jak możemy go znaleźć, nie wiedząc nawet, kogo szukamy?

— Nieprawda. Myślę, że szukamy kogoś bardzo konkretnego. Kogoś, kto wiele lat temu doznał jakiejś niewyobrażalnej krzywdy i teraz podświadomie szuka odwetu.

— Odwetu? Na kim?

— Możliwe, że na całym świecie. Nie wiem.

— Czeka, czekaj — Modry strzelił palcami. — Ty jesteś profilem, prawda?

— Jestem gliniarzem.

— Ale profilujesz?

— Czasem udaje mi się wywróżyć z fusów od kawy coś na temat czubka, którego szukam. Bywa, że to pomaga, ale nie oszukujmy się. To, że na podstawie wyłowionego z Wisły wełnianego swetra i uszytego z ludzkiej skóry kombinezonu wytypuję coś więcej niż to, że mamy do czynienia z kompletnym pomyłecem, może zdarzyć się tylko w filmie. I to klasy B. Ewentualnie w jakimś gównianym kryminale.

— Zaczynasz wróżyć?

— Na to przyjdzie pora — Stompor dodał, wstając z krzesła.

— A co teraz?

— Odpowiem na pytania. Dlaczego sprawca nie zrobił tego drugi raz? Czy wyjechał, a może uregulował życie erotyczne albo siedzi w anclu lub zakładzie dla czubów? Możliwości jest wiele. Zauważ, że nie wiemy przede wszystkim, co tak naprawdę się stało i gdzie. A przecież możemy zakładać, że motyw sprawcy miał seksualne podłoże. Nie było kolejnych zabójstw, seryjność odpada. Zostają inne hipotezy. Może sprawca

w szczególnym stanie zdrowia pozbawił Alicję życia, a potem przeszedł terapię i teraz jest teoretycznie normalny? Przecież to możliwe.

— Wszystko jest możliwe. Teoretycznie.

— Muszę przejrzeć wszystko, co macie. Pojechać na miejsca, pogadać z ludźmi.

— Szepeli się to nie spodoba.

— Niby co?

— Teren — odparł Modry. — Masz tylko sprawdzić akta.

— Nie prosiłem się o to, żeby tu przyjeżdżać. Nie potrzebuję przepustki na miasto.

— A od czego zaczniesz?

— Od Krajewskiego — Emil odparł, wstając. — Gdzie go znajdę? Pogadać trzeba. W końcu on pierwszy się tym zajmował, czyli teoretycznie rzecz biorąc, powinien wiedzieć coś interesującego. I mam gdzieś, że już nie pracuje.

Modry zamiast odpowiedzi wpatrywał się w Emila ponurym wzrokiem. Stompor kilka chwil później zrozumiał, że sprawa, za którą się wziął, jest bardziej skomplikowana, niż można było przypuszczać. Przez następną godzinę, kiedy jechali nad Wisłę, słuchał, patrząc na Kraków zza okien radiowozu. Wreszcie stwierdził, że to miasto jest tak samo obce, jak jego cholerna Warszawa. A może nawet i bardziej, ponieważ Krakowa nie znał.

Po pobieżnym przejrzeniu akt detektyw z Warszawy spodziewał się doktoranta psychologii na Uniwersytecie Jagiellońskim w wieku trzydziestu lat, który trenuje kulturystykę i karate. Tymczasem za lustrem weneckim siedzi typ spokojnego intelektualisty. Hektor Modraszek i Emil Stompor w ciszy przyglądają się jego zachowaniu przez kilka minut. Eliaszewski siedzi w bezruchu w pokoju przesłuchań.

— Zimny, co?

— Sporo go maglowali. Zdążył nabrać doświadczenia. No, zobaczymy — Stompor mówi, po czym wchodzi do pomieszczenia przesłuchań.

Modraszek patrzy, jak partner włącza w milczeniu kamerę i magnetofon, a potem siada bez pośpiechu za stołem. Wreszcie otwiera papierową teczkę z dokumentami. Na koniec wyjmuje z kieszeni paczkę cameli. Na papierosach kładzie tanią, jednorazową zapalniczkę. Potem patrzy przez kilka sekund na mężczyznę. Przesłuchiwany jest przystojny. Emil dostrzega harmonijne, płynne i delikatne rysy twarzy, których zazdrościć mogłaby mu większość kobiet.

— Pan Stompor, prawda?

— Skąd mnie znasz?

— Z telewizji — odpowiada Eliaszewski. — I z gazet.

— Lubisz gazety?

— Nie wiem, czy lubię.

— Ja nie lubię.

— Czasem czytuję.

— Czasem czytuję — powtarza policjant. — Rozumiem. Nazwisko?

— Moje?

— Swoje znam.

— Eliaszewski.

— Za dużo czasu masz, kurwa? — Emil unosi głos. — Dwa wieki chcesz żyć?

— Jak dwa wieki?

— No dwieście lat, dwa wieki znaczy.

— Jak dwieście? Sto lat, co najwyżej.

— Sto lat, kurwa! Pojebało cię? To coś ci zaraz powiem, Eliaszewski. Trzydzieści lat już przeżyłeś i wszystko wskazuje, że możesz przez następne dwadzieścia pięć pierdzieć w pasiaki! — Emil krzyczy. — Jak wyjdiesz, będziesz miał pięćdziesiąt pięć. Ja ledwie skończyłem czterdzieści, a już sram pod siebie! Gorzej słyszę i chuja widzę, więc zastanów się nad tym, co cię czeka, jak znów będziesz wolny.

— Hola, hola, komisarzu.

— Coś ty powiedział?

— Grzeczniej proszę.

— Bo co? — Emil unosi się na krześle.

— Bo na huki mnie pan nie weźmie. Po drugie nic na mnie nie macie.

— Na twoim miejscu akurat bym się zastanowił — gliniarz odpowiada. — Imię masz?

— Maciej.

— A wiesz, Maciej, że to będzie rok dwa tysiące dwudziesty ósmy?

— No i co z tego? — przesłuchiwany wzrusza ramionami. — I tak nie pójdę siedzieć.

— Ludzie będą brali szczepionki na wszystko, ale i tak dwustu lat nie będą dożywać. A ty połowę życia spędzisz za kratami. Ile chcesz dożyć?

— Nie wiem, zobaczymy.

— Z takim niezdecydowaniem długo w pierdłu jako dziewica nie pociągniesz. Powiem ci, że masz pecha. Wszyscy wiedzą, że to ty zabiłeś.

— Kim są wszyscy?

— Słuchaj, przysłali mnie tutaj z Warszawy nie po to, abym ci odpowiadał na durne pytania. Miejscowi nie potrafią sobie z tobą poradzić i ci udowodnić, że ją zabiłeś, więc...

— Nie zabiłem jej.

— Dostaniesz ćwierć wieku.

— Nie zabiłem jej.

— Skoro nie umiesz się zdecydować, to stare kryminały zaraz wyczują twoje niezdecydowanie jak u panienki. Od razu się zorientują, żeś frajer z wolności. Trafisz na harem i zrobią z ciebie cwela.

— Nie zabiłem jej.

— Wiesz co to znaczy?

— Wiem.

— Chuja wiesz!
— Nie życzę sobie...
— Zamknij się, kurwa! Na pytania masz odpowiadać. Rozumiesz?
— Tak.
— To odpowiadaj.
— Nie było pytania.
— Co masz do powiedzenia w sprawie?
— Ale jakiej sprawie?
— Srakiej! Nie udawaj idioty. Studiowałeś psychologię, pracę magisterską obroniłeś na pięć, a teraz masz przewód doktorski. Jako idiota nie jesteś dla mnie zbyt wiarygodny!
— Nie zabiłem jej.
— Dobrze ci radzę, wybierz inną strategię, bo jeśli rzeczywiście jej nie zabiłeś, to jak dalej tak będziesz pogrywał, dostaniesz cwiareę.
— Za niewinność?
— Błąd Otella. Uznanie osoby niewinnej za winną. Historia zna takie przypadki.
— A dowody?
— Znałeś ofiarę.
— Ze studiów — wyjaśnia Eliaszewski. — Tak samo jak kilkadziesiąt innych osób na roku.
— Ale to ty chciałeś się z nią dymać.
— Kochałem ją — przesłuchiwany odpowiada ciszej.
— Kochałeś czy się zakochałeś?
— Nie wiem.
— Z chujem w dupie zrozumiesz różnicę.
— Pan mnie czymś takim chce straszyć? — mężczyzna uśmiecha się przebiegle. — Tak się akurat dla pana pechowo składa, że jestem osobą o orientacji biseksualnej.
— Po co mi o tym mówisz?
— Bo teraz będę mógł złożyć skargę, że pan mnie poniża.
— Ochужаłeś chyba?
— Nie, ze względu na orientację.
— Grozisz mi?
— Proponuję zmianę taktyki.
Detektyw spogląda na długie łuki ciemnych rzęs i pełne usta. Eliaszewski wygląda młodo. Jego chłopięca, delikatna i nieco dziewczęca uroda podsunęła detektywowi pomysł na początek przesłuchania, ale tego, co właśnie usłyszał, zupełnie się nie spodziewał.
— Nie zabiłem jej.
— Uparciuch z ciebie, Maciuś — mówi Emil.
— Słyszałem, że z pana także.
— Jeden zero dla ciebie.
— Gramy do tej samej bramki.
— Ale siedzimy po przeciwnych stronach.
— Nic panu nie powiem.
— Szkoda — Emil uśmiecha się i splata ręce na karku. — Rozczarowałeś mnie.
— Spodziewał się pan czegoś innego?
— Skoro już mnie zmusili, żeby jechać trzysta kilometrów, to się fatyguję po to, żeby coś osiągnąć. Tymczasem widzę, że ty nie palisz się, żeby mi pomóc. Rozczarowałeś mnie też z innego powodu.
— Sporo się tego zbiera.
— A wiesz dlaczego?
— Po co pan pyta?
— Taki fach.
— Przecież i tak mi pan powie.
— To z przyzwyczajenia — odpowiada policjant. — Przez ostatnie lata ciągle prawie gadam z bandytami. A oni robią różne złe rzeczy. Gdyby było inaczej, byłiby święci.
— W takim razie nie rozumiem, dlaczego rozmawiamy.
— Tak?
— Nie zabiłem jej.
— Liczyłem, że będziesz na tyle rozsądny, żeby pójść na współpracę.
— Z kim?
— No z policją.
— Musiałbym być idiotą.
— Zależy jak na to spojrzeć. Twoja sytuacja jest — policjant zawiesza głos — ogłędnie mówiąc, nie do pozazdroszczenia.

Eliaszewski uśmiecha się. Stompor jednak nie dostrzega w jego minie wyższości. U przesłuchiwanego brak typowej, bandyckiej pozy czy zwykłego cwaniactwa. Jest za to coś, co detektyw już widywał. Eliaszewski się boi. Jest też jednak pewny swego jak niewinni. Policjant kiwa głową, a potem wyjmuje z teczki zdjęcia plecaka Andrzejewskiej, pracy magisterskiej i kasy.

– Poznajesz to?

– Nie wiem, o czym pan mówi.

– O zabezpieczonych procesowo dowodach. Ujawnionych na oględzinach plecaka Alicji.

– Żeby to miało dla sądu jakąś wartość, musiałbym na tym zostawić odciski palców albo ślad biologiczny. A ich tam nie ma, bo nie miałem z tymi pana dowodami styczności. Zresztą Szepela, Krajewski, Kaffka i pozostali już mi nieraz je pokazywali. Znam je na pamięć. Traci pan czas, komisarzy – Eliaszewski odpowiada protekcyjnie.

Emil patrzy. Przez chwilę zastanawia się, czy ten szczupły blondyn o niebieskich oczach mógłby zabić koleżankę ze studiów, w której się kiedyś zakochał. W tym czasie Eliaszewski układa ręce w piramidkę. Glina zauważa, jak pod skórą przedramion przesłuchiwanego rysują się żyły i mięśnie.

– To była nieszczęśliwa miłość?

– Wyobrażałem sobie za dużo. Traktowała mnie jak przyjaciela. Przyjaciela geja.

– Powiedziałeś jej?

– Kobiety to wyczuwają. Byłem dla niej za mało męski.

– Tak ci powiedziała?

– Mniej więcej.

– Kiedy to było?

– Poznaliśmy się, jak była na drugim roku, czyli...

– Siedem lat temu – podpowiada Emil. – W dziewięćdziesiątym szóstym. I tak dobrze to zapamiętałeś?

– Miałem dwadzieścia trzy lata. Byłem dzieciakiem. Zabolało mnie to, bo jeszcze nie do końca rozumiałem, kim jestem. Zawsze wiedziałem, że jestem nieheteroseksualny. Bałem się tego, co mnie pociąga. Dopiero po tym, jak się rozstaliśmy, zrozumiałem, że nie jestem hetero, ale też nie homo.

– Po tym, jak się rozstaliście?

– Naprawdę nas sporo łączyło.

– Co na przykład?

– Głównie muzyka, ale nie tylko. Spędzaliśmy sporo czasu. Myślałem, że ona czuje to samo co ja.

– Zrezygnowała z psychologii z twojego powodu?

– To nie było dla niej. Nie chciała grzebać w ludzkich umysłach.

– Tak mówiła?

– Nie – przesłuchiwany uśmiecha się do wspomnień. – To moje słowa, zapamiętała je, bo kiedy się spotkaliśmy po paru latach, przypomniała mi to. Widziałem ją dwa tygodnie przed tym, jak zaginęła.

– To nie przemawia na twoją korzyść – Emil mówi, spoglądając w oczy Eliaszewskiemu. – Niespełniona miłość, rozczarowanie i spotkanie po latach.

– Taka jest prawda.

– Ona wygląda jak motyw.

– Myśli pan, że o tym nie wiem? Te cymbały cały czas to powtarzają. Czepili się tego, bo nic innego nie mają. Widzę, że pan też idzie w tym kierunku. Co mam mówić? Że było inaczej?

– A jak było?

– Tak, jak powiedziałem.

– Wiem, wiem... nie zabiłeś jej.

– Miałbym to zrobić po siedmiu latach?

– Niektórzy potrafią długo nosić urazę.

– Nie miałem do niej nigdy o to pretensji.

– Może i tak, Maciej, ale liczy się tło.

– Nie zabiłem jej.

– Z tego, co wiem, trenujesz kulturystykę.

– No i co?

– I sztuki walki.

– Wielu ludzi to robi.

– Tak, ale według mnie zabójca to sprawny, wysportowany mężczyzna. Musiał przecież jakoś poradzić sobie z jej ciałem. Oskórował ją, bardzo możliwe, że poćwiartował. A ty, z tego, co wiem, pracowałeś w Instytucie Zoologii. Skórowałeś zwierzęta?

– Znow to samo – przesłuchiwany unosi oczy do sufitu. – Tak, trzy miesiące po wojsku, zanim zacząłem doktorat. I co z tego?

– Andrzejewską ktoś oskórował. Do tego potrzeba umiejętności.

– To nie ja.

– Nie bądź naiwny. Wiesz, że to poszlaka, której nie można zlekceważyć.

— Poszlaka to nie dowód.

— Z instytutu zwolnili cię po tym, jak wymordowałeś wszystkie króliki doświadczalne, jakie tam były — zauważa policjant. — Zdajesz sobie sprawę z tego, że dla biegłego będzie to wskazówką, że masz skłonności do sadyzmu? Oczywiście, gdyby prokurator wystąpił o coś takiego. Pewnie to zrobi, bo ja bym zrobił.

— Nie zamordowałem.

— Możemy ci to udowodnić.

— Nie chcę do tego wracać. Cierpiał. Uśpiłem je. I nie zostałem za to zwolniony, ale zwolniłem się sam. Ustaliliśmy co innego, a potem nie przedłużyli mi umowy. A że oni te zwierzęta tam męczą, zrobiłem to, co zrobiłem. I nie żałuję.

— Trzydzieści sześć królików.

— No i co? Każdego tygodnia zabijają tam więcej. — Eliaszewski wzrusza ramionami. — Pod szyldem badań znęcają się nad zwierzętami.

— A teraz twoi sąsiedzi. Niezbyt pochlebnie się o tobie wyrażają.

— Nie utrzymuję z nimi kontaktów.

— Uważają cię za dziwaka.

— Dla nich jest nim każdy, kto co niedzielę nie chodzi do kościoła i nie zje rosółu z kury z makaronem i pietruszką.

— Nie lubisz włoszczyzny?

— Polski nie lubię. Tej naszej ciemnoty. Polska to nie kraj dla ludzi takich jak ja. Ona w ogóle nie jest krajem dla ludzi. W katolickim, miłosiernym kraju pełnym europejskiej tolerancji jestem pedałem, a że do tego nie chleję wody, jestem też i dziwakiem.

— Przebierasz się za kobiety.

— Ubieram się w damskie ubrania — odpowiada Eliaszewski. — A to jest różnica.

— Przyznaj, że to oryginalne.

— To moja sprawa. Do tego robię to tylko na imprezy. I co w tym złego? Czy ktoś na tym cierpi?

— Przyznasz, że to ci nie pomaga?

— Nie mogę was już słuchać. Ciągłe to samo. Pieprzony katolicki, homofobiczny kraj nietolerancyjnych wasaczy, którzy w dupie byli i gówno widzieli.

— Mówi się Januszów. Mam ci współczuć?

— A zauważył pan, że kto mądry ucieka z tego kraju za granicę?

— Byłeś za granicą?

— Byłem. I coś panu powiem. Połowa Polaków deklaruje, że społeczeństwo nie powinno akceptować homoseksualizmu. Niektórzy twierdzą, że to choroba. I najgorsze, że do takiej nienawiści nawołują nawet księża, którzy sami są mafią w rozporoku diabła. Zresztą w kieszeni także.

— Gdzie?

— Co gdzie? — przesłuchiwany pyta z irytacją.

— Gdzie byłeś za granicą?

— W Holandii, w Anglii. Pracowałem tam, zaraz po tym jak zwolniłem się z instytutu. W sumie przez rok. Później wróciłem robić doktorat. I to był błąd. Jezu, jaki ja jestem głupi. Znam języki, nie jestem durniem, mam wykształcenie i coś mi odbiło, żeby tu wracać.

— No, wariat z ciebie.

— Powinienem zostać, bo kiedy słyszę, że jestem zbrodniarzem, to ręce mi opadają.

— Po co to mówisz?

— Bo jesteście tacy sami. A już w policji to jest horror.

— A może chcesz odwrócić moją uwagę?

— Chcę panu powiedzieć, że teoretycznie przechodzicie testy psychologiczne, ale jeszcze nie spotkałem u was kogoś tolerancyjnego. Żałuję, że wróciłem tu — Eliaszewski mówi z goryczą. — Tu geja, lesbijkę, osobę biseksualną albo transpłciową i zresztą każdą, która nie przystaje do katolickiej heteronormy, można opluć, obrzucić wyzwiskami, a nawet pobić. Brakuje tylko kamienowania, ucinania rąk, penisów i wycinania łechtaczek jak w Afryce albo jakimś Iranie. To jest według pana normalne?

— Rozmawiam z tobą z innego powodu.

— Naprawdę? — Mężczyzna uniósł brwi. — A to ciekawe, bo mam wrażenie, że gdybym się czasem nie ubrał jak kobieta, to już podejrzanym bym nie był.

Emil spojrział uważnie na przesłuchiwanego i pomyślał, że trudno się z Eliaszewskim nie zgodzić. Tak naprawdę Szepela nic na niego nie miał poza poszlakami. Żadnego twardego dowodu. Nic, co miałyby jakąkolwiek procesową wartość.

— Szkoda jeszcze, że nie napisaliście na murze mojego bloku: „Tu mieszka pedał” albo na akcie oskarżenia, że tu nie toleruje się zbrodni.

— A może wróciłeś, bo postanowiłeś wziąć odwet na dawnej miłości?

— To pewnie pierdolnięty jestem, jak każdy pedał?

— Dla mnie możesz być nawet Muminkiem. Gówno mnie to obchodzi. Jeśli ją zabiłeś...

— Nie zabiłem jej.

— ...udowodnię to i zamknę cię.

— Nie zabiłem.

— Wiele wskazuje, że mógłbyś.

— Pan też.

— Ja?

— Miał pan swoje pięć minut, potem pan popadł w niełaskę. O mały włos nie wyrzucili pana z firmy. Pan też mógłby zabić Alę po to, żeby zrobić potem kogoś w zabójstwo.

— Powinieneś pisać kryminały.

— A pan znów okryły się chwałą. Dostałby pan medal od komendanta głównego, a może nawet prezydent na święto policji uściśnięty panu rękę. Chyba nie powie pan, że nie chciał pan wziąć udziału w takiej naprawdę głośnej sprawie?

— Nie chciałem.

— Czy znany, podstarzały i od jakiegoś czasu wypalony detektyw nie powinien być już co najmniej majorem?

— Co najwyżej kapitanem. A właściwie nadkomisarzem. Umiesz obserwować, Maciuś. Problem w tym, że twoja bajeczka nie trzyma się kupy. Wprawdzie to, co mi naopowiadałeś, nie jest wciąż żadnym dowodem, ale układa się w zaskakująco logiczny łańcuch poszlak.

— Bullshit!

— Słuchaj Eliaszewski vel „Kuśnierz” — policjant dodaje ciszej, nachylając się nad stołem. — Niewykluczone, że dla wtajemniczonych, nas, gliniarzy, prokuratora i sądu ten bullshit może wskazywać na twoje sprawstwo. Ala nie była ci obojętna, więc poza logicznym łańcuchem poszlak mamy też wysoce uprawdopodobniony motyw.

— Nonsens.

— Wystarczy jeden niewielki dowód i po tobie. Dwadzieścia pięć lat.

— Nic panu więcej nie powiem.

— Minimum osiem.

— Nie zabiłem jej.

— O ile pójdziesz na współpracę. A jak sąd kiwnie głową, to dożywocie.

— Nic panu nie powiem — Eliaszewski powtarza z drwiącym uśmiechem. — Nic na mnie nie macie i mieć nie będziecie.

— Ja bym się nie uśmiechał. To, co zrobiłeś, może być typem kwalifikowanym.

— Nie ja to zrobiłem.

— Nie mniej niż lat dwanaście.

— Przecież pan dobrze wie, że to nie ja.

— Dwanaście lat pozbawienia wolności. Minimum.

— Mówiłem, że mnie pan nie przestraszy.

— W jakim wieku będziesz za dwanaście lat? A w dwa tysiące dwudziestym ósmym?

— Jak już tak sobie rozmawiamy, to w luźnej rozmowie o coś pana zapytam. Nie mierzi pana to, co pan robi?

— Mierzi mnie to, że udajesz niewinnego.

— Przesłuchujecie mnie od trzech lat. Podawałem swoje nazwisko Szepeli, Krajewskiemu, Kaffce, Modraszkowi, Jareckiemu kilkadziesiąt razy. I ciągle pytali o to samo. Identycznie jak pan. Więc dziwię się, że taka gwiazda mundurowej konstelacji też traci czas. Proponowałbym wziąć się do prawdziwej roboty i złapać zwyrodnialca, który zabił bliską mi kiedyś dziewczynę.

— Czyli nie chcesz współpracy?

— Chciałem tylko zapytać, czy panu nie wstyd?

— Mam ci wierzyć?

— To pana sprawa.

— Maciej, chłopaku! Jestem gliną! Nie jestem od tego, żeby wierzyć, ale sprawdzać.

— Byłem sprawdzany wszere, wzdłuż i na wylot.

— A widzisz, w jakie gówno się wpakowałeś?

— W nic się nie wpakowałem — zauważa Eliaszewski. — To wy próbujecie mnie w to wpakować. Wrobić i zamknąć temat.

— Miejsce mordercy jest za kratami.

— Myślałem, że pan nie jest zwykłym gliną. A jest pan nawet gorszy niż tamci.

— To komplement?

— Jestem tylko chłopakiem, który broni się przed waszą nieudolnością.

— Tylko nie mów, że nie dawałem ci szansy.

— Jeden telefon i przyjedzie mój mecenas. Będzie pan mnie musiał wypuścić.

— Nie trzymam cię, ale nie dam ci spokoju. Za jakiś czas dostanę w łapy coś więcej, a wtedy nikt ci już nie pomoże. Wiesz dlaczego? Ponieważ rozmawiam z człowiekiem podejrzanym o dokonanie zabójstwa.

— Nie zrobiłem tego.

— Dałem ci szansę.

— Od podejrzeń do oskarżenia droga daleka.

— A zabójstwa się nie odpuszcza.

— Możliwe, że jest pan nawet w porządku. Może pana zmusili, żeby mnie przemaglować, ale... sam pan wie, jak to wygląda — Eliaszewski dodaje szeptem. — Tylko idiota poszedłby na współpracę z policją, będąc niewinnym.

Emil spogląda na przesłuchiwanego i kiwa głową. Następnie odwraca się w stronę lustra weneckiego i wstaje. Podchodzi wolno do szyby i patrzy. Potem siada na miejscu.

— Nie zastanawia się pan czasem, po co przychodzi do pracy?

— Pociąga mnie romantyzm służby kryminalnej.

— Pan żartuje, a ja poważnie pytam.

— Robię swoje.

— Szanuję to. Ma pan charakter.

— Często się — policjant mruczy, wskazując papierosa.

— Widzę, że jest pan zmęczony.

— A ty nie jesteś?

— Jestem. To jednak pan chciałby już wrócić do żony i córki — odpowiada Eliaszewski.

Emil przez kilka następnych sekund patrzy wprost w niebieskie oczy mężczyzny, który według prowadzących tę sprawę policjantów mógł zabić Andrzejewską. Emil tego nie czuje. Eliaszewski sięga po camele i zapalniczkę.

— Dobre fajki pan pali jak na gliniarza.

— Spodziewałeś się klubowych?

— Z pensji policjanta pewnie niewiele pan może sobie ich kupić?

— Przyjemniej się tak walczy z nałogiem.

— A mówią, że to pana zasada.

— Palić tylko camele?

— Walczyć.

— Kto tak mówi?

— Mówią też, że jest pan w porządku — Eliaszewski dodaje, przykładając zapalniczkę do papierosa. — A to rzadkość w tej firmie.

— Sprawdzałeś mnie?

— Patrę, jak to psycholog. Skrzywienie zawodowe.

— I co widzisz?

— Istnieją tacy ludzie, którzy potrafią sprawić, że odstąpi pan od dalszych czynności — przesłuchiwany wskazuje żarzącym się końcem papierosa notatnik Emila.

— Nie znam.

— Wystarczy, że oni wiedzą, co robić. Pomyślał pan, że mógł mi ktoś powiedzieć, co trzeba? Albo przypuścmy, że powiedzieliby coś niefajnego. Mógłbym się komuś narazić? Nie sądzi pan, że śmierć Krajewskiego to zaskakujący zbieg okoliczności? Może on także powiedział coś niefajnego? Milcząc, mam szansę przeżyć.

— Dobra, dobra — Emil się niecierpliwi. — Daj już spokój. Jestem zmęczony — dodaje, wiedząc doskonale, tak samo jak jego nowy partner za weneckim lustrem, że Eliaszewski niczego już istotnego na tym przesłuchaniu nie powie.

— Jeśli pan będzie chciał, to...

— To co?

— Jak już sobie tak po koleżeńsku gadamy...

— No, no, no... mów.

— Niezobowiązująco. W razie czego wszystkiego się wyprę, papierów nie podpiszę.

— Niezobowiązująco, mówisz?

— Pan wie, o co mi chodzi. — Chłopak spogląda w stronę lustra. — Będę trzymał za pana kciuki. Na razie niech pan się nie zraża, od podejrzeń do wyroku droga daleka. Zobaczmy, czy faktycznie ma pan charakter prawdziwego psa.

— Psa?

— Takie freudowskie przejęzyczenie.

— Nie szkodzi — Stompor odpowiada.

— Chyba się pan nie obraził?

— Obrazić się może panienska na randce. Nigdy mnie nie bolało, kiedy parch nazywał mnie psem. Ty też się nie obrażasz za mordercę, no nie?

- Mnie ten rzeczownik nie określa.
 - Nie ma niczego złego w nazywaniu policjanta psem. Pies przede wszystkim jest wierny. I pamiętaj, że walczy do końca. Dam ci radę: każdego się da złamać.
 - To nie zabrzmiało jak rada.
 - Nie miało.
 - Niech pan to przemyśli, komisarzu. T u t a j niczego się pan ode mnie nie dowie. Traci pan czas. Posiedziałem sobie, pogadaliśmy, pan mnie uprzejmie poczęstował całkiem niezłą fajeczką. Czas kończyć.
- Emil nie odpowiada. Jest zadowolony z przebiegu rozmowy. Wyłącza kamerę, magnetofon, a potem odwraca się i rusza do drzwi. Spogląda jeszcze w oczy Eliaszewskiego. Obaj wiedzą, że to nie koniec. Emil czuje, że jakaś furtka została otwarta.

Po pięciu godzinach przeglądania akt Emil odłożył dokumenty, wstał i przeciągnął się jak kot. W tym czasie Modraszek wcisnął ze złością „power” w komputerze. Emil spojrzął w monitor, gdzie na błękitnym tle wyłaniały się kolejne wiersze w języku angielskim, po czym wszystko znikło, by po upływie pięciu sekund obu policjantom ukazał się ekran powitalny systemu operacyjnego.

— Czyli przyjeżdżasz ze stolicy i stwierdzasz, że nasz główny podejrzany jej nie zabił? — Modraszek powiedział, nie kryjąc rozbawienia. — To się dinozaurom spodoba.

— To nie on. Eliaszewski jest dziwny, owszem, może nawet wie coś, czego z jakiegoś powodu nie chce powiedzieć, ale nie zrobił tego.

— Chcę zobaczyć ich minę, jak im to powiesz.

— Teraz?

— Teraz mam *Millenium*, kurwa.

— Jakie *Millenium*?

— No ten syf — gliniarz wskazał monitor. — A wiedziałem. Wiedziałem, kurwa, że nie będzie dobrze. *Windows Me*, czyli *Millennium Edition*, w skrócie *Millennium*. Ten system to porażka. Wysoka niestabilność działania plus zaimplementowane niedopracowane funkcje multimedialne. Wysypuje się co chwile i muszę wszystko stawiać od nowa.

— Wysypuje się?

— Windowsa dziewięć osiem mogli kupić, jak pożałowali na ikspeka. Wielkie zakupy, bo do Unii wchodzimy. Prasa, telewizja i cyrki przed komendą. Miałem nadzieję, że jak policja wybuli państwowy hajs, to za porządny sprzęt — rudy glina rzekł i podszedł do okna, po czym oparł się na parapecie. — Kurwa.

— Pocieszę cię. Nie znam się na komputerach, ale mamy takie samo gówno.

— A co? Myślałeś, że u nas jest jak w FBI?

— Myślałem, że to elitarna jednostka. Jedyny taki zespół w kraju.

— Kto ci tego naopowiadał?

— Tak można przeczytać w gazetach — odparł detektyw z Warszawy.

— Dobrze, że jeszcze maszyny do pisania nie wyrzuciliśmy. Myślałem, że jak tu przyjdę, to... Szkoda gadać — Modry machnął ręką. — U was jest lepiej?

— Biurka z czasów Gomułki, ale krzesła mamy rewelacyjne — wyjaśnił Stompor.

— My też. Jakbyśmy ich nie dostali od jednego takiego gościa, to nie byłoby do tej pory na czym dupy posadzić.

— Ktoś dał wam krzesła?

— No — mruknął Modry. — Na szczęście.

— Rybki też masz z darów dla powodzian?

— Tu w co drugim pokoju je znajdziesz. Podobno uspokajają. Nie wiem. Zawsze się wkurwiam w piątek, jak przy drzwiach sobie przypomnę, że ich nie nakarmiłem. Dużo masz zabójstw?

— Co z tymi rybkami?

— Zostały w spadku. Mów, jak jest u ciebie?

— Jak tam przyszedłem w dziewięćdziesiątym dziewiątym, mieliśmy sto zabójstw. Teraz jakieś sześćdziesiąt — Stompor odpowiedział. — Czasem przez dwa tygodnie nic się nie dzieje, a potem chuj strzela spokój i zapierdalamy od rana do wieczora albo i dłużej — policjant dodał z nieco smutnym uśmiechem i nachylił się nad parapetem, gdzie stała doniczka, po czym zmarszczył brwi, przyglądając się zasadzonej w niej roślinie.

Była to miniaturka drzewa. Nie była mała, jak na coś, co uprawia się w pomieszczeniu. Drzewko przechylało się gęstą, asymetryczną koroną w jedną stronę. Miało gruby, krzywy pień, który wyrastał pomiędzy kamieniami wypełniających płaską, długą doniczkę.

— Tu jest spokojnie. Spraw mała — *Peace and quiet*.

— Znasz angielski?

— Mature ustną zdawałem z Anglika.

— W liceum?

— Nie — Modry odparł, nie odrywając oczu od monitora. — Jestem po technikum. A pan porucznik to pewnie właśnie rosyjskiego się uczył?

— Piękna ta twoja roślina.

— Nie jest moja.

— A czyja?

– Chociaż nie – glina uśmiechnął się, a Emil pomyślał, że to dziwny uśmiech. – Faktycznie, jest już moja. *Carpinus japonica*. Czyli grab. Grab japoński. Bardzo trudny w uprawie. O wiele bardziej wrażliwy od innych.

– A grab to nie drzewo?

– Inaczej mówiąc, *bonsai*. Po japońsku karłowate drzewo w naczyniu.

– Interesujesz się japońską kulturą?

– Raczej dendrologią, chociaż drzewa i krzewy nigdy mnie nie kręciły, ale ojciec chciał, żebym został leśnikiem, no to poszedłem do szkoły, jaką mi wybrał.

– Jesteś leśnikiem?

– Programistą jestem – odparł Modry. – Takim informatykiem.

– Co taki ktoś robi w wydziale kryminalnym?

– Wykonuje rozkazy. Dwa lata wytrzymałem w zielonym mundurze, rzuciłem drzewa, lasy i owady i poszedłem na informatykę. Ojciec do dzisiaj się za to do mnie nie odzywa.

– Nic w tobie nie pasuje. Leśnik, informatyk, kryminalny programista.

– Teraz polubiłem drzewa – gliniarz dodał, szczerząc zęby w uśmiechu. – Wyobraź sobie, że aby osiągnąć doskonałą formę *bonsai*, potrzeba lat – Modry wstał, podszedł i wskazał drzewko. – Idealny okaz jest rezultatem wieloletniej pielęgnacji, niekiedy kilku pokoleń ogrodników. Trzeba wybrać właściwe drzewko, przycinać pędy, nawozić, podlewać, przesadzać na czas oraz w odpowiedni sposób kształtować, by roślina osiągnęła idealną formę.

– To tak samo jak z nami – wtrącił Emil.

– Mówisz o policjantach?

– O kryminalnych. Żebyśmy byli dobrzy w temacie, trzeba siedmiu, ośmiu lat na ulicy. No, chyba że jesteś naprawdę dobry, jak mówią w filmach, to pięć. Uczymy się całe życie.

Przez kilka kolejnych chwil komplementowali miniaturowy grab *Modraszka*. Niemal wszystkie kamienie w doniczce pokrywał mech w kolorze jasnej, świeżej zieleni. Pień rozdzielał się pomiędzy nimi na kilka odnóg, przywodząc na myśl poskręcane artretyzmem palce starca. Modry kiwnął głową. Potem uszczknął paznokciem jakiś pęd.

– To jak zostałeś kryminalnym?

– Normalnie – odparł Modry. – Jak my wszyscy, przez przypadek.

– Tak po prostu?

– Każdy kiedyś popełnia błędy.

– „Kiedyś” w tym naszym posranym, psim życiu zbyt często oznacza nigdy.

– Mówiłem o mordercy.

– Nasze życie to marzenia – Modry rzekł, dopijając zimną herbatę.

– Tak. Rzeczywistość jest inna. Masz przynajmniej ogród – gliniarz wskazał doniczkę.

– W spadku.

– Dobrze go znałeś?

– Można powiedzieć, że się minęliśmy. Trafiłem tu na jego miejsce.

– Mów, co o tym wszystkim myślisz. Co myślisz naprawdę.

– Nie wiem.

– Coś przecież musisz myśleć?

– Młoda była. I do tego studentka. Może robiła coś, o czym nie mamy pojęcia?

– Znaczy się co?

– Może trafiła do sekty? Teraz to popularne. Wiele wskazuje, że tak mogło być, zaczęła się przecież modlić. Mogło chodzić o jakiś rytuał?

– Czekaj, czekaj – Emil zmarszczył brwi. – Mówisz, że jesteś informatykiem?

– Programistą.

– Znasz się na komputerach.

– Tak jak na drzewach.

– Sprawdzaleś, co robiła przez komputer?

– Przez sieć, znaczy?

– No, internet – odparł Emil. – Teraz to zaczyna być popularne. Ludzie gadają przez komputery, wiadomości piszą, nawet zakupy robią. Przecież mogła się z kimś kontaktować, utrzymywać znajomości? W aktach nic na ten temat nie ma.

– Bo nie miała komputera w domu. No i internetu. Nawet pracę magisterską pisała na sprzęcie wypożyczonym z uczelni. Jeśli korzystała z sieci, to poza domem.

– Moglibyśmy to sprawdzić? Gdzie i jak wchodziła w sieć.

– To trudne.

– Ale możliwe?

– No... możliwe, ale musielibyśmy porozmawiać z matką, kolegami ze studiów. Z kimś, kto znał jej zwyczaje. To ciężki temat, bo skryta była. Jak chcesz, to mogę zwrócić na to uwagę, może coś wypłyne.

– Może wystarczy się pokręcić z jej zdjęciem tam, gdzie jest sieć przy uniwerku?
– Musiałbym mieć szczęście.
– Ono jest najdoskonalszą formą pracy operacyjnej.
– A ja myślałem, że przypadek.
– Przypadkiem można mieć szczęście. Jak coś znajdziesz, daj cynk. Masz inne pomysły?
– Nie, ale jak na coś wpadnę, to zamelduję.
– Melduj bez meldowania. A teraz powiedz, co cię tak wzięło na te rośliny?
– Są po Krajewskim. Rybki też. Jak poszedł do ziemi, pomyślałem, że szlag je trafi. Więc zabrałem, postawiłem na parapecie i doglądam.

Emil uśmiechnął się. Widział w Modrym siebie sprzed kilku lat. Patrzył, jak ten rudawy chłopak o jasnej cerze pełnej piegów z płataniną niebieskich żyłek pod skórą rusza ze szklanką w stronę umywalki, stawiając te swoje zaskakująco drobne kroczi.

– Słyszałeś o efekcie Wertera?
– Co z nim?
– Zauważono, że nagłośnione samobójstwo znanej osoby powoduje wzrost samobójów — wyjaśnił Stompor. — Czasem nawet o tysiąc procent. Po *Kamiennym kręgu* w USA na przykład wzrosła popularność nielegalnych walk. Hipoteza z inspiracją *Milczeniem owiec* jest jednak naciągana. To prawdziwi mordercy inspirowali filmowców do tworzenia Krugerów i Hannibalów Lecterów, a nie odwrotnie.

– A teraz nie mogło być odwrotnie?
– Oczywiście, że mogło, tylko...
– No co?
– Coś mi w tej całej inspiracji cały czas nie gra.
– Film jest z tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego pierwszego — zauważył Modraszek.
– I co z tego?
– A teraz jest początek czerwca dwa tysiące trzeciego. Nawet jeśli sprawca inspirował się filmem, to już upłynęło odrobinę za dużo czasu na coś w rodzaju efektu Wertera.

Emil poczuł dreszcz. Trwające milisekundę doznanie przypominające porażenie prądem ustąpiło i detektyw spojrział w akta. Przymknął oczy. Po chwili, niczym wizję z rzutnika, Emil zobaczył fragment filmu. — Nie wiemy, kiedy obejrzał film — zauważył Modry. — Mógł to zrobić w każdej chwili. Poza tym mógł też przeczytać książkę. Z tego, co pamiętam, została wydana w osiemdziesiątym ósmym. Niewykluczone, że jest miłośnikiem literatury albo filmu. Naogładał się i konkretnie czubowi odpiardoliło.

– Jeśli tu chodzi o inspirację — Emil nabrał powietrza, a potem dodał z pełnym przekonaniem — to coś mi mówi, że w grę wchodzi film.

– Skąd wiesz?
– Zdziwiał mnie jego dbałość o szczegóły.
– Nie rozumiem.
– Pamiętasz ten sweter, jaki znaleźliście przy skórze?
– No, w czarno-białą kratę.
– Ma identyczny wzór jak ten z filmu. To oczywiście może być zbieg okoliczności, ale moim zdaniem... — Emil urwał.

A potem wstał, ruszył do akt i rzucił na biurko pomiędzy nich odbitkę z oględzin w dużym powiększeniu. Obok leżącej na blachach pokładu skóry widać namoczony, brudny wełniany sweter w kratę. Modry spojrział na zdjęcie, potem przesunął odbitkę i spojrział na kolejne. Emil przez chwilę milczał, po czym odezwał się znowu.

– Jest taka scena w filmie, kiedy Starling strzela kilka razy. Buffalo Bill pada i z noktowizorem na oczach kona, leżąc na plecach. Kojarzysz?

– Pod koniec filmu. I co?
– On leży na ścinkach materiału. Mają dokładnie taki sam wzór — Emil odparł, wyjmując camela z paczki, którym następnie stuknął w zdjęcia — jak te na wyłowionym ze skórą swetrze.

Modraszek zamrugnął oczami, przez chwilę patrzył na Emila w bezruchu, a potem przeczesał pomarańczową czuprynę palcami i zaczął w pośpiechu przerzucać akta, aż w końcu znalazł w jednej z szaf pancernych kasetę z filmem.

– I to wyczytałeś z akt?
– Tego tam nie ma, ale są te zdjęcia i...
– I co? Postanowiłeś jaja sobie z nas zrobić?
– Nie, ale przed przyjazdem tu oglądałem ten film.
– Też go oglądałem, do chuja! — Modry warknął, po czym spojrział w oczy Emila. — Ty mówisz poważnie, prawda? Jesteś pieprzonym geniuszem. Chodź ze mną — Modraszek zerwał się z krzesła i wybiegł z pomieszczenia ze zdjęciami.

Kiedy Stompor wszedł do kancelarii naprzeciw, Modraszek już przesunął film na podglądzie. Kaffka patrzył zaciekawiony, a Jarecki stał z rękoma w kieszeniach. Chwilę później w przylegających do kancelarii

zespołu drzwiach biura pojawił się Szepela. Emil pomyślał, że z dużą lupą w jednej ręce, kubkiem kawy w drugiej i okularach na nosie wygląda jak detektyw z niemych filmów. Brakowało tylko czarnego cylindra i zakrzywionej fajki.

Zwrócili wzrok na telewizor. Ekran wypełnił zielonkawy obraz. Patrzyli, jak pojawia się zacięta twarz młodej agentki FBI. Padło kilka strzałów. W następnym kadrze dziewczyna wyrzuciła łuski z rewolweru i drżącymi dłońmi starała się ponownie załadować broń. Patrzyli, jak kamera odjeżdża, dolną, prawą część kadru zaczyna zajmować ucięta obiektywem wpół postać leżąca na plecach z noktowizorem na oczach. Zakrwawiony morderca leżał, wypluwając skrzepy krwi, a pełna napięcia muzyka narastała z każdą sekundą.

— Co wy odpierdalacie? — Szepela przerwał ciszę.

— No chwila, do cholery — odpowiedział Modraszek. — Zaraz.

— Modry, przecież my to oglądaliśmy ze sto razy — westchnął Jarecki, spoglądając wymownym, lekceważącym wzrokiem na Kaffkę.

Ten jednak nie odpowiedział. Stary glina poczuł, że dzieje się coś niespodziewanego. Doświadczenie podpowiadało Kaffce, że panujący w kancelarii zaduch i senne odrętwienie to idealne tło dla czegoś, czego się nie spodziewają. Nie miał jednak czasu skupić się na przecuciu, bo kamera na ekranie oddaliła się od leżącego na podłodze mordercy. Potem uniosła się tak, aby widz mógł zobaczyć trupa z góry. Modraszek wcisnął pauzę, patrzył przez dwie, może trzy sekundy. Potem odwrócił się do pozostałych. W kancelarii słychać było jedynie szum wentylatora. Gliniarz chwycił fotografię i przyłożył do telewizora. Potem usiadł zrezygnowany, upuszczając odbitki na podłogę, spojrzał w milczeniu na Kaffkę.

Emil zaraz po naciśnięciu klamki drzwi gabinetu naczelnika wydziału kryminalnego doznał niewytłumaczalnego, ledwo uchwytanego, lecz dobrze znanego uczucia. Nieprzyjemny dreszcz od wielu lat podpowiadał mu, że zaraz usłyszy coś, co nie przyniesie nic dobrego. Dzień od rana był gorący i parny, koszula kleiła się do pleców, a powietrze wydawało się nie zawierać tlenu. Niezasłonięte nawet najmniejszą chmurą słońce przypominało palnik kuchenki.

— Cieszę się, że się widzimy — rzekł naczelnik. — Podobno pan intensywnie pracuje?

— Ku chwale ojczyzny.

— Jesteśmy zaszczyceni.

— Tak się złożyło. Rozkaz.

— Śledzę pana karierę.

— Mam nadzieję, że nie w mediach — skomentował Stompor.

Grzybek wyszedł zza biurka, by podać Emilowi rękę. Prezentował się dobrze. Z radia płynęły nuty *Love Hurts*. Detektyw uściśnął dłoń wysokiego, ogolonego, eleganckiego i szczupłego inspektora. A jednak w tym wszystkim coś nie pasowało i Emil czuł, że nie chodzi tylko o krzykliwy hit Nazareth sprzed lat.

— Miałem na myśli sukcesy.

— Raczej sukcesiki.

— Mam nadzieję — Grzybek kiwnął głową — że przemawia przez pana prawdziwa skromność, a nie przekora.

— Przekora to moje drugie imię.

— A mnie doszły inne słuchy.

— Tego się obawiałem.

— Zolner pana chwalił. Przed chwilą z nim rozmawiałem.

— Do mnie nie dzwonił.

— Ponieważ była to sprawa oficjalna, ale o tym zaraz — Grzybek rzekł z łagodnym, uprzejmym uśmiechem, patrząc Emilowi w oczy. — Można powiedzieć, że jest pan legendą naszej służby. Ma pan na koncie prawdziwe sukcesy. To zabrzmia kolokwialnie, ale bardzo na pana liczymy.

— Postaram się zrobić, co do mnie należy.

— Nie rwał się pan do przyjazdu tutaj.

— Z przyczyn osobistych — Emil odpowiedział.

— Rozumiem, że się pan jednak zgodził?

— Wystąpiłem na ochotnika — Emil zadrwił.

— Powinniśmy to załatwić po pana przyjeździe, ale potrzebowałem czasu, żeby się przygotować. Szkolenie podstawowe w Centrum Szkolenia Policji w Legionowie ukończył pan z wyróżnieniem? — Grzybek zapytał, zerkając w notatki, a kiedy Emil nic nie powiedział, dodał od razu: — Doskonałe wyniki z egzaminów strzeleckich.

— Teraz wzrok mam słabszy.

— Przydział do Oddziałów Prewencji w Warszawie. Potem delegacja do Komendy Wojewódzkiej w Katowicach. Do sprawy „Pająk”. Pełnił pan zadanie policyjnego psychologa?

— Mniej więcej.

— Profilera?

— Wtedy ich jeszcze nie było w policji.

— Były postępowania dyscyplinarne.

— Ich nigdy za wiele.

— Za co?

— Umorzone.

— Były chyba poważne, skoro pana przełożeni prowadzili je w kierunku wydalenia ze służby? — Grzybek zapytał, parząc w oczy policjanta.

— Wybaczyłem im.

— A jak było w Komendzie Rejonowej Policji Warszawa-Praga-Południe?

— Na Grenadierów. Siedem lat tłustych w ogniu patrolowym.

— Daleko od ścigania morderców.

— Nigdy nie chciałem być kryminalnym.

— Kolejne opinie służbowe z wyróżnieniem — Grzybek przeczytał, unosząc brew. — W tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym szóstym roku miał pan najwięcej zatrzymań na gorącym uczynku wśród policjantów całej służby prewencyjnej w Warszawie.

— Byłem wywiadowcą. Bez munduru łatwiej o takie wyniki.

– To imponujący sukces.
– Nie mogę uwierzyć, że ktoś o tym pamięta.
– Rok później — przeniesienie do kryminalnego. Jak to możliwe, że bez awansu?
– Naszej pani komendant rzeczy niemożliwe nie sprawiały problemu — Emil odparł, uśmiechając się sentymentalnie. — Cuda zwykła załatwiać od ręki.
– Czy to w nagrodę trafił pan na kurs oficerski w Szczytnie?
– Kolega chciał.
– A pan?
– Wolałem łapać bandytów.
– Awans na podkomisarza.
– Nigdy nie zabiegałem o gwiazdki. I nie ja je przyczepiłem sobie do pagonów.
– To widać. Nie dorobił się pan czwartej. Czy to ma związek z zawieszaniem?
– Mam to gdzieś.
– Brzmi poważnie. Zarzuty o przekroczenie uprawnień, niedopełnienie obowiązków, usiłowanie zabójstwa oraz nieumyślne spowodowanie śmierci, a także zniszczenie mienia.
– Faktycznie, brzmi poważnie.
– Nie odniesie się pan do tego?
– Wszystko niepotwierdzone.
– Po długotrwałym zwolnieniu lekarskim. I rocznym urlopie.
– Czekałem na przeprosiny.
– Wtedy humor też pana nie opuszczał?
– Raczej wszystko brałem do siebie.
– Czym się pan zajmował przez te półtora roku?
– Świeżym powietrzem, przyszłą żoną i leczeniem alkoholizmu.
– To nie brzmi najciekawiej.
– Wpis do akt o wymierzonej i wycofanej karze obniżenia stopnia oraz wyznaczenia na niższe stanowisko służbowe z powodu rażącego naruszenia etyki zawodowej także.
– Nawet przełożeni mogą się pomylić.
– O tak, nawet oni — Emil kiwnął głową. — I nawet nie raz.
– Po powrocie z urlopu przyjęto pana na stan Centralnego Biura Śledczego.
– Sekcja do spraw Uprowadzeń.
– Trzy dni później trafił pan do Wydziału Zabójstw Komendy Stołecznej.
– Nawet nie odebrałem rozkazu. Został cofnięty. Byłem w zabójstwach niezbędny.
– Ciekawe — Grzybek kiwnął łusą jak kolano głową. — Czytałem też o pana ojcu. Stompor Jan. Należał do Armii Krajowej. Walczył na Woli. Przeszedł w rejon Starego Miasta, gdzie uczestniczył w walkach o Pasaż Simonsa. Uczestnik nieudanego przebicia się do Śródmieścia. Lekko ranny w bombardowaniu pasażu, ewakuował się kanałem do Śródmieścia.
– Widzę, że interesuje się pan historią.
– Interesują mnie ludzie, którzy u mnie pracują.
– Mama była sanitariuszką. Po kapitulacji oboje wyszli z miasta do obozu przejściowego w Ożarowie, potem trafili do Stalagu VIII B-344 Lamsdorf. Na Opolszczyźnie. Matkę zwolnili. Ojca więzili do tysiąc dziewięćset czterdziestego siódmego roku. Był torturowany przez bezpiekę — Emil wyrzucił jednym tchem. — Może dlatego nienawidzę czerwieni?
– Muszę zapytać o braci. Starszy jest policjantem w Hamburgu?
– Bez obaw. Ludzie z Wydziału Informacji Niejawnych już mnie o to magłowali. Nie jestem szpiegiem, brat także. Poza tym nie widziałem się z nim sto lat.
– Studiował pan na Wojskowej Akademii Medycznej w Łodzi.
– Zaskakuje mnie to, jak pan naczelnik się przygotował.
– Był pan objęty rozpoznaniem operacyjnym. Kilka razy. Teraz decyzją Ministra Spraw Wewnętrznych i Administracji został pan powołany do nas.
– Cała przyjemność po mojej stronie.
– Panie Stompor — Grzybek rzekł, udając, że nie wyczuwa sarkazmu — nie jest pan już szeregowcem. Dobrze pan wie, z czym to się je. Sprawy postępowań o tym świadczą najlepiej. I niech się pan nie wypiera, bo jak pan widzi, gruntownie pana sprawdziliśmy. Jest pan idealny. Mam nadzieję, że Kraków będzie oznaczał dla pana sukces. Wiem, że ma pan własne zasady. One i mówienie prawdy w naszej promującej fałsz instytucji to akt wielkiej odwagi. Jest pan nam teraz po prostu potrzebny. Bardziej niż kiedykolwiek.
Emil kiwnął bez entuzjazmu głową.

Dolores Stompor miała wrażenie, że się przesłyszała. Potem uniosła brwi, otworzyła usta i również się uśmiechnęła. Oczywiście, że było w tym odrobinę kokieterii. Jednak tylko przez moment poczuła się głupio. Emil miał rację. Oczywiście była mężatką, więc nigdy by się do tego otwarcie nie przyznała, ale Mazurkiewicz jej się podobał.

— Góra z górą — powiedział, błyskając rzędem idealnie równych, białych zębów. — A człowiek z człowiekiem — owszem. Pani Stompor — dodał, ujmując szarmancko jej rękę i dotykając ustami jej dłoni. — Dzień dobry. Gdzie pani podziła męża?

— Jest w Krakowie.

— W pracy?

— No tak — odparła niechętnie — ale wolałabym... pan rozumie.

— Oczywiście.

— A to nasza córcia — Lola powiedziała, spoglądając na Julkę. — Przywitaj się z panem.

Dziewczynka podała rączkę, mężczyzna kucnął, uśmiechnął się i uściśnął delikatnie jej drobną dłoń. Julka przez chwilę patrzyła podejrzliwie, zdradzając objawy zawstydenia, ale kiedy mężczyzna przesunął dłonią po jej policzku i zrobił niespodziewanie zeza, natychmiast się rozpromieniła.

— Jestem Ed, a ty?

— Julia.

— Julia, pięknie — Ed wstał, po czym dodał: — Czy będzie nietaktem, jeśli zaproszę obie panie na kawę? A tak, przepraszam! — dodał. — Nie obie — szepnęła, patrząc na dziecko. — Tylko panią. Julce stawiam duże lody albo bitą śmietanę.

Dziewczynka aż klasnęła z radości. Potem natychmiast spojrzała z wyczekiwaniem na Lolę. Kobieta, patrząc w jej wielkie, zielone oczy zawahała się przez chwilę. Dawno nie była z żadnym mężczyzną na kawie. No i co na to powiedziała by Emil, pomyślała. A potem przyszło jej do głowy, że to przecież nic takiego. Tylko kawa w biały dzień, przy okazji zakupów w centrum handlowym. Przypadkowe spotkanie z ich wspólnym znajomym. Kiwnęła głową.

— Zawsze jest pani taka tajemnicza?

— Nie — zaśmiała się. — Tylko widzi pan, praca mojego męża jest specyficzna — odpowiedziała, zajmując miejsce przy stoliku.

— I dlatego ma pani zakaz mówienia o niej?

— Wolę unikać tego tematu.

Kelnerka przyjęła zamówienie. Po chwili przyniosła kawę i lody. Mazurkiewicz zapłacił. Lola zauważyła, że zostawił niewielki, ale uczciwy napiwek. Podobał się jej. Był przystojny, zadbany i pachniał drogą wodą kolońską. Do tego miał czarujący uśmiech.

— Jeszcze raz muszę panu pogratulować występu.

— Lepiej porozmawiajmy o pani — odparł skromnie. — Pochodzi pani z Warszawy?

— Jesteśmy z mężem przyjezdni.

— Zupełnie jak ja.

— A skąd pan pochodzi?

— Z niewielkiej miejscowości na skraju Lasów Janowskich — powiedział, spoglądając, jak Julka zajada się bitą śmietaną. — Piękne miejsce. Szkoda, że stamtąd jest wszędzie daleko. Dlatego wynajmuję tutaj mieszkanie. Bywam też w Krakowie. A jak pani się w Warszawie podoba?

Lola spuściła wzrok i pomieszkła kawę łyżeczką. Tak naprawdę zrobiła to zupełnie świadomie, dając Mazurkiewiczowi do zrozumienia, że coś jest nie tak, ale natychmiast się uśmiechnęła, myśląc w duchu: Lola, na Boga, co ty wyprawiasz! Jesteś mężatką, matką, a twój mąż jest daleko, opamiętaj się, do cholery! Nie powinnaś flirtować.

— Widzę, że jest problem.

— Ależ skąd! — zaprotestowała, odrzucając włosy na ramiona.

— Mnie pani nie oszuka.

— No dobrze — szepnęła, nachylając się nad stolikiem. — Warszawa jest naszym pierwszym problemem. Emil jej nienawidzi, mnie ona też już dawno obrzydła.

— „Żyjemy tu, w Warszawie, życiem tramwajowym. Spostrzegamy z przerażeniem, jacy potrafimy być pierwotni, dzicy, egoistyczni, kłótlivi, nietolerancyjni, zaślepieni, krótkowzroczni. I ileż wspaniałych wartości dostrzegamy naraz w życiu, gdy uda nam się wepchnąć jako ostatni do rozchodzącego się w szwach autobusu”.

— Tyrmand?

— Zły — odparł, spoglądając w jej oczy. — Chyba wszyscy nienawidzimy wielkich miast. One mają w sobie jednak jakiś dziwny magnetyzm, który sprawia, że lgniemy do nich niczym ćmy do świateł.

— Pięknie pan to ujął.

— Powiedziała pani, że Warszawa jest waszym pierwszym problemem. A drugi?

— Policja.

— Mogłem się tego spodziewać — odpowiedział.

— Może nie powinnam panu o tym mówić, ale czuję się tu samotna bardziej niż kiedykolwiek. Mam już dosyć tego, że mąż jest w domu gościem. Bywa tak, że całymi nocami śpię sama. A w każdym razie kładę się sama do łóżka, a on przychodzi nad ranem, padnięty, z podkrążonymi oczyma, w których widzę mrok, w jaki patrzyły.

— Ludzie nie rozumieją, czym jest ta praca?

— Nie mają pojęcia, jak wyniszcza ciało i umysł i zmienia ludzi.

Aktor spoważniał. Wiedział, o czym Lola mówi. Wiedział lepiej, niż ktokolwiek inny mógłby przypuszczać. Pokiwał głową smutno, ale ze zrozumieniem. Czekał, a kobiecie to bardzo zaimponowało. Ktoś jej po prostu słuchał, a nie tylko udzielał rad.

— Problem w tym, że praca jest dla Emila całym życiem.

— Nie on jeden ma ten problem.

— Chciałabym, żebyśmy byli także częścią tego życia.

— Jesteś... — odpowiedział. — To znaczy, jest pani...

— Możemy chyba mówić sobie po imieniu, prawda? Lola — podała dłoń.

— Edmund, ale to już wiesz.

— Nie da się ukryć.

Julia zjadała się w najlepsze lodami. Lola spojrzała na córkę, potem nabrała powietrza.

— Niebawem będziesz sławny. Jak Linda, Gajos, Pazura czy Lubaszenko.

— Ha, ha, dobre! Tak czy inaczej, pewnie nie masz pojęcia, jak do mnie mówić? Mów Ed albo Edi, tak będzie prościej. A wracając do tematu, chciałem powiedzieć, że może powinnaś być dla niego odrobinę bardziej wyrozumiała?

— Mogłam przypuszczać, że stanesz po jego stronie.

— Nie — powiedział poważnym tonem. — Policja to na pewno ciężki kawałek chleba.

— Chodzi nie tylko o to.

— Słucham zatem.

— Mamy ostatnio nieciekawy okres. Znamy się prawie sześć lat, od czterech jesteśmy małżeństwem i do tej pory nie mieliśmy problemów w związku, ale ostatnio... Przez tę jego cholerną pracę wplątałam się w coś jak romans — powiedziała, a potem dotknęła dłonią ust. — Boże, jak to zabrzmiało! Co ja plotę!

— Nie wiem, czy jestem odpowiednią osobą...

— Nie, nie. Źle mnie zrozumiałeś — dodała szybko. — Nie chodzi o prawdziwy romans. Po prostu tak się złożyło. Emil w wydziale miał stałego partnera. Znali się jeszcze z czasów szkolenia podstawowego. To rozumiałe, że bywał u nas. Moim zdaniem nie zrobiłam nic złego, ale on...

Zapadła niezręczna chwila milczenia. Lola poczuła się głupio. Boże, co ja wyprawiam, opowiadam obcemu mężczyźnie takie rzeczy. Przecież to są nasze małżeńskie sprawy. Już chciała zakończyć to idiotyczne spotkanie, kiedy Ed spojrzął łagodnie.

— Zakochał się?

— Tak.

— I chociaż nie dałaś żadnego powodu, to się na was odbiło?

— Właśnie — odpowiedziała, niemal wybuchając płaczem. — Ciągle to do nas wraca. Jakbym... Czuję się, jakbym zdradziła męża. A przecież nigdy, przenigdy bym tego nie zrobiła! I już mam dość wszystkiego. Tego wszechobecnego niepokoju, dość poczucia, jakby życie w Warszawie było dla mnie przegranym losem. Nienawidzę tego miasta, jego pracy i tego, że nie mogę żyć tak, jak bym chciała — wyrzucała z siebie, a potem opowiedziała, jak się poznali i związali po jego pamiętnym urlopie w Sudetach.

Edi opowiedział o sobie. Pół godziny później czuła się, jakby byli starymi, dobrymi przyjaciółmi. Rozmawiając z nim, Lola rozumiała, że nie powinna czekać, aż Emil podejmie decyzję. Powinna działać. A potem widząc, że Julka dawno już zjadła i zaczyna się nudzić, podziękowała za kawę, lody i przyjacielską rozmowę.

— Autobus? — Ed uniósł brwi. — Chyba nie chcesz powiedzieć, że zamierzacie wracać w taki upał komunikacją miejską?

— Ależ na Marymoncką nie jest daleko.

— Odwiozę was. Mieszkam na Wawrzyszewie.

— A masz fotelik? — zapytała zalotnie.

— Nie, ale w autobusie też ich raczej nie dają.

— Dostaniesz mandat.

— Twój mąż z pewnością coś z tym zrobi, jeśli zajdzie taka konieczność — powiedział.

Uśmieł się, kiedy odpowiedziała, że Emil jest człowiekiem z zasadami, których nigdy nie łamie. Dodała, że matactwo w takiej sprawie byłoby przez niego dosadnie skrytykowane. Odwiózł ją pod sam blok. Kiedy wchodziły do klatki schodowej, pomachał im z samochodu. Czuła, jak kamień spadł jej z serca. Zdecydowała, że weźmie telefon, wykręci numer. I zacznie działać. A potem postawi męża przed faktem dokonanym. Inaczej będą tkwić w tym dalej, aż w nieskończoność.

Agata Żurawska już na stażu odkryła magię i dreszczyk emocji, jakie niesie ze sobą dziennikarstwo. Po dyplomie poświęciła się tej pracy. Teraz patrzyła, jak do sali konferencyjnej wchodził z odpowiednio dobranymi do powagi sytuacji minami: premier, minister spraw wewnętrznych i administracji, a za nimi komendant główny wraz z komendantem wojewódzkim policji w Krakowie, rzecznikiem prasowym komendanta głównego w regulaminowym umundurowaniu oraz skądś znany jej policjant w cywilu. Był również sekretarz stanu w MSWiA. To, co usłyszeli chwilę później, wszystkich zdumiało. Komendant z Krakowa oświadczył, że rozpowszechniane przez przedstawicieli mediów informacje na temat tak zwanej sprawy skóry są z gruntu fałszywe. Inspektor Lerman dodał, że krakowska policja nigdy nie zaprzestała prowadzenia działań mających na celu odkrycie prawdy na temat wyłowionych z Wisły szczątków. Potem sekretarz uprzejmym uśmiechem dał znak, że nadszedł czas na pytania. Dziennikarka uniosła rękę. Zapytała, czy to oznacza, że śledztwo nie zostało umorzone. Dowiedziała się, że niebawem po ujawnieniu szczątków śledczy prowadzący sprawę odszedł na emeryturę. Dalsze czynności prowadził inny policjant. A właściwie inny zespół. Komendant Lerman zaczął ślodzić, że jego policjanci nie dostają za pracę w nim dodatkowego wynagrodzenia. To pasjonaci. Zajmują się niewyjaśnionymi przestępstwami sprzed lat. Analizują najtrudniejsze sprawy kryminalne, głównie już umorzone wobec niewykrycia sprawców, chociaż w tym konkretnym wypadku tak nie było. Wszyscy dowiedzieli się, że sprawę skóry przekazano im niezwłocznie po przewidzianym przez odpowiednie przepisy kodeksu postępowania karnego czasie. Wreszcie Lerman wyjaśnił, że do tej pory utrzymywano istnienie tej komórki w tajemnicy, ale wobec zarzutów, jakie w ostatnim czasie pojawiły się pod adresem formacji, zdecydowano się poinformować opinię publiczną o jej istnieniu. Żurawska natychmiast skojarzyła to z amerykańskim serialem telewizyjnym. Nabazgrała w notesie nazwę. A potem poprosiła, by komendant coś jeszcze powiedział o „Zespole X” i sala wybuchła śmiechem. Atmosfera rozluźniła się. Kobieta jednak zauważyła kątem oka, że wielu z jej kolegów coś zanotowało, a rzecznik nabrał powietrza i zaczął mówić dalej. Dowiedzieli się, że ten dotąd tajny zespół powołano eksperymentalnie. Efekty są obiecujące, zatem niewykluczone, że podobne powstaną w innych komórkach i jednostkach policji. Komendant Lerman z emfazą zakomunikował, że policjanci zespołu podążają za prawdą tam, gdzie jeszcze nikt jej nie szukał. Działają z determinacją, aby ująć groźnych sprawców i doprowadzić przed oblicze sprawiedliwości. Rzecznik dodał, że zespół składa się z najbardziej doświadczonych policjantów w kraju, najwyższej klasy oficerów, w większości prawników, z co najmniej kilkunastoletnim stażem. Mówił, że zwykle wywodzą się oni z większych jednostek. Do zespołu krakowskiego powołano dla przykładu obecnego tu komisarza Emila Stompora, który na co dzień służy w Wydziale Zabójstw KSP, rzecznik wskazał na siedzącego na skraju gliniarza. Flesze błysnęły jak oszalałe. Obiektywy kamer skierowały się na zwykłą, niewyróżniającą się twarz pokrytą kilkunadniowym, nieco siwiejącym zarostem. Emil zmrużył oczy. Żurawska w świetle kamer dostrzegła przyprószone siwizną skronie. Rzecznik, nie tracąc inicjatywy, chwalił się, że policja coraz częściej korzysta z najnowocześniejszych zdobyczy i możliwości, które dają kryminalistyce nieustannie rozwijającą się nauka i metody śledcze. Wymienił wariograf, georadar, badania DNA, analizę mikroskopową oraz makroskopową śladów, ale także tradycyjną pracę operacyjną i dochodzeniowo-śledczą. Stompor kiwnął głową, a Agata uśmiechnęła się. Rzecznik był niczym Goebbels. Nie pozwalając na przerwę, zręcznie zmienił temat na szkolenia specjalistyczne, które przechodzą policjanci, w tym na przykład w bazach w USA, tak jak komisarz Stompor. Emil znów kiwnął głową. Jednak mina, z jaką jego twarz utrwalono na zdjęciach, była daleka od zadowolenia. Zupełnie inaczej niż premiera, ministra spraw wewnętrznych i administracji, komendantów, rzecznika prasowego i sekretarza stanu MSWiA.

„Więc kimże w końcu jesteś? Jam częścią tej siły, która wiecznie zła pragnąc, wiecznie czyni dobro” — mężczyzna mówi, siedząc naprzeciw kamery. — Każdy film zaczyna się od sceny początku. Ktoś gdzieś przychodzi, spotyka się albo rusza w podróż. To właśnie ten moment — morderca dodaje, przerywając starannie zaplanowaną pauzę.

Obiektyw kamery ustawiony na ciężkim, trójnożnym statywie obejmuje jedynie białą ścianę w tle oraz głowę mężczyzny z białą maską z plastyku. W pokoju jest jasno i cicho, człowieka przed kamerą ogarnia podniecenie, pełna napięcia narastająca przyjemność.

— Zawsze zastanawiałem się nad tym, jak do tego wszystkiego doszło i kiedy zaczęła się moja wyprawa. Ojciec mój — mężczyzna przerywa, po czym zmienia głos, niczym zawodowy lektor i dodaje — nazywam go tak po raz pierwszy, a zarazem ostatni, nie zasługuje bowiem na to, by tak go określać. Jurgen Weier wziął za żonę późniejszą matkę moją, Edeltrud, luterzańską fanatyczkę religijną, która po tym, jak z bratem zaczęliśmy rozumieć to, co się wokół nas dzieje, zaczęła zabraniać nam kontaktów z dziewczynkami. Mieszkaliśmy przy Stawowej 10. Jako że Jurgen Weier był Niemcem, matka pozostawiła nam obu własne nazwisko, by chronić nas przed pierwotnym brudem germańskiej krwi. Z odległej i mrocznej perspektywy lat, które minęły, widzę, że ten alkoholik nie miał nic do powiedzenia w kwestii naszego wychowania, zostając pod wpływem dominującej małżonki, matki naszej — mężczyzna przerywa.

Zapada milczenie. Widać, że groteskowe wyznanie mężczyźnie nie przychodzi z łatwością. Po chwili spogląda na czerwone światło kamery i kontynuuje mocniejszym, głośniejszym i naturalnym głosem.

— Uczyłem się dobrze, pewnie dlatego, że łaskawa natura wyposażyla mnie w ponadprzeciętną inteligencję, co nie jest jedynie przechwałką, lecz faktem. Potwierdzonym zresztą przez szkolnego pedagoga, do którego mimo piątek i czwórek traślałem z powodu problemów z zachowaniem. Gdzieś miałem szkolny regulamin. Zawsze uważałem, że ograniczenia są dla jednostek pospolitych. Nigdy się do nich nie zaliczałem i zaliczać się nie będę, o czym świadczy między innymi to, co teraz nagrywam — mówi, a w głosie czuć wyższość i dumę. — Ta bogobojna kurwa już wtedy była alkoholiką i jak szlag trafił Weiera, zaczęła pić więcej. Porzuciła nas, trafiłem do Sierocińca Świętego Jana w Sosnowcu. Panowały tam surowe zasady i nigdy nie zapomnę, jak te dziwki w habitach poddawały nas karom cielesnym. Myślę, że to stało się katalizatorem zła, które od zawsze we mnie drzemało, ale też i nieprzeciętnego talentu, z jakim się urodziłem. Zakonnice zmuszały mnie do śpiewania w chórze, dzięki czemu mój aparat mowy jest dziś tak sprawny. Mając dwanaście lat, nawiązałem romans z innym nastolatkiem. Gdyby nie on, nigdy by do tego wszystkiego nie doszło. Ten boski chłopak o twarzy cherubina stał się moją Annabel Leigh. „Coś, co w serafinach, oszukanych, prostych, wzniosłoskrzydłych serafinach budziło zawiść” pchnęło mnie w otchłań, z której nigdy się już nie wydobyłem. A to, na co teraz patrzycie, choć jest dziełem mojego życia i dziełem nad dzieła, to przyznaję również — tu mężczyzna schyla teatralnie głowę — po trosze jest też przerażającym wołaniem rozpacz, skargą niewinnego i pełnym odwagi świadectwem, jak ciemność zwycięża z jasnością, noc z dniem, a Szatan z Bogiem.

Mężczyzna urywa. Spogląda w górę, gdzieś nad kamerą. Widać, jak przełyka ślinę, zastanawia się nad kolejnym zdaniem, kręci głową, a potem niespodziewanie, jak aktor na scenie spogląda przed siebie, wprost przed kamerę.

— Wtedy właśnie w dwunastoletnim chłopcu, jakim byłem, półsierocie, narodził się potwór nad potwory.

Gliniarze zatrzymują się na wysokim brzegu. Obaj spoglądają w dół. Jest ciepło, słonecznie. Nieruchome i ciężkie, parne powietrze sprawia, że turkusowa tafla Zalewu Zakrzówek jest jak lustro. Niezmacona i płaska. Kaffka patrzy na Szepelę, rozgląda się i daje mu do ręki pliczek żółtawych banknotów.

— Na chuj odstawiasz tę szopkę?

— Nie domyślasz się? — Szepela odpowiada, przeliczając dwustuzłotówki. Wkłada ręce wraz z pieniędzmi do kieszeni spodni i spluwa w wodę. Spogląda na przyjaciela. Obaj milczą. Kaffka dyskretnie rozgląda się w obawie, czy nie są obserwowani. Wreszcie unosi wzrok ku ciemniejszemu niebu na zachodzie. — Miałeś rację — stwierdza.

— Z czym?

— Raczej z kim, w mordę.

— Stomporem?

— Nie, z papieżem, kurwa — odpowiada Szepela. — A z kim? Zaczynam się martwić.

— Chyba żartujesz?

Kaffka wydyma wargi. Szepela poprawia okulary. Wokół panuje cisza. Drugi glina przez chwilę zastanawia się nad odpowiedzią. Potem, wciąż nie patrząc w stronę wyższego o ponad głowę przyjaciela, odpowiada ciszej. Robi to tak, jakby ostatecznie zdanie nie padło.

— Powiedziałem tylko, że pamiętam to jego cholerne nazwisko.

— Nie zdziwił cię ten niby-żart o literacie?

— Tylko przez chwilę — odpowiada Kaffka.

— Uznałeś, że żartowałeś?

— To był przypadek.

— A jeśli nie?

— A co miałyby to być? Przecież to pajac, widziałeś.

— Widziałem na nagraniu, jak przesłuchuje Eliaszewskiego — mówi Szepela. — Dobry jest. Nie uwierzył w naszego podejrzanego.

— A ty wierzysz?

— Idźże do diabła! Dobrze wiesz, o co mi chodzi.

— Spokojnie. Eliaszewski nic nie powie. A Stompor to tylko komisarzyk z Warszawy — Kaffka uściśla pogardliwym tonem. — Posiedzi tu, powęszy, zrobią idiocie kilka zdjęć pod publikę. Sprawa ucichnie.

— A jeśli nie?

— Co nie?

— Jeśli nie ucichnie?

— Ucichnie. Lerman poklepie pajaca po plecach. Nasz Holmes pokiwa głową i pojedzie.

Szepela zaciąga się, patrzy zmrużonymi oczyma w milczeniu na drugą stronę zalewu. Brzeg jest wysoki, jasny wapien odbija się od czystej, przejrzystej wody. Wokół jest cicho, nie ma prawie nikogo. Widać nadszyczący deszcz zniechęcił amatorów kąpeli.

— Nie wyglądał na takiego, co cieszyłby się z tego wyjazdu — zauważa Kaffka.

— Na geniusza też nie wygląda, a sam widziałeś, jaki numer odjechał ze swetrem.

— Może miał szczęście?

— Mam złe przecucia.

— Dajże spokój!

— Ty naprawdę się tym nie przejmujesz?

— Nie mam zamiaru tu sterczeć z tobą jak jakiś pedzio. Umówiłem się z wnukiem, że pójde z nim dziś do zoo.

— Zapomnij o zoo. Za pół godziny to przyjdzie do nas — Szepela wskazuje papierosem niebo. — A temat jest do obgadania. Ważniejszy od twojego wnuka.

W tym samym momencie do uszu obu starych gliniarzy dochodzi pomruk zbliżającej się burzy. Szepela mruży oczy. Kaffka patrzy na niebo. Obaj wyglądają na emerytów, którzy spotkali się pogadać o chorobach i wędkowaniu, a nie na starych gliniarzy.

— Co może być ważniejsze od rodziny, Klimek?

— Myślisz, że tego nie wiem? Też mam dzieci. I one mają dzieci. I właśnie dlatego, że obaj jesteśmy dziadkami, powinniśmy pogadać.

— O nim?

— A o kim? O mnie?

— Co żeś się tak nagle zesrał? — wzdycha wielki glina. — Klimek, do ciężkiej cholery! Minęło prawie dwadzieścia lat!

— To nie znaczy, że nie musimy czuć.
— Nad czym?
— Dobrze wiesz, jak było z Krajewskim.
— Był za blisko, ale już nie jest — Kaffka mówi niskim, ochrypłym głosem. — A życie toczy się dalej.
— Po prostu martwię się, że ten kutas coś znajdzie.
— Klimek! Co może znaleźć?
— To samo. Widziałeś, jaki numer odjechał ze swetrem — Szepela powtarza ponuro.
— Nie porównuj gówna do serka!
— Ostatnio mówiłeś co innego.
— Powiedziałem tylko, że pamiętam to jego cholerne nazwisko.
— Musimy czuć. Przemyslałem raz jeszcze to wszystko. My, Gutek, nie mieliśmy ani jednej sprawy takiego formatu, jak ten pierdolony Stompor. Rozumiesz? Nie mieliśmy! A on miał! Co najmniej trzy!
Kaffka unosi brodę, nie odrywając oczu od przyjaciela. Nad jego głową, w dali ciemne chmury rozjaśniła błyskawica. Zapada cisza, której żaden z nich nie przerywa. Gdzieś bliżej zagrzmiało. Szepela spogląda na dłonie i nerwowo skubie coś na wewnętrznych ich stronach.
— Wszystkie rozwiązał. I nadal pracuje, rozumiesz?
— Dobra. Po prostu się przestraszyłeś. Przyjąłem.
— Jest czego! Nam się udało, ale niektórzy poszli siedzieć.
— Nie za niego — zauważa Kaffka. — Za gówno, jakie się potem rozlało. My to co innego. A teraz, po latach, to już nie ma znaczenia.
— Ma, Gutek! Ma, i to zajebiste.
— Minęło szesnaście lat.
— Nie mów, że nie zapomniałeś?
— O „Literacie”?
— A o czym? O „Literacie”, drugim szeregu. O wszystkim! A teraz o tym — Szepela potrząsa zwitkiem banknotów.
— Ciszey, kurwa! — Kaffka cedzi przez zęby. — Pojechało cię?
— Może.
— Źle ci się żyje?
— Może właśnie źle, bo czuję, że cholerny Stompor może nam narobić syfu. Zastanów się nad tym, co powiedziałem. On jest niebezpieczny.
— Spokojnie, Klimek! — Kaffka rozkłada ręce. — Nie panikuj. Nic nie znajdzie.
— Broń nas od tego, Panie Boże, ale musimy trzymać rękę na pulsie.
— Wierzysz, że znajdzie faceta od Andrzejewskiej?
— Sram na Andrzejewską! Martwi mnie, co będzie, jeśli przy okazji odkryje coś innego.
— Nie odkryje — Kaffka mruczy. — Rozumiem, że się martwisz, bo odpierdolił nam teatrzyk, że hej. Tylko co z tego, że znalazł konkretniejsze analogie pomiędzy filmem a skórą?
— Nie wiem.
— Przecież nic z tego nie wynika.
— Wynika to, że może nam nabruździć.
— Niby jak?
— Srak! — Szepela odpowiada zdenerwowany. — To ja miałem tę sprawę po Krajewskim. I obaj wiemy, że można było zrobić znacznie więcej.
— Naprawdę uwierzyłeś w to gówno, jakie rzecznik serwuje dziennikarzom, a ci powtarzają motłochowi? — Kaffka pyta uspokajająco, ale sam czuje niepokój.
— Jeśli Stompor zacznie w nim rzeźbić, to będą kłopoty.
— Aleś się uparł.
— Boję się o dupę.
— Zawsze byłeś ostrożny.
— Także twoją, kurwa! — Szepela celuje palcem.
— Dobra, będę miał go na oku.
— Najbardziej martwi mnie, że jest dożarty na takich jak my.
— My?
— Wiesz, co mam na myśli.
— My, Klimek, jesteśmy policjantami. Po-li-cjan-ta-mi — Kaffka sylabizuje. Od piętnastu lat, kurwa!
— Czternastu. Możliwe, że z nim też będzie trzeba coś zrobić.
— Spokojnie, lepiej nie przesadzać.
— Będę spokojny, jak pojedzie do domu.
— Musiałby naprawdę coś znaleźć. Kto uwierzy w jego historię?
— Media?

— Nie lubi się z nimi. Zresztą — Kaffka wzrusza ramionami — popiszą, pogadają se, a my napiszemy raporty. Za to, co zarobiliśmy, możemy wszystko. Ni chuja, nic nam nie robią. Zapłacimy za odpowiednie papiery każdemu lekarzowi w tym pieprzonym kraju. Kupisz sobie dom w Bieszczadach, na Mazurach albo nad Bałtykiem. Zresztą! Chuj z Bałtykiem. W przyszłym roku wejdziemy do Unii. Będziemy mogli zamieszkać, gdzie zechcesz. Hiszpania, Francja, a może Szwecja. No, co ci pasuje?

— Kraków.

— No to są jeszcze Czechy.

— Tu mam dzieci. I wnuki.

— Zawsze możesz wrócić do Zakopanego.

— Po czymś takim?

— Minęły lata.

— Górale mają dobrą pamięć. Nie miałbym życia.

— Klimek! Wyjechałeś z Zakopanego w siedemdziesiątym! Nikt cię już nie pamięta.

— Jeśli ja pamiętam, to mnie też pamiętają.

— W razie czego się ulotnimy. Mamy jeszcze Słowację. Będziesz miał niedaleko.

— Moje miasto jest tutaj.

— Do Popradu masz sto pięćdziesiąt kilometrów. Tam też jest pięknie. Zmienisz nazwisko, wyglądn i będziesz się śmiać z takich jak Stompor, a jego wykończą. Zresztą, kto cię rozpozna? Miałeś wtedy czterdzieści. Za trzy lata będziesz miał sześćdziesiątkę na karku.

— Za sześć. Mam teraz pięćdziesiąt cztery.

— Tym bardziej — Kaffka położył koledze dłoń na ramieniu.

— Nie zamierzam znowu zmieniać nazwiska. Chcę w spokoju odejść na emeryturę. Postrzelac do kaczek, upolować dzika, jak będzie pogoda — burknął Szepela. — A jak Pan Bóg da, to z przyjemnością napiję się przy tym wódeczki z tobą.

— Uspokój się.

— Nie, Gutek. Nie tak miało być.

— Nie będzie.

— Miałem się zestarzeć, odejść na emeryturę.

— Nie zapłaciliśmy za grzechy.

— Odkąd jesteś taki bogobojny?

— Odkąd i ty uwierzyłeś w Chrystusa Pana po tym, jak jebła komuna — warknął Kaffka.

— Kurwa, miałem żyć w spokoju, a nie uciekać, w mordę, jak jakiś lis.

— Myślisz, że mi to pasuje? — Kaffka odpowiada. — Nie po to całe życie zapierdalałem na chwałę Polski Ludowej, żebym na stare lata musiał wyjeżdżać. Wybudowałem dom na dwieście metrów kwadratowych, mam córkę, zięcia i wnuka. Gówniarz nie ma zdrowia, kocham go jak syna. Nie mam zamiaru się stąd nigdzie wyprowadzać. Mam zamiar chodzić na ryby, polowania, przycinać żywopłot i kosić trawę w ogrodzie. Żartowałem z tym wyjazdem. Nie martw się, poradzimy sobie. A jeśli trzeba, to...

Szepela spogląda na przyjaciela. Kaffka nie kończy. Zawiesza spojrzenie na przeciwległym brzegu i zaciska usta. Chmury zbliżają się i niebo ciemnieje. Znowu grzmi, tym razem dalej, ale zaraz potem przychodzi drugi, dużo głośniejszy grzmot. Liście głogów porastających wysoki brzeg szeleszczą, marszczy się tafla zalewu.

— Odkryją coś nowego, to powiemy, że z pomocą przyszły nam nowe możliwości, jakie daje kryminalistyce nieustannie rozwijająca się nauka i metody śledcze — Kaffka odpowiada, wymownie stukając się palcem w skroń. — Z warszawiakiem spróbuję coś wykombinować nieinwazyjnego.

— A co z Jareckim?

— To pożyteczny głupek. I niech tak zostanie. Jest młody, durny i wierzy w tę instytucję. I dobrze, takiego nam trzeba. Lepiej, żeby do tego nie doszło, ale jeśli to będzie konieczne, możemy idiotę przecię poświęcić. Musimy tylko dbać o to, żeby podpisywał się wyraźnie i przykładał pieczęć tam, gdzie to konieczne.

— A Modry?

— Zostaw to mnie — mruknął Kaffka.

— Tylko żeby z tego nic głupiego nie wyszło.

— Znamy się trzydzieści lat — Kaffka odparł w zamyśleniu. — Przeżyliśmy Jaruzelskiego, Rakowskiego i Kiszczaka. Milicję i ubecję. Poradzimy sobie. Stompor to pryszcz. Jeśli będzie trzeba, zjemy go, strawimy, a potem wysramy. Coś wymyślę.

Nim doszli do samochodów, na ciemnoczerwonym lakierze daewoo espero i zielonym metaliku oplaastry pojawiły się pierwsze, jeszcze niewielkie kropelki deszczu. Nad Kraków nadciągał ciepły, czerwcowy deszcz, a nad ich głowy widmo tego, za co nigdy nie zapłacili.

Modry zaparkował, wyłączył silnik, zaciągnął hamulec. Wyjmując kluczyk ze stacyjki, spojrzął na wysiadającego policjanta z Warszawy. Słońce z każdą minutą zaczynało prażyć mocniej. Emil trzasnął drzwiami i włożył w usta listek gumy do żucia.

— I jak ci się podobało w świetle jupiterów? — zadrwił Modraszek.

— Było wspaniale.

— Jesteś stworzony, by zostać gwiazdą. Przyznaj, to przyjemne?

— Przyznaję — Emil odparł i splunął. — Jak kolonoskopia.

Modraszek zachichotał. Wiedząc, jaki Emil ma stosunek do cyrku, w którym wystąpił, spojrzął na niego rozbawiony. Ten rozglądał się po osiedlu, jakby szukając czegoś, co nie pasowało.

— Dlaczego tutaj zamieszkał?

— Cholera wie? — Modraszek odparł, wzruszając ramionami.

— Przecież jechaliśmy tu ze dwie godziny.

— Ponad dwie. Może chciał uciec od miasta i zgiełku?

— Jak go zapamiętałeś?

— Spotkaliśmy się kilka razy. Ostatni, jak zaczął znów węszyć wokół skóry.

— Znów? — zainteresował się Emil.

— Przeszedł do cywila, ale nie odpuścił.

— Ciekawe. Czy jak przejdę na emeryturę, też będę babrał się w starych sprawach?

— Krajewski nie był zwykłym glinią — wyjaśnił Modraszek.

— Miał czworo rąk?

— Nie miał nierozwiązanych spraw.

— Każdy je ma.

— Nie on. To niedorzeczne, ale każdą rozwiązywał. Wcześniej albo później, ale robił to.

— Rzeczywiście. Brzmi niedorzecznie.

— Był utalentowanym policjantem. To taki Stompor z Krakowa.

— A, rozumiem. Wielki Pies?

— Nie znosił Szepeli.

— Swój chłop.

— Nienawidzili się — Modry dodał, wchodząc razem z Emilem po schodach. — Z Kaffką podobno też się nie darzyli sympatią.

Emil zatrzymał się. Obejrzał drzwi oklejone białą taśmą z pieczętkami Komendy Powiatowej Policji w Sandomierzu, założył błękitne, gumowe rękawiczki i wyjął składany nóż z kieszeni. Modraszek przestąpił niepewnie z nogi na nogę, podrapał się po głowie. Nieco przestraszony rozejrzał się po korytarzu.

— Co robisz? — spytał Modry.

— Nic.

— Mieliśmy poczekać na dzielnicowego.

— Oni się zawsze spóźniają.

— Nie można tak!

— Patrz — Emil odparł, przykładając ostrze noża to taśm. — Pochwalę ci się scyzorykiem. Podobno w tych okolicach coś takiego w kieszeni jest w dobrym tonie — policjant odparł, zrywając taśmę.

— Raczej w Kielcach.

— Ma dla mnie wartość sentymentalną. To moja pamiątka z pierwszej sprawy — Emil szepnął konfidencyjnym tonem, mrugnął, a potem przeciął taśmę, wsadził klucz i nacisnął klamkę.

W mieszkaniu wciąż zalatywało dobrze znanym smrodem. W powietrzu oprócz trupiego zapachu unosił się metaliczny odór krwi. Emil zatrzymał się na środku dużego pokoju, dokładnie tam, gdzie policjanci po wyważeniu drzwi znaleźli pozostałości po rozkładającym się ciele byłego gliny.

— Nie powiesz mi, że to, co tutaj się stało, nie ma związku ze skórą? — szepnął.

— Jasne, że tak! Tyle że...

— No?

— Trochę to dziwne.

— Że został zamordowany?

— Nie — odparł Modraszek — ale to jak umarł, już tak. Co zabójca z nim zrobił. Obcięcie głowy nie jest typową praktyką morderców. Nawet jeśli nasz przyjemniaczek wcześniej bawił się w „Kuśnierza”.

Emil nie odpowiedział. Oglądał mieszkanie. Dwupokojowy apartament z czasów socrealizmu: przedpokój, po prawej wąska i długa kuchnia, dalej pokój z łóżkiem i biurko, na wprost łazienka

i pomieszczenie, w którym znaleziono ciało. Stompor przez kilka długich chwil uważnie rozglądał się po dużym pokoju, który wcale nie był duży. Całe mieszkanie mogło mieć czterdzieści dwa, może czterdzieści pięć metrów kwadratowych.

— Wszystko sprawdzone. Jest tak, jak wtedy, kiedy go tu znalezione.

— Błąd logiczny. Formalny — odparł Stompor. — Skoro nie ma ciała, nie wszystko jest tak samo.

Emil spojrzął tylko na kolegę, po czym otworzył wszystkie szafki i szuflady. W jednej z nich znalazł wizytówkę redaktora Mordki. Obejrzał ją, przyłożył do nosa. Przez chwilę wachał papier, a potem spojrzął z zaciekawieniem na Modrego. Młody policjant wzruszył ramionami. Emil pomyślał, że to, co wynajmują z Lolą, to niemal dokładnie taki sam lokal. Potarł palce o siebie, zwracając uwagę na szafkę pod ścianą.

— *Argumentum ad ignorantiam*.

— Co znowu? — Modry przewrócił oczyma.

— Brak argumentów fałszywości twojej tezy nie implikuje jej prawdziwości — szepnął, przyglądając się meblowi, po czym skupił wzrok na parapecie, gdzie znalazł kilka zeschniętych liści. — Zawsze można sprawdzić coś jeszcze.

— Jakbym naczelnika słyszał.

— Powiedziałeś, że wszystko jest tak, jak wówczas, kiedy został tu znaleziony — Emil wskazał parapet. — Z wyjątkiem drzewek.

— Drzewek i akwarium. Zabrałem je.

— Czyli nie wszystko. Sam to przewiozłeś?

— Jarecki mi pomógł.

— Czyli zabraliście, a nie zabrałeś.

— Będziesz czepiał się słownictwa?

— To nie czepianie się.

— A co? Pieprzenie?

— Precyzja — odpowiedział Stompor, wracając do kontemplowania śladów zaschniętej krwi na drzewczkach. — Inaczej mówiąc, konkretyzowanie szczegółów, bo one tu mogą mieć zajebiste znaczenie.

— Nie widzę związku.

— To, że go nie widać, nie oznacza, że go nie ma.

— A jest?

— Nie wiem. Zobaczymy.

— To tylko słowa.

— Dobry detektyw musi być precyzyjny. Genialny powinien mieć na ich punkcie obsesję. Słowa to broń. Tylko inteligencja jest od nich bardziej niebezpieczna. A co z dinozaurami? Nie pomogli wam? Przecież kiedyś z nim pracowali? — dopytał Emil.

— Tak, ale też nie bardzo darzyli się sympatią.

Emil kiwnął głową. Przesunął otwartą dłoń po ścianie. Spojrzął na jej wnętrze.

— Sprawę prowadzili miejscowi — ciągnął Modry. — Dopiero po tym, jak wybuchła ta cała afera w mediach i temat przejęła Prokuratura Krajowa, dostaliśmy wgląd do akt. I nie powiem, chłopaki sprawili się nieźle. Zrobili wszystko, jak Pan Bóg przykazał. Zabezpieczyli mnóstwo śladów, które, nawiasem mówiąc, gówno znaczą, ale widać pani prokurator wystarczyły. Powinieneś ją poznać, niezła sztuka.

— Żonaty jestem.

— Twoja strata — odparł Modry. — Pani Kulesza, właściwie panna. Kazała tu wszystko zabezpieczyć, zebrać odciski butów, włosy, nawet rury zażyczyła sobie w wannie rozkręcać i wymazy z gówna pobierać.

— Już mi się podoba.

— Upierdliwa jest!

— Drobiazgową.

— Kazała pyłki z drzewek do instytutu biologii wysłać. Ludzie z Sandomierza w tym mieszkaniu trzy dni czynności robili!

— Plamiarz był?

— Kurwa, Stompor, tu wszyscy byli. Chyba z pięciu biegłych wezwała. Nie tylko od badania śladów krwawych, ale biologicznych, traseologicznych i osmologicznych oczywiście! Jak zażądała, by płytki w łazience skuwać, ktoś się poskarżył i ją utemperował.

— Ciekawe rzeczy mówisz.

— Miejscowi mieli się z nią za swoje.

— Znaleźli coś?

— Tylko ślady po Krajewskim — odparł Modry. — Jego odciski palców, jego włosy, jego gówno, jego ślinę, a nawet pyłki z jego drzewek. No i oczywiście mnóstwo śladów zostawionych przez grupę, co zresztą napisała w wytyku na nieprawidłowo przeprowadzone oględziny do komendanta w Sandomierzu.

— Słusznie. A łuska?

— Od początku było wiadomo, że jej nie będzie.

— Niby dlaczego?

– Pocisku też nie było. Morderca wydułbał go z mebli — Modry wskazał ślad w meblościance.
Emil zatrzymał wzrok na przestrzelinie. Przyglądał się dziurze w płycie wiórowej z uwagą. Wokół wciąż pozostały drobinki zeschniętej krwi, ciała martwych much i puste pancerzyki larw.

– Tak jak głowy — zauważył Emil.
– Były drobiny prochu. Sporo krwi.
– Czyli zacierał ślady. Spryciarz.
– Dlatego niewiele tu znaleziono.
– I mówisz, że dinozaury się nawet nie pofatygowały? — Emil nagle wstał.
– Skurwysyny, co? Wyszło, jakimi byli kolegami.
– W policji nie ma kolegów. Dlaczego się nie lubili?
– Nie wiem — Modry wzruszył ramionami. — Nie pracowałem z Krajewskim.
– Kto ma tę sprawę?
– Prowadzili miejscowi. Potem przejął ją Szepela. I nawet się tu z Gustawem ani razu nie pofatygowali. Uważają, że sprawa skóry nie ma związku z jego śmiercią.

Emil kiwnął głową i obrócił się, raz jeszcze powąchał palce. Potem wolno wyjął camela. Następnie przyłożył papierosa do górnej wargi i podszedł do biblioteczeki. Przez następne dwie minuty przyglądał się grzbietom książek, obwąchując papierosa. Wreszcie spojrział wprost w oczy partnera z Krakowa.

– Mają rację. Andrzejewskiej nie zabił ten sam człowiek.
– Następny, kurwa! — mruknął Modry.
– Te dwa zabójstwa nie to łączy.
– A co?
– Bałem się, że tak będziesz myślał — stwierdził Emil.
– A ty uważasz inaczej? Krajewski prowadzi sprawę zabójstwa oskórowanej studentki, a kilkanaście miesięcy później ktoś inny wchodzi do jego mieszkania, strzela i ucina byłemu gliniarzowi łeb. I co? Wielki Pies twierdzi, że te dwa zabójstwa nic nie łączy. Zmówiłeś się z tymi chujami?
– Odważna teza.
– Żartowałem.
– A ja mówię serio. Krajewski został zastrzelony.
– Nie wiemy, jak Andrzejewska umarła.
– Tam Kraków, tu Sandomierz. Kobieta, mężczyzna — zauważył Stompor. — Różny wiek, zawód, różne miejsca zamieszkania. Wreszcie różny *modus operandi*. Powiedz, dlaczego według ciebie miałyby to zrobić nasz „Kuśnierz”?
– To ty jesteś geniuszem — gliniarz odparł markotnie.
– I dlaczego obciął głowę, a nie zdjął skóry?
– Tego nie wiesz.
– Nie pasuje.
– Głowy nie znaleźliśmy.
– Tego nie zrobił ten sam człowiek — Stompor podsumował, przyglądając się drobiazgom na regale.

Modry przez chwilę patrzył, jak niepozorny, ale denerwujący wszystkich detektyw z Warszawy przeglądał w milczeniu książki, szperał po szufladach. Emil rozglądał się po mieszkaniu zamordowanego skrupulatnie, systematycznie, niczym technik na oględzinach.

– Więc kogo szukamy? — Modry spytał.
– Mam ci podać nazwisko? — Emil strzelił palcami. — To ty znałeś faceta.
– Znałem, nie znałem. Mówiłem ci, że tak naprawdę to niewiele miałem z nim wspólnego. Sto razy się nad tym zastanawiałem. Jest milion możliwości. Jakiś bandzior mógł wziąć odwet, bo w końcu niejednego zamknął.
– Zgoda.
– Mógł mieć pecha.
– Mógł.
– Może trafił na świra.
– Możliwe.
– A może „Kuśnierz” uznał, że obetnie głowę glinie, który go ścigał?
– I?
– Co?
– Coś jeszcze? — Stompor mruknął, skupiając uwagę na wizytówce na dnie szuflady. — Powiedziałeś, że jest milion możliwości. Podałeś trzy.

Modry zamilkł zdumiony. Pokręcił głową.

– Kulesza postawiła na wersję z zemstą?
– Dopuściła także rabunek.
– To nie Ameryka. Tu rzadko który rabuś strzela z pistoletu — zauważył Emil. — A na pewno żaden nie odcina po wszystkim głowy ofierze.

– Mieszkanie było splądrowane.
– Zginęło coś?
– Nie wiadomo — Modry wzruszył ramionami.
– To, że mieszkanie było splądrowane, jeszcze o niczym nie świadczy.
– Myślisz, że ktoś pozorował motyw rabunkowy?
– Jaki był Krajewski? Mieszkał tu sam. A żona, dzieci?
– Jego żoną była policja. Dziećmi gliniarze. Nie miał nikogo. A w każdym razie nikogo, o kim byśmy wiedzieli.
– Może wolał zamieszkać tu, bo bał się czegoś? Dlaczego zamieszkał tutaj? Przecież pracował w Krakowie. Nie był młody. Nie przesadza się starych drzew.
– No tak — mruknął Modry.
– To było jego mieszkanie?
– Dostał je po rodzicach.
– Czego mógł się bać?
– Nie wiem.
– Może raczej kogo? Coś ci powiem — rzekł Stompor. — Myślę, że ten, kto to zrobił, zadał sobie sporo trudu. Niełatwo jest obciąć głowę dorosłemu mężczyźnie. I jak to się stało, że Krajewski wpuścił mordercę? Zamek nie nosi śladów manipulacji.
– Może Krajewski nie zamknął?
– Może. A ty zamykasz?
– Zamykam.
– Myślę, że Krajewski też to robił. A to może oznaczać, że mógł znać zabójcę. Nie musiał, ale mógł. Wpuścił, a potem ten go sterroryzował. Dlaczego miałby wpuścić „Kuśnierza”?
– Może nie wiedział, że to „Kuśnierz”?
– A może to nie był on?
– Zadajesz sporo pytań.
– Ten, kto je zadaje — odparł detektyw — znajduje odpowiedzi.
– Czyżbyś czytał Coelho?
– Zabójca oddzielił głowę od reszty zwłok. To wyklucza motyw rabunkowy.
– Możliwe — przyznał policjant z Krakowa.
– Broni palnej nie używają zwykli zabójcy.
– Zaczynasz profilować?
– Możesz się śmiać, ale psychologia narzędzia zbrodni mówi, że broni palnej używają zabójcy planujący zabójstwo. Rzadko motywem w takim wypadku jest rabunek. To nie Ameryka. Nie mamy też do czynienia z bronią myśliwską albo sportową. Nie był to też żaden kłusowniczy samopał, ale pistolet i strzał z bliska — zauważył Emil. — Morderca panował nad emocjami. Myślę, że był spokojny.
– A to skąd możesz niby wiedzieć?
– Nie trzeba być psychologiem. Wycelował i strzelił. Raz — mruknął Emil.
– No i co?
– Wybrał tułów, a nie głowę.
– Głowę zostawił, żeby sobie wziąć. Jak talizman.
– Nie sądzę. Możliwe, ale to nam mówi coś zupełnie innego. To, kim on jest.
– Myślę, panie Wielki Psie, że zaczyna pan...
– Wszedł, wycelował i z zimną krwią strzelił. A potem odciął ofierze głowę. Do czegoś takiego trzeba mieć jaja ze skały. Strzelił raz. Nie dwa, nie trzy. Prawdopodobnie miał w magazynku więcej kulek. Strzelił raz, ponieważ kolejne strzały nie były potrzebne. To nie był afekt.
– Przecież to czub!
– Zaplanował to.
– Szatan podpowiedział, że Krajewskiego zgładzi jedna kula — zadrwił Modry.
– Nie, on jest zdrowy psychicznie.
– Skąd wiesz? Bo dla mnie ktoś, kto odcina głowę i znika z nią, raczej ma nierówno pod sufitem.
– To, że ktoś dopuszcza się makabrycznych czynów, nie oznacza choroby psychicznej. A sprawca posługujący się sprawnie bronią palną krótką prawie na pewno ma doświadczenie związane z takim narzędziem, bo jego obsługa wymaga umiejętności. Umiałeś strzelać, zanim trafiłeś do fabryki?
– Nie.
– Morderca musiał mieć z nią do czynienia wcześniej.
– Żołnierz?
– Możliwe.
– Głina? — szepnął Modry.
– Niewykluczone. W każdym razie bardzo prawdopodobne, że ktoś związany z mundurem — Emil powiedział, jeszcze raz uważnie przyglądając się grzbietom książek na półce w minibibliotece

zamordowanego. — Zwróć uwagę, że zabrał łuskę. Nie jest głupi. Przeciwnie, to człowiek inteligentny, prawdopodobnie otrzymał co najmniej średnie bądź wyższe wykształcenie.

— No, znów mamy Hollywood.

— Wspomniałeś, że oprócz prochu znaleziono ślady smaru karabinowego. Więc czyścił i dbał o broń — Emil szepnął, czekając na dreszcz na plecach. — To oznacza, że jest osobą dążącą do perfekcji, sumienną oraz staranną. To profesjonalista, a na pewno związany z bronią palną. Wie, że odpowiednia konserwacja i dbałość o nią mają bezpośredni wpływ na jej sprawność, celność i niezawodność.

— No, no, robisz wrażenie.

— To tylko psychologia.

— A obcięcie głowy?

— Właśnie — Emil odparł, kręcąc głową. — Nie pasuje.

— Dlaczego?

— Nie wiem. I dlatego uważam, że to nie „Kuśnierz”. On nie pasuje do broni. Ktoś, kto kaleczy ciało ofiary, działa inaczej. I z zupełnie innych pobudek. No i to plądrowanie.

— Może czegoś szukał?

— Na pewno — przyznał Emil. — Tylko że najpierw użył broni, a potem noża. Takich narzędzi używają sprawcy niebojący się widoku krwi i bezpośredniej konfrontacji. Nożownik to zupełne przeciwieństwo sprawcy z krótką bronią palną.

— Nie znam się na czarach.

— To nie czary. Człowiek sięgający po nóż nie jest spokojny, ale porywczy, zdarza mu się agresja, lubi ruch, być może uprawia sport. Zresztą na pewno jest wysportowany, bo przesuwiał ciało, a z tego, co mówiłeś, Krajewski był duży. A raczej ciężki. Tacy mordercy nie planują. Nie kalkulują. Są niezorganizowani. Jeśli atakują, to zadają kilka, kilkanaście, a nawet kilkadziesiąt ciosów. Jeśli znają się na posługiwaniu nożem, ranią cięciami. Nasz wykorzystał broń, a potem nóż — Emil dodał, rozglądając się po mieszkaniu, jakby chciał znaleźć jakąś wskazówkę, podpowiedź na temat tego, kogo szukają. Nie pasuje mi jeszcze jedno. Krajewski z Wolską założyli — Emil zatrzymał się przy półce z książkami — że morderca Andrzejewskiej z wprawą używa noża, brzytwy, ewentualnie skalpela. Czyli narzędzia zbrodni jako przedmiotu pracy.

— No tak. Rzeźnik, kucharz, myśliwy, kuśnierz, może lekarz.

— Lekarz tak — oznajmił Emil — ale nie pozostali. Nóż jest narzędziem prymitywnym, prostym w użyciu. Nożownicy to ludzie o wykształceniu co najwyżej podstawowym, należący do niezbyt zamożnych.

— Naprawdę uważasz, że to ma sens? Przecież ty też nosisz nóż.

— A wiesz dlaczego?

— Powiedziałeś, że to pamiątka.

— Właśnie — Emil odparł, po czym opowiedział o poprzednim właścicielu. — On też nosił go jako pamiątkę. I na wszelki wypadek — Emil uniósł kawałek stali w górę i przyjrzał się ostrzu. — Nóż nie jest zwykłym rekwizytem. Nie jest nawet jak broń, bo jej przeznaczenie jest oczywiste. Nóż służy do krojenia chleba, ale może być też niebezpiecznym narzędziem, z posiadania którego każdy drobny cwaniaczek może się łatwo wytłumaczyć.

— I co?

— Złodziejaszek, doliniarz, drobny cwaniaczek. To są ludzie od noży. No, ewentualnie nielat. Albo ktoś, kto chwyta do ręki to, co jest akurat dostępne. Dla większości nóż staje się przedłużeniem duszy.

Modraszek uśmiechnął się i splótł ręce na piersiach, słuchając wykładu tego dziwnego gliniarza z Warszawy, który szeptał, błędząc wzrokiem po mieszkaniu, w którym panowały smród i bałagan.

— Jak u mnie — dodał Stompor. — Ma wartość sentymentalną.

— Taki sentymentalny jesteś?

— Nie zapominam o tych, którzy odeszli. I tego, że nożem popełnia się zbrodnie w amoku, gdzieś na ulicy, w metrze, pod dyskoteką, w ciemnej w bramie albo w domu.

Modry przesunął palcami po rudych włosach. Mimo tego, że polubił Emila, z każdą minutą zaczynał żałować, że zgodził się go tutaj zawieźć.

— Gdzie są akta z tego zabójstwa?

— Szepela je ma.

— Musisz mi je załatwić.

— Po co? — zdziwił się Modry.

— Dla rozrywki.

— Kurwa, Emil! Co z tobą? Myślałem, że pracujemy nad skórą. Przed chwilą potwierdziłeś, że Krajewskiego zabił ktoś inny, ale interesują cię akta z jego zabójstwa. W ten sposób narobimy sobie kłopotów.

— Bo tutaj przyjechaliśmy?

— Szepeli się to nie spodoba.

– Muszę je sprawdzić – Emil odpowiedział, chowając camela z powrotem.

– Po cholere?

– Nic tutaj nie pasuje. Narzędzie, sposób działania, motyw. Brzytwa to narzędzie zemsty. Ktoś, kto obciął głowę Krajewskiemu, za coś się zemścił – policjant dodał, podchodząc do kolegi z Krakowa. – Muszę się dowiedzieć za co. To nie może być ten sam człowiek, który zabił Andrzejewską. Pewne jest, że ma jednak jakiś związek z jej śmiercią.

– Skąd, do cholery, możesz to wiedzieć? Może to zwykły zbieg okoliczności.

– Jasne. A te wszystkie książki? – Emil wskazał nożem regał.

Modry spojrzał na tytuł. *Milczenie owiec* Thomasa Harrisa. Emil w tym czasie przyjrzał się znalezionej wcześniej wizytówce redaktora Mordki, po czym pokazał ją koledze.

– Skulimowskiego jeden? Wygląda na adres – mruknął Modry.

– Wiesz, gdzie to?

– Nigdy nie słyszałem o takiej ulicy.

– Trzeba to sprawdzić. I muszę przejrzeć akta tego zabójstwa.

– Daj spokój – zaprotestował Modry. – I tak nie powinniśmy tutaj przyjeżdżać. Sprawę zabójstwa prowadzi Szepela. Jeśli zechcemy przejrzeć akta, zapyta po co.

– Zostaw to mnie.

– Tobie?

– Jedno jest pewne, Modry – odpowiedział Emil. – Krajewski za coś zapłacił. Jeśli odkryjemy, dlaczego wpuścił tu kogoś z bronią – Emil spojrzał w oczy kolegi – może dowiemy się, dlaczego i jak umarła dziewczyna. Grzybek nie może zaprotestować.

Modry raz jeszcze spojrzał na stos książek na podłodze. Pomyślał, że to wszystko zaczyna iść w kierunku, którego się nie spodziewał. Sądził, że gлина z Warszawy przyjedzie tu i jeszcze raz przejrzy akta. Tymczasem Emil zaczynał drążyć temat z zupełnie innej strony. I coś temu rudzielcowi podpowiadało, że to oznacza kłopoty. Miał rację.

Mimo zbliżającego się początku wakacji porywisty wiatr za oknami zacina deszczem. Ciemne, postrzępione chmury pędzą nad dachami i wieżami Krakowa. Pograżony w niewyraźnym tle deszczu Zamek Królewski prezentuje się nieciekawie. Tymczasem w kancelarii jest sucho, przyjemnie i miło. Szepela zamyka klaser, odkłada okrągłe szkło powiększające w niklowanej, błyszczącej oprawie. Spogląda spode łba na Modrego, po czym odwraca się w stronę Kaffki. Ten wysuwa mięsiste wargi i wskazuje zegarek. W tej samej chwili z radia rozlega się hejnał z wieży Mariackiej.

– Podesyłanie na przesłuchanie jedyne podejrzane to jest jakiś, kurwa, syf.

– Trochę kultury, Stompor – warknął Kaffka.

– Szkoda, że nikt ze mną tego nie skonsultował.

– A za kogo się pan uważa, komisarzu? – Szepela syknął przez zęby.

– Eliaszewski nie jest mordercą.

– To nasz podejrzany.

– Gównu, a nie podejrzany! Maglujecie gościa w kółko, bo nic nie macie!

– Podobno wybrali cię, bo jesteś – Kaffka podkreślił następne słowa – u siebie najlepszy? Liczyliśmy, że nam to udowodnisz. Na razie udowadniasz nam co innego.

Emil wydał dolną wargę. Przez chwilę patrzył na Kaffkę. Stało się jasne, że resztki fałszywej kurtuazji właśnie przestały istnieć, ale na policjancie z Warszawy nie zrobiło to większego wrażenia. Splótł ramiona na piersiach. Przeniósł wściekle spojrzenie na Szepelę.

– Uważacie, że mamy tego samego sprawcę?

– Krajewski to nie twój problem.

– Nie udawajcie idiotów! I skończmy z tą farsą, komisarzami i panowaniem. To oczywiste, że zabójstwa Andrzejewskiej i Krajewskiego się łączą, ale tego nie zrobił ten sam człowiek.

– No nie wiem – odparł Kaffka. – To twoje zdanie.

– Ma się pan zajmować tylko skórą – zauważył Szepela.

– Ja to wszystko rozumiem! Nie jestem durniem.

– Więc niech pan odpuści. Dyspozycje są panu znane. Sugerowałbym niewyjeżdżanie za margines, bo to może narobić nam wszystkim, broń Panie Boże, kłopotów – Szepela rzekł, przeżegnawszy się szybko. – Ten zespół zajmuje się skórą. Krajewski to inny temat. Mój temat.

– Przecież to idiotyzm!

– Bynajmniej.

– To tak jakby operować kogoś na raka płuc, olewając zupełnie to, że pacjent ma też białaczkę. Te sprawy się łączą! Ustalenia w jednej sprawie mogą być cholernie przydatne w drugiej. W ten sposób będziemy się kręcić w kółko jak gówno w przereźblu.

– Interesujące porównanie – Szepela odparł z przekąsem.

– Chcę tylko powiedzieć, że trzeba się skupić.

– My oczywiście też braliśmy pod uwagę, że śmierć Krajewskiego może mieć coś ze skórą wspólnego.

Wszystko wskazuje, że jednak nie.

Słyszac lakoniczną odpowiedź, Emil rozparł się wygodniej na krześle. Przez chwilę wpatrywał się w ukryte za grubymi szklami okularów oczy, z których wciąż nic nie potrafił wyczytać. To wszystko zaczynało uruchamiać to, czego przełożeni najbardziej w Emilu nie lubili: przekorę.

– Umowa była inna – wtrącił Szepela, wracając z kawą.

– Ze mną się nikt nie umawiał.

– Miał pan zaprezentować się w mediach, poszperać w dokumentach.

– A to jakiś problem?

– Niby nie – odpowiedział Szepela.

– To o co chodzi?

– Pojechaliście do Sandomierza. A to chyba coś zupełnie innego?

– Przepraszam, co?

– Czynności operacyjne – Szepela mruknął, dmuchając na kawę.

– Ewentualnie dochodzeniowo-śledcze – dodał Kaffka. – I w innej sprawie. Sprawa Krajewskiego to inne śledztwo. Nie wiem, jak do tego podejście naczelnik Grzybek, oczywiście porozmawiam z nim. Poproszę o dostęp do dokumentacji dla pana, ale nie obiecuję, że coś mi się uda wskórać – policjant odparł, spoglądając na Kaffkę, zamiast na policjanta z Warszawy.

Emil wyczuł niechęć. Coś w tym wszystkim nie grało. Zdawał sobie sprawę, że od początku nie występował jako oczekiwany gość, ale za zachowaniem tych starych psów kryło się coś więcej. Modry spoglądał bezsilny i Emil zdawał sobie sprawę nie tylko z tego, że jego tymczasowy partner znalazł się

między młotem a kowadłem, ale również stało się jasne, że dwaj starzy gliniarze nie będą im w żaden sposób pomagać. Stompor spojrział, uśmiechnął się i rozłożył ręce.

— Nie wierzę, kurwa. Nie wiem, w co pogrywacie, ale czegoś tu, kurwa, nie rozumiem.

— Czego, komisarzu? — Szepela udał uprzejme zainteresowanie.

— Co tu się odpiędała? Jestem tu trzeci dzień. Wszyscy zesztynieliście jak chuj małolata w burdelu za pierwszym razem. Jesteśmy policjantami, tak? To chyba nam powinno zależeć, żeby rozwiązać tę głównianą sprawę, co?

— Zgoda i co?

— I to — Emil powiedział, patrząc w stronę Szepeli — że nie przyjechałem tu, żeby się z wami, komisarzu, wymieniać uprzejmościami. Jestem tu, żeby wam jakoś pomóc, niezależnie od tego medialnego gówna, jakie nam rzecznik KGP zaserwował.

— A wziął pan pod uwagę, że jakoś sami sobie radzimy?

— No, właśnie widzę.

— My ciebie tu nie zapraszaliśmy — rozległ się niski, ochryply głos Kaffki. — I przemądrzałych warszawiaków nam tu nie potrzeba.

— Gutek ma rację — dodał Szepela.

— Nie gniewaj się, facet, nic do ciebie osobiście nie mamy. Po prostu nie potrzebujemy cię tutaj. Nie rzucaj się, nie podskakuj, bo narobisz sobie problemów — zagroził Kaffka.

Emil wstał, spojrział na gliniarza przy oknie. Kaffka przypominał spojrzeniem szeroko rozstawionych oczu, pomarszczoną twarzą i z wygiętymi w kierunku brody kącikami ust byka przygotowanego do szarży. Szepela napił się kawy, odstawił kubek. Jego spojrzenie zdawało się mówić: no i co nam teraz zrobisz, harcerzyku?

— Coś wam powiem, frajerzy.

— Zamieniamy się w słuch — Szepela odparł lekceważąco.

— Będziesz nas teraz straszył? — zachrypiął Kaffka.

— Jestem tu, bo takie dostałem polecenie. Miałem przyjechać tu, odjechać cyrk przed kamerami i pogrzebać w papierach przez tydzień, a może dwa, i wrócić.

— Droga wolna.

— Zamknij się, Klimek!

— Nie jesteśmy na ty!

— Zamierzałem zrobić, co do mnie należy i tak będzie, do kurwy nędzy. Możecie sobie odpiędać swoje szopki. Chuj mnie to obchodzi.

Stompor zapala papierosa. Spogląda kolejno na zebranych, w milczeniu zaciąga się, po czym wydmuchuje dym ku niebu. Szepela jest wściekły. Widać, jak twarz Kaffki nabiega purpurą, ale policjant stara się panować nad emocjami.

— Co ty nie powiesz? — pyta i szyderczo się uśmiecha.

— Nie jesteśmy w tej samej drużynie.

— No, zaczynasz myśleć.

— Skończyłeś już?

— Sam sobie nie poradzisz.

— Widzę, że nie mam co na was liczyć.

— Nie mam zamiaru cię pocieszać. To nie klub anonimowych alkoholików — twardo odpowiada Szepela.

— Nie myśl, że na to liczę, ale coś zapamiętaj.

— Nie jesteśmy na ty!

— Skoro tak stawiacie sprawę, to teraz zrobię wam tu gnój — Emil mówi, wydmuchuje dym w kierunku sufitu i końcem papierosa wskazuje Kaffkę. — I nie ważcie się kopać pode mną, bo zrobię z wami, ubeki pierdolone, porządek! Majorze Szepela, skoro już wolicie tak oficjalnie. Przyjmijcie do wiadomości, że jestem tu po to, żeby dorwać gnojka, który zrobił to tamtej dziewczynie, jej rodzinie i prawdopodobnie komuś, z kim razem pracowaliście, skurwysyny — Emil cedi przez zęby, po czym beczelnie podsuwa pod twarz Szepeli paczkę cameli. — Zapalicie, towarzyszu?

Szepela odrząca rękę Emila. Potem wściekły odsuwa się i staje obok. Przez chwilę przygląda się, jak kolejne obłoki dymu znikają nad głową gliniarza. Potem odwraca się w kierunku czerwonego ze złości Kaffki. Przeciera twarz obiema dłońmi, znów spogląda na gliniarza z papierosem.

— Zapłacisz nam za to!

— Kim wy w ogóle jesteście?

— Spierdalaj stąd.

— A wiesz, chyba zostaną.

— Wypierdalaj, słyszysz? — wtrąca Kaffka.

— Słyszę. Tylko uwierzyć nie mogę. I zaczyna mi się tu z każdą minutą bardziej podobać, więc raczej nie skorzystam z rady. Pierdol się.

— Kraków będzie ci się śnił przez następne dziesięć lat.

— A może dłużej — wtrąca Szepela.

— Tak, a może dłużej. Co noc. Wypieprzaj, Wielki Psie, bo do końca życia będziesz każdej nocy i każdego dnia pamiętał ten pieprzony pokój. Może zapamiętasz nawet tę cholerną rozmowę i nas — Szepela mówi zimnym, spokojnym, ale twardym głosem.

Emil powiódł wzrokiem po zebranych. Zobaczył groźne, nienawistne pary oczu. W następnej chwili poczuł się jak otoczony przez watahę wygłodniałych, rozwścieczonych wilków.

Dochodziła dwudziesta pierwsza, słońce już zaszło. Starszy aspirant Kaliński zatrzymał radiowóz pod bramą, przy budynku portierni z czerwonej cegły zrujnowanego kompleksu Drucianki, dawnej Fabryki Drotu, Szyftów i Gwoździ. Gruby, wąsaty glina przez chwilę zastanawiał się, co dalej. Po minucie spojrzął na radiotelefon, wywołał dyżurnego z Grenadierów. — Objazdowa jeden, Drucianka — zameldował z zachowaniem ostrożności. Chciał zakończyć planowo służbę o dwudziestej drugiej. Nowe przepisy, które związki zawodowe wywalczyły dla policjantów, i tak naprawdę wbrew nim, sprawiły, że kolejną służbę kierownik zaplanował dzielnicowemu już na siódmą. Zlecenie interwencji na godzinę przed zakończeniem służby było ze strony oficera dyżurnego świństwem, niedbalstwem albo złośliwością. A że policjant nie lubił się przepracowywać, wyjął ze schowka kanapkę z salcesonem, odwinął sreberko i spojrzął za okno. Padało i uczciwy człowiek nawet psa na taką pogodę nie powinien wypuszczać. Powietrze przesyciła wilgoć. Dzielnicowy nie widział niczego, co sugerowałoby, że w nieczynnej fabryce — jak mawiał — szerzy się jakiś występki. Choć jeszcze wczoraj prażyło słońce, to ubiegłej nocy przyszedł niż i teraz mżyło od rana. Wycieraczki rytmicznie zbierały kropelki wody z szyby, a wewnątrz poloneza wypełniało ciepło. Do tego z głośników płynęło *Chciałbym umrzeć z miłości* z najnowszej płyty Myslovitz. Spokojna, nastrojowa i pełna melancholii ballada bardzo dzielnicowemu przypadła do gustu. Idealnie pasowała do dzisiejszej służby. Dziś, na szczęście, było wyjątkowo spokojnie. Dlatego Kaliński nie miał ochoty wychodzić, by sprawdzać głupie żarty rozwydrzonych gówniarzy.

— Zwęglony denat — mruknął. — W Druciance, pomiędzy wozownią i budynkiem portierni, na ruinach hali. Uhm, w dupie — westchnął. I chociaż nie wierzył w autentyczność zgłoszenia, zbyt długo był gliną, by je zlekceważyć. Tak, wolał nucić wraz z Rojkiem tekst, którego jeszcze się nie nauczył, niż szwendać się w pojedynkę po starej fabryce, ale trzeba było to sprawdzić. W tej służbie zdarza się to, co zdarzyć się nie powinno. Wrzucił bieg wsteczny, wycofał w poprzek ulicy i skręcił kierownicę. Silnik zarzęził. Snop reflektorów oświetlił metalową bramę, z której dawno zaczęła się łuszczyć farba, a której jeszcze nie zdążyli rozkraść złomiarze. Przełączył światła na drogowe. Kiedy był tu w zeszłym tygodniu, bramę spinała kłódka na łańcuchu. Teraz jej już nie było. Policjant wyłączył silnik, założył czapkę i wysiadł. Następnie podciągnął pas z bronią pod wydatnych rozmiarów brzuch i założył kurtkę. Poczłapał po wilgotnym asfalcie pod bramę. Łańcuch z kłódką leżał pod bramą. Przecięty. Kaliński włączył radiostację nasobną, sięgnął po latarkę i pchnął bramę. Zawiasy puściły z nieprzyjemnym, cichym skrzypnięciem. Dawna Drucianka przedstawiała za bramą jeszcze gorszy widok niż z zewnątrz. Zrujnowany kompleks przypominał scenię z filmu z akcją w końcowej fazie powstania warszawskiego. Ułamek sekundy później, omiatając zabudowania snopem światła, glina zrozumiał, że zgłoszenie nie było głupim żartem.

Drzwi do kancelarii się otwierają. Jarecki wpada, nie zauważając zaciętych, czerwonych ze złości twarzy i napiętej atmosfery. Zrzuca zmoczoną kurtkę. W kancelarii jest cicho. Z radia płynie ścisza muzyka. Grzegorz Turnau śpiewa, że naprawdę nie dzieje się nic.

— A co tu taka melancholia? — młody oficer mówi, siadając przy biurku i macha ręką w powietrzu. — Jak na jakiejś, kurwa, pedalskiej imprezie z poezją śpiewaną. No, Stompor, co z tobą? A tym? — wskazuje Szepele i Kaffkę. — Co się stało?

— Może mają reumatyzm?

— Chwilkę mnie nie było i już rozpierdol. Zadymione w chuj — Jarecki macha demonstracyjnie ręką. Stara się rozproszyć pełne papierosowego dymu powietrze i wciąż nie zauważa, w jak bardzo nieprzyjemną atmosferę trafił. — Myny macie jak na stypie, a tu cieszyć się trzeba.

— A z czego?

— Nie uwierzysz, Modry. Mamy ekspertyzę tego sweterka.

— I co? — Modraszek pyta słabym głosem.

— Jakichś kilka obcych włókien znaleźli.

— Jakich?

— A czy ja ci wyglądam na Brunona Hołysta?

— Czyich włókien? — wtrąca Emil. — Odpowiadamy całym zdaniem.

— Podobno obiecujących.

— No to faktycznie masz hit. Powinieneś w totolotka zagrać — komentuje Modry.

— Ty, rudy, nie bądź taki do przodu. I coś tak pobladał? Na razie nic nie wiadomo, ale...

Jarecki spogląda raz jeszcze na policjantów. Wreszcie dostrzega, że coś nie gra, więc urywa w pół zdania. Zapada milczenie. Żaden z gliniarzy nie ma odwagi, aby coś odpowiedzieć. Szepele pociąga łyk kawy. Kaffka wciąż zaciska zęby i pięści. Modraszek przeczesuje swoim zwyczajem bujną czuprynę. Emil gasi camela w stojącej na biurku Kaffki popielniczce, patrząc wprost w oczy gliniarza. Potem obraca się i podchodzi do biurka młodego oficera. Deszcz nagle cichnie. Zza chmur przebijają się ostre promienie słońca, które przenikają do wnętrza kancelarii przez niezastłonięte żaluzje i padają na podłogę cienkimi smulkami.

— Co to za włókna?

— No, mówiłem przecież, że nie wiem — odpowiada Jarecki.

— Czyje one są?

Przez moment mierzą się wzrokiem, po czym Jarecki wstaje z krzesła.

— A chuj ci do tego!

— Mów, kurwa! — Emil szybkim ruchem uderza gliniarza w klatkę piersiową. — Siad!

Jarecki siada na krześle z jękiem. Młody gliniarz zgina się wpół, usiłuje złapać powietrze. Emil spogląda na zaskoczonego Kaffkę, potem na Szepele i na końcu na Jareckiego. To, co się stało, jest dla wszystkich zaskoczeniem.

— Ożeż ty, chuju. Za... Za... — stęka Jarecki. — Zapłacisz za to.

— Nie maż się.

— Pierdol się, cwelu!

— Trochę szacunku — odpowiada Emil. — Czerwonych betonów nic już nie skruszy. Ty jesteś na tyle młody, że nie powinieneś się przypierdalać, bo nic ci nie zrobiłem. Co to za włókna?

— Spierdalaj.

— Odpowiadaj, kurwa! — Emil podnosi głos.

— Ej, co jest? — Jarecki protestuje, spoglądając na pozostałych. — Co się dzieje?

Emil spogląda na Kaffkę i Szepele, po czym bez słowa sięga pod pachę. Słyszą ciche kliknięcie odpinanego zatrzasku zawieszonej na szelkach skórzanej kabury. Na twarzy Szepeli pojawia się pełen drwiny uśmiech. Kancelaria rozjaśnia się od intensywnego słońca.

— Włókna! — dodaje Emil.

— Jakieś wojskowe.

— Jakie?

— Nie wiem. Sam se tam zadzwoń, kurwa! — Jarecki odpowiada przez zęby.

Modraszek patrzy, z dłońią na ustach. Szepele wstaje. Spogląda na Kaffkę. Kierownik głośno odsuwa krzesło, które chwilę później upada z hałasem na podłogę. Emil uśmiecha się, czym wzbudza wściekłość Szepeli. Gliniarz rzuca błyskawiczne spojrzenie na Kaffkę, rusza do drzwi, zatrzymuje się przed Modrym i wskazuje jego pierś palcem.

— Macie przejebane! — mówi. — A tobie Stompor za taki numer mogę zrobić postępowanie.

Sekundę później wychodzi, trzaskając drzwiami. Modry przeczesuje palcami czuprynę. Jarecki z otwartymi ustami patrzy raz na Modrego, raz na brodatego dochodzeniowca przy oknie. Nagle masywny glina rusza w kierunku drzwi i bez słowa wychodzi, rzucając wściekłe spojrzenie na Emila. Jarecki patrzy na gliniarza z Warszawy. Modry opada na krzesło, chwytając się obiema rękoma za głowę.

Emil spojrzął badawczo na Grzybka. Poczł się zły na siebie. Ledwie przyjechał do Krakowa, a już wszystko zaszło za daleko. I nie ma odwrotu. Nic dziwnego, że naczelnik chciał z nim porozmawiać.

— Doniesiono mi, że... — naczelnik urwał. — Powiem inaczej. Gratuluję. Jest pan w zespole od poniedziałku, a już odnotował sukces.

— Nie wiem, o czym pan mówi.

— Doprawdy? — Grzybek nachylił się nad biurkiem. — A mnie się wydaje, że pan wie.

— Sądziłem, że usłyszę skargę na to, że nie zgadzam się z linią śledztwa.

— Zakładając, że sprawcą jest Eliaszewski? Może też się z nią nie zgadzam? W każdym razie ma pan wolną rękę. Jest pan psychologiem i potrafi pan trafnie profilować przestępców. Proszę robić swoje.

— Zabrzmiało telewizyjnie.

— Nasza praca to nie film.

— Nie trzeba mi tego powtarzać — Emil odparł, zastanawiając się, o co chodzi.

— Jak pan został przyjęty przez zespół? Pytam nie jako naczelnik, ale, jak to mówią teraz, menedżer. Jak Szepela, Kaffka i reszta pana przyjęli?

Emil przyjrzał się naczelnikowi badawczo. Ten poprawił okulary i spojrzął znad szkielec na Emila, bawiąc się piórem. Gliniarz z Warszawy pozbył się wåtpliwościci, że tamci doniesli o kłótni.

— Jest coś oficjalnie?

— Nic nie ma. I o niczym nie wiem. A może chce pan coś zameldować?

— Melduję, że funkcjonariusze zespołu przyjęli mnie zgodnie z zasadami etyki zawodowej policjanta oraz zwykłą ludzką życzliwościcią.

— Świetnie — odparł naczelnik. — Zapomniałem pana... hm... uczulić na to, że może tu nie być łatwo. Obawiam się jednak, że pan już zdążył to odczuć.

— Wydaje mi się, że wiem, o czym pan mówi.

— Cały świat jest zły. W naszej służbie jest nie inaczej.

— Zauważyłem.

— Jestem pewien, że pan sobie poradzi — Grzybek kiwnął głową. — Problem w tym, że tak naprawdę wszyscy staramy się udawać, że coś się zmieniło. Im dłużej jestem policjantem, tym bardziej skłaniam się do odwrotnej opinii.

— Jest jeszcze sporo do zrobienia.

— Otóż to! — przytaknął Grzybek. — Jest pan młody, ambitny, nieskażony. Czasy mamy, jakie mamy. Minęło już sporo lat i można by mieć nadzieję, że dziedzictwo tego, co było, już nie ma znaczenia, ale moim zdaniem jest inaczej. Mam nadzieję, że pan rozumie, o czym mówię.

— Nie, nie rozumiem.

— Powiem wprost — Grzybek nachylił się nad stołem. — Stare czasy ciągle wpływają na nasze życie.

— To nie było wprost.

— Proszę uważać.

— To groźba?

— Absolutnie!

— Więc ostrzeżenie. Możliwe nawet, że wiem przed kim.

— Jeśli pyta mnie pan, czy jestem pana wrogiem, czy przyjacielem, to tym drugim. Zresztą sam pan to odkryje. Zwracam uwagę, że popełnił pan błąd. Pewnych spraw lepiej nie nazywać po imieniu.

— Szepela?

— Pewnych spraw lepiej nie nazywać po imieniu — powtórzył Grzybek. — Szczególnie w tych murach. Dawni oficerowie komunistycznych specsłużb przez lata szukali odpowiednich miejsc. Niektórzy znaleźli. Teraz gotowi są zrobić wiele, by prawda sprzed lat im nie zaszkodziła.

— I dlatego do zespołu wybrano najbardziej doświadczonych funkcjonariuszy?

— Niech pan nie żartuje! Dobrze pan wie, jak to wygląda — zachnął się Grzybek.

— Dwóch młodych i dwóch starych. Pół na pół?

— Nie ja decydowałem.

— Słyszałem coś o tym.

— Istotne, że mamy wiele nierozwiązanych spraw kryminalnych, których sprawcy nie ponieśli kary. Nie będę przed panem udawał, że o niczym nie wiem. Powiedziałem, że jestem pana przyjacielem, a nie wrogiem, ale stawiam sprawę jasno. Pomogę panu we wszystkim, ale liczę, że pan pomoże również i mnie. Szepela to dobry, doświadczony gliniarz.

— Z pewnością — Emil odparł z przekąsem.

— Kaffka także.

- Tylko że obaj służyli w milicji.
- Jak połowa z nas, komisarzu Stompor.
- Nigdy nie byłem milicjantem.

Naczelnik pokręcił głową i spojrzął na Emila z uśmiechem wymieszanym z opanowaniem i starannie maskowaną złością. Emil zauważył jednak, że mimo szerokiego uśmiechu to ostatnie jednak Grzybkowi przyszło z największym trudem.

- Dziwię się, że jeszcze nie dostał pan nigdy po pysku.
- Może dostałem.
- Oby nie dostał pan znowu.
- Lepsze to niż splunięcie w twarz — odparł policjant.
- Jest pan pewny siebie.

– Może dlatego, że nigdy nie służyłem w milicji?
– Pracuje pan z nimi i bez dyskusji. Mógłby się pan wiele od nich nauczyć — naczelnik dodał spokojniej, zerkając uważnie na krnąbrnego policjanta.

Emil drażnił Grzybka od początku samym tylko pojawieniem się tutaj, a co dopiero w rozmowie, kiedy wraz z bezczelnym spojrzeniem otwierał przekłętą, niewyparzoną gębę warszawskiego cwaniaczka.

- Mało mnie obchodzi, że się nie dogadujecie.
- A kto panu powiedział, że się nie dogadujemy?
- To ja tu zadaję pytania.
- Oczywiście — Emil odparł z przesadną uprzejmością. — Jak pan naczelnik sobie życzy.
- Nie jestem poradnią dla małżeństw.
- Więc jednak panu donieśli?
- Szepela jest doświadczonego policjantem. Kaffka też.
- Już pan to mówił.
- Bo to prawda.
- Ze trzy razy — zauważył Stompor.

– Nikt panu nie kazał się żenić z moimi ludźmi, tylko pracować! Milicyjne uprzedzenia tu nie pomogą. Dobrze panu radzę: albo się z nimi pan zacznie dogadywać, albo... Lepiej niech pan nie przeciąga struny. Przerabiałem gorszych niż pan. Jeszcze pan mnie nie poznał. Jeśli zechcę, sprawię, że będzie pan zapierdalał na wysokości lamperii jak kot na unitarce!

- Interesująca teza.
- I odechce się panu pyskowania, milicji i wkurwania wszystkich — Grzybek uniósł głos.
- A jak to miałoby w praktyce wyglądać?

– Na razie niech pan przyjmie do wiadomości, że pokładam w panu spore nadzieje — Grzybek zapanował nad sobą i nagle przybrał przymilny, oficjalny ton — i liczę, że pomoże pan moim ludziom. Analizując przebieg pana służby, naprawdę nie mam pojęcia, jak pan odnosi te swoje sukcesy — Grzybek rozsiadł się w fotelu.

- Może pracą?
- A nie analizą ciśnienia atmosferycznego i wilgotności powietrza?
- Meteorologia nie ma tu nic do rzeczy.
- Domyślam się — Grzybek kiwnął głową.

– Wystarczą prawdziwe studia, a nie zawodówka albo matura zrobiona w trzy dni na posterunkach, komisariatach i rejonówkach plus resortowa przyzakładówka, gdzieś na Mazurach.

– Jestem jej absolwentem — odparł Grzybek. — Słyszałem, że policjanci, z którymi pan pracował, twierdzili, że ma pan trafne przeczucie.

- Na szczęście nie każdy na mnie donosił.
- Wiem, że potrafi pan te umiejętności bardzo skutecznie wykorzystać.
- Przeczucia?

– Nazwijmy to policyjnym nosem albo kreatywnością. Ewentualnie inteligencją.

– Ewentualnie. Tyle tylko, że w policji, panie naczelniku, nie można być inteligentnym i kreatywnym. Ta hierarchiczna z natury rzeczy instytucja promuje przecież posłuszeństwo przy wykonywaniu niekoniernie mądrych rozkazów, zwykle wydawanych też przez niekoniernie mądrych przełożonych. Ten mundur zwalcza przejawy inteligencji i inicjatywy. Zwalcza wolność wyboru i wyrażania opinii.

– O to mi właśnie chodziło.

– To znaczy?

– Chcę, żeby był pan tu sobą. Nie chcę toczyć wojenek.

– Nawet Szwajcaria ma jakąś tam armię.

– Nie pojmuję. Woli pan mówić prawdę. A ona w tej formacji nie jest dobra. W tym zawodzie jest niewygodna, czasem niebezpieczna i często nikomu niepotrzebna.

Emil nie odpowiedział. Opuścił wzrok i spojrzął na swoje paznokcie. Nagle nadeszło wspomnienie. Kiedyś, dawno temu, na porośniętym smukłymi żywotnikami cmentarzu usłyszał już coś podobnego.

Tamten człowiek miał rację, Grzybek również ją ma.

— Wróćmy do sprawy. Odnotował pan już sukces. Niezależnie od atmosfery.

— Mówiłem, że meteorologia nie ma tu nic do rzeczy — Emil odparł. — Faktycznie, wydaje mi się, że istnieją pewne nieznośne pytania. Odpowiedzi na nie może coś zmieniać, ale mogą też nic nam nie dać. Staram się tylko eliminować znaki zapytania. Na tym polega śledztwo. Kiedy wyeliminuję już wszystkie, zostaną fakty. Nawet najbardziej nieprawdopodobne.

— Ładnie powiedziane — odparł Grzybek.

— Na tym polega kryminalistyka.

— Kiedyś czytałem, że wystarczy się przyglądać, a kiedy niczego nie można znaleźć, trzeba się przyjrzeć jeszcze raz — naczelnik rzekł, zadowolony z siebie. — Kiedy do niczego się nie dojdzie, należy przyjrzeć się jeszcze dokładniej.

— Unikam kryminałów. Wolę, jeśli nierozwiązane śledztwo uwiera i dręczy. W końcu przecież trzeba będzie coś z tym zrobić.

— A co pan zamierza zrobić w sprawie skóry?

— Zaczynam dostrzegać sporo błędów. Zastanawiam się, czy ich nie wywlec.

— Tylko niechże pan to robi z głową.

— Jak mi ją zetną — Emil szepnął, uśmiechając się — i tak nic nie zrobię.

— Proszę uważać.

— Cieszy mnie pana troska.

— Troszczę się o swoich ludzi.

— Myślałem, że o siebie.

— Ma pan coś jeszcze do powiedzenia?

— Sprawy Andrzejewskiej i Krajewskiego się łączą. Chciałbym mieć dostęp do akt również tego drugiego zabójstwa.

— Pomyślę o tym. Porozmawiamy w przyszłym tygodniu, jak pan wróci z Warszawy — wyjaśnił Grzybek. — Dzwonił pański naczelnik. Jutro jest pan tam potrzebny. Jeszcze jedno — Grzybek ściszył głos. — Proszę dopilnować tej sprawy z analizą makroskopową szczątków Andrzejewskiej. Osobiście. Podobno to coś obiecującego.

Emil kiwnął głową, wstał, spojrzął raz jeszcze na wysokiego, szczupłego policjanta, który z pewnością nie był wiele starszy od niego, i zamknął drzwi. A potem pomyślał o dwóch sprawach. Po pierwsze, zastanowił się nad tym, kto donosi Grzybkowi. I po drugie, czy aby na pewno pierwsze wrażenie, jakie Grzybek na nim wywarł, było właściwe?

Leżą w ciepłej pościeli. Emil na plecach, Lola przytulona, z głową na jego ramieniu i piersi. Noc w wielkim mieście tętni rytmem przejeżdżających na sygnale karetek i policyjnych syren. Emil nie znosi ich. Pragnie uciec od tramwajów, samochodów i pociągów na mostach przez Wisłę. Lola pachnie. Nie umie nazwać tego zapachu, przywołać w pamięci, ale wie, że istnieje.

— Spotkałam Ediego. No, tego aktora. Mazurkiewicza.

— I co? — Emil pyta podejrzliwie.

— Julka zjadła lody, wypiliśmy kawę i...

— Kawę? — mężczyzna się unosi. — Byłaś z obcym facetem na kawie? Lola! Co z tobą?

— Przecież nic się nie stało!

— No, nie wierzę — policjant wstaje, podchodzi do okna. — Wyjeżdżam, a żona umawia się z aktorzyną o twarzą cherubina. No szlag człowieka może trafić!

— To był przypadek.

— I to po tym wszystkim!

— Przestań, do cholery! — tym razem ona podnosi głos. — I posłuchaj mnie choć raz.

— Słucham — Emil odpowiada, splatając ramiona. — Nie wiem tylko, czy... Zresztą mów.

— Nie chcę tak dłużej.

— O czym mówisz?

— O wszystkim! Dłużej tego nie zniosę. Julka jest coraz starsza. Co jej odpowiesz, kiedy pewnego dnia wyrzuci ci, że nie byłeś ani razu na jej urodzinach, jak ostatnio?

— Ma dopiero cztery latka.

— Aż cztery! Za rok będzie miała pięć. Potem sześć i pójdzie do szkoły.

— Przecież o tym rozmawialiśmy.

— I co? — kobieta pyta.

Emil zamiast odpowiedzi wypuszcza głośno powietrze.

— Nie mamy tutaj nikogo. Rodziny, przyjaciół, żyjemy jak w jakimś więzieniu. Zastanawiałeś się, co czuję? Dla ciebie liczy się tylko ta policja. Policja to, policja tamto. Fabryka, wyjazdy. Nigdy nie ma cię w domu.

Emil patrzy, oddycha głęboko. Wie, że żona ma rację. Przechesuje palcami włosy i zastanawia się nad tym, co się stało z ich życiem. Nagle czuje ochotę, by powąchać camela. Wie, że kiedy zapali, marzenia ustąpią nikotynie.

— Porozmawiam z naczelnikiem.

— Mówiłeś, że porozmawiasz, jak wrócisz.

— Jutro idę do pałacu.

— Miałeś mieć wolne.

— Ale nie mam — cedzi przez zęby. — Zresztą, jak mam z nim porozmawiać w dniu wolnym? Powiedziałem, że porozmawiam i tak będzie. Co się tak pieklisz?

— Kiedyś się tak do mnie nie zwracałeś.

Zapada cisza. Emil spogląda na kobietę, którą kocha. Ona ociera łzę, poprawia włosy. Emilowi robi się głupio, coś chwyta go za serce, ale jednocześnie jakaś idiotyczna męska duma nie pozwala przeprosić żony.

— Rozmawiałam z twoim bratem — jej szept przeszywa ciemność.

— Jest jeszcze coś, o czym nie wiem?

— Byłeś poza Warszawą, więc skorzystałam z okazji.

— Skąd wiesz, że byłem poza Warszawą?

— Nie poznaliśmy się w ubiegłym miesiącu. Przyzwyczaiłam się do tej twojej pracy. Zdążyłam ją znienawidzić, ale też już potrafię się domyślać, gdzie cię poniesie. To nic trudnego. Wystarczy włączyć telewizor. Powiedziałam, że planujemy przeprowadzkę.

— I jak to skomentował?

— Powiedział „wreszcie”. I podjęłam decyzję — kobieta dodaje chłodno.

Zza okna wciąż słychać tylko nocną Warszawę. Emil siada na łóżku, tyłem do żony. Zastanawia się, co za chwilę usłyszy. Ma wrażenie, że jego serce ścisną niewidzialna klamra. Zna żonę na tyle, żeby wiedzieć, że dobrze to przemyślała. I czuje strach przed tym. Emil zamyka oczy. Lola pragnie ich wspólne życie wyrzucić do góry nogami.

— Julka pójdzie do przedszkola, od września. Za niecałe trzy miesiące. To szybko minie.

I dobrze się składa, bo zaczniesz z resztą dzieci, a ja będę mogła iść do pracy.

— Wiesz, jak teraz jest z pracą?

— Zwalnia się u Młodego miejsce — kobieta odpowiada, przytulając się do pleców mężczyzny. Zaoferował się, że zapyta dyrektora. Ucieklibyśmy od tego tutaj.

— Miałabyś pracować w zoo?

— Mielibyśmy czas dla siebie. Czas, by żyć ze sobą, a nie obok siebie. Ostatnio mówiłeś, że też chciałbyś to wszystko rzucić i wyjechać. Tylko dwa lata i emerytura, pamiętasz?

— Nie mówię nie, tylko... Młody mówił, że nie mają miodu.

— Nie jestem niedźwiedziem. Mam kwalifikacje. Nie będzie problemu z przyjęciem. Tym bardziej że akurat będzie etat. Dużo tego nie będzie. Tysiąc dwieście na rękę, ale...

— Nie przedyskutowaliśmy tego.

— Przedyskutowaliśmy — odpowiada tonem, który nie pozostawia miejsca na sprzeciw. — Nie zostaną w Warszawie. I mam nadzieję, że ty również. Podjęłam decyzję. Będę znów mogła pracować ze zwierzętami. Wiesz, jak to kocham. No i Opole. Mam napisać podanie i list motywacyjny. I umówić się na rozmowę.

— Zostawisz mnie?

— Do września masz trzy miesiące.

— Trzy miesiące? Przecież...

— Jeśli nie zdążysz, będę czekała.

Emil patrzy. Jej oczy błyszczą, wargi jej drży. Wie, że ta rozmowa i decyzja nie przyszyły jej łatwo.

— Boże drogi — Emil chwytą się za głowę. — Naprawdę? To brzmi jak szantaż.

— Raczej ultimatum. — Myślałam, że jesteśmy małżeństwem. Wysłałam za męża za ciebie — Lola mówi, spoglądając zapłakanymi oczyma, ale jej głos jest twardy, nieznoszący sprzeciwu. — Nie za policję. Mówię ci uczciwie, jak wygląda sytuacja.

— Nie jestem gotowy.

— To kwartał, dwanaście tygodni.

— Uhm, teraz już niecałe.

— Niecałe, bo może być tak, że będę musiała zacząć pracę szybciej.

— Szybciej? — powtarza. — Jeszcze lepiej! No ale co? Jak? Przemyślałaś to? Jak chcesz to rozwiązać?

— Powiedziałam. Warszawa albo my z Julką.

— Mam wybierać?

— Nie chciałam tego.

— To naprawdę szantaż — odpowiada mężczyzna.

— Myślisz, że mnie było łatwo? Na razie po prostu się cieszę. Opole, wyobrazasz sobie? Tak mi się tam spodobało. No i będę bliżej ojca. Teraz mam do niego czterysta sześćdziesiąt kilometrów, a będę miała jakieś... sto pięćdziesiąt?

— Sto trzydzieści — Emil mówi grobowym głosem, wzdycha głęboko, pochmurnieje, ale całuje żonę w czoło.

A potem przytula. Następnie wstaje, zatrzymuje się przy parapecie i wpatrzony w Las Bielański zastanawia się, co odpowiedzieć. Myśli kłębią się w jego głowie. W sercu wciąż tkwi to, co ich niedawno spotkało. Lola najpierw oświadcza, że spotkała się z obcym, przystojnym mężczyzną, a teraz to.

— Nie chcę się z tobą rozstawać — Emil słyszy za sobą — ale dłużej tego nie zniosę.

— Czy ta sprawa z nim...

— Ona nie ma znaczenia. Tu chodzi tylko o nas.

— A jeśli nie dostanę zgody?

— Mówiłeś, że możesz napisać raport do komendanta głównego.

— Mogę — policjant wzdycha. — Teraz pojawił się jednak problem. To komendant główny mnie tam przesunął. Przecież nawet jeśli teraz napiszę do niego raport, to i tak nie dostanę zgody.

— To odejść — odpowiada kobieta. — Tak, wiem, dwa lata, emerytura, ale postaw się w mojej sytuacji. Emil, ja dłużej już nie dam rady. A na pewno nie wytrzymam tu dwóch lat. Zresztą nie oszukujmy się. Myślisz, że jak przeniesiesz się do Opola, to tam policja będzie inna?

— Chcesz, żebym odszedł z policji?

— Chcę, żebyś był moim mężem. I ojcem. Kocham cię. Masz dopiero czterdzieści dwa lata, na pewno znajdziesz jakąś pracę — dodaje i zapada milczenie. — Jesteś psychologiem. Nie musisz być gliną.

Emil przytula się do żony. Przez resztę nocy, leżąc na plecach, patrzy na plamy światła zmieniające się na suficie. Natrętne myśli nie pozwalają na sen. Nad ranem zasypia. We śnie spotka tych, których już z nim nie ma. Budzi się zlany potem, zmęczony bardziej, niż kiedy zasypiał. Potem pojmuje, że rozmowa z Lolą nie była snem.

W piątkowy poranek Emil w ciszy wszedł do gabinetu naczelnika Wydziału Zabójstw KSP. Pochylony nad lekturą pism z Komendy Stołecznej Policji Zolner spoznał na policjanta. Oczywiście zwrócił uwagę na prostokątne etui na dokumenty w formacie A4 w ręku Emila, ale udał, że jest inaczej.

- Dobrze cię widzieć. Niewesoło jest.
- I dlatego tu jestem – Emil odpowiedział.
- Czytasz w moich myślach czy ci donieśli, że trup jest do obróbki?
- Nie dokończyliśmy naszej rozmowy – odparł Stompor.
- Dzwonili do mnie z Krakowa. Podobno twoje zachowanie tam kwalifikuje się pod postępowanie dyscyplinarne.
- Nie pierwsze w tak zwanej mojej karierze, panie naczelniku.
- Nic więcej nie masz do powiedzenia?
- Przeciwnie, po to tu właśnie przyszedłem – Emil przesunął etui w stronę naczelnika. – Bądźmy szczerzy. Mam gdzieś postępowania, nagany i straszenie. Nie boję się.
- Możesz mi, kurka wodna, szczerze powiedzieć coś tam odpierdolił?
- A Grzybek panu nie zameldował?
- Tu nie chodzi o Grzybka. Mówiłem ci, sprawa dotyczy góry.
- Mam to gdzieś – odparł Emil. – Mam teraz ważniejsze sprawy na głowie.
- Wyobraź sobie, że ja też.
- Tak, ale to ja zastanawiam się, czy tam wróć.
- Jeśli nie wrócisz, nie wyjdzie ci to na dobre. Bóg mi świadkiem, że uduszę cię gołymi rękoma. Najgorsze, że teraz jesteś, kurwa mać, mi tutaj na gwałt potrzebny – Zolner powiedział, a Emil przesunął etui jeszcze o centymetr.

Naczelnik zdjął okulary, nacisnął palcami powieki, po czym założył szklę z powrotem i poprawił krawat. Inteligencja i doświadczenie w kierowaniu wydziałem podpowiadała, że najlepiej będzie przesunąć się na pole niebędące w szachu.

- No dobra, chciałeś pogadać. No to słucham – westchnął.
- Nie jestem kotem. I nigdy nie chciałem pracować w wydziale zabójstw.
- Policja to nie koncert życzeń.
- Umowa była inna.
- Z komendantem stołecznym. Dodam, że byłem.
- Umowa to umowa.
- Ze mną się na nic nie umawiałeś.
- Nie chciałem wracać do Warszawy. I firmy. Wróciłem, ponieważ obiecaliście mi, że będę się zajmował uprowadzeniami. I miałem trafić do CBS, a nie do pana.
- Byłeś tu potrzebny – westchnął naczelnik.
- Miało być pół roku. Maksymalnie rok.
- Co mam powiedzieć? – naczelnik odparł. – Wiesz, jak to wtedy tu wyglądało. Taka była potrzeba służby, a ona jest najważniejsza. Zabójstwa były priorytetem.
- Priorytetem? No to niech pan posłucha. Byłem w Krakowie i mi wystarczy. Nie pojedę tam. Mam dość wszystkiego. Pieprzy mi pan o jakiejś potrzebie służby jak młodzieżowcowi z pustym pagonem.
- Uważaj na słowa.
- Skierowanie na cztery lata do zabójstw policjanta takiego jak ja, z doświadczeniem, kwalifikacjami i chęćmi do pracy z uprowadzeniami nazywa pan potrzebą służby? Przecież to gówno prawda!
- Widzę, że szukasz problemów!
- To tylko szczerłość.
- A po jaką cholere ci ona? Niepotrzebnie się stawiasz. Masz szczęście, że jestem wyrozumiały. Odpuść, dobrze ci radzę. Nie wiem, zrelaksuj się jakoś, na siłownię idź.

Emil spoznał na przełożonego. W milczeniu otworzył teczkę. Wyjął z niej dokument, po czym stuknął w papier dwa razy palcem wskazującym. Zolner uniósł głowę, spoznał na policjanta znad okularów.

- Co kombinujesz?
- Przez te cztery lata mogłem kogoś uratować.
- Trzeba było na karetki iść.
- A zamiast tego ciągle oglądam tylko trupy.
- Myślałem, że z wiekiem przejdzie ci ten idealizm.
- Tymczasem straciłem tylko zdrowie. I proszę to powiedzieć rodzinom porwanych. Tym z poucianymi palcami, traumą w psychice na całe życie albo tym na Powązkach. I tym, których mogłem

uratować przez te lata.

— Coś się tak czepił tych uprowadzeń?

— Nigdy nie pasowała mi praca tutaj.

— Jest taka sama jak wszędzie indziej.

— Może zza biurka — odparł Emil. — Mam dosyć tego, że moim ofiarom już nic nie pomoże. Żadna moja robota, żadna walka nikomu już nie odda życia. Zabitych nikt nie ożywi. Tej walki już nie można wygrać. I jestem już tym głównym zmęczony, rozumie pan? Zmęczony fizycznie i psychicznie. Sypie mi się zdrowie i życie. Czuję się, jakbym w środku niczego nie miał.

— Dajże już spokój! I posłuchaj — naczelnik przerwał Emilowi. — Wiem, że możesz być rozżalony, rozczarowany i zmęczony. To dopada każdego z nas. Ja wiem, że u nas jest naprawdę ciężki kawałek chleba. Może tego nie czujesz, ale dla mnie jesteś jednym z najlepszych policjantów, jakich znam, legendą tego wydziału.

— Wolałbym być legendą innego.

— Ale jesteś potrzebny tutaj.

— Proszę mi nie mydlić oczu, naczelniku. Starego misia pan nie nabierze na sztuczny miód. Myślałem, że po tylu latach mam w tej pierdolonej fabryce marzeń coś jeszcze do powiedzenia i choć raz porozmawiamy jak mężczyźni.

— Fabryce marzeń? Pięknie powiedziane.

— Bo to kłamstwo. A pan je uwielbia.

— Tak jak ty pyskować.

— Wszyscy je uwielbiacie. Jestem wami zmęczony. Przełożonymi, którzy myślą tylko o stołkach i swoich kieszeniach.

— No, no, no!

— Co mi pan zrobi? — zapytał Emil. — Będzie straszyl postępowaniem? Przecież obaj wiemy, że powiedziałem prawdę. Przebieg, między innymi tak zwanej mojej kariery, jest tego najlepszym przykładem. Ilu porwanych można byłoby uratować, gdybym...

— Przestań już! Postaw się na moim miejscu.

— To byłoby dla mnie jak policzek. Jestem zbyt uczciwy.

— Coś ci przypomnę. Wpierdoliłeś się w niezłe gówno. Potem o mały włos z wyrokami nie wyleciałeś. Dobrze, że zdecydowałeś się na odwyk, bo pewnie byś zdechł pod płotem. Wróciłeś i przyjąłem cię tu najlepiej, jak mogłem.

— Tylko dlatego, że potrzebował pan kogoś takiego.

— Owszem.

— To miało potrwać najwyżej rok. Podobno jest coś takiego jak słowo oficera.

— Przestań pierdolić! Nie jesteśmy jakimiś jebanymi samurajami. Czego chcesz?

— Przeniesienia.

— Nie ma takiej możliwości.

— Bo co?

— Mówiłem już.

— Ja też mówiłem. Przemyślałem to i ma pan to tu, na papierze — Stompor wskazał raport. — Nie mam wyjścia, żona naciska, niech pan zrozumie.

— Naprawdę nie mogę wyjść z podziwu, że przez te wszystkie lata, które spędziłeś w policji, nikt nie nauczył cię tego, jak powinieneś rozmawiać z przełożonymi.

— Byli tacy, co próbowali.

— No wiem, wiem. Przecież znamy się nie od dziś.

— Mnie dziwi, naczelniku, że przez te wszystkie lata, jakie spędziłem w policji, przełożeni nie nauczyli się zwykłej, ludzkiej przyzwoitości.

— Skarżysz się na zdrowie, ale widzę, że jesteś w niezłej formie.

— Bywało lepiej.

— Mam cię utulić?

— Wystarczyło nie wysłać mnie do tego pieprzonego Krakowa. Dlaczego pan po prostu nie przyzna, że macie mnie, moje wyczerpanie, podupadające zdrowie i moją rodzinę w dupie?

— Co miałem zrobić?

— Zaprotestować.

— Dobrze wiesz, że to sprawa polityczna — naczelnik powiedział, patrząc na raport.

— Tym razem miarka się już przebrała.

— A jednak spuściłeś z tonu. Kiedyś nazwałbyś to wprost kłamstwem.

— Raczej skurwysyństwem.

— Czyli się pomyliłem. Jednak nie spuszczasz z tonu.

— Przez lata blokował pan moje przeniesienie.

— Bo byłeś mi tu potrzebny. Tak to trudno zrozumieć?

— I dlatego mnie pan upierdolił na prawie pięć lat w zabójstwach?

— Potrzebuję ludzi inteligentnych, z doświadczeniem i charakterem — odpowiedział naczelnik. — To nie kolegium do spraw wykroczeń, tylko jedyny w Polsce wydział zabójstw. A ty jesteś w zabójstwach najlepszy — Zolner zawiesił głos, wydał usta i poprawił okulary. — Posłuchaj — nachylił się w stronę Emila. — Ja ciebie, człowieku, rozumiem. Możesz sobie myśleć, co chcesz, ale dostałem jasne polecenia od stołecznego.

Zolner miał ochotę powiedzieć Emilowi, jaka jest prawda, ale sekundę później dostrzegł w oczach inteligentnego i niestety pyskatego oficera to, że nie musi. Ciekawe, czy gdyby Emil umiał patrzeć inaczej, jego kariera potoczyłaby się tak samo? Prawdę mówiąc, Stompor jako policjant był dawno skończony. Nie miał szans, aby awansować. Naczelnik i tak się dziwił, że takiemu krnąbrnemu, pyskatemu i sprawiającemu problemy policjantowi udało się zostać oficerem. Zolner nawet poczuł coś na kształt żalu. Stompor był przecież utalentowanym i błyskotliwym policjantem, od którego wielu młodszych, a nawet starszych mogłoby się uczyć pracy, ale nie tego, jak planować karierę i awansować.

— To decyzja stołeczno — naczelnik powtórzył, jak gdyby przez to miał zabrzmieć bardziej wiarygodnie. — Nie moja. Nie miej do mnie pretensji. Nie mam co z nim polemizować. Przyszłość wydziału zabójstw wisi na włosku — naczelnik ściszył głos. — Kurwa, Stompor. Zawsze mogłeś na mnie liczyć, pomagałem ci. Jak wyszła ta sprawa z twoją żoną i twoim kolegą ze szkolenia...

Emil w ułamku sekundy sięgnął przez biurko. Chwycił naczelnika za poły marynarki, wbijając wściekle spojrzenie w jego przerażone oczy. Przez chwilę mierzyli się wzrokiem, po czym detektyw usiadł z powrotem. Zapadła cisza. Zolner poprawił ubranie, Emil sięgnął do kieszeni po paczkę cameli. Wyjął jednego i bez słowa przyłożył niezapalonego papierosa do górnej wargi, zamykając oczy.

— Kiedyś panu przypierdolę przy podwładnych.

— I wylecisz ze służby.

— Nawet bandyci mają zasady — Emil szepnął. — Rodziny się nie tyka, ona jest święta. No tak, teraz nadeszła era gliniarzy, którzy nie mają żadnych zasad.

— Co to za papier?

— Proszę przeczytać — Emil wskazał dokument paczką cameli.

Naczelnik łypnął na Stompora, a potem chrząknął, wstał i podszedł do okna z dokumentem w dłoni. Pismo nie było długie. Prawdę mówiąc, był to najkrótszy raport, jaki naczelnik widział. „Proszę o przeniesienie mnie ze stanu etatowego Komendy Stołecznej Policji w Warszawie Wydział Zabójstw na stan etatowy Komendy Wojewódzkiej Policji w Opolu Wydział Kryminalny”.

— Nie uważasz, że ten raport jest za krótki?

— I tak wiadomo, o co chodzi.

— Nie ma uzasadnienia.

— Jest. Między wierszami.

— I komendant ma się domyślać?

— Raporty w policji pisze się po to, aby usankcjonować to, co się już załatwiło. Woli pan, żebym napisał, jak mnie obaj z byłym stołecznym zrobiliście w chuja? I że zamiast do sekcji uprowadzeń trafiłem do zabójstw? I to po tym wszystkim, co się stało w mediach po sprawie tamtego porwania? I o tym, że już nawet nie pamiętam, ile napisałem raportów o przesunięciu do techniki operacyjnej? A także o tym, jak...

— Dobra, dobra! Wystarczy! Widzę, że stawiasz wszystko na jedną kartę.

— Zmusiliście mnie.

— Co według ciebie mam powiedzieć komendantowi, jak mnie zapyta dlaczego?

— Prawdę.

— Prawdę?

— Nie mieści się to panu w głowie? — Emil odparł. — Nie jestem zaskoczony.

— Za to ja jestem! Chcesz się wyprowadzić z Warszawy. I to do jakiegoś Opolu? To w ogóle jest jeszcze Polska?

— Mniej w nim stołecznego skurwysynstwa i warszawskich mend. Jest spokojniejsze. Moja córka rośnie, nie chcę, żeby wychowywała się w tym przeklętym mieście. Zresztą oprócz tego — Emil spojrzał naczelnikowi w oczy — jest jeszcze tamto.

— Kurwa jego mać. Zawsze miałem z tobą problemy. Od samego początku!

— To też jest sprawa osobista. Będzie lepiej, jeśli się stąd wyprowadzimy.

— Myślisz, że uda ci się zapomnieć?

— Mam nadzieję, że jemu owszem — Emil odpowiedział spokojnie.

— Wiesz, że nie mogę poprzeć tego raportu?

— Łże pan — Emil odparł. — Jak zwykle. Jeśli dostanę odmowę, napiszę kolejny.

— Jesteś legendą wydziału. Jednym z najbardziej doświadczonych funkcjonariuszy. A teraz na ten cholerny Kraków — naczelnik znów stuknął w raport — zrobił się cholerny nacisk i musisz się tym zająć. Policja cię teraz potrzebuje bardziej niż kiedykolwiek wcześniej!

— Sram na policję.

— Emil!

— Tak samo, jak na pana kłamstwa. Mam dość Warszawy i dość tej firmy. Dość pana, Woronicza i tego, że ta robota jest bez sensu. Łapię morderców, a prokuratorzy i sędziowie ich wypuszczają. Przez prawie piętnaście lat policja mi robiła na głowę, jeśli już tak bardzo pana razi moje słownictwo. Robili mi na nią przełożeni. Teraz przyszedł czas, żebym pomyślał o sobie, żonie i córce. One mnie potrzebują bardziej niż kiedykolwiek.

— Nie dostaniesz zgody — naczelnik odparł z naciskiem.

— Proszę to jeszcze raz przemyśleć, bo jak się następnym razem spotkamy, na pana biurku pojawi się kolejny dokument. I ten raport już będzie dłuższy. Jeśli dostanę odmowę, to odchodzę ze służby. I opiszę to wszystko ze szczegółami.

— Grozisz mi?

— Jest jeszcze kilku dziennikarzy, którzy się ucieszą.

— Ale z ciebie skurwiel.

— Media lubią takie historie.

— Nie sra się do swojego gniazda.

— A srać na łby swoim ludziom można? Co, „nie chcem, ale muszem”?

— Na łby to się chyba zamieniłeś z chujem! — naczelnik ryknął, szerzej otwierając oczy i unosząc podbródek, po czym niespodziewanie zamilkł.

A potem zaczerwienił się, spojrzał wściekle w oczy gliniarza, w furii nawet przez chwilę nie zastanawiając się, co jest napisane na tej kartce papieru, przedał raport na dwie części. Emil uśmiechnął się, a Zolner natychmiast ochłonął. Wiedział, że to właśnie ta chwila, kiedy Emil sam był sobie winien, że miewał zatargi z przełożonymi. Gdyby chociaż tylko kilka razy w życiu w odpowiednim momencie postąpił tak, jak chcieli ci, od których wiele zależy, ten utalentowany policjant mógłby zejść dużo dalej.

— Dobra. Zobaczę, co się da zrobić, kurwa mać. Co do jednego masz rację — odparł wypracowanym, niemal niesłyszalnym szeptem. — Niektóre raporty w policji pisze się po to, aby usankcjonować to, co się załatwiło. Szykuj się, jedziemy na strzelnicę — dodał, spoglądając na zegarek — musimy zaliczyć cholerny egzamin, a przy okazji powiem ci, co się tu, kurwa mać, przez tydzień nawyprawiało.

W luksusowo wyposażonym, klimatyzowanym pomieszczeniu panuje cisza. Komendant główny siedzi przy biurku. Dotyka plecami oparcia skórzanego fotela z wysokim zagłówkiem. Spogląda na aparat telefoniczny. Krzesła przy długim stole są puste.

— Powtórzę — mówi. — To sprawa priorytetowa.

— Tak jest — odpowiada wojewódzki z Krakowa.

— Zależy mi na niej. Liczę, że dopilnuje pan tego, żeby ten pana pomysł wypalił.

Generał omiata wzrokiem meble po swojej prawej stronie. Promienie słońca oświetlają ustawione na półkach plastikowe modele w skali 1:48 i jasne oczy mężczyzny przesuwają się po miniaturowych policyjnych śmigłowców, podświadomie szukając kurzu, którego tam jednak nie widać.

— Trzymam rękę na pulsie — pada w głośniku. — Mam już sygnały, że Stompor działa.

— I bardzo dobrze! Niech działa z wykorzystaniem wszelkich dostępnych metod i środków. Jeśli będzie czegoś trzeba, proszę nie wahać się przed podjęciem decyzji — komendant sięga po pilota od ustawionego przy drzwiach telewizora Curtis. — Jak będzie potrzebny śmigłowiec, ma go dostać — mruczy, spoglądając na miniaturowe maszyny na półkach. — Jak będą chcieli przesłuchać połowę Krakowa albo zrobić jakąś obławę, proszę zapewnić tylu ludzi, ilu będzie potrzeba. Jeśli do realizacji będą potrzebni nasi antyterrorysty, to dwie godziny po telefonie będą tam. Jest jednak warunek. Mają być efekty. „Kuśnierz” musi zostać złapany. Proszę nie zapominać tego, co zawsze powtarzam. Nie wyobrażam sobie, że policja nie będzie miała ludzkiego wymiaru, ale musimy być skuteczni. Służymy społeczeństwu i trzymamy je w szachu.

— Oczywiście.

— Powtarzam: jeszcze bardziej skuteczni. Trzeba raz na zawsze skończyć z piętnem milicyjnej przeszłości — słychać w cichym gabinecie, a generał stuka palcem w biurko. — Społeczeństwo ma nam ufać jako ludziom nowej epoki. Niebawem wejdziemy do struktur europejskich.

— Tak jest.

— A jak tam ten wasz gliniarz?

— Problemy są.

— Tak myślałem — komendant marszczy skórę na sięgającym czubka głowy czole. — Tu u mnie, w Warszawie, też. Rozmawiałem z Woroniczem. Stompor złożył raport o przeniesieniu. Jakby nie mógł kiedy indziej! Tylko akurat teraz, jak minister i premier cisną nas jak w imadle. Grozi też, że odejdzie ze służby.

— To wywołałoby skandal. Jeszcze większy niż teraz — w głośniku słychać westchnienie.

— Nie możemy do tego dopuścić. Naczelnik go na szczęście powstrzymał. I bardzo dobrze! A jak się sprawuje na miejscu?

— Grzybek, niestety, melduje, że wywołał konflikt z jego funkcjonariuszami.

— Cholera jasna! — Główny trzaska pięścią w stół. — Mogliśmy wybrać kogoś innego. No tak — dodaje, uspokajając się — ale to jego ostatnio pokazywaliśmy w mediach. Wydawał się idealny. Teraz za późno. Nie możemy się wycofać. Chyba że ma pan inny pomysł?

— Może coś Stomporowi obiecujemy? — pada z głośnika. — Powiedzmy, że dostanie, co chce. Pod warunkiem, że sprawę poprowadzi do końca.

— Do końca — komendant komentuje zadowolony. — Oczywiście! Wiadomo, lepiej jest dobrze obiecać niż słabo dać. Świetny pomysł! I nawet dobrze się składa. Skoro ten Stompor czegoś tam bardzo chce... Tymczasem ma zapierdalać. Jak koń w kieracie. I myśleć, że coś za to dostanie. Rozumiem, będzie miał motywację. Obiecujemy, że jeśli rozwiąże sprawę i nie będzie sprawiał problemów, dostanie zgodę na swoje Opole. Chwycimy cwaniaka za jaja. Takich trzeba słuchać, obiecać im wszystko, czego oczekują, a potem powolutku, stopniowo wygaszać ich oczekiwania. Wiedziałem, że na pana można liczyć. My, ludzie z Krakowa, musimy się trzymać razem — komendant mówi, po czym dziękuje za rozmowę i naciska klawisz na stacjonarnym telefonie.

Tym razem będzie mógł przekazać ministrowi dobre wieści. Idealnie, myśli, rozpierając się w swoim wygodnym fotelu, w ciszy biura w budynku przy Puławskiej, ciesząc się, że wszystko zaczyna się układać po jego myśli.

Zolner strzelił pierwszy, Emil po nim. Po pierwszych strzałach posypały się kolejne. Przez następne dwie, trzy sekundy rozpętała się kanonada jak przy ulicznej strzelaninie. Pistolety wydały z siebie ciche, metaliczne odgłosy zrzucanych zamków, a potem puste uderzenia iglic w próżnię komór nabojoych. Schowali swoje P-83 do kabur, zdjęli ochronniki słuchu i skierowali się wraz z instruktorem w stronę tarcz. Wrócili do rozmowy, którą zaczęli, wyjeżdżając z pałacu.

— Jak bardzo jest źle?

— Wygląda na to — Emil kiwnął głową — że pierwszy prowadzący śledztwo poszedł na emeryturę, a pozostali, tak zwani najbardziej doświadczeni funkcjonariusze, nic ze sprawą nie zrobili i nie robią nadal. Próbuja zrobić chłopaka, który się kiedyś w niej kochał — dodał. — Jest faktycznie podejrzany i coś chyba wie ciekawego, ale milczy. Na dodatek gliniarz, który pierwszy prowadził sprawę, został niedawno znaleziony w swoim mieszkaniu.

— Martwy?

— Zamordowany.

— No, robi się ciekawie — odparł Zolner. — A jak?

— Zastrzelony. Prawdopodobnie. W mieszkaniu były drobiny prochu, był ślad po kuli w meblach. Brakowało pocisku, łuski i głowy ofiary.

— To rzeczywiście wygląda jak gówniana sprawa.

— Czekam na dostęp do dokumentów. Wiem, że znaleźli rozkładającego się trupa bez głowy, ślady krwi, milion śladów traseologicznych i tyle. Facet śmierdział na kilometr. Zwłoki już żarło robactwo.

Emil spojrzął na tarczę. Podrapał się ze zmieszaną miną po głowie. Rozrzut na tarczy był duży. Już z daleka, niczym wyrzut sumienia, kłuły w oczy dwa ślady po pociskach: jeden gdzieś z prawej u dołu, zupełnie poza polem punktowym tarczy, drugi o wiele za wysoko, nad czarnym kołem przy okręgu — zaledwie za dwa punkty.

— Co się stało, komisarzu? — zapytał instruktor.

— A co ci się nie podoba?

— Coś panu nie poszło — odparł, już na pierwszy rzut oka widząc, że wynik Emila nie będzie dobry. — Wyszedł pan z formy?

— I tak jest nieźle.

— No jest, ale...

— Ale co?

— Jeszcze niedawno trafiał pan tylko w czarne — przypomniał instruktor.

Emil w milczeniu kiwnął głową. Śledząc, jak dłoń chłopaka wędruje po koncentrycznych okręgach i zakreśla flamastrem przestrzeliny, poczuł złość. Pierwsza przestrzelina poza tarczą, druga zaledwie za trzy punkty, potem piątka z lewej i dwie ósemki obok siebie. Do tego piątka nieco z prawej, u góry.

— Trzydzieści.

— Plus to — powiedział Emil, wskazując dwójkę u góry.

— Trzydzieści dwa.

— Od ilu zaliczasz?

— Od trzydziestu — instruktor odpowiedział, a Emil odwrócił się bez słowa i ruszył w stronę linii ognia. — Panu i tak bym zaliczył. Nawet gdyby nie było trzydziestu...

— Ty! Lepiej nie kombinuj.

— No, ale pamiętam czasy, jak pan strzelał najlepiej w całej stołecznej.

— Nie można wciąż być pierwszym.

— Chce pan poprawić?

— To przecież wystarczy.

— Niech pan nie myśli, że nie znam historii, jak kiedyś na egzaminie strzeleckim uzyskał pan maksymalną liczbę punktów. W Legionowie. Na kursie podstawowym.

— Myślałem, że już jej nie powtarzają.

— Przecież pan wie, że mam dostęp do arkuszy strzeleckich. To nie plotka.

— Dawno temu, za górami, za lasami.

— Trafic sześć razy w dziesiątkę to wyczyn — instruktor pokiwał głową. — Nie strzela się z dwudziestu pięciu metrów sześć razy z rzędu w dziesiątkę przez przypadek. I to z P-83.

— To było prawie piętnaście lat temu. I strzelaliśmy z P-64.

— I co się dzisiaj stało, komisarzu?

— Gdybyś tam stał, zamiast tarczy, byłbyś trupem — Emil westchnął, zbierając się do wyjścia i wyczyszczenia broni. — I to ci powinno wystarczyć.

— Niech pan się nie gniewa, ale się spodziewałem...

— Daj już staruszkowi spokój — Zolner poprosił, uważnie obserwując Emila.

Instruktor uniósł ręce na znak, że się poddaje, a Zolner odłożył ochronniki oczu i słuchu, po czym położył palec na ustach i wszedł do pomieszczenia, gdzie Emil czyścił lufę swojego P-83. Naczelnik spojrział, stanął obok i rozłożył broń. Przez chwilę obaj milczeli.

— Powiedział pan, że jakiś trup jest do obróbki? Coś ciekawego? — Emil zapytał, spoglądając na gładź lufy.

— Spalona kobieta. Ktoś ją oblał łatwopalną cieczą i zastrzelił. A że to prokurator, więc chyba masz pojęcie, jaka się nagle sraczka po korytarzach zrobiła? Nazywa się Krystyna Wolska.

Emil wyprostował się jak rażony prądem, a potem odłożył broń. Poczował, jak po kręgosłupie biegnie ten dreszcz. Zamknął oczy, skupił wszystkie myśli. Przeczucie nie nadeszło. Po chwili pomyślał, że wieczorem znów pójdzie biegać, a żonie pewnie niezbyt się to spodoba.

W redakcji panował codzienny chaos, świadczący o spokoju. W podzielonej boksami sali kilku dziennikarzy prowadziło rozmowę, kilku innych stuknęło w klawisze. Pozostali wpatrywali się w monitory. Agata Żurawska obróciła się na krześle w stronę telefonu.

— Pani redaktor, ja wiąże się z tym — usłyszała niski, odrobinę stłumiony, z pewnością zniekształcony, męski głos — że mam ciekawy temat. Na pewno panią zainteresuje. Mam informacje o pewnym zabójstwie.

— W takich sprawach należałoby zadzwonić na policję.

— To o policję chodzi. Konkretnie o policjanta. Nazywał się Krajewski. Zabiłem go.

Odchyliła się na oparcie fotela. Potrafiła odróżnić po kilku zdaniach wartościowego informatora od nawiedzonego kapusia albo zawistnego sąsiada, byłego męża, żony, kochanki albo kolegi z pracy w kolejce do awansu. Intuicja podpowiedziała jej, że nie rozmawia z jeszcze jednym oszołomem.

— Dlaczego pan do mnie z tym dzwoni?

— Chciałem, aby pani wiedziała.

— Dlaczego ja?

— Może panią lubię? — odparł. — Niech się pani nie obawia. Nie obedrę pani ze skóry.

— Ją też pan zabił?

— Tak — szepnął beznamiętnym głosem. — Zrobiłem to dla mięsa z jej pośladków, serca i wątroby. Zjadłem je uduszone z wyką i popijając z acem. A z jej skóry powstał kombinezon.

Przełknęła ślinę, zastanawiając się, co powinna odpowiedzieć. Wyobrażenia podpowiedziała jej zdjęcie doktora Lectera i wielki tytuł na pierwszej stronie.

— A Krajewski?

— Odciałem jego głowę, zdjąłem twarz i zrobiłem z niej maskę — odparł.

— Mam w to uwierzyć?

— Wracając do tematu — rzekł. — Była pani kiedyś w Kazimierzu Dolnym? Nie? Powinna się pani tam wybrać. Piękne miasto. Wisła rozlewa się tam na wiele odnóg, pomiędzy kilka pięknych, piaszczystych wysp. Malowniczo tam. Rzeka meandruje i wije się jak wąż. W jednej z odnóg jest głowa tego gliniarza.

— A Wolska?

— Upiękniała się jak przepiórka — szepnął, po czym szczegółowo wyjaśnił, że oblał prokurator mieszanką niskooktanowej benzyny z olejem i ropą.

Zapadła cisza. Żurawska gorączkowo zastanawiała się, o co teraz zapytać. Poczowała, że jej głowę wypełniają pustka i strach. Nigdy nie rozmawiała z mordercą. Sekundę później usłyszała dźwięk zakończonej rozmowy.

Dochodzi już piętnasta trzydzieści. Detektyw jest zmęczony. Przez chwilę patrzy na pisma, które naczelnik Zolner na niego zadekretował. Wreszcie, odkładając sprawy z Warszawy, otwiera notes, wykręca numer. Dodzwania się do Instytutu Ekspertyz Sądowych im. Profesora doktora Jana Sehna i wyłuszcza sprawę. Przełączany kolejny raz do następnych rozmówców, spogląda ze znużeniem na zegarek. Wreszcie łączy się z kimś, kto przeprowadzał ekspertyzę wyłowionego z Wisły swetra.

— Tak, znalazłem coś. — Detektyw słyszy. — Niech tylko pan nie pokłada w tym większych nadziei. Prawdę mówiąc, to ten dowód jest prawie bezwartościowy. Woda wszystko wymyła, nie ma tam wiele. Woda jest niezłym rozpuszczalnikiem, miejsce nie było najlepsze, zanieczyszczenia, smary i dość silny nurt, jak na Wisłę, rzecz jasna. No ale chyba nie dzwoni pan, żeby słuchać, jak się skarżę. Coś jednak znalazłem — odparł specjalista z instytutu. — Zrobiłem analizę mikroskopową włókien. Nie będę panu mówił o swetrze, bo to przeczyta pan sobie w ekspertyzie. Istotne, że w jego splotach trafiłem na kilka niewielkich, obcych włókien. Zbadałem je. Wyszła ciekawa rzecz.

— Mianowicie?

— Pochodzą z munduru — odparł spec od mikrośladów.

— Na miejscu byli umundurowani policjanci, technicy. Ktoś zabezpieczał materiał dowodowy — Emil odparł, wolno wypuszczając powietrze. — Holownik obstawiali gliniarze z oddziałów prewencji z Krakowa — dodał, przypominając sobie czasy, kiedy sam był w takiej jednostce szeregowym. — Miałem nadzieję, że będę mógł zawęzić grupę podejrzanych.

— To mundur wojskowy. Wzór osiemdziesiąt dziewięć. Potocznie „puma”.

— To można rozpoznać rodzaj munduru po włóknach?

— To zależy od próbki. To, co znalazłem, wystarczy. To nawet nie mikrowłókna, ale niemal nienaruszona tkanina. Początkowo chciałem zidentyfikować włókna i ustalić cechy materiału badawczego. Przeprowadziłem wzdłuż i w poprzek włókna analizę barwy budowy morfologicznej.

Emil wydał usta i sięgnął po papierosy. Następnie rozparł się na krześle. Nieco zniecierpliwiony spojrzął na zegarek na nadgarstku. Pomyślał o tłoku w tramwajach i metrze.

— Obejrzałem sobie pod światłem spolaryzowanym te włókienka — ciągnął ekspert — żeby określić współczynnik załamania światła i tak zwane wydłużenie włókna. Szczegóły pan znajdzie w ekspertyzie, mówiłem. Potem sprawdziłem fluorescencję i coś mnie tknęło. Podałem próbkę działaniu podczerwieni. I dostałem wynik. Jeśli znajdzie pan panterkę sprawcy, mogę dopasować do niej moje włókna. Będzie miał pan dowód, z którego żaden adwokat tego bydlaka nie wybroni.

— Zamordował ją w pumie?

— We włóknie jest krew. A Wisła, proszę pana, w Krakowie jest jeszcze tylko umiarkowanie brudna. Dzięki porównaniu składu wody i tego, co prawdopodobnie znalazło się w tym włóknie, możemy przypuszczać, że sprawca w momencie pozbywania się szczątków miał to ubranie na sobie.

— A czy ten sweter nie nasiąkł przypadkiem tymi zanieczyszczeniami wcześniej?

— Nasiąkł, ale są to zabrudzenia wtórne — wyjaśnił ekspert. — Moim zdaniem jest możliwe określenie miejsca, gdzie ten człowiek zabrudził swoje ubranie. Znalazłem ślady żywicy.

— Z drzewa?

— To prawdopodobnie sosna.

— I co nam to daje? — Emil zapytał, masując palcami skronie. — Sosna to rodzaj obejmujący grubo ponad sto gatunków drzew i krzewów.

Emil nagle poczuł delikatny, ledwie zauważalny dreszcz na plecach. Przymknął oczy. Skupił się, by zadać odpowiednie pytanie.

— Ale nie wszystkie rosną nad Wisłą. A na pewno nie w okolicach Krakowa — powiedział jego rozmówca. — Tym bardziej że to żywica z limby.

— To rzadkie drzewo?

— O tym powinien pan rozmawiać z botanikiem lub kimś, kto zna się na dendrologii.

— Dendrologii — powtórzył Emil.

— Bo déndron to z greki drzewo.

— Skąd wiadomo, że to żywica z limby?

— Jej żywica charakteryzuje się dużo większą obecnością związków lotnych niż innych drzew, nawet iglastych — Emil usłyszał dokładnie to samo, co od kolegi chemika usłyszał biegły badający mikroślady na swetrze. — Chodzi o olejki eteryczne. Pewnie niewiele pan z tego rozumie, ale proszę również pamiętać o jednym. Nie ma dwóch identycznych włókien.

— Wiem, wiem — odparł Emil w zamyśleniu. — Tylko co mi to teraz daje?

— Dwa takie same swetry noszone przez dwie różne osoby będą po krótkim użytkowaniu miały włókna o innych cechach. Odżywianie się, nałogi, kosmetyki, lekarstwa, proszek do prania, twardość wody i zanieczyszczenia pełnią rolę identyfikacyjną.

— Nie mam podejrzanych.

— Proszę się zgłosić, jak znajdzie pan kogoś. Współczesna nauka daje nam nieocenione możliwości. Nie wiem, czy pan wie, że identyfikacji sprawcy można dokonać nawet na podstawie analizy drobin pyłku niektórych roślin osadzonych na odzieży. Wystarczy określić miejsce lub czas zetknięcia się podejrzanego z roślinnością. To tak na marginesie, bo tym zajmuje się akurat palinologia kryminalistyczna, a to nie moja działka. Proszę mi dać do porównania włókno z munduru podejrzanego — dodał rozmówca Emila — a napiszę panu pod przysięgą, czy ono pochodzi od człowieka, który miał je na sobie, dokonując zabójstwa albo zaraz po nim.

— Tyle że nie mam tego człowieka.

— Nie znam się na mundurach. Gdyby pan coś więcej chciał wiedzieć, to znam takiego od rekonstrukcji. Może powie panu coś ciekawego?

Emil zapisał nazwisko i numer. Potem podziękował za rozmowę, odłożył słuchawkę i zmrużył oczy. Pojawiło się jakieś światło w tunelu.

Żurawska odsłuchiwała automatycznie nagraną rozmowę. Zarchiwizowała zapis na dysku. Następnie kliknęła skrót *Microsoft Office 2000* na pulpicie i zaczęła stukać w klawiaturę. Nie wnikała w szczegóły, nie przedstawiła rozbudowanego tła. Używała prostego, zrozumiałego stylu. Kończąc, wydrukowała tekst i chwyciła za telefon.

— To może nic nie znaczyć, ale — zaczęła — jeśli to nie głupi żart, to zaraz panu stanie. Mnie stanął od razu. Rozmawiałam z „Kuśnierzem”.

— Krakowskim Buffalo Bille, mordercą?

Redaktor naczelny kazał jej natychmiast przyjść z nagraniem. Minutę później była u niego z napisanym przed chwilą tekstem. Streściła mu telefoniczną rozmowę. I chociaż długie, jasne włosy i uroda upodabniały Żurawską do trzydziestoletniej piękności, jej zachowanie nie dawało złudzeń. Poczynała sobie jak dziewczucha wychowana w męskim świecie.

— Jeśli to chwyci, za premię, którą od pana dostanę, obiecuję powiększyć sobie cycki — odparła, unosząc biust w górę wulgarnym, typowym dla prostytutek przy szosach ruchem. — Głupio byłoby coś takiego zmarnować.

— Możemy ten materiał wrzucić w sieć, ale i tak musimy poinformować gliny — mruknął.

— Poinformujemy.

— Ej, co ty kombinujesz?

— Możemy też zrobić to tak, żeby mieć coś z tego.

Żurawska uśmiechnęła się przebiegle. A potem, nie tracąc czasu, wyłuszczyła pomysł. Naczelny słuchał bez zadawania pytań. A kiedy skończyła, spojrział badawczo. Po chwili wydał usta, potarł palcami brodę.

— Ryzykowne.

— Kto nie ryzykuje, ten nie pije szampana. I nosi miseczki C. Psiarnia zacznie przeczesywać Wisłę. Zrobię zdjęcia. Jeśli coś znajdą, zadzwonię — powiedziała, wskazując wydruk — i minutę po tym będziemy to mieli na pierwszej stronie.

Naczelny przekrzywił głowę i zastanowił się. Dobrze wiedział, że dziennikarkę napędzała chęć zrobienia kariery. To sprawiało, że przypominała raczej rozwódkę walczącą o korzystny podział majątku bogatego męża i o alimenty. Widział, że zapaliła się do tematu. Sam patrzył na to z boku.

— Zrobimy inaczej — odparł. — Przygotuj drugi artykuł. Konkrety, kto i gdzie. Zabezpiecz rozmowę. Zrób kopię zapasową, przynieś do mnie. Schowam w sejfie. A chłopaki niech znajdą do tego jakieś grafiki. Mają być dwa artykuły. Jeden na tak, drugi na nie.

— Na wypadek, gdyby tam niczego nie było?

— Jeśli okaże się, że on to zignoruje, wrzucimy materiał i powiadomimy ich oficjalnie z dołączonym nagraniem. Rozpętamy piekło. Jeśli nic tam nie znajdą, będziemy mieć używanie, że są do niczego. Tak czy inaczej, będziemy mieć coś mocnego. Niekompetencja, zamiatanie pod dywan, byli ubecy, korupcja na najwyższych szczeblach. Pieniądze z podatków. Poszukamy korupcji i płatnej protekcji. Do tego sprzedawania informacji gangsterom i politykom. To zresztą to samo. Ważne, że dopierdolimy im tak, że aż im w piętę pójdzie. Jeśli trafimy, reszta Polski będzie nam jadła z ręki.

— Mam przecucie, że mamy petardę.

— Nie boisz się?

— A pan by się nie bał?

— Nie rozmawiałem z nim — zauważył.

Kobieta nie mogła zdawać sobie sprawy, w jak niebezpieczną intrygę ją uwikłano.

Sobotni poranek przywitał ich deszczem. Emil spojrzął przez wąskie, kuchenne okno, w tak samo wąskiej i niewygodnej kuchni, a potem przyłożył usta do kubka z aromatyczną kawą i w ponurym nastroju usiadł do stołu.

— Miałam nadzieję — Lola zaczęła z wyrzutem — że skoro nie było cię cały tydzień, to chociaż weekend spędzimy razem.

— Nie mogłem się wyrwać.

— To nic nowego.

— Jest gorzej, niż przypuszczałem — powiedział, wzdychając, a potem dodał, spoglądając w jej oczy: — Rozmawiałem z naczelnikiem. Zgodzili się, ale muszę iść z nimi na układ. Muszę tam jeszcze zostać — dodał. — Do czasu rozwiązania tej sprawy. Robię, co mogę.

— Tylko dla kogo?

— Dla nas.

— Dziś też pójdziesz do Pałacu Mostowskich?

Nie odpowiedział. Przez chwilę patrzył, jak na jej twarzy kłębią się emocje i czuł się zły i bezsilny. I rozdarty. Przypomniał sobie historię ich literackiej miłości i spróbował uśmiechnąć się czule, ale wyszło sztucznie.

— To jest szantaż.

— Oni nazywają to skutecznymi metodami motywacyjnymi.

— I ty im wierzysz?

— Mam teraz wszystko rzucić? Na dwa lata przed emeryturą?

— Powiedziałam, że mam dość. Nie będę czekała. Nie wytrzymam do grudnia. Poza tym ostatnio powiedziałeś, że odchodzisz, jeśli nie dadzą ci zgody.

— Szkoda mi tych lat. Nie chcę podejmować pośpiesznych decyzji, których potem będziemy żałować. To tylko pół roku. Przecież nawet nie masz jeszcze tej pracy.

— A co zrobisz, jak Zolner powie ci, że znów jesteś potrzebny?

— To nie moja wina!

— A może moja?

— Nie wkładaj mi w usta czegoś, czego nie powiedziałem — warknął do niej.

— To zacznij myśleć logicznie!

— Gdzie jest mundur, tam nie ma logiki.

— Powiedziałam już, co myślę. Ciekawe, że nagle zacząłeś wierzyć Zolnerowi.

— Nie mam wyjścia.

— Wcale nie o to chodzi, prawda?

— Co chcesz jeszcze usłyszeć?

— Prawdę!

— Oskarżasz mnie o kłamstwo? — zdenerwował się. — Ja pierdolę.

— Nie klnij! Jesteś w domu, a nie w tej swojej parszywej robocie! I wiesz co? Powiem ci. Masz gdzieś mnie i Julkę.

— Jesteście dla mnie najważniejsze.

— Bzdura! Liczy się dla ciebie tylko ta cholerna praca! Robisz to, bo kochasz to bardziej niż nas.

— Robię to, bo to mój zawód. A także dlatego, że coś dawno temu sobie obiecałem. Zginęła dziewczyna, a potem gliniarz, który dostał tę sprawę. Teraz nie żyje prokurator. Utknąłem w tym gównie — wyrzucił z siebie niemal jednym tchem.

— Zostaw to!

— Po to zostałem policjantem! Żeby to robić, rozumiesz? Żeby bronić takich jak ty albo nasze dziecko przed złem, które wypełnia ten świat.

— I dlatego właśnie najważniejsza jest dla ciebie ta twoja cholerna policja! Nie rodzina, ale twoje przeklęte powołanie, cholerne zasady i misja. Nie mają dla ciebie znaczenia pieniądze, awanse i układy. Nic! Tylko to.

— Może to dla mnie istotne?

— A może powinno być co innego? Dawno mógłbyś być już jakimś naczelnikiem albo komendantem, zarabiać prawdziwe pieniądze i spędzać noce z nami. Ale już taki jesteś, inaczej nie byłbyś gliną.

— Policjantem.

— Nie, ty nie jesteś policjantem. Ty jesteś gliną, Emil. Musisz bronić świata przed złem. Szkoda tylko, że nie widzisz nas w tym twoim złym świecie. Przypomnij sobie, detektywie Stompor, obrońco uciśnionych,

kim byłeś. Zawsze powtarzałeś, że prędzej uwierzysz bandycie niż przełożonemu! A teraz myślisz, że Zolner dotrzyma słowa? Ty już podjąłeś decyzję! — Lola nagle urwała.

W drzwiach pojawiła się zaspana Julka w pidżamce, z ulubionym misiem. Mężczyzna poczuł, jak jakaś niewidzialna siła ścisną go za serce. Obrzucił żonę pełnym wściekłości spojrzeniem, przytulił dziewczynkę i szybko wyszedł z domu, zabierając broń, legitymację, klucze i telefon.

Naczelnik wszedł do biura i usiadł bez słowa. Słuchał ze skrzyżowanymi ramionami i z rosnącym z minuty na minutę podziwem dla tego, co Stompor zdążył w ciągu kilku godzin ustalić.

— Sto lat temu produkowali tam drut i gwoździe, stąd nazwa. Po wojnie fabryczkę włączono do Zjednoczenia Przemysłu Motoryzacyjnego — Stompor rzekł, zerkając do notatnika. — Robili sprężyny do samochodów i maszyn. Na całą Polskę. Potem, jak związkowcy z Żerania sprowadzili Koreańczyków i Daewoo, tak samo. Tyle że do lanosów, nubir. No i polonezów. Daewoo się jednak skończyło. I w tym problem.

— W Koreańczykach?

— Część budynków należy do nich. Teren prywatny, więc nie możemy tam robić zaplanowanych czynności. Nikt nam na to nie da zgody. No i komu wręczymy nakaz?

— Myślisz, że coś tam jest?

— Na miejscu zbrodni zawsze coś jest — odparł Emil. — Trzeba to tylko znaleźć. Na razie mamy niewiele. Jeden zniekształcony ołowiany pocisk. Kaliber prawdopodobnie pięć przecinek sześć milimetrów.

— Bez łuski?

— Bez.

— Czyli łuskę zabrał — Zolner powiedział. — Tak samo jak przy Krajewskim.

— Tak, a mimo to nie chce mi się jakoś wierzyć, że mamy dwóch sprawców. Te sprawy się na pewno łączą. Nie wiem tylko jak. Wszystko się zgadza, a jednak mi nie gra. Odstaje. Nie pasuje.

— W czym?

— Nie wiem.

— Poczekamy — odparł Zolner.

— Na następnego trupa?

— I tak musisz jechać do Krakowa. Sprawa Wolskiej i tak będzie leżała. I zdaje się, że przyjechałeś do Warszawy na weekend, prawda?

— Już jest weekend — Emil westchnął, spoglądając na zegarek.

— Masz jeszcze coś?

— Mamy wyniki sekcji. Śmierć od rany postrzałowej w głowę. Precyzyjny strzał jak u zegarmistrza, z bliska — odpowiedział Stompor. — Rana wlotowa między oczami, rozerwany mózg i przestrzał rdzenia kręgowego w odcinku szyjnym. A to oznacza, że strzał padł, kiedy Wolska już leżała. Uszkodzenie rdzenia kręgowego w górnym odcinku szyjnym było bezpośrednią przyczyną zgonu. Gdyby nie ono, Wolska i tak by umarła. W chwili uszkodzenia mózgu już zachłystywała się krwią.

— Jak to możliwe?

— Miała przestrzelone serce i lewe płuco oraz początki obfitego krwotoku do płuc.

— Czekaj, czekaj — przerwał Zolner. — Czyli więcej niż jeden strzał?

— Co najmniej trzy. Pani prorok już się prawie udusiła. Zanim oberwała w czoło, dostała w klatkę piersiową. I też, kurwa, precyzyjnie w serce. Kula przeszła przez lewy przedsionek i przebiła płuco. Potem prawdopodobnie zrykoszetowała od kostki brukowej i nie udało się jej znaleźć.

— Powiedziałaś, że się już prawie udusiła.

— Dymem.

— Aaa... rozumiem — Zolner kiwnął głową. — Czyli podpalił ją, zanim zastrzelił?

— Paliła się jakieś pół minuty. Może nawet i czterdzieści sekund. Trafiona w serce żyła.

— Nasz morderca zna się na anatomii?

— Na pewno na bestialskim zabijaniu. Oblał ją benzyną i podpalił żywą.

— Poparzone płuca?

— Płuca, oskrzela, tchawica i gardło — odparł Emil. — Wszystko ugotowane.

— Skurwiel. Żeby spalić człowieka żywcem, trzeba być kompletnym pojebem, nie uważasz? — skomentował Zolner. — Co trzeba mieć we łbie, żeby zrobić coś takiego?

— Jednak to zrobił. To coś znaczy. Każde zachowanie sprawcy o czymś świadczy. Każdy postępek można interpretować. Pojedynczy ruch to niewiele, ale jeśli dokładnie wniknie się w ich psychikę, istnieje szansa, żeby zobaczyć to, co oni widzą. Właśnie dlatego mam dosyć tej roboty.

— Nie mam zamiaru tego słuchać — odpowiedział naczelnik.

— To niech pan posłucha o substancji palnej. Benzyna bezołowiowa dziewięćdziesiąt pięć oktanów. Typowa, kupiona na stacji paliw. Nie da się ustalić, skąd pochodzi, ale z dodatkiem oleju silnikowego. Do diesla, konkretnie. Mineralnego, dziesięć W pięćdziesiąt, jeśli to pana interesuje.

— Interesuje mnie, po co to mieszać?

– Taki olej ma większą gęstość. A w laboratorium twierdzą, że proporcje tej mieszaniny to dwie części benzyny i trzy oleju. Taka mieszanina nie wybuchła, osiąga wyższą temperaturę i dłużej się pali. I tak łatwo nie spływa. Stosowano ją, zanim wynaleziono napalm.

– Ciekawe.

– Ciekawe jest miejsce zbrodni. Opuszczone, nieczynne. Idealne. Nikt nic nie wie, nic nie słyszał. Świadców brak. Nikt się o niczym nie dowie, czyli ślepa uliczka – Emil kiwnął głową ze zrezygnowaniem. – Rozmawiałem z kryminalnymi z Grenadierów, którzy to obrabiali. Mam tam starych znajomych, kiedyś tam pracowałem. Może coś ustalą. Sprawdzają, gdzie zatankował paliwo. Na razie trafili na kamerach kogoś, kto w przededniu zabójstwa tankuje w pobliżu benzynę do kanistra. Było ciemno, niewiele widać. Nie ma twarzy, nie widać blach, bo zaparkował poza zasięgiem kamer, ale zawsze to jednak coś. – Emil pokazał zdjęcie.

Zolner zerknął na czarno-białą fotografię przesłaną faksem, właściwie wydruk, na którym trudno było cokolwiek rozpoznać. Kamera ledwie uchwyciła postać człowieka, twarz pozostała niewidoczna.

– Facet w wojskowej bluzie.

– To „puma”.

– Jaka „puma”, do cholery?

– Mundur.

– No i co?

– Nic. Sam nie jestem w stanie wszystkiego sprawdzić – Emil odparł.

– Czego chcesz?

– Trzeba rozpytać obsługę stacji, może coś zapamiętali?

– Co ci powiedzą? Co zrobimy? Portret pamięciowy. Czyj? Faceta, który zatankował paliwo do kanistra? Setki facetów każdego dnia tankuje paliwo do kanistrów. Poczekamy, zobaczymy.

– Aż tym razem kogoś wypatroszy – Emil powiedział z ironią.

– Co mam ci powiedzieć? Ty jesteś w Krakowie, chłopaki zajęte. Nie mam kim robić.

– On to robi z zimną krwią. Jest systematyczny, wyszkolony, precyzyjny. Robi to, co zaplanował – Emil odparł poważnie. – Możliwe, że to najbardziej niebezpieczny skurwiel, z jakim miałem do czynienia.

– A może to zwykły wariat?

– Boję się skurwysyna.

– To dobrze – Zolner kiwnął głową. – Strach jest naszym sprzymierzeńcem. Ja też go nie lubię, bo jest nieprzyjemny. Najchętniej człowiekiem by od niego uciekł, ale on nas zmienia. Zwłaszcza gliniarzy. Pozwala zrobić to, co się wydaje niemożliwe.

– A jeśli tym razem się nie uda?

– Wolskiej też się nie udało. Andrzejewskiej.

– Nie żartuję, naczelniku.

– I Krajewskiemu.

– Nie mam ochoty zostać drugim Jezusem Chrystusem.

– Wiem.

– Nie chcę, żeby ktoś mnie zabił.

– Łapiesz morderców od dziesięciu lat!

– Coraz słabiej strzelam, gorzej widzę, a mój bieg przypomina trucht wieprza.

– Nie myśl o tym.

– Łatwo panu powiedzieć. Ten, kto zabija, realizuje jakiś plan. Pytanie tylko: jaki?

– Czasem mam ochotę cię udusić gołymi rękami – naczelnik zdobył się na chwilę szczerości – ale będzie mi cię brakowało, gnojku. Nigdy nie miałem wątpliwości, że te twoje metody i praktyka śledcza są kurewsko skuteczne.

Emil uśmiechnął się, ale to osobliwe wyznanie nie zrobiło na nim wrażenia. Powędrował myślami daleko w przeszłość, kiedy wszedł w umysł pierwszego seryjnego mordercy, którego ścigał. Teraz wszystko było jednak inaczej. Był innym człowiekiem. Czuł, że morderca jest kimś, kogo jeszcze nigdy nie spotkał. Człowiekiem, dla którego zabijanie stało się manifestacją. Nie wiedział czego, ale wiedział, że ten ktoś jest groźny.

Kawiarenka mieściła się w dużym i obskurnym pomieszczeniu. Poupychano w nim oddzielone przepierzieniami ze sklejki monitory przed hokerami. Za czymś w rodzaju baru zasiadał wychudzony, nerwowo żujący gumę, pryszczaty gnojek.

– Widziałeś ją kiedyś? – Modraszek zapytał, pokazując zdjęcie Ali.

– A jeśli tak, to co?

– To będę miał kilka pytań – Modry odparł, pokazując legitymację.

– Nie pamiętam. Dlaczego pan pyta?

– Mam dwadzieścia pięć lat albo dożywocie dla jej zabójcy.

Chłopak przestał żuć. Spojrzał na zdjęcie, a potem na policjanta z rudą czupryną. Następnie poruszył żuchwą kilka razy, spoglądając w monitor. W kafejce panował półmrok i spokój. Pachniało potem i red bullami.

– No, widziałem i co?

– Chyba nie chcesz wyłapać bonusu za utrudnianie śledztwa?

– Niczego nie utrudniam.

– Nie o to pytałem.

– Niby jak mam utrudniać?

– A nie powiedziałaś, że jej nie pamiętasz?

– Może już sobie przypomniałem – mruknął chłopak.

– Może zapomnę o twoim ćpaniu?

Chłopak przestał żuć. Zbladł, uśmiechnął się nerwowo, unikając spotkania ze świdrującym spojrzeniem rudego gliniarza.

– Od razu widać, że lubisz sobie przypierdolić kresczkę. – Modry kiwnął głową.

– Że niby ja?

– A co, ja? Chyba nie powiesz, że lecisz tu na kawie i energetykach?

– Jestem czysty.

– I nic nie ma na ciebie w rejestrach?

– Nie sprawdzałem – chłopak odpowiedział, nerwowo przeżuając.

– Dawaj PESEL. Zaraz cię wrzucę na bęben.

– Co pan chce wiedzieć?

– Wykaż się pamięcią do szczegółów, a nie będzie mnie interesowało ćpanie. Druga możliwość jest taka, że ci przepierdole ciuszki na zapleczu. I założę się o stówkę, że jak każę ci się odlać do słoika, to test amfę wykaże.

– Przecież nie jestem za kierownicą.

– No nie jesteś. – Modry kiwnął głową. – Ale jesteś w pracy. A prokurator nie będzie miał problemu z zatwierdzeniem przeszukania, które zrobię ci na chacie, w samochodzie i oczywiście tutaj. Na bank znaję jakiegoś scrackowanego photoshopa.

– Widziałem ją – odparł chłopak.

– Mów.

– Przecież to ostatnio głośna sprawa.

– Widzę, że procesor ruszył.

– Kto jej nie widział? Trzy lata temu to zdjęcie było na każdym słupie.

– Twoja kafejka jest najbliżej uniwerku. Ona na nim studiowała. Mam uzasadnione podejrzenie, że tu przesiadywała. Ostatni raz pytam, czy ją pamiętasz, czym mam ci gnój robić?

– Pamiętam.

– A umiesz mówić pełnymi zdaniami? Mówiłem, że możesz sobie narobić problemów. Zawiasy to najbardziej optymistyczny scenariusz. Teraz chodzi o to, żebyś zrozumiał powagę i nie oporował, bo dla mnie to ważne, a tobie się ogólnie nie opłaci robić mnie w chuja.

– Nie robię pana w chuja.

– Nie przeklinaj. Co pamiętasz?

– Karnet miała. Nie podpadła mi, nic szczególnego nie zrobiła. Płaciła, siedziała, wychodziła – chłopak wzruszył ramionami.

– Jak korzystała z sieci?

– Skrzynkę sprawdzała, przeszukiwała net. Nigdy nie grała. Większość czasu na czaterii spędzała, fora przeglądała – pryszczaty wskazał stanowiska przy oknie.

Modry kiwnął głową. Chłopak podał numery stanowisk, z których korzystała Andrzejewska. Wyjaśnił, że tam komputery do gier się nie nadają. Modry zapytał o to, czy system operacyjny był w nich instalowany

po tym, jak pojawiała się tu dziewczyna. Chłopak łypnął okiem, opuścił głowę i westchnął.

— Pan te kompy zabierze?

— Zabezpieczę procesowo — Modry odparł, wyjmując protokół zatrzymania rzeczy. — Policja odbiera przymusowo rzeczy mogące stanowić dowód w sprawie, a osobę mającą rzecz podlegającą wydaniu uprzednio wzywa się do ich wydania dobrowolnie.

Godzinę później Modry wyszedł z trzema twardymi dyskami. Chłopak schował się na zapleczu. Potem szybko wsypał biały proszek ze sreberka do szklanki z wygazowaną coca-colą. Wypił duszkiem. W myślach przeklinał upierdliwego rudzielca.

Emil Stompor, siadając na ławce w Łazienkach, zawiesza spojrzenie na rodzinach spacerujących z dziećmi. Jest późne, sobotnie południe. Myśli o żonie. Czekając, obraca w palcach papieros, aż pojawia się umówiony glina. To Mieczysław Leszko.

— Każda armia wykorzystuje odmienny rodzaj kamuflażu — mówi, przechodząc do rzeczy. — W Polsce po raz pierwszy mundur z kamuflażem zastosowano siedem lat po wojnie. Był to sowiecki wzór nazywany „pietruszką” — od kształtu zielonych plamek. Cztery lata później przyjęto wzór pięćdziesiąt sześć, opracowany na projekcie Wehrmachtu.

— Wehrmachtu?

— *Splittermuster* i *Sumpfmuster* — Leszko odpowiada, zadowolony, że może pochwalić się pasją.

— Nic mi to nie mówi.

— Mnie też by nie mówiło, gdyby nie to, że po robocie zabawiam się w rekonstrukcje. Wracając do maskowania, ten nasz wzorowany na wehrmachtowskim wzór szyto w kilku wersjach. Wszystkie opierały się na rysunku pionowych drzazg, takich jakby zacieków padającego deszczu na tle z układu fioletowo-brązowych, żółto-brązowych i oliwkowo-zielonych plam. — Leszko wskazuje zdjęcie w albumie.

Emil kiwa głową. Jest już zmęczony. Rozjazdy dały mu w kość, a policyjny nos śledczego podpowiada, że specjaliści w bardzo wąskiej dziedzinie potrafią zasypać rozmówcę taką ilością nieprzydatnych szczegółów, że można od nich zwariować.

— Używały go aż do lat sześćdziesiątych jednostki zwiadowców i spadochroniarzy.

— A „puma”?

— Zanim ją przyjęto, był jeszcze „deszczyk”. — Leszko szybko przerzuca stronę w albumie. — Można powiedzieć, że był taką trochę wersją rozwojową tego wzoru z tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego drugiego.

— I po nim była „puma”?

— Było jeszcze „moro”. Pewnie już pan je zna?

Emil patrzy znudzony na zdjęcia. Potakuje, powstrzymując ziewanie.

— A co z „pumą”?

— Wzór osiemdziesiąt dziewięć. — Leszko stuka palcem w fotografię. — Wprowadzony równoległe do upadającej komuny. Zrobiony na szybko, prowizorka, a szkoda.

— Szkoda, bo co?

— Bo w latach osiemdziesiątych eksperymentowaliśmy z kamuflażem typu „płatki”. Niektóre jednostki specjalne nawet testowały ten wzór. Był też kamuflaż tygrysi. — Leszko wyjmuje z albumu zalaminowany artykuł z *Młodego Technika*. — Potem pojawił się świetny projekt typu „żaba”, ale oba prototypy nie wyszły za fazę prób.

— A co może pan mi powiedzieć na temat „pumy”?

— Ciemnozielone cętki różnej wielkości na jasnozielonym tle. Za granicą określany jako reptile, czyli gad. Miał lepiej maskować żołnierza w polskim krajobrazie. Po czterech latach zastąpiono go wzorem dziewięćdziesiąt trzy „pantera”.

Stompor zerka na wyświetlacz Simensa S25. Widzi, że Lola nie dzwoniła i nie napisała. Spogląda znowu na rozmówcę, wkłada telefon do kieszeni.

— To co, „puma” nie maskowała?

— Maskowała. I to przyzwoicie. Była też jednak za ciepła, przemakalna i trudna do wysuszenia. I, niestety, uszyta z materiału rodem z innej epoki. „Pantera” jest nowocześniejsza. W tych mundurach zastosowano nową tkaninę z mocniejszym włóknem. Po tym, jak publicznie pokazał się w niej prezydent Wałęsa, MON postanowił uznać ją za obowiązujący wzór maskowania we wszystkich rodzajach sił zbrojnych. Opracowano nawet wersję pustynną. Dla kontyngentu w Iraku.

— Cztery lata po wielkiej zmianie wprowadzono nowy mundur? — Emil odparł, spoglądając na zegarek. — Dlaczego tak szybko?

— Wybuchła afera. Po tym, jak „pumę” przyjęto, okazało się, że świeci w podcierwieni. Nie wierzę, że nie przetestowano jej wcześniej, ale zaproponowana przez producenta cena była niższa od konkurencji. Prokuratura wojskowa zamknęła postępowanie i nikomu nic nie udowodniono. A armia jak to armia. Generałowie poodchodzili na emerytury. Za odprawy pobudowali dacze nad jeziorami.

— Czyli pana zdaniem ktoś zbił na tym majątek?

— Mówimy o ogromnej dostawie.

— Łapówka?

— To był ogromny kontrakt. Opiewał na kilkaset tysięcy kompletów mundurów. Wersje zimowe, letnie, komplety specjalnego przeznaczenia dla personelu desantowego i zwiadowców. Można było spotkać ją w wojsku jeszcze do dziewięćdziesiątego dziewiątego. Oczywiście w ograniczonym zakresie. Na przykład

w sztabach. Zwykli żołnierze „pum” już nie dostawali. Jakies trzy lata temu wojsko ostatecznie wycofało je, a potem wyprzedalo. Teraz handlują tym w sklepach z militariami, ubierają się w to survivalowcy, turyści, wędkarze — odparł komisarz Leszko — a nawet zbieracze grzybów. Ryby nie widzą w podczerwieni.

— Powiedział pan: turyści?

— Leśnicy, myśliwi — Leszko przytaknął. — Wszyscy, którym potrzebny jest zielony kolor. Nie wiem, może jeszcze jest używany jako kostium w filmach i teatrze, do rekonstrukcji — ekspert od umundurowania zamknął klaser. — Pewnie też niezle sprawuje się na budowach, w harcerstwie i organizacjach paramilitarnych. Jest tani. A wiadomo, że jak nie wiadomo o co chodzi, to rzecz idzie o pieniądze.

Emil podziękował za wykład, pożegnał się i postanowił się przejść. Mijając śródmieście, myślał o tym, co może dać wiedza, którą pozyskał. Kiedy znalazł się w cieniu drzew ogrodu Saskiego, na wysokości przejścia dla pieszych przez Królewską, w jego głowie zaczęła kiełkować pewna myśl.

Zachodzące słońce chwilami przedzierało się przez chmury. Potem zniknęło i przychodził rześisty deszcz. Policjant ślęczał nad teczką. Popielniczka wypełniała się kolejnymi zgniecionymi filtrami. Emil dopił ostatni łyk zimnej, czarnej kawy i przetarł skronie kciukami. Zamknął teczkę, odłożył i wziął do ręki następną, kiedy drzwi cicho skrzypnęły. Rozparł się na krześle i wpatrywał się w ukryte za okrągłymi szklami okularów oczy naczelnika Zolnera.

— Pracujesz — stwierdził Zolner.

— A skąd! Właśnie się zacząłem opalać. Tak że pan mi ani trochę nie przeszkadza.

— Zbyt długo jesteśmy policjantami, żeby nie rozumieć, jaką bajką jest apolityczność tej służby. Mówi się, że parcie jest w ministerstwie. A może nawet na Krakowskim Przedmieściu. — Naczelnik zaczął ponuro. — Zaszły pewne zmiany.

— Nie interesuje mnie polityka.

— Mnie też się to wszystko, kurka wodna, nie podoba, ale polityka interesuje się policją. Jesteśmy tylko chłopcami na posyłki. Do każdego zabójstwa mają być wyznaczone osobne zespoły. Masz się zająć skórą. Rób, co ci każą.

— Bo co?

— Bo takie są polecenia — odpowiedział naczelnik. — Masz Andrzejewską. Bierz się za temat, ale swój. Tematy poboczne cię nie interesują.

— Czyli wpakował mnie pan na minę?

— Wybrałem cię, bo jesteś najlepszy.

— Do tego, żeby mnie powieźli?

— KGP czeka na efekty.

— Od efektów są kaskaderzy. Jestem gliną.

— Wiem o tym. I dlatego zrobisz to, co do ciebie należy. Nic innego.

— Kto bierze Wolską?

— Wiesz kto — naczelnik rzekł, spoglądając na Emila. Policjant odrobinę dłużej zatrzymał wzrok na naczelniku i rzeczywiście zrozumiał. — I nie miej mi tego za złe. Nie chcę słyszeć na ten temat komentarzy.

— Pan to celowo zrobił.

— Na moim miejscu zrobiłbyś to samo.

— No ale pan wie, że te sprawy się wiążą?

— To twoje zdanie — odparł naczelnik.

— Mam rozwiązać sprawę, która wiąże się z inną. I pan przydziela ją gliniarzowi, przez którego o mały włos nie rozpadło się moje małżeństwo?

— Słyszałeś, co powiedziałem. Mam powtórzyć?

— Przecież to niemożliwe.

— Co? — Zolner zmarszczył brwi.

— Ta sprawa z Wolską według mnie...

— Przestań pierdolić! Powiedziałem jasno. Tylko Kraków. I Andrzejewska.

— Ale Andrzejewską i Krajewskiego...

— Nie chcę tego słyszeć, jasne? Żadnego Krajewskiego, żadnej Wolskiej.

— Jak pan sobie życzy.

— Skup się na sprawie skóry.

— Nie rozumie pan, że...

— Emil! — szepnął Zolner. — Wszystko rozumiem! Nie jestem durniem, ale takie mam dyspozycje. Opuść wreszcie, bo narobisz nam wszystkim kłopotów. Temat prowadzi Prokuratura Krajowa.

— I zajmuje się nim ktoś nefajny?

— Mówię ci to w zaufaniu. — Zolner kiwnął głową. — Wiesz, że nie jestem ci wrogiem?

Emil uniósł brwi.

— Tyle wiem — uciął Zolner.

— Mam udawać, że w to wierzę?

— Weź się odpiardol, co? Traktujesz mnie, jakbym był wrogiem. Gdybym nim był, dawno zrobiłbym z tobą porządek. Chcesz jeszcze coś dodać?

Przez chwilę czekał na odpowiedź. Emil zaprzeczył ruchem głowy. Spojrzał wściekle na przełożonego. Ten nieśpiesznie nacisnął klamkę, zostawiając zdenerwowanego detektywa za biurkiem. Zolner chwilę potem opadł na fotel, chwycił się obiema rękoma za głowę. Następnie odetchnął, ale dopiero po tym, jak pociągnął łyk z płaskiej butelki wyjętej z szuflady.

Poprawiła usta szminką. Zapadł zmrok i warunki do zdjęć znikły. Nad miastem unosiła się blada, jasna mgiełka pyłu. Niebo przybrało niewyraźny kolor słabo wypalonych cegieł.

— Pan komisarz? — zapytała przez uchyloną szybę, kiedy zrównał się z jej Citroënem saxo. — Sobota, a pan tak późno wychodzi z pracy? Już prawie dwudziesta trzecia. Długo pan kazał na siebie czekać.

— Czy my się znamy?

— Żurawska, redakcja *Gazety*.

— Chyba mnie pani z kimś pomyliła — Emil odpowiedział.

Mężczyzna absolutnie niczym szczególnym się nie wyróżniał. To on, pomyślała Żurawska. Uśmiechnęła się i wysiadła.

— Nawet nie jestem oficerem. To pomyłka — odparł Stompor.

— Na pana miejscu byłabym bardziej zainteresowana.

— Skąd pani zna mój stopień?

— Tacy jak pan zawsze są komisarzami — odpowiedziały.

Policjant patrzył z mieszaniną zdziwienia i zainteresowania. Żurawska oparła się o samochód, wyjęła cienkie papierosy. Emil podał jej ogień. Zaciągnęła się, przesunęła palcem po ustach, dzwoniąc kluczykami w kieszeni.

— Wcześniej lub później, ale nimi zostają.

— No a ja właśnie nie zostałem. To pomyłka.

— To panu nie przejdzie.

— Doprawdy?

— I nie nazywa się pan Stompor?

— Nie udzielam wywiadów na Zamenhofa — Emil odparł po chwili.

— Nie chodzi o wywiad.

— Wszystko jedno.

— Nie porozmawia pan ze mną? — zapytała, wydmuchując dym. — Dlaczego?

— Nie muszę się tłumaczyć. — Skinął głową na pożegnanie.

Kiedy powiedziała, że ma informacje, przystanął i odwrócił się. Kobieta pokusiła się o najbardziej czarująco bezczelny uśmiech, na jaki było ją stać.

— Na temat tego, czym pan się zajmuje w Krakowie.

— W Krakowie? — gliniarz odparł pytaniem zgodnie z zasadami szpiegów.

— Pracuje pan tam, prawda?

— Proszę o to zapytać rzecznika prasowego KSP.

— Mówi się, że jest pan przyjacielem prasy.

Gliniarz obrzucił ją lekceważącym, pogardliwym spojrzeniem.

— Chodzi o sprawę skóry — dodała szybko, ale nie wiedzieć dlaczego ciszej.

— Plotki mnie nie interesują.

— Za to, co mam, dałby się pan obedrzeć ze skóry — odparła.

— Konkret poproszę.

— Ależ z pana niecierpliwiec.

— A z pani natręt.

— Tu mam to panu powiedzieć? — zapytała, wskazując papierosem ulicę. — Nie boi się pan, że ktoś nas usłyszy? A może nie interesują pana informacje od przedstawicieli prasy na temat głośnego śledztwa? Tak mam napisać o znanym detektywie Stomporze?

Policjant zmrużył oczy i przyjrzał się dziennikarce. Potem zerknął na zegarek, obszedł samochód. Wreszcie uniósł głowę i spojrzał na Żurawską. Kobieta wskazała auto i glina usiadł na miejscu pasażera, trzaskając drzwiami. Odwrócił się do niej.

— Znanym z czego?

— Z telewizora.

— Ma pani minutę, potem wysiadam.

— Szybka ta randka. Tacy teraz przystojni mężczyźni pracują w policji. Jak patrzę, to zaczynam niektórych rzeczy bardziej żałować.

— Interesują mnie informacje, a nie randki. Żonaty jestem — odparł, unosząc palec z obrączką w górę. — Proszę się streszczać.

— No, no. Pięknie pan zaczął.

— Powie pani coś interesującego czy dalej będzie pani grała na czas?

— Skontaktował się ze mną morderca Andrzejewskiej.

— A ja mam w to uwierzyć?
— I Krajewskiego.
— Jest pani pewna siebie.
— Taki zawód.
— Myślałem, że to kwestia charakteru.
— Nie, chodzi o fach.
— Moralnie wątpliwy — odparł.
— Ludzie potrzebują informacji. To swojego rodzaju służba.
— prostytutka też tak się może tłumaczyć.
— Rozmawiałam z „Kuśnierzem”.
— „Kuśnierz” to wasz wymysł.
— Mogę panu udowodnić, że nie.
— Jak?
— Tym — odpowiedziała, wyjmując dyktafon.
— Nagrywa mnie pani?
— Nagrywam każdego.
— A zatem właśnie zmarnowała pani moją minutę — odparł, patrząc na sekundnik zegarka. — To do widzenia.
— Przekazę panu informację od niego. Ku chwale ojczyzny.
Gliniarz parsknął szczerym, spontanicznym śmiechem.
— Nie znałem jeszcze dziennikarza o filantropijno-patriotycznym zacięciu.
— To jednak są tacy?
— Jak yeti. Tak czy inaczej, pozwolę sobie coś pani uzmysłowić. Ojczyzna, proszę pani, ma najprawdopodobniej głęboko gdzieś pani rewelacje. Nie wiem, w co pani gra. Szczerze powiedziawszy, mnie to nawet nie interesuje — odparł, zaciągając się papierosem.
Wskazał ruchem głowy dyktafon. Żurawska wyłączyła urządzenie.
— Nagrałam go.
— Kupiła pani następną minutę.
— A co w zamian? Nie jestem pana koleżanką z komisariatu. Też muszę z czegoś żyć — nacisnęła przycisk dyktafonu. Z niewielkiego głośniczka popłynął odrobinę stłumiony męski głos.
— Tak — szepnął beznamiętnie. — Zrobiłem to dla mięsa z jej pośladków, serca i wątroby. Zjadłem je uduşzone z wyką i popijając zacnym chianti. A z jej skóry powstał kombinezon.
— Bez komentarza.
— Proszę zdradzić jakieś szczegóły.
— Jeszcze czego.
— I tak się dowiem.
— Ale nie ode mnie.
— Proszę odpowiedzieć — tak albo nie.
— Nie będziemy się w nic zabawiać — Emil odparł.
— No dalej, daj mi coś.
— Do widzenia.
— Bądźże człowiekiem, Stompor.
— A co? Na czterech łapach łążę?
— Muszę z czegoś żyć! — odpowiedziała ze złością. — Daj zarobić, chociaż na perfumy. Wiem, że przypadły ci do gustu, waźniaku.
— Nie czuję. Katar mam.
— Akurat — odpowiedziała. — Proszę o szczerść, komisarzu.
— Źle na niej wychodzę.
— To prawda, że Andrzejewska chorowała na fawizm?
Stompor poczuł dreszcz na plecach. Spojrzał w jej oczy. Potarł dłonią zarost na brodzie.
— No dobra, kupi pani sobie perfumy — powiedział.
— Słucham.
— Skład mieszaniny palnej się zgadza.
— A fawizm?
— Potwierdzam.
— Co te zabójstwa ze sobą łączy?
— Nie odpuszcza pani, co?
— Nie lubi pan mojego zapachu?
— Wolę żony — odparł, spoglądając na kobietę.
Uśmiechnęła się na pożegnanie. Kobieta nie uciekła od jego spojrzenia. Wsiadł, a potem jego plecy znikły w bramie o półkolistym zwieńczeniu, prowadzącej do Pałacu Mostowskich. Niebo wciąż jeszcze nie

pozbyło się koloru granatu.

Dolores Stompor spojrzała na zegarek. Bardziej rozczarowana niż zła uznała, że wystarczy. Zegar wskazywał dwudziestą trzecią czterdzieści pięć. Wstała, wyłączyła telewizor. Po drodze do sypialni sprawdziła, czy córka śpi. Spała. Uświadomiła sobie, że dziecko za kilka miesięcy skończy cztery lata. Właśnie minęło sześć lat, od kiedy zaczął ją przy barze nieoczekiwanym „znów się spotykamy”. I chociaż była pewna, że widzą się po raz pierwszy oraz ostatni, odparła, że to przeznaczenie. A potem okazało się, że pomyliła się dwa razy: widział ją wcześniej. Ona zobaczyła go znowu. Westchnęła i podreptała do sypialni. Bez włączania światła podeszła do okna. Odgłosy w ich bloku dawno ucichły. Pewnie gdyby nie ten widok na Las Bielański, Wisłę, a w dali Tarchomin i Bródno znienawidziłaby Warszawę szybciej. Wślizgnęła się do łóżka. Nastawiła budzik na szóstą. Starła się nie myśleć o tym, że Emila wciąż nie ma. Położyła głowę na poduszce. Zakochując się w starszym, interesującym policjancie po przejściach, nie miała pojęcia, że to tak będzie wyglądać. A potem, zaskakująco szybko, pojawiła się córka. Potem obrączka. Zostawiła wtedy ojca, góry i pracę w parku narodowym. Teraz jednak dziewczynka stawała się coraz starsza. Lola poczuła, że rozmienia życie na drobne. Pragnęła robić to, co kochała. I w miejscu, do którego nie czułaby nienawiści. Tymczasem była Warszawa, dwa wynajmowane pokoje, obiad, telewizor i praca, której nienawidziła. Sześciogodzinne pół etatu, od dziewiętej do piętnastej u prywatniarza na umowę-zlecenie. Oczywiście wciąż kochała męża. Miała jednak wrażenie, jakby nie ożenił się z nią, ale z policją. Na domiar złego, kiedy zaczynała mieć już tego wszystkiego dosyć, pojawił się jeszcze ten jego kolega i jego przekłete uczucia. To one sprawiły, że na zmatowionej codziennością powierzchni ich małżeństwa pojawiły się głębokie, może nawet nieusuwalne rysy. Nie była zła. Czowała rozczarowanie tym, że tylko jedną z czterech rocznic ślubu spędzili razem, nie spędzili też żadnej z pięciu rocznic ich pierwszego spotkania. Zawsze było to samo. Praca, policja, późne powroty.

Niebo ściemniało. Zaczęło się śnieżyć, więc postawił kołnierz. Światła odbijały się od mokrego asfaltu. Przy skrzyżowaniu z aleją Solidarności przeciął tory i zszedł pod ziemię. Tu było przynajmniej sucho. Na szczęście nie musiał długo czekać. Pociąg świecił pustkami. Policjant opadł na krzeselko. Spojrzał na zmęczone, blade od sztucznego światła twarze. Wyjął telefon. Grzybek odpowiedział po kilku sygnałach. Stompor streścił rozmowę z Żurawską.

— Jest środek nocy!

— Nie mamy czasu. Nie możemy czekać — odparł. — Jeśli to prawda, za kilkanaście godzin możemy nic już nie znaleźć. Przygotowałem papiery. Mam notatkę z kontaktu operacyjnego, wnioski do prokuratora o zatwierdzenie nakazu przeszukania jej mieszkania i redakcji. Na wszelki wypadek napisałem też o objęcie jej kontrolą operacyjną.

— A co z głową Krajewskiego?

— Tutaj musi podjąć decyzję ktoś inny.

— Mam zaryzykować?

— Ktoś będzie musiał.

— Chyba oszalałeś! — Grzybek zaperzył się, rozbudzony do reszty. — Mamy zorganizować poszukiwania właściwie bez żadnej podstawy?

Stompor wyjaśnił, że dziennikarka wie o tym, że sprawca oblał Wolską mieszaniną benzyny z olejem i ropą. Dodał, że zdobyła skądś informację o tym, że morderca obciął Krajewskiemu głowę. I że Andrzejewska chorowała na fawizm.

— Nikt z mediów, do kurwy nędzy, nie ma prawa o tym wiedzieć!

— Dlatego dzwonię.

— Kto miałby im przekazać takie informacje?

— Ktoś przekazał.

— Nawet cholerny jąkała z twarzą jak karp, który rozdmuchał tę sprawę, tego nie wie.

— Nie zastanawia to pana?

— Raczej mnie to wkurwia. Możliwości są dwie. Gadała z „Kuśnierzem” albo któryś nasz człowiek rozpruł się za kasę. Komuna dawno się skończyła, ale wszyscy sprzedają się tak samo.

Emil uświadomił sobie, że to prawda. Teoretycznie było jeszcze możliwe, że ktoś inny przekazał dziennikarce szczegóły zbrodni w Sandomierzu. Byli tam przecież strażacy, gliniarze, był prokurator oraz lekarz z załogą karetki. Jednak informacje o składzie mieszaniny palnej, którą sprawca oblał Wolską, były znane tylko w Warszawie i również tylko kilku ludziom.

— Ona, tak czy owak, o tym napisze. Musimy zrobić te poszukiwania.

— Zdajesz sobie sprawę, co to oznacza? Woda, teren trudny. Łodzie, samochody, nurkowie, sprzęt. To wymaga czasu, ustaleń! Zaangażowania obcych jednostek.

— Jeśli okaże się, że to dzwonił „Kuśnierz”, to po nas — odparł Stompor.

Przez chwilę słychać było jedynie świst rozcinanego przez pociąg powietrza i odbity od ścian tunelu szum pędzącego składu. Gliniarz z Warszawy wiedział, że Grzybek nie może odmówić. Po kręgosłupie przebiegł mu nieprzyjemny, mocny dreszcz. Emil pomyślał o dziennikarzu o rybiej twarzy.

Wychodząc z podziemi stacji metra Młociny, spojrzął w niebo. Świtało. Ciężkie chmury wisiały nisko nad budzącym się do kolejnego dnia miastem. Nie było wątpliwości, że znów zacznie padać. Potrzebował kilku minut, aby przemyśleć to, co usłyszał. Włączył muzykę zamordowanej dziewczyny. Ze słuchawek popłynęło *Wicked Game* HIM. Palił, słuchał i myślał. Sto metrów przed blokiem lunęło.

– Znowu paliłeś? — usłyszał w progę.

– Nie śpisz?

– Za chwilę wychodzę do pracy. Paliłeś?

– Jednego.

– Przecież obiecywałeś. Rozmawialiśmy na ten temat — zauważyła z wyrzutem.

– Jestem zmęczony.

– Nie umiesz rzucić?

– Nie musisz mi o tym przypominać.

– Może muszę? — powiedziała bojowo. — Obiecujesz, że rzucisz, a jednak palisz. Przychodzisz rano, nie wiadomo skąd. Jak tak dalej pójdzie, to może jeszcze wrócisz do picia?

Spojrzał na żonę. Kochał ją ponad wszystko. Wiedział, że ma rację, ale od czasu, kiedy pomiędzy nimi zaczęło się psuć, chyba nie potrafili rozmawiać. Dlatego wybrał milczenie. Bez słowa zaczął zrzucać z siebie mokre ubrania. Miał dosyć wszystkiego. Przez chwilę Lola przyglądała się, jak mąż przygotowuje przybory do golenia.

– Stało się coś?

– Nie — odparł.

– Policja?

– Będę musiał pojechać do Krakowa wcześniej.

– Dzisiaj? No to pobyłeś z nami w ten weekend — odpowiedziała, a on spojrzął w lustro, przemyślił twarz i zastanowił się, czy warto się golić. Może po prostu umyje zęby, przygotuje śniadanie dla córki, pocałuje żonę i położy się spać. Między brwiami dostrzegł w lustrze pionowe zmarszczki. Inne promieniście rozchodziły się z kącików oczu.

– Może dzięki temu szybciej będziemy razem?

– Sądysz, że ci się uda?

– Udawało mi się już złapać takich jak on — odparł, nie wierząc w to, co mówi. — Może się uda.

– Będę trzymała kciuki, ale pamiętaj o nas.

– Nigdy nie zapominam, królowo — szepnął.

– Dawno mnie tak nie nazywałeś.

Uśmiechnął się, zaklinając rzeczywistość.

– Wciąż wierysz w sprawiedliwość, prawo, policję? — szepnęła. — I w to, że słabszym można pomóc?

– Dużo myślałem o tym, Lola — odparł.

– I co?

– Wrócę i porozmawiamy.

Patrzyła wielkimi, czarnymi jak smoła, pełnymi dobroci oczyma. Potem wyszła bez słowa. Emil wytarł twarz. Zaciśnął usta, zerknął w lustro. Zmieniło się tak wiele. Zmieniło się wszystko. Zostały tylko wspomnienia. One i groby. Wiele grobów.

Mijają Kielce w milczeniu. Droga w światłach reflektorów jest pusta. Noc zaczyna przegrywać ze świtem. Nad łąkami, które mijają, unosi się mgiełka. Emil mówi spokojnym tonem.

- Muszę przejrzeć wszystkie akta z jego zabójstwa.
- Zawsze byłeś taki uparty?
- Czasami bardziej.

Szepela nie odpowiada, prowadzi uważnie ze spojrzeniem utkwionym przed siebie. Oświetlona przez reflektory samochodu droga jest pusta. Rzadko kiedy pojawia się jakiś jadący z przeciwka samochód. Emil wyjmując kasetę HIM z kieszeni, obraca ją w palcach.

- Co się tak spięliście z tą sprawą? – zagaduje.
- Krajewski był jednym z nas.
- I dlatego zachowujecie się tak, jakbyście mieli coś do ukrycia?
- Może coś mamy? – mówi Szepela. – Nic ci do tego, warszawiaku.
- Myślisz, że jak coś znajdę, to was podpierdolę?
- Zrobiłbyś inaczej?
- Każdy popełnia błędy – odpowiada Emil, spoglądając na drogę.
- One kosztują.

– Wiem. I wiem, że nikt nie lubi płacić, ale są też ważniejsze sprawy – Stompor mówi z namysłem. Szepela uśmiecha się, kręci głową, ale nie odpowiada. Emil wkłada kasetę do radioodtwarzacza. Po kilku sekundach z głośników zaczyna płynąć muzyka. To Join me in Death. Glina zauważa, że Szepela nie zwraca uwagi na muzykę.

- Krajewskiego zostaw – mruczy Szepela. – To działka moja i Gustawa.
- I ja tu jestem uparty.
- Nie umiesz zrobić tego, co ci zlecono?
- Wyznaję holistyczne podejście. Całościowe – odpowiada Emil.
- A powinienes służbowe.
- Zabójstwa Andrzejewskiej, Wolskiej i Krajewskiego moim zdaniem się łączą.
- To jasne! Osobą sprawcy – odpowiada Szepela. – I właśnie dlatego robota jest podzielona na części.

Gustaw i ja robimy Krajewskiego. Ty z Modrym masz się zająć Andrzejewską. Niech każdy robi swoje, to dorwiemy „Kuśnierza”.

- A jeśli jest nie tylko on?
- Powiedz, czego tu nie rozumiesz? – Szepela unosi głos. – To ja jestem kierownikiem zespołu. Zajmuj się Andrzejewską. Takie masz polecenia.
- Sram na nie, Klimek.
- Nie jesteśmy na ty.
- Nic nie muszę. Wszystko mogę.
- Masz tylko robić tak, jak należy – odpowiada Szepela. – Media nam patrzą na ręce. Nie chcę, żeby coś w tej sprawie było zrobione nieprawidłowo. Żeby potem przypadkiem wydział kontroli albo wewnętrzni, kiedy zaczną rzeźbić w główne, nie wywlekli jakiegoś syfu z tego, rozumiesz?

- Muszę przejrzeć te akta.
- Masz wykonywać polecenia.
- Nie polubimy się, co?
- Nie od tego tu jestem.
- A ja nie przyjechałem tu, żebyście mnie stawiali po kątach.
- Co ty pieprzysz?

Szepela odwraca głowę, spogląda na Emila. Odrobinę dłużej zatrzymuje wzrok. A potem znów patrzy na drogę, wysuwa dolną wargę, przekrzywia głowę. Drogę miejscami zasnuwa mgła.

- Lepiej nic nie mów.
- Te sprawy się wiążą, ale nie wierzę w tego samego sprawcę. Tutaj coś śmierdzi.
- Coś jeszcze? – Szepela syczy.
- Przecież z wami nie da się normalnie pracować!
- Może po prostu cię nie potrzebujemy?
- To nie orkiestra Owsiaaka. Przyjechałem tu, bo mi kazano. Im szybciej skończę, tym szybciej się mnie pozbędziecie. Tylko jak mam, do kurwy nędzy, znaleźć mordercę bez dostępu do akt? – Stompor pyta, kręcąc z niedowierzaniem głową. – Przecież wiesz, że to niemożliwe.
- Wciąż cię nie rozumiem.
- Nie rozumiesz, że chcę złapać „Kuśnierza” i wracać do rodziny?

— Dokładasz sobie roboty. Nie rób problemów — ostrzega Szepela. — Nie rób ich, bo nie wyjdzie ci to na zdrowie. A mam wrażenie, że już zacząłeś.

— Myślisz, że ja tak ze złośliwości?

— Sam sobie jesteś winny — zauważa Szepela.

— Gównu mnie to obchodzi. Drucianka, Kraków i Sandomierz. To się łączy, ale...

— Przestań, do cholery!

— Ty tego naprawdę nie widzisz?

— Stompor, kurwa! Masz się zająć Andrzejewską! Ja to wszystko rozumiem! Nie jestem durniem, ale też mam dyspozycje. Odpuść, bo narobisz nam kłopotów. Ty z Modrym do Andrzejewskiej, ja z Gutkiem robię Krajewskiego, a Janek koordynuje z Warszawą sprawę Wolskiej. Nie rób syfu. Ile razy mam ci powtarzać?

— To idiotyzm!

— Nie wkurwiał mnie! I nie wpierdalał się tam, gdzie cię nie chcą! Przestań mi dupę zawracać! Na nic nie masz dowodów.

— A jak mam mieć?

— Dobra — Szepela odpowiada, dodając gazu.

Minutę później Emil słyszy o raporcie do Grzybka o udostępnienie dokumentacji ze sprawy Krajewskiego. Szepela jednak uprzedza, że zaopiniuje ten świstek negatywnie. Emil milczy. Skupia myśli na akcji, która się zacznie wraz z budzącym się do życia dniem. Z głośników wciąż płyną ostre, melodyjne gitary ulubionego zespołu jednej z ofiar.

Świta. Słońce pokazuje się nad Wzgórzem Trzech Krzyży. Emil wysiada z pontonu i staje na miękkim piasku, płosząc czajki i rybitwy. Przestraszone ptaki krążą nad ich głowami. Pozostałe pontony zbliżają się. Policjant z Warszawy spogląda w stronę leżącego na przeciwległym brzegu Wisły miasteczka. Obok przystani czerni się od mundurów pięciu kompanii policyjnych.

— Lepiej, żeby tu coś było, w mordę — zauważa Szepela, spluwając na piach. — Mamy niesprawdzone informacje i twoje przecucia. No, zobaczymy — dodaje z przekąsem — co powie wojewódzki, jak się okaże, że ściągałiśmy tu alarmowo zomowców, a w wodzie są śmieci, glony, gówna i zdechłe ryby.

Tego nie trzeba Emilowi powtarzać. Kiwa głową, po czym podsuwa paczkę cameli pod nos inspektora. Ten spogląda z niechęcią i wyjmuje swoje papierosy. Nad zaroślami po ich stronie brzegu unosi się mgiełka, powietrze jest rześkie i chłodne, zapowiada upał.

— Nie ja podejmowałem decyzję.

— Ale ty narobiłeś tego zamieszania.

— Miałem to zignorować? — Emil przykłada niezapalony papierosa do wargi.

— Miałeś się nie wpierdalać.

— Wiesz, że jesteś dupkiem.

Tytoń pachnie intensywnie w pełnym wilgoci powietrzu. Emil przymyka powieki. Stara się pomyśleć o tym, że gdzieś na świecie jest port. Jego myśli wędrują do miejsca, gdzie jest ciepło, nie ma Szepeli i pozostałych dupków, nie ma policji, problemów. Tam, zamiast zabójstwami, można zajmować się żeglowaniem, łapaniem ryb i słuchaniem muzyki w tawernach. Patrzy z zadartą głową, jak ogromne, ciemnozielone cielsko śmigłowca z każdą sekundą rośnie w oczach. Mi-8T niczym monstrialna ważka zbliża się do nich i zatacza nad rzeką oraz miasteczkiem gigantyczne kręgi. Dudnienie ponaddwudziestopięciometrowego MI-8T ze 103. Pułku Lotnictwa Nadwiślańskich Jednostek Wojskowych MSWiA narasta. Śmigłowiec zawisa nad wodą. Łopaty wirnika tną poranne powietrze z przeraźliwym łoskotem, wzbijając fale. Pilot ustawia śmigłowiec pod wiatr. Maszyna z hałasem zniża się do leniwie płynącej Wisły. Nurkowie wskakują do wody. Obaj policjanci czują, jak wibruje powietrze.

— Wiesz, ile ten złom zużywa paliwa na godzinę? — pyta Emil.

— Dwieście, trzysta litrów?

— Osiemset pięćdziesiąt jebanych litrów pieprzonego paliwa! Tylko po to, żeby zrobić na tamtych wrażenie — policjant wskazuje żarzącym się końcem papierosa białego VW transportera z wielkim logo *Gazety* na karoserii.

— Nie wiedziałem, że tak się interesujesz lotnictwem policji.

— Wolę to niż twoje znaczki — odpowiada policjant.

— Przynajmniej nie musisz z ich powodu zrywać się o trzeciej w nocy z łóżka.

— Kiedy ostatni raz widziałem to żelastwo, udało mi się uratować czyjeś życie.

— I co? Dostałeś medal?

— A co ci się nie podoba?

— Gadanie o ratowaniu — odpowiada Szepela. — Strażakiem mogłeś zostać.

— A ty listonoszem, skoro tak cię rajcuje znaczki. Dla takich chwil, kiedy ratujesz czyjeś życie, warto być gliną.

— A czyje chcesz uratować tutaj?

— Krajewski sam sobie głowy nie odciął. Może powstrzymam tego, kto to zrobił? — Emil dodaje w zamyśleniu.

Szepela zaczyna skubać niewidzialne skórki na wewnętrznych stronach dłoni. Ogłuszający warkot wirnika oddala się. Policjant z Warszawy przydeptuje w mokrym piasku niespalonego camela. Peta podnosi i wkłada do pustej paczki. Policjanci i strażacy ruszają brzegiem, wchodzą do wody w woderach. Ci na łódkach przeczesują dno bosakami. Stompor czuje, że to wszystko na marne. Dziś tu niczego nie znajdą.

W ciszy klimatyzowanego gabinetu przy Puławskiej roznosi się zapach kawy. Komendant Kowal nachyla się nad *Gazetę*. Wpatruje się w zdjęcie zawieszzonego nad wodą śmigłowca. Przesuwa wzrok po zdjęciu Andrzejewskiej. Zerka na wytłuszczony nagłówek. „Krakowskiego *Milczenia owiec* ciąg dalszy, czyli przychodzi morderca na policję, a komendanci mówią pas” — czyta. „Co naprawdę łączy zamordowanego policjanta, obdartą ze skóry studentkę, spaloną prokurator oraz tajemniczą i według zapewnień policyjnych dygnitarzy skuteczną komórkę przy Komendzie Wojewódzkiej Policji w Krakowie? Ustaliliśmy, że znana Polakom postkomunistyczna niekompetencja. Zacznijmy od faktów. 12 listopada 2000 roku 23-letnia studentka z Krakowa wyszła z domu na zajęcia. Jednak do zajmowanego z matką mieszkania nigdy nie powróciła. Zaniepokojona rodzicielka zgłosiła zaginięcie. Krakowska policja 72 godziny później wszczęła czynności, które ograniczyły się do przyjęcia zawiadomienia o zaginięciu i rozesłania telegramów do innych jednostek. 6 stycznia 2001 roku załoga pływającego po Wiśle holownika wyловиła ubranie uszyte ze spreparowanej skóry. Okazało się, że skórę zdjęto z ciała zaginionej studentki. I w tej sytuacji nawet nie dziwi to, że prokurator Krystyna Wolska zamknęła śledztwo z powodu niewykrycia sprawcy. Najbardziej szokuje, że prowadziła dochodzenie w kierunku zbeczeszczenia zwłok, a nie jak chciał zamordowany policjant, w sprawie zabójstwa. Gdyby nie nagłośnienie przez matkę w mediach, pewnie nie wiedzielibyśmy, że krakowska policja przez niemal trzy lata nic nie zrobiła. W tej sytuacji najwyższe dowództwo policji wpada na pewien pomysł. Tu miał pomóc pewien stołeczny policjant” — komendant przerywa czytanie, popija kawę, trzymając filiżankę palcami za uszko, po czym odstawia na spodek. „Emil Stompor to przecież detektyw, który może się pochwalić spektakularnymi sukcesami. W okolicznościach skandalu został oddelegowany do śledztwa. Sprawa przeraża tym bardziej, że sposób działania sprawcy wskazuje na inspirację thrillerem pt. *Milczenie owiec*. W tej nagrodzonej 5 Oscarami superprodukcji w reżyserii Jonathana Demme, z Anthonym Hopkinsem i Jodie Foster w rolach głównych, seryjny morderca i inteligentna agentka łączą siły. Ich celem jest potwór mordujący młode kobiety, aby z ich skóry uszyć dla siebie kostium. Nie ulega więc wątpliwości, że mamy do czynienia z działaniem niebezpiecznego mordercy. I co w takiej sytuacji robi krakowska policja i prokuratura? W sprawie, oczywiście, nic. Natomiast coś jednak zrobiono, żeby do mediów informacje o zbrodni nie dotarły. Wiemy o zastraszaniu marynarzy holownika, by nie rozmawiali z mediami. Ponadto dowództwo policji przekazało mediom nieprawdziwe informacje. Usłyszeliśmy, że czynności w sprawie zabójstwa Alicji A. prowadziła supertajna i elitarna komórka. Ustaliliśmy, że taka komórka w krakowskiej komendzie nie istniała (sic!). Powołano ją na potrzeby zatuszowania nieprawidłowości. Pikanterii sprawie dodaje to, że w tajemniczych i budzących groźę okolicznościach zginął detektyw prowadzący sprawę pierwszego zabójstwa. Jego ciało miało odciętą głowę. Czy to znaczy, że niebezpieczny morderca znów zaatakował? Tego nie wiemy, ale jasne jest, że zamordowano też prokurator, pod której nadzorem sprawa ta była prowadzona (a właściwie tuszowana). Zabójca oblał ofiarę mieszaniną benzyny, oleju i ropy. Wydaje się, że dopiero to bulwersujące opinie publiczną zabójstwo skłoniło policję do działań. Tyle że nieskutecznych. Dziś kilkuset funkcjonariuszy z użyciem śmigłowca przeczesało Wisłę w okolicach Kazimierza Dolnego. Czy ta efektowna i nieefektywna akcja policyjnego dowództwa jest tylko kolejnym działaniem pod publiczność? Wydaje się, że tak, bo przecież niczego nie znaleziono. A może kryje się za nią coś więcej? Niestety, jedyne, co przychodzi na myśl w tej sytuacji, to niekompetencja”.

Komendant, kończąc czytanie, odsuwa gazetę i naciska przycisk na telefonie przed sobą.

Nafaszerowana lekami, nie mogła stanowić zagrożenia. Potem mogło być już inaczej. Potrzebowałem broni. Ona daje władzę i pewność. Jest skutecznym i czystym narzędziem zabijania. Pozwala zadać śmiertelne rany, zapewniając bezpieczeństwo. Mógłbym oczywiście zdobyć broń legalną. Złożyłbym wniosek, poszedłbym do psychiatry, a potem uzasadnił potrzebę posiadania pistoletu. Zapisałbym się do klubu strzeleckiego, stwierdziłbym, że obawiam się o bezpieczeństwo. Jednak użycie legalnej broni oznacza odkrycie jej właściciela. Po strzelaninie gliniarze węszą. Mają dobrze opanowaną balistykę. Wiedzą, że pocisk przelatując przez lufę, zostaje uszkodzony. To im wystarczy, by dopasować każdą znaną kulę do konkretnego egzemplarza broni. Wystrzelenie naboju sprawia, że łuska jest oznaczona zestawem cech identyfikujących broń. Dlatego detektywi bardzo skupiają się na poszukiwaniu pocisków i łusek. Po wszystkim wystarczy porównać znalezisko z rejestrem. Dlatego do przestępstw używa się broni nielegalnej. Zacząłem od kupna rewolweru na naboje hukowe. Ludzie kupują takie rzeczy bez zezwolenia, aby postrzelać w powietrze na odpustach, wystrzeliwać race w sylwestrową noc albo straszyć szpaki. Wybrałem solidny model ze stali. Różnił się od broni na zezwolenie lufą ze stalową przegrodą. Usunąłem ją za pomocą wiertarki. Zdobycie amunicji było jeszcze prostsze, bo przecież miałem ślepaki. Potrzebowałem ołowiu. Kupiłem ciężarki w sklepie dla wędkarzy. A kiedy zamieniły się na patelni w srebrzysty płyn, zalałem nim otwory uprzednio wywiercone w metalowej foremce. Kiedy ostygł, miałem już świeżo odlany pocisk. Wystarczyło rozgiąć łuskę i wstawić odlew w ślepy nabój. Takim sposobem miałem broń. Nie była celna. Nie mogła uśmiercić żubra, ale wystarczyła.

Komendant Lerman pomyślał, że gdyby nie to, co narobiło się w gazetach, radiu, telewizji, w internecie, to popołudnie byłoby całkiem przyjemne. Było ciepło, niemal bezwietrznie i świeciło słońce. Grzybek wszedł, uśmiechnął się niepewnie. Przez prawie pięć minut mówił bez przerwy.

— Czyli Stompor się nie sprawdza — Lerman stwierdził po wysłuchaniu Grzybka. — To, co ostatnio odpiardolił, to nasza kolejna kompromitacja. Tyle że widowiskowa, ale to pan był dowódcą. A ja miałem nadzór. Co mamy zrobić?

— Możemy zwolnić Stompóra, powołując się na ważny interes służby.

— Odwołałby się do sądu administracyjnego. Wyszlibyśmy na idiotów.

— Zrobilibyśmy z nim porządek.

— Nie po to kreowaliśmy go na asa przed kamerami. Nie możemy nawet go cofnąć do Warszawy. Zostałoby to odebrane jako słabość. — Lerman stuknął łagodnie piórem w gazetę.

— Nie musimy tego robić teraz.

— Nie musimy tego robić w ogóle.

— Możemy za jakiś czas — zasugerował Grzybek. — Po cichu.

— To ja jestem komendantem. Nie pan! I nie potrzebuję, aby mówiono mi, jakie mam podejmować decyzje. Szczególnie w sprawach personalnych.

— Przepraszam — odparł Grzybek. — A czy wolno zapytać, co na to Warszawa?

— Niech pan się nie kłopotce. Jestem w kontakcie z inspektorem Woroniczem. Stompor jest zaszachowany. Zaręczam, że będzie zapierdalał jak koń w kieracie. Proszę pilnować ludzi. Stompor to tylko czubek góry lodowej. Komendant główny wyraził zaniepokojenie tym, że do prasy przeciekły informacje ze śledztwa prowadzonego przez pana wydział.

— Czy mam zawiadomić prokuratora?

— Prokurator wie — odparł Lerman. — Wziąłem to na siebie.

— To stawia Stompóra w kręgu tych, którym mogą zostać przedstawione zarzuty?

— Stompor ma robić swoje. Może będzie miał szczęście. A jeśli nie, to z czasem coś się na niego znajdzie.

— Będę miał na niego oko.

— Pan słucha, co mówię? — zirytował się komendant. — Niech pan Stomporowi nie przeszkadza. Jeśli będzie czegoś chciał, proszę mnie informować. Jeśli pan będzie potrzebował ludzi, ma pan zielone światło. Proszę powołać grupę śledczą, która liczy nie pięciu, ale piętnastu albo pięćdziesięciu funkcjonariuszy.

— Moich piętnastu wystarczy — Grzybek odparł pośpiesznie, wiedząc, że angażowanie znacznych zasobów ludzkich powoduje rozmycie odpowiedzialności i odwrotne do zakładanych skutki.

Potem dodał, że postara się podejmować słuszne decyzje. Komendant podszedł do okna, włożył rękę w kieszenie. Ze zmarszczonymi brwiami patrzył na przesuające się po niebie pojedyncze chmury.

Stompor stara się o nie myśleć o porażce. A jednak złość na siebie i zmęczenie nie znikają. W jego skroniach pulsuje nieustępliwy i tępy ból. Dziesiątki dręczących myśli. Wychodząc z budynku komendy wojewódzkiej, postanawia odpocząć. Zamiast ciemnego i ciasnego pokoju wybiera spacer. Kieruje się wzdłuż rozświetlonej późnopołudniowym słońcem szerokiej ulicy. Zostawia słońce za plecami. Myśli, że niebawem zapuka do drzwi mieszkania matki dziewczyny. Wie, jak kobieta będzie patrzyła. Zna spojrzenia matek. Puste, zrezygnowane i pełne bezsilnej rozpaczliwej rozpaczliwej spojrzienia matek zgwałconych i uduszonych dziewcząt, dźgniętych nożami dwudziestolatków, zastrzelonych pracowników sklepów monopolowych albo pobitych na śmierć dzieciaków. Te oczy są czymś, z czym w wydziale zabójstw nigdy się nie pogodził. Do czego nie przywykł. Ostatniej nocy zasnął dopiero nad ranem. Ułożył w głowie plan. Skończy z aktami. Porozmawia z marynarzami, dziennikarzem jąkałą, odwiedzi uczelnię dziewczyny. Koniecznie musi też rozpytać jej kolegów z roku. Trzeba skoncentrować się na śladach żywicy w mikrowłóknach znalezionych na swetrze Andrzejewskiej. Pozostał też tajemniczy adres z mieszkania Krajewskiego. Nieistniejąca w Krakowie ulica. A zatem pochodząca z innego miasta. W ilu miastach w Polsce może istnieć ulica Skulimowskiego? Może dzięki odpowiedziom na ten pytania znajdzie mordercę. Przechodzi przez przejście dla pieszych przy skrzyżowaniu ulicy Lema z aleją Lotników Polskich. Słońce przesuwają się na zachód. Emilowi w głowie błyska wyraźnie, realnie i ostro kusząca myśl, by zrobić tak, jak chciałyby Lola. Rzucić wszystko. Wrócić do nędznego pokoju, spakować się i wyjść. Już teraz, zaraz. A potem trzasnąć drzwiami i ruszyć na północ. Gnać nocą, by przed dwudziestą pierwszą przytulić śpiącą już Julkę. Wziąć Lolę w ramiona, pocałować i kochać się jak pierwszy raz w górach, kiedy jeszcze to wszystko się nie wydarzyło. Rankiem napić się kawy. W kuchni napisać raport na stole pokrytym ceratą w czerwono-białą kratę. O siódmej trzydzieści położyć papier na biurku. Emil marzy, siadając na ławce w cieniu buków, grabów, sosen i płaczących wierzb w Parku Lotników Polskich. Wyjmuje papierosy z wizerunkiem wielbłąda na paczce. Chwilę obraca w palcach niezapalonego, miniaturowego mordercę. A potem wzdycha, bo przecież wie, że teraz już nie może się cofnąć.

Spotkanie nie wniosło nic nowego. Grzybek wyjaśnił, że od dziś będą zajmować się wyłącznie sprawą skóry. Mówiąc to, spojrzął na policjanta z Warszawy. Emil wytrzymał spojrzenie. Grzybek polecił sprawdzić raz jeszcze zgromadzony materiał dowodowy. Stompor milczał. Nie odezwał się do ostatniego zdania. Wracając, szedł za tryskającymi humorem Szepełą i Kaffką. Modry trzymał się z boku. Wchodząc do pokoju, spojrzął Stomporowi w oczy.

— Wielkiemu Psu jest głupio?

— Nie chciałyby być na moim miejscu.

— Nie jest mi ciebie ani trochę żal — przyznał Modry.

Emil założył szelki ze skórzaną kaburą. Załadował magazynek do P-83, a drugi do ładownicy. Wszystko znikło pod lekką marynarką z cienkiego tweedu.

— Wybierasz się gdzieś?

— Na karuzelę — odparł Stompor. — Niańki nie potrzebuję.

— Naczelnik wie?

— Grzybek życzy sobie, abym nie wchodził w jego pole widzenia.

— Jeśli znów coś odpierdolisz, to ja dostanę po dupie.

— Możesz mnie podpierdolić — detektyw wskazał drzwi. — Idź, masz okazję wziąć odwet za to, jakim okazałem się chujem.

— I myślisz, że to mi wystarczy?

— Nie wiem — Emil odpowiedział, wyjmując z plecaka walkmana. — Może wystarczy, że Stompor to nie Wielki Pies, ale zwykły gnojek ze stołecznej? Mam to gdzieś. Powiedz lepiej, gdzie macie magazyn?

Przez kilka chwil obaj mierzyli się wzrokiem jak dwa psy. Emil wiedział, że Modry ma prawo być zły. Ten tymczasem wyszedł zza biurka, stanął na wyciągnięcie ręki od Emila i wyjaśnił, gdzie trzymają dowody. Glina kiwnął głową, zakładając słuchawki, a potem zamknął za sobą drzwi. Modry podszedł do miniaturowych drzewek na parapecie. Przez długą chwilę przyglądał się listkom. W pomieszczeniu słychać było jedynie szum wody w akwarium.

Magazyn znajdował się w słabo oświetlonych jarzeniówkami podziemiach komendy. Na miejscu od pracownika cywilnego dowiedział się, że dowodów nie ma zbyt wiele. Sweter zabrano i jeszcze nie wrócił.

— Zaraz po tym, jak przyjechał tu jakiś ważniak z Warszawy. Zabrali na ekspertyzę, do instytutu. Skórę, kombinezon znaczy, to wiadomo — magazynier dodał, zerkając na Stompora — oddali matce, razem z kawałkiem pośladka, żeby kobiecina chociaż miała co pochować. Tyle jej z córki zostało.

— A plecak?

— No, jest.

— A mogę zobaczyć? — Stompor poprosił.

Magazynier odpowiedział niechętnym spojrzeniem. Bez słowa znikł między stalowymi regałami. Emil pomyślał, że traci czas. Może Lola ma rację? Może powinien zrobić tak, jak ona by chciała, a to on się niepotrzebnie upiera, ponieważ po tylu latach policja zmieniła go w zupełnie innego człowieka. Jedno było pewne, siedzenie z Modrym w pokoju, wpatrywanie się w rybki i jego karłowate drzewka nic nie zmieni. Jedyną szansą pozostawało działanie.

— A pan tu chyba nowy, co? — magazynier rzekł, kładąc karton. — Bo pierwszy raz widzę. Normanie takie rzeczy oddajemy rodzinie, ale tutaj sprawa ciągle otwarta.

Emil założył gumowe rękawiczki. Wyjął plecak z kartonu. Zauważył w nim plastikowe, pęknięte pudełko. Biorąc plastik ostrożnie w palce, spostrzegł wizerunek wokalisty zespołu i niewyraźny, czarny napis *Razorblade Romance* pod nazwą zespołu: HIM.

— Wygląda dobrze.

— No, a tyle tygodni przeleżała w Wiśle.

— Nie wiemy, kiedy sprawca ją tam wrzucił — odparł detektyw.

Przyjrzał się kasecie. Zachowała się w dobrym stanie. Wydruk był dobrej jakości, na kasecie był nadrukowany tytuł albumu, nazwa zespołu, a nawet tytuły poszczególnych utworów. Stompor pomyślał, że nie jest piracka. Potem obejrzał dokładnie plecak. I chociaż nie było w nim nic osobliwego, chwilę się zastanowił. A potem zapytał o wydruk pracy magisterskiej, wskazując pozycję numer trzy na przyklejonym do pokrywy kartonu wykazie. Magazynier kiwnął głową i sięgnął do rejestru. Przerzucił kilka kolejnych stron, poślinił palec, przerzucił kolejne dwie, a potem spojrzął na detektywa i uśmiechnął się triumfalnie.

— Mówiłem, że jest. Pobrano przez: Gustaw Kafka — przeczytał.

— Przez podwójne „ef”.

— Nie, normalnie.

— Przez jedno?

— Tak — odparł magazynier — ale jest adnotacja, że do suszenia.

Gliniarz wyszedł, po czym wszedł do nieoznakowanego VW passata i wyjechał na Mogilską. Układał w głowie pytania, jakie zada.

W szpitalu, po kilku zdaniach z pielęgniarkami Stompor zapukał do odpowiednich drzwi i przedstawił się. A potem wyłuszczył sprawę, zupełnie nie przyznając się do tego, że przecież kiedyś wiele wiedział o medycynie.

– Fawizm to inaczej choroba bobowa – odparł lekarz. – Jak każda może być groźna.

– Na czym polega?

– Hemoglobina w organizmie człowieka jest składnikiem erytrocytów, czyli krwinek czerwonych. Tak przynajmniej powinno być. W pewnych sytuacjach dochodzi jednak do przenikania jej do osocza i hemolizy, czyli przyspieszonego zniszczenia erytrocytów. Nasz organizm syntetyzuje pewien enzym, który tej sytuacji zapobiega – wyjaśniał lekarz. – Fawizm to jego niedobór.

– Sądziłem, że to uczulenie na bób.

– To choroba uwarunkowana dziedzicznie.

– Wielu na nią choruje?

– Jakieś... dwieście milionów ludzi.

– Sporo – zauważył detektyw.

– Globalnie. W Polsce choruje jeden na tysiąc.

– Czyli w Krakowie jakieś osiemset osób?

– Tak, ale mniej zdaje sobie z tego sprawę. Z niezdiagnozowanym fawizmem można normalnie żyć. Pan również może być nim dotknięty i mieć się nieźle – doktor uśmiechnął się.

– Aż do dnia, kiedy zjem miseczkę bobu?

– Aż natknie się pan na czynnik aktywujący chorobę, bo nie chodzi tylko o bób. I tylko nasilone objawy to zasugerują. Niektórym chorym wystarczy tylko pyłek. U innych wystąpią objawy dopiero po zjedzeniu bobu i równoczesnym zażyciu prymachiny albo nawet dużych dawek witaminy C lub K. Objawy wystąpią po kilku dniach. Będą przypominały grypę, zatrucie pokarmowe albo żółtaczkę. Najczęściej pacjent nic nie zauważy. Dlaczego pana to interesuje?

– Możliwe, że to pomoże mi złapać bardzo złego człowieka.

– Truciciela?

– Takiego, który jest w stanie zabić dwudziestokilkuletnią kobietę, obdrzeć ją ze skóry, a potem zjeść fragmenty jej ciała. Z bobem właśnie. A właśnie, ma pan pomysł dlaczego można chcieć zjeść kogoś, kto choruje na fawizm?

– Proszę porozmawiać o tym z psychiatrą – lekarz szepnął.

Emil kiwnął głową i podziękował. Wyszedł rozczarowany. Na uniwersytet, gdzie studiowała Andrzejewska, poszedł pieszo. Na miejscu spotkał się z rektorem i poprosił o listę nazwisk studentów z podziałem na wydziały. Na wszelki wypadek poprosił również o listę skreślonych oraz absolwentów pięć lat wstecz.

Kiedy Emil wszedł, Hektor Modraszek marszczył czoło, odłupując kroplę żywicy z poskręcane go pnia miniaturowego grabu. Detektyw natychmiast zaparzył czarną, mocną kawę i usiadł przy biurku. Czeka ją c, aż napó j nieco ostygnie, przyłóżył camela do nosa i przymknął oczy. Po kilku chwilach westchnął, napił się i zaczął masować skronie.

– Wyglą dasz na niewyspanego – zauważył Modry.

– Nie można wyglądać inaczej, kiedy przesypia się dwie, trzy godziny na dobę – odparł. – We łbie zagnieździła mi się myśl, że czegoś tu brakuje. Potrzebny mi jakiś brakujący element.

– Śledztwo to tylko interpretacja faktów.

– Czyżbyś coś zinterpretował? – uśmiechnął się Emil.

Modry opowiedział o wizycie w kawiarence internetowej. Wyjaśnił, że zabezpieczone twarde dyski przesłał do wydziału informatyki i łączności. Do siedziby Interii na osiedlu Teatralnym w Nowej Hucie wysłał pismo o udostępnienie rozmów, które Andrzejewska prowadziła pod nickiem Ala_1979.

– I na razie czekam. Potem wezmę się za czytanie.

– To może potrwać.

– Nie mówiłem, że interpretacja jest łatwa.

– Interpretacja i czytanie to dwie różne sprawy – odpowiedział policjant z Warszawy. – Byłem w magazynie. Jest plecak, kaset a, ale pracy magisterskiej brakuje.

Modry splótł ramiona na piersiach i przekrzywił głowę. Emil rozłóżył ręce.

– Nie ma – odparł. – Wyparowała.

– A co to kamfora jest?

– Pytałem Kaffkę. Wyparł się. A magazynier ma wpisane jego nazwisko w tabelce „komu wydano”. Sam widziałem. I wiesz co? Jest przez jedno „ef”.

– To dziwne. Kaffka ma szajbę na punkcie nazwiska – odparł Modry.

– Zauważyłem.

– I tego, jak się je pisze.

– Tylko narzekam z rana – westchnął Emil.

– Znam takich, którzy dawno by już odpuścili – Modry kiwnął głową w stronę drzwi. – A ty jesteś uparty albo to twoja metoda. Rozdrabniasz gówn o na mniejsze atomy, nie zwracając uwagi, że reszta się z ciebie śmieje.

– Nie wiadomo, jak się wyjdzie na sprawcę.

– Uparty albo taki, co nie odpuszcza.

– Zastanawia mnie to moje przeczucie. Kaffka nie kłamał.

– Bo co? – zadrwił Modry. – Nos mu nie urósł?

Emil nic nie odpowiedział.

– Grzybek czytał twoje raporty. Kazał sprawdzać wszystkich szurniętych militarystów, survivalowców, turystów, harcerzy, wędkarzy, myśliwych i zbieraczy grzybów w mieście. I teraz pół wydziału jeździ po mieście i zbiera imiona, nazwiska. Wypisujemy telegramy, rozsyłamy papiery do dzielnicowych o typowanie według klucza. Mężczyzna pomiędzy trzydziestym a pięćdziesiątym rokiem życia, wykształcenie wyższe lub średnie, inteligent, kawaler, rozwodnik, a w każdym razie samotny – odparł Modry.

– Tylko zniechęca ludzi.

– Tak napisałeś.

– To tylko założenie! Portretu psychologicznego nie robi się ot tak! – Emil strzelił palcami. – Profil powstaje po analizie, rozpytaniu świadków, sprawdzeniu dowodów.

– Może będziesz miał szczęście?

– Nie mam nawet pojęcia, jak to złożyć do kupy.

– W tym coś nie gra.

– Ciągłe to powtarzasz. A tymczasem Grzybek decyduje się na to po tym, co się stało. Ciekawe. Wielu nie chciałoby cię oglądać, a on angażuje ludzi w... Właśnie. W co?

– Nie wiem, ale nie mam z tym nic wspólnego. Może robi to, żeby coś się działo? Może nie ma pomysłu co dalej? Może to tylko zapierdalanie dla samego zapierdalania?

Modry nachylił się w kierunku policjanta z Warszawy.

– Kim jesteś?

– Co ty?

– Powiedz Emil, ale tak naprawdę. Wyjaśnij mi swój fenomen. Podobno dysponujesz zdolnościami, które czynią cię wybitnym gliniarzem?

– Jestem takim gliną jak ty.
– Widziałem przy jej sweterku.
– To przecucie. Możesz nie wierzyć, ale mam coś takiego. Co poradzę? – Emil wzruszył ramionami. – Mam, odkąd pamiętam. W podstawówce na matematyce pojawiło się pierwszy raz. Nauczyciel otworzył dziennik, a ja poczułem dreszcz. A potem wyczytał moje nazwisko.
– Mam w to uwierzyć?
– Rób, co chcesz. Potem zacząłem na to zwracać uwagę. Wiedziałem, że coś zaraz się wydarzy, coś zmieni. Z czasem zauważyłem, że mogę tego używać w robocie. I tyle. Nie wiem, jak ci to inaczej wyjaśnić.
– Spróbuj – poprosił Modry. – To ciekawe.
– Ciężko to wyjaśnić.
– Podaj przykład.
– Przesłuchuję świadka. I ten wypowiada jakieś zdanie. Czuję dreszcz. Wiem, że coś jest na rzeczy. I wtedy staram się sformułować następne pytanie tak, jak mi odpowiadają myśli. Czasem to działa.
– Ciekawe, jak ma się do tego artykuł sto siedemdziesiąty pierwszy kapeku?
– Nie zawsze to mam.
– No a jak to się pojawia?
– To jest poza moją wolą – odparł Emil.
– Coś jak czkawka?
– Raczej napad padaczki. Przychodzi i nie da się tego powstrzymać. Olśnienie. Patrzę na coś, pojawia się dreszcz. I zaraz potem widzę coś, czego wcześniej nie zauważyłem. Kiedyś poczułem dreszcz sekundę przed tym, jak pewien zawodnik sięgnął po broń. Pamiętam, że jak pracowałem na Grenadierów, włączyłem się na nockach radiowozem po mieście i czekałem, aż to przyjdzie. Czasem działało. Niezbyt często, ale się pojawiało. To wtedy nauczyłem się nad tym jakoś panować. Skupiałem myśli i niebawem pojawiał się złodziej. Problem w tym, że tego nie da się kontrolować do końca. Mogę czekać tygodniami na to, wpatrując się w akta i nic. Przy swetrze spojrzałem na zdjęcie, potem przypomniał mi się kadr. Oto cała prawda. A potem ci o tym powiedziałem, bo pomyślałem, że to wszystko jest jakieś dziwne.
– Musisz uważać.
– Na co?
– Żeby nie podlecieć za blisko. Łapanie bandytów to niebezpieczna gra. Możesz spalić się jak ćma przy ogniu.
– Straszysz mnie? – zdziwił się Stompor.
– Może ktoś musi?
– Nie jestem gliną od wczoraj. Pieprzyć przecucia, robota czeka – westchnął detektyw. – Interesuje mnie praca magisterska i kasetka. Trzeba sprawdzić, skąd ją miała. Andrzejewska była studentką na utrzymaniu matki. Nie wierzę, żeby kupiła oryginalną kasetę. A w plecaku nie było pirackiej kopii. Muszę też pogadać z tym chujkiem o rybiej twarzy, marynarzami i jej matką.
– Podobno Jarecki na coś trafił. Szepela twierdzi, że to bomba.
Stompor nie odpowiedział. Odstawił kubek, zabrał broń i wyszedł. Modry wstał, podszedł do parapetu. Oglądając drzewka, pomyślał, że Stompor to dziwny człowiek. A gliniarz – jeszcze dziwniejszy. Najdziwniejszy, jakiego spotkał.

Zjeżdżając z ronda przy placu Centralnym w jedną z czterech głównych ulic dzielnicy, Emil zastanawia się, jak zacząć rozmowę. Arteria jest szeroka, rozdziela ją torowisko dla tramwajów. Policjanta uderza w Nowej Hucie ścisła symetria. Każdy centymetr tej gigantycznej przestrzeni zaprojektowano z linijką, ekierką i kątomierzem.

— Może pani opowiedzieć o Ali? Jaka była? — prosi na miejscu.

— Nie wiem, czy potrafię. Nie dlatego, że nie mam nic do powiedzenia, ale nie mogę. Tyle jest we mnie żalu i bólu, bo mojej córki już nie ma. Nadal się z tym nie pogodziłam. Co pan może o tym wiedzieć?

— Jeśli dowiem się, co się stało, będę wiedział, kto za tym stoi.

— To niczego nie zmieni.

— Może kogoś innego nie spotka już coś podobnego — Emil odpowiada ciszej, patrząc w jej pełne bólu, czerwone od łez oczy.

— Szkoda, że nie byliście tacy, jak szukałam córki.

— Nie lubi pani policjantów?

— Policja, milicja, ubecja — odpowiada z pogardą — wszystko jedno. Mam powody. Dlaczego nie chcieliście pomóc, jak Ala zniknęła? Dlaczego wtedy nie szukaliście jej, nie wypytywaliście? Spartaczyliście wszystko, co mogliście! — kobieta wybucha.

Emil nie odpowiada. Patrzy i milczy.

— Złamaliście życie najpierw mężowi, a potem jej i mnie! Niech pan się stąd wynosi! Niech pan się wynosi i więcej się nie pokazuje!

— Proszę mi dać szansę.

— Przywróci pan jej życie? Cofnie wszystko? Sprawię, że Ala znów się uśmiechnie, kiedy dam jej kanapkę? Potrafi pan to? Proszę odpowiedzieć — krzyczy matka zamordowanej. — Wszyscy jesteście tacy sami.

— Proszę się uspokoić.

— Sam się uspokój! Pierdolę to! Rozumiesz! Pierdolę! Wszyscy się odpierdolcie! Dajcie mi święty spokój — kobieta wyciera nos wierzchem dłoni. — W grobie będę spokojna, rozumie pan? W grobie, ku... kurwa — dodaje, łykając powietrze. — Mam spo... spokojna być? Kto... ktoś mo... moją córkę o... obdarł ze skó... skóry! A ja ma... mam być spokojna?

Gliniarz zaciska zęby. Zalana łzami matka zamordowanej osuwa się po ścianie na podłogę. Zapada cisza. Wypełnia ją tylko szloch. Policjant milczy, patrzy z zaciśniętymi zębami. Stara się skupić tylko na sprawie. A jednak nagle przykuca, dotyka dłonią jej twarzy i przytula. Kobieta zanosi się płaczem jeszcze głośniejszym, lecz nie odpycha detektywa. Gliniarz pozwala jej płakać, bo wie, że łzy dają ulgę.

Kobieta wstaje, poprawia włosy, ubranie. Ociera łyzy i zaprasza Emila do mieszkania. Policjant prosi o pokazanie pokoju zamordowanej. Wchodzi, rozgląda się w niemal nabożnym milczeniu. Łóżko jest starannie zasłane, na regale przy marnej jakości sprzęcie grającym leżą równo poukładane kasety magnetofonowe. Długopisy, ołówki i flamastry wystają z kubka. Emil nie dostrzega w tym porządku niczego dziwnego.

— Córka zawsze dbała o porządek?

— Raczej była bałaganiarą — uśmiecha się kobieta. — Umiarkowaną.

— Czyli to Ala wysprzątała?

— Nic tu nie zmieniałam. Pewnie wieczorem przed ostatnią nocą, jaką tutaj spędziła, ale nie jestem pewna. Staralam się szanować jej prywatność. Nie bywałam tu często. Po tym wszystkim też nie mogłam się zebrać, aby tu wejść.

— Ktoś jednak tu był?

— Najpierw pokój oglądał prywatny detektyw. Potem jasnovidz. A jak już stało się jasne, że Ala nie wróci, był tu detektyw Krajewski. Potem pozostali.

Emil otwiera szafę. Ubrania wiszą jak w sklepie. Porządek przypomina Emilowi wojskowy akademik oraz policyjne koszary. Książki, kasety, wszystko jest poukładane, proste i czyste. Słowniki ortograficzne, akademickie podręczniki historii, atlasy. Wreszcie wzrok detektywa zatrzymuje się na tytule z grzbietu książki.

— A to? — Emil mówi, patrząc pytająco na kobietę. — Jak umieramy.

— Sporo myślała o śmierci.

— Dlaczego?

— Rozwiodłam się z mężem. Córka miała dwanaście lat. Bardzo to przeżyła. Sądzę, że winiła męża za rozpad naszego małżeństwa.

— Kto złożył pozew?

— Mąż. Po rozwodzie oddaliła się od niego. Dopiero na studiach odnowiła kontakt.

Emil uważnie słucha, wciąż trzymając książkę w twardej, czarnej okładce z liściem. Wzrok policjanta jednak nieśpiesznie wędruje po ścianach, sprzętach, drobiazgach w pokoju zamordowanej. W milczeniu zerkna nawet do kosza na śmieci.

— Mocno się z nim związała — wspomina kobieta.

— Osobowość zależna?

— Możliwe. Szczególnie po wypadku. Po powrocie z Warszawy wybrali się w Tatry słowackie. Na Grani Otargańców, pomiędzy Wyżnią Magurą a Ostredokiem poślizgnął się, upadł. Przeżył, ale uszkodził kręgosłup. Wylądował na wózku. Obwiniła się o to. Tłumaczyłam, starałam się przekonać, ale nic do niej nie trafiało. Nie da się prowadzić terapii rodzinie. Bywała u niego, bo potrzebował pomocy. Nie ożenił się ponownie. A kiedy umarł, zamknęła się w sobie, odgradziła się murem ode mnie i świata. Uciekła w książki i naukę. I dlatego zaczęła interesować się śmiercią. — Kobieta wskazała książkę.

Z opowieści wyłaniał się policjantowi obraz ofiary. Teraz musiał wyobrazić sobie, jak wyglądała. Poprosił o zdjęcia. Matka kiwnęła głową, po chwili wróciła z albumem. Usiedli, policjant zaczął wolno odwracać wyklejone fotografiami strony.

— Kto opróżnił kosz na śmieci? Jest pusty — zauważył gliniarz.

— Na pewno nie ja, więc zrobiła to Ala. Sprzątała po sobie.

— Co pani pamięta z dnia, kiedy widziałyście się po raz ostatni?

— Wyszła na zajęcia. I nigdy się już nie zobaczyłyśmy. Umówiłyśmy się na osiemnastą w przychodni, była zapisana na wizytę. — To wszystko — głos kobiety się załamał. — Mam żal do niej. Musiała coś ukrywać. Miała tajemnice, bo od dwóch tygodni wagarowała.

— Co to za lekarz?

— Psychiatra.

— W aktach nic nie ma, że leczyła się psychiatrycznie — zainteresował się detektyw.

— Kilka miesięcy wcześniej wróciłam z pracy i zastałam Alę śpiącą. Powiedziałam coś, ale nie zareagowała. Nie mogłam jej dobudzić. Śmierdziała alkoholem.

— Wezwała pani pogotowie?

— A pan by postąpił inaczej?

— To była próba samobójcza?

— Zażyła relanium, popiła je alkoholem.

— Czyli próba samobójcza — Emil stwierdził.

— Dostała skierowanie do psychiatry. Zarejestrowała się, ale... nie poszła. Może gdyby... — kobieta westchnęła ciężko. — Naciskałam, wierciłam dziurę w brzuchu, aż zapisała się drugi raz. Tym razem nie zdążyła skorzystać z pomocy. Nie potrafiła sobie poradzić z traumą po śmierci ojca.

— To dlatego prokurator zamknęła sprawę.

— Mam nadzieję, że cierpiała — syknęła kobieta. — Że wszyscy za to poniosą karę. Przecież bez pokuty nie można się pozbyć przeszłości. Tamtemu się nie udało, może panu się uda. Mam nadzieję, że pan zrobi z nimi porządek. Gdyby zajęli się zniknięciem Ali, może udałoby się ją uratować.

— Podobno jej pasją była muzyka zespołu HIM?

— Nie wiem — odparła kobieta.

— W pokoju ma plakat.

— Nie znam się na współczesnej muzyce.

— A sekty? Subkultury, towarzystwo?

— Ala była normalną dziewczyną.

— W jej plecaku znaleźliśmy kasetę — Emil wyjmując z kieszeni na piersi złożoną na czworo kartkę. — Poznaje pani?

Matka zamordowanej mruży oczy, przekrzywia głowę i bierze wydruk w dłoń. To kopia dowodowa kasety. Kobieta ogląda czarno-białe zdjęcie. Po chwili namysłu potrząsa zdecydowanie głową.

— Nigdy jej nie widziałam.

— To dość ponury gatunek.

— Nic na ten temat nie wiem.

— Skąd mogła mieć na nią pieniądze?

— Córką była skrytą osobą. Mieszkałyśmy prawie ćwierć wieku razem, a niewiele wiem o niej. Określiłabym ją jako raczej małomówną niż rozgadaną. Samotniczkę, a nie duszę towarzystwa.

— Wróćmy do studiów. Studiowała historię?

— Przedostatni semestr.

— Ale próbowała się także na psychologii oraz w szkole filmowej?

— Po liceum nie wiedziała, jakie studia wybrać. Doradzałam jej psychologię, bo jestem psychologiem. I podjęła kształcenie w tym kierunku na Uniwersytecie Jagiellońskim. Przed pierwszą sesją zrezygnowała. Nie nadawała się do grzebania w ludzkich umysłach.

— Tak powiedziała?

— Oświadczyła, że spróbuje się w filmie.

— Jako aktorka?

— Nie, nie — kobieta uśmiechnęła się. — Myślała o sztuce operatorskiej.

— Dlaczego panią to rozbawiło?

— Ala nigdy by nie zdecydowała się na aktorstwo. Ten zawód wymaga uwagi. Ala była introwertyczna. Uwielbiała kino, książki, fotografowanie i słuchanie muzyki. Nigdy nie zdecydowałaby się na aktorstwo. Zresztą w Akademii Filmu i Telewizji nie było takiego kierunku.

— Znam tę szkołę. To na Pradze-Południe. Pracowałem w tamtej dzielnicy. Miałem tam kolegę, którego wielkim marzeniem było pracować w filmie. Za moją radą napisał nawet scenariusz. Myślał, żeby zapisać się do tej szkoły.

— Dawno?

— W dziewięćdziesiątym siódmym lub ósmym.

— Ala zdała tam rok wcześniej. Czyli niewiele brakowało, aby spotkała się z pana kolegą. Przeszła rozmowę kwalifikacyjną. Planowała przeniesienie się do Warszawy. Kilka razy tam pojechała, opłaciła czesne. Zamierzała podjąć pracę, chciała się usamodzielnic. Zrezygnowała po dwóch albo trzech miesiącach. Wróciła i od października zaczęła studiować historię tu, na Jagiellonce.

— Ala spotykała się z jakimś Maciejem Eliaszewskim. Dlaczego zerwali kontakt?

— Nie mam pojęcia.

— Spędzali sporo czasu ze sobą. Potem przestali. Czy to nie dziwne?

— Może ich drogi się rozeszły? Jak to u młodych. Ala dała sobie spokój z psychologią. Maciej, z tego, co pamiętam, był studentem psychologii właśnie. Dlaczego pan o niego pyta?

Emil uśmiechnął się tak, aby kobieta zrozumiała bez słów, że nie chce, nie może albo nie powinien odpowiadać na to pytanie.

— Łączyła ich nauka — dodała kobieta. — Maciej był dwa albo trzy lata wyżej. Pomagał jej, miał notatki, książki, znał wykładowców. Nie wierzę, że mógłby mieć coś z tym wspólnego.

— A religioznawstwo?

— Nie mam pojęcia — odpowiedziała, nie kryjąc zdziwienia. — Nikt w naszej rodzinie nie był religijny. Mam wrażenie, że wtedy zaczęło się coś niedobrego z nią dziać. Szkoda, że tego nie zauważyłam. Nie wiem. I pewnie już się tego nie dowiem, ale sądzę, że to tkwiło w jej głowie. Coś musiało zacząć się dziać. Najpierw zaczęła dbać o siebie. Trzy, może dwa tygodnie przed zaginięciem poszła do fryzjera, zaczęła dietę. Zmieniła też sposób ubierania się.

– Co było tego powodem?
– Czyli pan też błędzi?
– Staram się odtworzyć to, co się stało.
– Pańscy poprzednicy zadawali takie same pytania. Drepczecie w miejscu – kobieta uśmiechnęła się smutno. – Myślę, że prawda jest gdzieś indziej. Według mnie Ala zaczęła wreszcie z wszystkiego wychodzić.

Nagle Emil to poczuł. Przez kręgosłup przebiegł mu mocny dreszcz. Po ułamku sekundy znikł, zostawiając pole na to, aby teraz mógł wyteńczyć wszystkie myśli. Spuścił wzrok, spojrzał na wciąż otwarty album ze zdjęciami ofiary.

– Chorowała na fawizm?
– Moja mama miała komplikacje z tego powodu. A że to schorzenie jest dziedziczne, zrobiliśmy test. Wynik był pozytywny, ale córka nigdy nie miała z tego powodu problemów.

– Kto o tym wiedział?
– Ona, ja, moja mama. I mąż.
– Mówiła pani o tym policjantom?
– Jednemu. Nawet tego nie zapisał – kobieta zauważyła z wyrzutem.
– Pamięta pani nazwisko?
– Młody był.
– A włosy? – Emil zapytał, czując w sercu cięń niepokoju. – Jakie miał włosy?
– Nie miał włosów.
– Nie miał – Emil szepnęła. – A praca magisterska? Pamięta pani temat?
– Oczywiście! *Zbrodnie aparatu bezpieczeństwa PRL w latach 1980–1986 na terenie byłego województwa krakowskiego.*

Emil otworzył notatnik i bez słowa zapisał.

– To dlatego tak pani zareagowała na mój widok?
– Mój mąż, proszę pana, został pobity – odpowiedziała. – Nigdy nie wrócił do sprawności. Nie mógł pracować, siedział na rencie, nie przelewało się nam. Potem się zaczął alkohol. Awantury, kłótnie. Nie umiałam tak żyć. On także. Mąż był psychicznie silniejszym człowiekiem i odszedł. Ktoś z naszej dwójki musiał. Gdybym to ja zrobiła, Ala znenawidziłaby mnie, tak jak stało się to z nim. Gdyby mąż żył, Ala również by żyła. Coś panu powiem. To wszystko zło zaczęło się dużo, dużo wcześniej, kiedy męża pobito za to, że angażował się politycznie. Ala zafiksowała się na jego punkcie. Stąd ta jej praca magisterska.

– Zaczęła idealizować utraconego ojca?
– Pragnęła dotrzeć do prawdy.
– O jakiej prawdzie pani mówi?
– Sprawcy pobicia nigdy nie ponieśli odpowiedzialności. Mąż im wybaczył. Zresztą co mógł zrobić kaleka na rencie? Ala postanowiła działać. Udało jej się znaleźć policjanta, który zainteresował się sprawą.

Emil odwrócił ostatnią stronę w albumie. Jego wzrok przykuło zdjęcie, na którym dziewczyna stoi w przedpokoju mieszkania. Jest uśmiechnięta, ma na sobie za dużą wojskową bluzę w maskowaniu typu „puma”.

Minutę później gliniarz przed blokiem nabiera w nozdrza pachnącego spalinami powietrza. Zamordowana w jego głowie jest już wyraźna. Wraz z nią pojawiają się znaki zapytania. Wcześniej nie mógł ich dostrzec. Są niewygodne, nieprzyjemne i niebezpieczne. Emil jednak o tym nie wie.

Agata Żurawska weszła szybkim, pełnym zdecydowania krokiem. Idąc przez wypełnioną gwarem redakcję, nagle zwolniła. Wszyscy w newsroomie wstali i zaczęli bić brawo. Otworzyła usta i przyłożyła dłoń do twarzy, a potem z szerokim uśmiechem ukloniła się na prawo i lewo. Naczelny dołączył do braw. Podniosła rękę i ułożyła palce w znak wiktorii jak Mazowiecki w 1989 roku.

– Gratulacje – naczelny zaczął, zamykając drzwi. – Wielki Pies traci trop.

– Nieźle co?

– Nieźle? To jest bomba! – odparł, wskazując długopisem tekst.

– Czyli co? Zarobię na nowy biust?

– Pierwszy artykuł ukazał się w poniedziałek. Mamy trzyprocentowy wzrost!

– No i good news.

– W Krakowie sprzedaż skoczyła trzykrotnie – rzekł znad okularów. – We wtorek wyprzedaliśmy siedem, wczoraj trzynaście procent nakładu więcej niż zwykle!

Pokiwała głową i spojrzała przez okno redakcji *Gazety*. Znow zaczęło się śnieżyć. Mżawka nie mogła jednak zmyć pyłu, brudu i zanieczyszczeń na ulicach i podwórkach Warszawy. Musiałoby padać przynajmniej kilka lat. Naczelny odłożył wydruki, splótł ramiona na karku i rozparł się w fotelu.

– Liczba unikalnych wejść na naszą domenę zwiększyła się dwudziestokrotnie.

– To może wystarczy jeszcze na nowe perfumy?

– Rozbiłaś bank – stuknął w jej najnowszy artykuł. – *Wielki Pies traci trop*.

Uśmiechnęła się bez cienia skromności.

– A to jeszcze nie jest moje ostatnie słowo – zauważyła.

– I bardzo dobrze!

– Jutro puszczasz to na pierwszą stronę?

– Nie, kochana. Jutro idzie w magazyn. A teraz szykuj coś więcej. Trzeba kuć żelazo...

Ułożyła kciuk i palec wskazujący niczym wycelowany w szefa pistolet i puszczając oczko, wyszła. Siadła do komputera, humor jej dopisywał. Miała w głowie kolejny artykuł. Zaczęła stukać w klawiaturę. Pisała o nieudolności policji. Kończąc, napisała, że Stompor „okazuje się nic niewartą wydmuszką dla mas”.

Emil stanął w oknie, odwrócił się i spojrzął na partnera. Świadomość, że jeśli znajdzie mordercę, będzie mógł wrócić do żony i Julki, nie pomagała. Detektyw toczył walkę pomiędzy tym, czego pragnął, a tym, co powinien.

– Opiekujesz się tymi drzewkami. A znasz się na nich?

– Dlaczego pytasz?

– Co wiesz o limbie?

– Jest dobra do *bonsai* – Modry odparł, spoglądając na parapet. – Nawet w naturze rośnie wolno, jest odporna na choroby, szkodniki i trudne warunki. W uprawie przyrasta jeszcze wolniej. Gdyby posadzić ją w ogrodzie, po dziesięciu latach wciąż będzie niższa od człowieka, a po pięćdziesięciu osiągnie cztery metry. Jest bardzo odporna na prąd.

Emil zmarszczył brwi. Była to nietypowa informacja, a w prowadzeniu śledztw zawsze zwracał uwagę na informacje, dowody, ślady i zachowania świadków, które się wyróżniały. Wprawdzie tym razem zamiast odporności żywych limb na elektryczność bardziej interesował się jej żywicą, ale postanowił, że nie będzie Modrego na żaden trop naprowadzać, aby czegoś nie zasugerować.

– To wyjątkowa zdolność wśród drzew. – Partner Emila dodał z zapałem. – Inaczej niż przy drzewach o gładkiej korze. Przy uderzeniu pioruna w limbę wyładowanie elektryczne nie ześlizguje się po mokrym pniu – Modry przesunął palcem po krótkim, krzywym pniu drzewka. – Ładunek rozładowuje się pomiędzy korą a drewnem. I mimo że miejsca naturalnego występowania limby są narażone na częste uderzenia piorunów, te drzewa rosną przez setki lat.

– Rosną w górach?

– To ma związek ze sprawą? Bo nie wierzę, że nagle zainteresowała cię botanika.

– Co z tymi górami?

– Obecnie limba naturalnie rośnie u nas jedynie w Tatrach.

– I nigdzie indziej?

– Naturalnie, nie – przyznał Modraszek. – W Alpach formuje zwarte kompleksy. U nas porasta występy skalne, wyniosłości skalistych stoków i grzbiety od wysokości ponad tysiąca metrów nad poziomem morza. W reglu górnym aż po górną granicę lasu, gdzie staje się gatunkiem dominującym.

– A niżej rośnie razem z innymi drzewami?

– Nie lubi towarzystwa. Lubi wilgoć i dużo słońca, a w towarzystwie innych drzew musi o to konkurować. Dlatego naturalnie raczej można się jej spodziewać wszędzie tam, gdzie zwiewany śnieg szybko topnieje, ale nie ma lawin, a inne drzewa nie wytrzymują wiatru, mrozu i zsuwających się kamieni.

– A czy rośnie też gdzieś posadzona przez człowieka?

– Nawet u nas. Można ją spotkać w Beskidach, a nawet Sudetach. Konkretnie w Masywie Śnieżnika Kłodzkiego. Pewnie nawet nie wiesz, gdzie to?

Emil spojrzął na kolegę. Pomyślał o Górach Stołowych. Przypomniał sobie poskręcane drzewa, jakie tam widywał między skałami oraz okryte śnieżną czapą korony. A potem nabrał powietrza, ponieważ pamięć od razu podsunęła wizję Loli i tego wszystkiego, co go teraz dręczyło.

– A w ogrodach?

– Już w szesnastym wieku. Najpierw trafiła do królewskich ogrodów botanicznych w Warszawie, potem do parków. Można ją spotkać nawet w ogrodach górali na Podkarpaciu. Nie zrobiła jednak większej kariery. Powiesz wreszcie, dlaczego cię to interesuje?

– Dendrologia mnie średnio zajmuje, ale na temat limby interesuje mnie wszystko.

– Drzewa są podobne do ludzi, ale lepsze. Wszyscy mamy korzenie, ale to drzewa nie kłamią, nie oszukują, są uczciwe wobec innych drzew w walce o wodę, światło i glebę. Zranione płaczą, walczą o życie. Potrafią zabliznić rany. A kiedy się zestarzeją, umierają jak my.

– Pięknie powiedziane.

– Jeszcze chcesz coś wiedzieć?

– A drewno?

– Nie jestem stolarzem – odparł policjant z Krakowa. – Wiem tyle, że jest podobne do sosny, ale bardziej miękkie, łatwe w obróbce. Bardziej łupliwe. Do tego lekkie i trwałe. Ze względu na silny i specyficzny aromat odporne na uszkodzenia owadów. To sprawia, że limby jest tak mało. Górale chętnie sięgali po nią, kiedy chcieli wykonać skrzynie na ubrania.

– A zapach? – Emil zadał pytanie, przechodząc do sedna.

– Pochodzi z żywicy. Uważa się, że drewno limby z powodu charakterystycznej żywicznej woni ma działanie uspokajające i pozwala spać głęboko. Zgodnie z zasadami feng shui meble z silnej, trwałej i odpornej na trudy życia rośliny przekazują swoje cechy człowiekowi. To duchowe drzewo mocy – Modry

uśmiechnął się, wznosząc dla żartu oczy ku niebu — i pomaga ludziom, którzy czują się zniechęceni, osłabieni, niezdecydowani lub przygnębieni.

— Powiniennem sobie kupić łóżko z takiego drewna.

— Na Podhalu panuje przesąd, jakoby limba chroniła przed chorobami i nieszczęściem.

— Pięknie, ale niewiele mi to dało — mruknął Emil.

— A co chciałeś uzyskać?

— Potwierdzenie przypuszczeń.

— No a coś więcej? — zainteresował się Modry.

— Z badania mikrowłókna znalezionego na swetrze Andrzejewskiej wynika, że zawiera żywicę z limby — Emil odparł, podsuwając opinię instytutu.

Modry spojrzał na pełną nazwę w nagłówku: Instytut Ekspertyz Sądowych im. prof. dr. Jana Sehna, po czym obrzucił Emila pytającym wzrokiem.

— We włóknie są jej krew i żywica — wyjaśnił Stompor. — Mogą pochodzić z odzieży sprawcy. Idąc tym tropem, założyłem, że przebywał przez pewien czas w miejscu, gdzie rośnie drzewo, o którym się przed chwilą dowiedziałem takich ciekawych rzeczy. On albo ona. Pomyślałem, że to może nas na coś naprowadzić. Skoro limba jest tak rzadkim drzewem, to można by znaleźć miejsce nad Wisłą...

— Limby nie rosną nad rzekami.

— Powiedziałem, że nic mi to nie dało — odparł Emil. — Trzeba by sprawdzić połowę Tatr.

— Lepiej o tym nie wspominać Szepeli i Kaffce.

— Humor ci się, widzę, poprawił.

— Sprawca mógł zabrudzić ubranie żywicą, wędrując w górach. Mógł to też zrobić w Krakowie, ale czy ty chcesz sprawdzać drzewa?

— Może wystarczy znaleźć kogoś, kto się na tym zna?

— Kogo? — zapytał Modry.

— Nie wiem, naukowca, stolarza.

— Musielibyśmy popytać na Uniwersytecie Jagiellońskim. Mamy wydział biologii. Na Gronostajowej. Pół godziny samochodem, a po drodze jest ogród botaniczny. Na pewno coś wiedzą o limbach w Krakowie.

— Mógł zabrudzić ubranie od mebli?

— Żadnego z nas nie stać na nie — Modry odparł z poważną miną. — Poszedłbym raczej tropem drzewa w ogrodzie lub czystej żywicy. Zbiera się ją z dziko rosnących drzew. A potem sprzedaje jako kadzidło czy mirrę. Wykorzystuje się ją do wypełniania zapachem pomieszczeń. Dzięki temu za ciężką kasę masz woń lasu w domu. Trzeba to sprawdzić, ale nie sądzę, aby można było coś takiego kupić w zwykłej drogerii. A jeśli nawet, to w Krakowie nie będzie ich wiele.

Emil kiwnął głową. A potem uśmiechnął się, bo do tego wystarczyły telefon i książka telefoniczna. I wycieczka na zakupy.

Jadąc uliczkami Krakowa, Emil szukał adresu. Pamiętał, że był nie mniej literacki niż nazwisko Kaffki. Postanowił sprawdzić człowieka, z którego powodu sprawa stała się głośna. Widząc niebieską tabliczkę z białym napisem „Os. Szklane Domy”, zaparkował. Na twarzy poczuł wiatr, z którym niósł się zapach spalin znad miasta. Dwie minuty później zapukał do drzwi.

– Czego pan chce?

– Porozmawiać.

– Nie mam nic do powiedzenia – Mordka odparł, chcąc zamknąć drzwi.

Emil wsadził stopę pomiędzy skrzydło a futrynę. Zdumiony dziennikarz spojrzął na policjanta, ten pchnął drzwi.

– Co wyprawiasz, do cholery!

– Pracuję – Emil powiedział, pokazując legitymację. – Podkomisarz Stompor. Policja.

– Możesz sobie tę blaszkę w dupę wsadzić.

– Będziemy tak w przedpokoju się obściskować czy zaprosisz mnie na kawę?

– Nie muszę z tobą gadać. Jestem dziennikarzem, chroni mnie prawo!

Policjant spojrzął z pogardą. Potem wszedł do salonu i zaczął otwierać szafki i szuflady.

– W tym kraju nigdy nie będzie, nie ma i nigdy nie było czegoś takiego – dodał, przystając przy oknie. – A dziennikarstwo to *bull shit* dla mas.

– Masz nakaz?

– Mam – odparł Emil. – W dupie.

– Proszę?

– W dupie, a co? I to, co zrobisz, jak wyjdę. Na tym polegają działania operacyjne. I są legalne, póki nikt się nie dowie. Wy, dziennikarze możecie zdobywać informacje z podsłuchów w restauracjach, ale my już nie? Może ci się wydaje, że możecie oczerniać ludzi, stawiać publicznie zarzuty, szczuć, manipulować informacjami i kłamać?

– Służymy społeczeństwu!

– I portfelom naczelnych.

– A pan co? Nie służy politykom?

– I w tym jesteśmy do siebie podobni. Policjanci robią to, aby zdobyć dowody, a dziennikarze w każdym innym celu.

– Łamiesz prawo!

– Gdybym uderzył cię bez powodu, to tak. Nie mam jednak takiego zamiaru. Zawsze brzydziła mnie przemoc – Emil wyjaśnił, przystając przy biblioteczce. – Widzisz, bez stawiania pytań nie ma czegoś takiego jak dziennikarstwo. Zostaje żerowanie na pomówieniach. A ono przynosi dyshonor środkom masowego przekazu.

– Morały mi będziesz prawić?

– Niedobrze jest ślizgać się po temacie.

– Może mnie to wystarczy?

– I dlatego tu jestem. Obaj powinniśmy sięgać do znaków zapytania.

– Taki jesteś upierdliwy?

– To policja. Życie bez niej nie można. Na szczęście dotyczy tylko ludzi, którzy dopuścili się złych rzeczy. Tak, stwarzam problem rodzinie, matkom, czasem ojcom. Bardzo często żonom, dzieciom. Niestety. Oni nie są winni, ale ich to też dotyczy. Nie ma w tym szczytnego celu, cel jest jeden – Emil zatrzymał wzrok na Mordce. – Ktoś musi zrobić porządek.

– Jesteś idealistą, Stompor.

– Trzeba wyrwać chwast, który zatruwa życie innym.

– Nie. Ty jesteś idiotą.

– Siadaj! – Emil ryknął, wskazując kanapę. – I bez pajacowania.

– Masz świadomość, czym jest naruszenie miru domowego?

– Powtórz mi, gdzie to możesz sobie wsadzić?

– Licz się z tym, że...

– Że co? Napiszesz na mnie skargę czy obsmarujesz gównem? Dla mnie żadna nowość.

– Taki jesteś dobry?

– Dobry może być kalafior albo gotowany, młody bób – Emil rzekł, spoglądając na dziennikarza.

Ten parsknął śmiechem. Następnie pokręcił głową z dezaprobatą, wymownie puknął się palcem w czoło, patrząc w oczy policjanta.

– Ten śmiech nie był szczery – zauważył glina.

— Nie obsmarowuję głównem niewinnych.
— Naprawdę? Wyobraź sobie, że nie zamykam nikogo bez powodu.
— Przecież muszę z czegoś żyć. Mam uwierzyć, że superglina Stompor to wybitny policjant, który gdyby tylko mógł, spaliłby wszystkich bandytów? Bo mnie się wydaje, że jesteś tylko wytworem wydziału prezydiального.
— Wszystkich nie. Zostawiłbym sobie kilku. Tak dla rozrywki.
— To propaganda dla mas.
— A może naprawdę chciałbym złapać niedobrego człowieka? I co wtedy, redaktorze?
— Mało to ciekawe.
— Bo prawdziwe?
— Kto igra z ogniem, musi kiedyś się poparzyć.
— Nie chcę się skarżyć, ale kilku takich jak ja poświęciło już zdrowie, życie, rodziny, a czasem dzieci po to, aby zapewnić innym spokój — Emil zauważył, odsuwając zasłony i zaglądając do szuflad. — Możemy umierać nocami na ulicach, zostawać rannymi albo inwalidami w strzelaninach, ale to cię już nie interesuje.
— O co ci chodzi?
— Twoja koleżanka po fachu jest dobra.
— Żurawska nie jest moją koleżanką. Nie akceptuję jej zasad.
— Chyba ich braku.
— Brak zasad jest zasadą. Nie akceptuję jej i jej metod.
— A pisze podobnie. To, co jej ślina na język przyniesie.
— Co ja mam do tego?
— Właśnie się zastanawiam — Emil przesunął palcem po grzbietach książek ustawionych na ciężkim, dębowym regale. — To się okaże! Zaraz zaspokoję twoją ciekawość. Najpierw coś sobie wyjaśnijmy. Pierdolisz mi o prawie, jego łamaniu i tego typu sprawach. To ja ci też coś popierdole. Co byś zrobił, gdyby ktoś opierdolił ci mieszkanko? Wracasz z roboty i widzisz, że ktoś wyniósł tę cudowną biblioteczkę, komputer, na którym piszesz, a do tego telewizor, magnetowid i sprzęt nagłaśniający — Emil wskazał głośniki w mahoniowych obudowach. — Powiem ci. Wymagałbyś, abym był skuteczny. Chciałbyś, żebym złapał tych skurwiele. I żarę ci, że nie interesowałoby cię nic więcej niż to, żeby odzyskać swoje drobiazgi. Więc nie pieprz o prawie, o sprawiedliwości. Prawa i sprawiedliwości nigdy na świecie nie było i nie będzie. Gliniarz ma być skuteczny. A to, że można takim być w zgodzie z tym, co zaserwowali nam rządzący, jest iluzją, skwapliwie podtrzymywaną przez takich jak ty.
— Nie zajmuję się polityką.
— A ja kurtuazją.
— Nie pierdol o przesłaniu — zaprotestował Mordka. — Może i w idealnym świecie miałbyś rację, ale on nie istnieje. I jak będziecie mogli wszystko, to politycy to wykorzystają, bo zawsze byliście na ich usługach.
— A ty nie?
— Jesteś szalony.
— Mówienie wprost zawsze było mylone z chorobą psychiczną.
— I właśnie — sapnął Mordka. — Takich powinno się izolować.
Emil zawiesił wzrok na ustawionym na ławie kadzidełku.
— Pogadajmy o Andrzejewskiej. To ty rozdmuchałeś, że nic nie zrobiliśmy w jej sprawie.
— Bo nie zrobiliście — odpowiedział Mordka.
— Mnie tu nie było. Teraz jestem i pytam: jak zainteresowałeś się tematem skóry?
— Skontaktowała się ze mną jej matka — Mordka odparł, uspokajając się. — Powiedziała, że Wolska obiecała rozwiązać sprawę. Z uwagi na charakter zastrzegła, że ją utajni przed opinią publiczną. Po tym, jak pani prokurator dostała awans, matka Andrzejewskiej wściekła się i postanowiła sprawę nagłośnić.
— I ujęła twoje miękkie, dziennikarskie serduszko?
— Od początku wiedziałem, że to nośny temat.
— Nośny — powtórzył Emil.
— Każdy z nas czeka na coś, co sprawi, że stanie się o nas głośno. Tak było z Woodwardem i Bernsteinem przy Watergate, a u nas z Mazurkiem i Zalewskim przy Rywinie.
Emil nagle wskazał książki na półce, wpatrując się w redaktora.
— Lubisz Thomasa Harrisa?
— Dużo czytam.
— *Czerwony smok, Czarna niedziela, Milczenie owiec i Hannibal*.
— Mam dużo książek.
— Imponujące. A Harris?
— Co Harris?
— Ty mi powiedz, redaktorze.

- Przygotowywałem się.
- Do czego?
- Do książki. O zbrodni „Kuśnierza”.
- Wygodne wyjaśnienie.
- Jestem dziennikarzem. Przecież to ja wymyśliłem krakowskie *Milczenie owiec*.
- Wymyśliłem krakowskie *Milczenie owiec*... – powtórzył detektyw.

Zapadła cisza. Mordka uświadomił sobie, że ostatnie zdanie padło w niekorzystnym kontekście. Emil stał wpatrzony w redaktora. Ten wzruszył ramionami, rozumiejąc, jak śledczy mógł odebrać taką wypowiedź.

- Dobrze to nie zabrzmiało – przyznał.
- W sam raz na protokół przesłuchania, Morda.
- Mordka.
- „Wymyśliłem”?
- Chodzi o to – dziennikarz pośpieszył z wyjaśnieniami – że stoję za publikacją tego wszystkiego. Poza tym piszę o tym książkę. Mam nadzieję, że będzie bestsellerem.
- I zarobisz na nowy sprzęt audio?
- A ty nie pracujesz dla pieniędzy?
- Rozmawiamy o tobie – odpowiedział policjant. – Jak to jest, że teraz się nie jąkasz?
- Jąkałem się od dziecka. Przez dziesięć lat chodziłem do logopedy. Na studiach zupełnie się tego pozbyłem. Na praktykach zauważyłem, że ludzie mnie uważniej słuchają, kiedy się jąkam.

Emil uśmiechnął się. Rozejrzał się po salonie, kiwnął głową. Nagle spojrzał na kadzidełko. Obrzucił Mordkę krótkim spojrzeniem i wyjął książkę z pamiętników innych.

- *The Silence of the Lambs* – przeczytał powoli.
- Akcent nie ten.
- Taki z ciebie Szekspir?
- Nie wiedziałem, że znacie angielski. Kiedyś znaliście tylko rosyjski. I też bez akcentu.
- Rozmawiamy o tobie. Po co ci ta książka w oryginale i po polsku?
- Może trudno ci to pojąć, ale naprawdę staram się sprawdzać to, co publikuję. A jak być może wiesz, chociaż w to wątpię, bo jeszcze nie spotkałem policjanta, który by czytał książki, przekład może być dobry albo wierny. Mówiłem, szykuję się do reportażu. Mam już nawet wydawcę.

– Wszystko pasuje. Człowiek, który zabił i oskórował Andrzejęwską, jest inteligentny. To biały, samotny mężczyzna w wieku od trzydziestu do pięćdziesięciu lat. Ma pracę, dochody. Czytał *Milczenie owiec*. Oglądał film i inspirował się nim – Emil powiedział, biorąc kasetę VHS z wizerunkiem Anthony’ego Hopkinsa. – Świetnie włada angielskim.

- Od razu widać, że szkoliło cię FBI.
- To nie jest odpowiedź.
- A jakie było pytanie?
- Odpowiadasz profilowi mordercy.
- To przypadek.
- Nie wierzę w przypadki.
- A w ogóle w coś wierzysz? Matce pewnie też nie wierzysz, że cię urodziła.
- Dość, kurwa! – Emil doskoczył do Mordki. – Tak, nie wierzę! A najbardziej w to twoje pierdolenie. A wiesz dlaczego? – gliniarz syknął, chwytając dziennikarza za koszulę. – Bo możliwe, że ty jej to zrobiłeś. Mam wystarczające poszlaki, żeby cię zamknąć. Nie zdziwiłbym się, gdybyś ty to wszystko odpierdolił – detektyw wycedził przez zęby.

- Wal się!
- Na twoim miejscu przestałbym pajacować. Możesz książkę napisać w anclu! – Stompor pchnął Mordkę na kanapę.

Dziennikarz odbił się plecami od oparcia mebla. Następnie spojrzał na rozdartą kieszeń koszuli. Zmierzył detektywa wściekłym wzrokiem. Kiwnął głową. Raz jeszcze spojrzał na rozdartą koszulę, po czym się uśmiechnął.

- Nie wyglądasz na takiego, co umie przypierdolić. A motyw?
- Pieniądze i rozgłos – odparł Stompor.
- Mam wziąć adwokata?
- Przekonaj mnie, że nie musisz – odparł Emil.
- Zamierzasz mnie sądzić?
- Oszczędzilibyśmy wszystkim zbędnej papierologii.
- Taki z ciebie policjant ekolog? Powinieneś w zielonym mundurze chodzić.
- W zielonym chodzą leśnicy. Słyszałeś o strażakach, którzy wznecają ogień, a potem uczestniczą w akcji gaśniczej?
- Nie zrobiłem tego.

— Nie masz daru przekonywania — Emil odparł, otwierając szafę. — Po co ci to kadzidełko? — zapytał, przeglądając marynarki na wieszakach. — Jesteś buddystą?

— Ten zapach mnie odpręża. Zapalam je, kiedy piszę.

— Z czego ono jest?

— Coś się tak czepił kadzidełka? Nie wiem.

— Gdzie masz opakowanie? — Emil zapytał.

Policjant spojrzał na zdziwionego dziennikarza, podszedł do biurka. Otworzył szufladę, zerknął na opakowanie. Nie znajdując wzmianki o żywicy z limby, obrzucił pozornie niedbałym spojrzeniem miejsce pracy redaktora. Następnie odwrócił się, podszedł do telewizora i magnetowidu. Przez chwilę w milczeniu przyglądał się kasetom ustawionym grzbietami w kierunku salonu. Na jednej z nich zatrzymał wzrok, zauważając napis „Krajewski”.

— Lubisz porządek, co?

— To coś złego?

— To ja zadaję pytania.

— To przesłuchanie?

— Nazywamy to rozpytaniem. Masz w domu broń?

— Nie.

— A skalpel?

— Nie.

— Piłkę do metalu?

— Nie, do cholery!

— Co cię łączyło z Krajewskim? — detektyw wziął kasetę opisaną nazwiskiem i spojrzał na dziennikarza. — Znalazłem u niego twoją wizytówkę.

— Kontaktowałem się z nim w sprawie książki. Tej o zabójstwie.

— Nie jestem debilem. Co jest na kasecie?

Mordka jak gdyby nigdy nic wzruszył ramionami i odwrócił wzrok do okna. Emil pomyślał, że coś tu nie gra. Mordka otworzył usta, a policjant poczuł dreszcz.

— Materiały do książki.

— Ile chcesz za koszulę? Zniszczyłem ci ją. Nie chcę, żebyś mnie źle wspominał.

Mordka uniósł rybią twarz. Uśmiechnął się przebiegle. Emil wsunął nagranie pomiędzy inne kasety i spojrzał z mieszanymi uczuciami. Mordka wciąż był tajemnicą. Nie było jednak wątpliwości, że coś ukrywa.

— Lubiłem ją — przyznał redaktor.

— Może kupić ci w zamian wojskową bluzę? Czy już masz takie wdzianko?

— Ty naprawdę wierzysz, że jestem „Kuśnierzem”?

— A umiesz szyć?

— Potrafię przyszyć guzik.

— I nie gadałeś o tym z Żurawską — stwierdził Emil.

— To było pytanie?

— Jeśli ona zezna inaczej, będę miał pretekst, żeby skuć ci twoje łapska w błyszczące chromem kajdanki. Zastanów się. Jedno słowo, a zafunduję ci, mordko, twarde dechy na co najmniej czterdzieści osiem godzin — wyjaśnił Stompor.

— Nie gadałem z nią nigdy.

— Wiesz co to *fava beans*?

— Odbiło ci? — Mordka parsknął śmiechem. — Co ty z tym bobem?

— Mówiłem. To ja zadaję pytania.

— Bo ci pozwalam.

— Skąd wiesz, jak po angielsku jest bób?

— Jestem dziennikarzem. Wypada sobie radzić po angielsku. Nie każdy jest analfabetą i potrafi tylko naparzać pałą po plecach.

— Racja — odparł policjant. — Ty nie jesteś.

— No i co?

— „Kuśnierz” czyta.

— Jeszcze czegoś chcesz?

— A chorujesz na fawizm?

— Znowu z tym bobem? Naprawdę masz coś z głową! Nie, nie mam alergii ani uczuleń.

— Tak sobie pomyślałem — odparł Stompor, siadając naprzeciw — bo mnie to zastanawia. Też radzę sobie jako po angielsku. Przez trzy miesiące w Quantico coś musiałem przeciw żreć. No ale nie wiem, jak po amerykańsku jest gorczyca, seler, orzechy ziemne, gluten albo właśnie na przykład bób.

— Może nie masz uczuleń.

— A ty masz?

— Mówiłem, że nie — odparł Mordka. — Odczep się.
— A lubisz bób?
— O co ci chodzi, do cholery?
— Odpowiadaj.
— Jest mi obojętny.
— Obojętny. A mnie się wydaje, że jest odwrotnie. Na twoim miejscu zadbałbym o adwokata — Emil odparł, kładąc na biurku pięćdziesięciotówkę. — Jak tak dalej pójdzie, to pójdę z torbami. Już dokładam do interesu.

Eryk Mordka spojrział na banknot. Z wieloma rozmawiał i niejedno widział. Redaktor *Głosu spod Wawelu* podświadomie czuł, że bezczelny glina jest jednak jakiś inny. Tymczasem policjant napisał w notesie numer telefonu, podkreślając cyfry dwa razy i dopisał drukowanymi literami: WIELKI PIES.

Emil otwiera drzwi, obrzuca wzrokiem Jareckiego. Kaffka siedzi na swoim miejscu przy oknie pochylony nad klawiaturą. Wolno pisze dwoma palcami. Policjant staje w drzwiach pokoiku Szepeli. Kierownik zespołu patrzy, jak Emil opiera się o framugę.

- Przemyślałeś sprawę, Klemens?
- Nie mów tak do mnie.
- Tak masz na imię.
- Mówiłem ci, w mordę. Nie lubię tego.
- Też niektórych spraw nie lubię.
- Przyszedłeś się skarżyć?
- Czy w sprawie Krajewskiego nic cię nie zaskoczyło?
- W jakim sensie?
- Wiesz, jak to jest — odparł gлина z Warszawy. — Czasem przychodzisz na miejsce uboju, rozglądasz się i coś od razu ci nie pasuje. Nic takiego nie mieliście? Ty albo Gustaw?

W pokoju obok policjant przy oknie nie przerywa pisania.

- Sam go zapytaj.
- Ciebie pytam. Nie lubi dyskusji ze mną.
- Ja też nie.
- Nic ci nie przychodzi do głowy?
- Czynności zrobili miejscowi. Kawał roboty. Miejscowa prokurator to upierdliwa suka. Zrobili wszystko. Dostaliśmy wszystko na tacy.

Emil zauważa, że Krajewski pracował z nimi, więc to dziwne, że nikt nie pojechał na miejsce. Szepela odpowiada, że nie mieli z Kaffką na to siły. Potem Modry z Jareckim pojechali po rybki i drzewka. Emil kiwa ze zrozumieniem głową. Potem drapie się za uchem, pociera dłonią po policzku i brodzie. Szepela wraca do przeglądania znaczków.

- Mógł zostać naczelnikiem — mówi. — I jeszcze pracować, ale zdecydował się odejść.
- Dlaczego odszedł?
- Na koniec się ze wszystkimi pożarł.
- O co?
- Nie jesteś stąd. Niektórych spraw nie rozumiesz. To jedna z nich.
- I nic was nie uderzyło, nie zdziwiło, nie zaskoczyło?
- Nas tam nie było. Nie wiem, jak dla Gustawa, ale dla mnie nie byłoby przyjemnością oglądać ciała kolegi bez głowy. Wszystko było dobrze zrobione. Przy przekazywaniu akt dowiedzieliśmy się, co Kulesza wyprawiała. Rury rozkręcać kazała, kuć łazienkę chciała. Próbki farby ze ściany pobierała, chuj wie po co. Pyłki kwiatowe kazała zabezpieczać z parapetu! Wodę z akwarium do analizy wysłała. Nawet interpunkcji się w protokołach czepiała.

- Estetka.
- Durna i uparta baba. Jestem pewien, że w szkole odrabiała każde zadanie domowe, nigdy nie ściągala i podpierdała kolegów. Gdyby prowadziła sprawę Andrzejewskiej, pewnie kazałaby osuszyć śluzę w Wiśle albo rozebrać holownik do śrubki, sfotografować wszystko i to opisać. Tak na wszelki wypadek, gdyby pod barką był jeden kawałeczek skóry — Szepela rzekł, spoglądając wymownie.

- Może podchodzi do tego poważnie?
- Zatrzuwa innym życie. Krajewski nie był prezydentem, komendantem głównym albo gwiazdą, żeby robić wszystko tak, jak w szkole. Ona taka jest — westchnął Szepela. — Baba na stanowisku: drobiazgową, upierdliwą i małostkową. Nawet teraz się do nas przypierdala o to i o tamto, chociaż sprawa i tak pójdzie do kosza.

- No widzisz — Emil odparł z uśmiechem. — Jak chcesz, to potrafisz. Jednak było coś, co was uderzyło, zdziwiło, zaskoczyło.

Szepela machnął ręką i pokręcił głową, po czym poprawił okulary i wrócił do przeglądania znaczków. Emil odwrócił się i ruszył do siebie, myśląc o tym, co usłyszał. I wtedy napotkał spojrzenie Kaffki.

Wcześniej biegli w cieniu. Korony starej buczyny, poprzetykanej dębami czy wiązami o poskręcanych pniach chroniły ich przed promieniami. Teraz, kiedy ruszyli na szczyt, palące, wieczorne słońce zdawało się biczować obu gliniarzy. Emil nie wytrzymał tempa, ale się nie zatrzymał.

– Nieźle – Modry sapnął na górze. – Jak na dziadka.

– Dawno nie biegałem.

– Schudłeś przez te trzy tygodnie.

– Już trzy tygodnie? – Emil pomyślał o Loli.

Już kiedy po wyjściu z fabryki umawiali się na bieganie, robiło się parno. Teraz powietrze zastygło. Nawet listki osik, grabów czy brzoź się nie poruszały. Tu, na trzydziestopięciometrowym kopcu, usypanym na szczycie Sowińca, zalegało gorące, nieruchome powietrze.

– I co o tym myślisz? – Emil zapytał.

– Pytasz o Mordkę?

– Nie, o zamach na papieża i to, ile schudłem.

Modry uśmiechnął się. Uspokoił oddech. Spojrzał na rozciągającą się stąd panoramę. Przed nimi, za morzem ciemnozielonych koron, unosiła się zwieszona w dole nad miastem mgielka z mieszaniny dymu, pyłów i spalin tysięcy samochodów.

– W tej układance pojawia się przy nim najwięcej znaków zapytania – detektyw zauważył, spluwając. – I one mnie zastanawiają.

– Uważasz, że jest „kuśnierzem”?

– Nie mam dowodów.

– Takie założenie to szaleństwo.

– Takie samo jak wiara, że to Eliaszewski zamordował Andrzejewską – powiedział Stompor. – Założenie, że ktoś mógłby obdrzeć drugiego człowieka ze skóry, a potem uszyć sobie z niej ubranie, jest również szalone. A jednak prawdziwe.

– Prędzej uwierzę w studenta niż w dziennikarza.

– Mordka mógł to zrobić – Emil rzekł, spoglądając na kolegę.

– Każdy mógł.

– Ale to przy Mordce pasuje wiek, wykształcenie, inteligencja. Zauważ, że on mieszka samotnie, ma kolekcję książek Harrisa, w tym niektóre po angielsku. Sam mówiłeś, że sprawca biegle posługuje się tym językiem.

– Komuna się już skończyła. Ludzie nie muszą uczyć się już tylko rosyjskiego. Eliaszewski też posługuje się tym językiem.

– Ale to Mordka wie, czym jest fawizm.

– Może pisał na ten temat artykuł?

– Zróbmy przeszukanie.

– Liczysz, że znajdziemy paragon za bób? To nic nie da. I musielibyśmy mieć nakaz. Prokurator będzie potrzebował porządnego uzasadnienia.

– Mordka pasuje do profilu. Morderca to ktoś taki. Dziennikarz, artysta albo muzyk, może pisarz.

– A fotoreporter?

– Nie – Emil zaprzeczył.

– Malarz?

– Ktoś, kto wchodzi w rolę.

– Aktor?

– Możliwe. Chociaż z drugiej strony zachowanie mordercy cechuje brutalna siła. Jest prymitywne. Przecież zdiera skórę, szyje, strzela, obcina głowę. Brakuje tylko, by patroszył jak rzeźnik. To kuśnierz intelektualista.

– Albo odwrotnie – odparł Modry.

– Intelektualista, który umie rzeczy typowe dla rzeźników, szewców, kuśnierzy?

– Ktoś, kto ma wiedzę.

– I tutaj pasuje Mordka.

Emil zamilkł. Tu, kilkadziesiąt metrów ponad równą taflą zalegającej nad miastem w dole mgły z pyłów i dymu, powietrze wydawało się świeże i niezatrute. Detektyw wyjął paczkę cameli i zapalniczkę. Modry spojrzął na kolegę. Myśli Emila powędrowały do żony i córki w Warszawie.

– Jest zbyt wiele znaków zapytania w związku z Mordką.

– Masz uraz do tego zawodu – odpowiedział Modry.

– Potrafię analizować fakty.

— Po prostu nie lubisz faceta.
— Nie lubię — przyznał Stompor. — I nie ufam. Nie zaufam nikomu, kto udaje, że się jąka. Panuje nad sobą. Kontroluje się, gra, udaje kogoś, kim nie jest.
— A to ci pasuje do mordercy?
— Oni bywają tacy. Jak psychopaci. Inni na zewnątrz, żeby ukryć prawdziwe ja. Normalny człowiek tego nie potrafi. Ja, kiedy się wkurwię, to wyrzucam z siebie cały syf.
Słońce gdzieś za ich plecami chyliło się ku zachodowi, a mimo to wciąż było gorąco. Patrzyli na Błonia, Park Jordana, fragmenty Wawelu, oświetlone padającymi pod ostrym kątem promieniami słońca. Daleko na południu majaczyła zamglona, ledwie widoczna ostra krawędź linii Tatr.
— Mordka to „Kuśnierz”?
— Tego nie powiedziałem — odparł Emil. — Mógłby nim być.
— Nie mamy twardego dowodu.
— I dlatego ktoś powinien się naszemu redaktorowi przyjrzeć.
— Nie teraz — odparł Modry. — Nawet jeśli masz rację, on teraz nie popełni błędu. Będzie się pilnował. Będzie udawał, że nie ma ze sprawą nic wspólnego.
— To, że coś ma ze sprawą wspólnego, jest faktem. To, co się dzieje w mediach, zaczęło się od niego. Cokolwiek byśmy ustalili, to związek Mordki ze sprawą jest taki, że on o niej zaczął pisać. Wiesz, co powiedział? Przecież to ja wymyśliłem całe to krakowskie *Milczenie owiec*. I to mnie zastanawia.
— Pod latarnią najciemniej? — zapytał Modry.
— Zabójca jest w pierwszym tomie akt.
— Tak tylko się mówi — Modry machnął ręką.
— Mordka jest od początku. I chodzi nie tylko o to, że przez nagłośnienie tej sprawy mógłby odsunąć podejrzenia, ale nagłośnienie sprawy oznacza prawego dziennikarza, który tropi zło i nieprawidłowości. Bohater, który podpala stodołę, a potem zaraz ją gasi. Dlaczego nie?
— Nie wierzę w to.
— Powiedział: „To ja wymyśliłem krakowskie *Milczenie owiec*”.
— To raczej tylko dwuznaczne — westchnął Modry.
— Dwuznaczne, jednoznaczne! To nie randka dla małałatów. Mordka jest moim typem.
— A Marciniak i jego mechanik? Zenek Chmielarz?
— To strata czasu — Emil machnął ręką. Żaden z nich tego nie zrobił.
— A coś ciekawego?
— Chmielarz potrafi szyć — przyznał Stompor.
— Marynarz?
— Mechanik pokładowy, ale miał matkę szwaczkę — Emil odparł. — Ostatnią książkę przeczytał w podstawówce.
— Trzy czwarte Polaków ostatnią książkę przeczytało w podstawówce.
— To nie on. Nie pasuje.
— Dziwię się, że jesteś tego taki pewien. A Marciniak?
— Już bardziej — odparł Emil. — Nie umie szyć, nie łapie ryb, nie zna angielskiego. Nawet nie ma pojęcia, czym jest chianti.
— Też dotąd nie wiedziałem.
— Widać nie jesteś mordercą.
— Może nie czytałem książki?
— W polskim tłumaczeniu nie pada nazwa wina — powiedział Emil. — Jest tylko mowa o tym, że Lecter zjadł wątrobę pewnego rachmistrza spisowego z fasolą i z dużą ilością przypraw. Tu po robocie mógłbym pić wódkę. A że nie piję, to biegam. I czytam. Chianti to włoskie wino wytrawne, intensywnie czerwone, nazwa pochodzi od historycznej krainy w Toskanii. Rozlewa się je do charakterystycznych pękatek butelek w plecionce. Sprawdziłem to. Śledztwo to sprawdzanie. I wyłuskiwanie czegoś nietypowego, niepasującego do reszty. Marciniak, Chmielarz i Eliaszewski nie mają nic z tym zabójstwem wspólnego. Odpadają i nie pasują.
— Wszyscy pojawiają się w pierwszym tomie akt — zauważył Modry.
— W aktach jest z pięćdziesiąt nazwisk. Jest tam lista ludzi, z którymi Andrzejewska studiowała historię. Stawiam na Mordkę.
— Marynarze pchali się pod kamery.
— To Mordka rozkręcił aferę.
— A właśnie — mruknął Modry. — Przyszło to, o co prosiłeś z uniwerku.
— Lista studentów?
— Będziesz miał sporo sprawdzania.
— To musi poczekać. Powinniśmy się skupić na Mordce — odparł detektyw z Warszawy.
Zawiesił spojrzenie na panoramie miasta. Pomyślał o tym, że takie aglomeracje są wielkim, śmierdzącym spalinami i wypełnionym hałasem komunikacji korkiem. Zapadła cisza. Następną myśl była

jak wyrzut sumienia. Ułożył życie wokół stołecznego, Lermana, Szepeli z Kaffką i Zolnera z Grzybkiem. Czuł, że zaniedbuje rodzinę.

— Ten świat jest nienormalny albo my tacy jesteśmy, skoro w nim żyjemy. Przecież oddychając tylko przez dwie godziny dziennie takim powietrzem — westchnął detektyw — trujemy się tak, jakbyśmy wypalali trzy papierosy.

— Przecież palisz.

— Trzy dziennie. Plus trzy w powietrzu. Razem sześć.

— Dlaczego nie rzucisz?

— Rzucę — odpowiedział Emil. — Pewnego dnia zostawię Warszawę i tę cholerną robotę. Pojadę w Sudety, Bieszczady, na Mazury albo nad morze. Jak najdalej od miasta. Gdzieś, gdzie jest cicho. I gdzie słyszeć ptaki.

Emil zamknął oczy i milczał z niezapalonym papierosem przy nosie. Policjant przywodził na myśl starego, pogryzionego i wychudzonego psa o zmierzwionej sierści. Psa, który wałęsa się po ulicach wielkiego miasta jak setki innych kundli i szuka żarcia. A potem znajduje coś, by przeżyć jeszcze jedną noc. Modry wiedział, że cisza w dobrym towarzystwie czasem znaczy więcej niż milion nic niewartych słów.

Emil odkłada książkę. To *Czerwony smok*. Policjant bynajmniej nie czyta jej dla rozrywki. Noc jest parna, ciepła. Zapowiada upał. Przez okno w policyjnym hotelu do uszu gliniarza docierają dźwięki miasta nocą. Jest późno, więc kiedy dzwoni telefon, jest zaskoczony.

– Czym się teraz zajmujesz?

– Książki czytam. Przeczytałem *Czarną niedzielę*, *Hannibala* i *Milczenie owiec*.

– Pomyliłeś kolejność. I nie o Harrisa mi chodzi.

– A o co?

– O twoje życie.

– Ono jest moje — Emil zauważa, podchodząc do okna.

Od Wawelu słychać syreny. Gliniarz odróżnia sygnał uprzywilejowania karettek, wozów strażackich od dźwięków policyjnych. I ich nienawidzi. Nie znosi błękitu i wycia.

– Nie wtrącam się w twoje życie.

– Może powinieneś? Może potrzebowałbym pogadać z bratem? Pomyślałeś o tym? Nie. Ponieważ nie masz czasu. Nie masz go na swoje życie, a co dopiero na moje.

– Myślisz, że tego nie wiem? — odpowiada gliniarz. — Że to się dzieje, bo tak wybrałem? Zadekowałem się w Krakowie i czytam amerykańskie kryminały dla przyjemności?

– Rozmawiałem z Lolą. Nie zostanie w Warszawie. Rozumiesz?

– Mam rzucić policję?

– Twoja córka wychowuje się bez ojca. Żona nie ma męża. Kobieta mężczyzny. Byłeś w Stanach, nie z nimi. Całymi dniami jesteś w fabryce. Ciągłe tłumaczysz, że doprowadzisz ten temat do końca, a potem... Pojawia się następny. A potem kolejny. A rodzina z boku.

– To moja rodzina.

– Nasza.

– Moje życie.

– Jesteś gliniarzem, znasz się na tych sprawach, masz uprawnienia na broń. Jeśli chciałbyś, mógłbyś pracować u nas w zoo — odpowiada Młody.

– Miałbym być cieciem?

– Co w tym złego?

– Miałbym pilnować krokodyli i hien?

– To przecież i tak lepsze niż to, co robisz teraz. A zwierzęta są lepsze od ludzi.

– Nie wiesz, co robię — zauważa Stompor.

– I tutaj się mylisz, braciszku. Wszystko jest lepsze.

– To moje życie.

– Płyniesz na górę lodową. Zwolnij się, zostaw policję. Z czasem awansujesz na kierownika. Nie mówię, że masz być ochroniarzem do końca życia. Możesz przecież kupić aparat z teleobiektywem i zarabiać na zazdrosnych kobietach i niewiernych mężczyznach.

– Bywają też podejrzliwi mężowie i niewierne kobiety.

– I tak chodzi o pieniądze.

– Myślisz, że o tym nie myślę?

– Masz kontakty, wykorzystaj je. Wszystko załatwisz. Zdobądź koncesję, załóż agencję ochrony. Zatrudnisz studentów na umowę-zlecenie, emerytów i rencistów.

Policjant zamyka oczy. Teraz dołączył Młody, myśli.

– Od jakiegoś czasu wszyscy mówią mi, co mam robić.

– Radzimy ci.

– Do tego są potrzebne pieniądze!

– Zawsze można je zorganizować.

– Jeszcze dwa lata — stwierdza policjant.

– Za dwa lata Julka będzie w zerówce.

– A ja na emeryturze. Będę miał czas, żeby im to wynagrodzić.

– Emil! Bracie kochany, nie rozumiesz? Zostawi cię, jeśli nie skończysz z tą robotą.

– Nie chcę tego słuchać.

– Właśnie dlatego powinieneś — odparł Młody. — Skończyłeś czterdziestkę. Nie będziesz już młodszy. Harujesz jak wół, w nocy, w weekendy i w święta. Narażasz życie i zdrowie. Pogardzają tobą w pracy i poza nią. Nawet nie dorobiłeś się kredytu hipotecznego. Gdzie Emil, który uwielbiał żeglować? Ten, który obiecywał młodszemu bratu, że wypłyną w rejs dookoła świata. Minęło trzydzieści lat, rodzice odeszli, a ty pamiętasz tamtą burzę. A przecież jesteśmy dorośli. Tamtej nocy już nie ma.

– Zawsze byłeś tym lepszym. Mnie nikt nie zauważał.

– Przestań. Może i tak. Możliwe, ale nie wywekajmy teraz naszych brudów. Teraz chodzi o Lolę. I mówię ci, żebyś spasował. Zrozumiałeś coś?

– Skończę ze skórą i przenoszę się do Opolą. Dołączam do Loli.

– Czyli jednak nie – wzdycha Młody.

Emil, słysząc dźwięk zakończonej rozmowy, spogląda w mrok za oknem. Otulony czerwcową nocą Kraków z tysiącem świateł, dźwięków i cieni strzeże swoich tajemnic. Tamtej nocy policjant dostrzega, że to miasto ma duszę. Trzeba się tylko do niej przytulić.

Po zimnym froncie z burzą powietrze się oczyściło. Kryształowej tafli stawu za płotem willi Kaffki nie mąciła nawet zmarszczka. Szepela wsunął w komory naboje ze śrutem, po czym zatrzasnął strzelbę. Gustaw wyjął płaski pojemnik z kieszeni.

— Wiesz, ile córka z zięciem wydadzą na lekarzy i leki?

— Mówisz o małym?

— Ciągłe tylko badania. Coś ci powiem, Klimek. Chuj z takim dzieciństwem. My w jego wieku graliśmy w piłkę, w lecie siedzieliśmy nad wodą, a on... Okna zamknięte. Klimatyzację zamontowaliśmy, bo wiosną mały czerwienieje jak cegła.

— Trzeba było wybudować się w mieście.

— Wiesz, ile działka kosztuje? — Kaffka znów pociągnął z piersiówki. — Jak tak dalej pójdzie, to powycinam drzewa kilometr od płotu.

— Trawę też będziesz kosił?

— Na trawę nie ma alergii — Kaffka oznajmił, podsuwając Szepeli piersiówkę z bimbrem.

Policjant spojrział na płaską butelkę z nierdzewnej stali. Jego wzrok skupił wygrawerowany wizerunek bażanta. Nad ich głowami z cichym świstem przeleciała para kaczek krzyżówek. Ptaki wylądowały ślizgiem na wodzie przy zeschniętym tataraku.

— Wyglądają, jakby się zawsze do czegoś śpieszyły — szepnął Szepela.

— My nie musimy.

— Może i nie, ale trzeba się zabezpieczyć. Poszukiwania nam wyszyły, ale niewiele dały.

— Wciąż mi nie ufasz? — zapytał Kaffka.

Wieczór był spokojny, cichy, bezwietrzny. Szepela nie odpowiedział, napił się raz jeszcze. Alkohol miał mocno palący, ale wyrazisty smak. Gliniarz nie śpieszył się, zdając sobie sprawę, że ostrożny z natury przyjaciel zaproponował polowanie na piżmaki nie dla pozyskania futerka, ale dla omówienia poważnych spraw. A takie nie lubią pośpiechu.

— Nigdy mi nie ufałeś — Kaffka stwierdził z wyrzutem.

— Nigdy do końca.

— A to nie to samo?

— Nie, bo dzięki temu nie siedzimy.

— My w pierdlu? Klimek! Spójrz na to — Kaffka rozłożył ramiona.

Potem popatrzył wymownie w stronę swojej posiadłości po drugiej stronie stawu. Uśmiechnął się drwiąco, po czym napił się i podsunął bimber przyjacielowi.

— Jesteśmy panami! Interes w mieście się kręci. Ustawiliśmy się na stare lata. Kto nam może podskoczyć? Będziemy żyli jak pączki w maśle. Byleby tylko zdrowie było. Zdrowie i spokój. Bez obaw. Mordka nic nie powie — dodał Kaffka. — A Stompor nic nie wie. Przesłuchał Eliaszewskiego. Oglądałem film. Był też u Mordki. Pytałem Modrego.

— I co? — zainteresował się Szepela.

— Nic nie wie. Gorzej z Mordką. Mógł na coś wpaść. Węszy.

Szepela unióś lornetkę. Obserwował skazę na gładkiej toni stawu. Piżmak jakby świadomy, że na brzegu dwaj ludzie czyhają na jego życie, popłynął w drugą stronę.

— Czytałem notatkę tego chuja — powiedział Szepela. — Typuje Mordkę do rozpracowania operacyjnego. Argumentuje, że nawet jeśli Mordka nie jest sprawcą, to posiada materiały procesowo albo operacyjnie przydatne.

Kaffka nie odpowiedział.

— Jebany — Szepela mruknął, odkładając lornetkę.

— Nie tacy nam jedli z ręki.

— Jak rozmawiałeś z Mordką?

— Jak kiedyś. Dostał w bramie trzy buty w bebech — odparł Kaffka.

— Kiedyś byłeś ostrożniejszy.

— Nie ma się czego bać.

— Trzeba się na wszelki wypadek zabezpieczyć — Szepela dodał. — Tak, żeby odsunąć ich od Krajewskiego. Zapomniałeś już, w którą stronę to może pójść?

Kaffka spojrział na Szepelę, a potem na strzelbę. Broń zachwycała wybarwionym na ciemnobrązowo drewnem orzecha i wygrawerowanymi dwoma psami ścigającymi połączonego odyńca na srebrnym tle.

— Nie było wyjścia — szepnął Kaffka.

— Sporo ryzykujesz. Obaj ryzykujemy.

— Myślisz, że wcześniej nie ryzykowałem? Is fecit, cui prodest.

– Ten sprawcą, komu przestępstwo korzyść przynosi?
– Ryzyko nigdy mnie nie pociągało, a on jest na tyle dobry, by znać łacińskie sentencje.
– Przecież nic nie wie.
– I nie może się dowiedzieć.
– Mówiłem ci...
– Trzeba się zabezpieczyć – uciął Szepela. – Na wszelki wypadek.
– W pewnym momencie ostrożność staje się paranoją.
– Stompor to nie paranoja – zaprotestował Szepela. – To cholerne niebezpieczeństwo. Tego faceta trzeba pilnować, bo nie wiadomo, co odpierdoli. Najlepiej byłoby po staremu. Podrzutka. Stary numer w nowych czasach.

Kaffka z poważną miną zaprzeczył ruchem wielkiego, brodatego łba.
– Na woreczku z amfą czy innym głównem musiałyby się znaleźć jego odciski. A on nie jest głupi. Dokumentów niejawnych pilnuje, broni tak samo. Wszystko jak trzeba, w szafie pod kluczem.

– To trzeba z innej mańki. Jest gliną. Ma żonę, córkę. On tutaj, one w Warszawie.

Kaffka słuchał z uwagą, po czym pokręcił głową z uznaniem. To powinno zadziałać, pomyślał. Przez kilkanaście lat demokracji nauczyli się, że bandyta, złodziej i kurwa mogą więcej niż policjant. I to im wierzy się bardziej niż stróżom prawa.

– Pieprzyć cwela. Już czerwiec, w lipcu dostaniemy medale. Potem jubileuszówka. Dwie wypłaty. Pół roku poczekamy do lutego, bierzemy trzynastkę, mundurówkę i adios. Rok w domu na poratowanie zdrowia. Na koniec wyjedziemy za państwowe pieniądze do sanatorium, zgarniemy odprawę i cywil. Nowe życie, Klemens. Odpuść, bo pierdolnie ci pikawa. Zaczynj myśleć pozytywnie. Przyzwyczajaj się do luzu. Odstaw troski, smartwienia i problemy na bok.

– Sam mnie przed nim ostrzegałeś – syknął Szepela.

– Wielki Pies jest teraz w Warszawie. Wróci do piekła. Zostaw to mnie.

Szepela nagle podniósł broń. A potem prawie bez celowania wystrzelił w szarówkę. Huk przetoczył się po drzewach okalających jezioro. Para kaczek zerwała się do lotu. Od ciała martwego piźmaka zaczęły rozchodzić się po wodzie koncentryczne okręgi.

Wszedł i zamknął drzwi. Czuł się zmęczony. Oparł czoło o ścianę. *San Francisco (Be Sure to Wear Flowers in Your Hair)*. Hymn hippisów. Oraz ich. Hymn ich miłości. Jego i Loli. Przez chwilę z zamkniętymi oczyma słuchał w przedpokoju, jak Scott McKenzie śpiewał o tym, by pamiętać o kwiatach we włosach.

- Piłś?
 - Zalewałam robaka — odpowiedziała.
 - To się nie sprawdza. Coś o tym wiem.
 - A wiesz, jak być mężem i ojcem? — zapytała bojowo.
 - Przestań — szepnął.
 - Moja córka powinna mieć ojca.
 - Nasza.
 - Co powiedziałaś?
 - Nasza córka, Lola.
 - A to nie takie pewne, komisarzu Stompor.
 - Co nie jest takie pewne?
 - Jak tak dalej pójdzie, to tę kwestię będzie musiał akurat rozstrzygać sąd.
 - Straszysz mnie rozwodem?
 - Odpowiadam na pytanie, panie władzo.
 - Władza jest na Wiejskiej.
 - Nic nie masz mi do powiedzenia, kochany mężu?
 - Jesteś pijana — stwierdził.
 - Wywieziesz mnie na Kolską? Jesteś policjantem. A ja żoną gliniarza. Wystarczy, że zadzwonię. Powiem, że mnie uderzyłeś. I się znęcasz. Nawet tylko psychicznie. Bez śladów. Sam mi tłumaczyłeś, jak to w fabryce działa. Założą ci kajdanki, noc spędzisz na dołku. W najlepszym razie pozwolą ci napisać raport, nim dostaniesz wyrok. Zauważ, że masz nieciekawe układy z górą, więc prokurator może ci odczytać zarzut od razu. Następnego dnia wylecisz za, jak to mówicie, znęty. Dla dobra służby, sam mówiłeś, że oni to lubią.
- Emil nagle poczuł, jak jego serce pęka na pół. Jeszcze niedawno byli tacy szczęśliwi, obiecywali sobie miłość, wierność i uczciwość małżeńską aż po grób.
- Co ci to da?
 - Mnie?
 - A mnie? — warknął. — Przecież to ty zachowujesz się jak obłąkana. Nachlałaś się i...
 - To nie ma nic do rzeczy. Męża wciąż nie ma w domu. Broni świata przed złem. I dlatego nie ma dla nas czasu. Szkoda, że dla parszywych suk już czas znajduje.
 - O co ci chodzi?
 - Dzwoniła tu twoja tleniona kurwa.
 - Kto?
 - Nie udawaj, słyszałaś.
 - Nie wiem, o czym mówił.
 - O twojej dziwce.
 - Nie ma nikogo takiego. I o ile mi wiadomo, to ja mógłbym mieć powody do zazdrości. Pracuję jak wół od rana do wieczora na was! Zapierdalam, żebyśmy mogli jakoś żyć. Tak, nie ma mnie, ale pewnego dnia będę mógł z tym skończyć. Dobrze wiesz, że nie zgłosiłem się do Krakowa na ochotnika. To nie ja umawiam się z fagasami na kawę.
 - Nie bądź śmieszny.
 - Nie jestem! — wrzasnął. — Sama się przyznałaś.
 - Powiedziałaś ci. Czy zrobiłabym to, gdyby mnie coś z nim łączyło? Nie!
 - Ciszej.
 - Nie chcę ciszej.
 - Obudzisz dziewczynkę.
 - I dobrze! — odpowiedziała podniesionym głosem. — Niech wie, kim jest jej idealny tatuś. Niech wie, jaki z niego bohater, że wydzwanianą po niego jakieś kurwy.
 - Przestań!
 - Chcę wiedzieć, kim ona jest!
 - No, ale kto? Kto dzwonił?
 - Nie wiesz?
 - Nie pytałbym, gdybym wiedział.

— Żurawska — kobieta odpowiedziała.

— Powiedziała coś?

— Chciałaby porozmawiać z tobą — Lola dodała, po czym otarła łzę.

Policjant podszedł, wziął żonę w ramiona. A potem zacisnąwszy zęby i powieki, mocno ją przytulił. Tej nocy oboje nie potrzebowali słów, obietnic ani przysięg. Wystarczyło im to, że byli razem. Przez następne kilka godzin mieli kwiaty we włosach, jak w czasach, zanim policja i życie zbudowały mur, zza którego teraz tak trudno było im się porozumieć.

Policjant wchodzi do wypełnionego hałasem newsroomu. Przystaje przy wejściu. Pomieszczenie jest sporej wielkości. W otwartej przestrzeni pracuje kilkunastu ludzi, każdy przy biurku. Rozgląda się i dostrzega sylwetkę kobiety. Nikt nie zwraca uwagi na niewyróżniającego się gliniarza.

– Jaki ten świat jest mały – mówi głośno do wpatrzonej w monitor piękności. – Znowu się spotykamy.

– Jak pan tu wszedł? – Żurawska pyta.

– Jestem gliną.

Kobieta zdaje sobie sprawę z tego, że kilkanaście par oczu zwraca się teraz ku stojącemu przed nią policjantowi.

– „Przychodzi morderca na policję, a komendanci mówią pas”? – Emil wypowiada donośnym głosem. – „Wielki Pies traci trop”? Co to ma być, do cholery?! Zajmujesz się fantastyką czy jaja sobie robisz?

Hałas w redakcji przygasa.

– Piszę o faktach.

– Zmyślasz.

– Opisuję je.

– Fakty?

– Dokładnie tak.

– Wprowadzasz opinię publiczną w błąd! – Stompor mówi, rzucając z impetem gazetą w stronę kobiety. Trafia w jej biust. Najświeższy egzemplarz *Gazety* rozpada się, a wentylator rozdmuchuje papiery za plecy Żurawskiej. Zapada cisza. Niektórzy wstają z miejsc. – Świadomie – glina dodaje ciszej.

– To poważne zarzuty.

– Poważne jest to, co wyprawiasz!

– To moje powołanie.

– Ty kłamliwa, arogancka i chorobliwie zazdrosna...

– No?

– Spójrz w lustro. Kim jesteś?

Żurawska po pierwszym zaskoczeniu uspokaja się, splata ramiona. Potem odrzuca zdecydowanym ruchem włosy. Wreszcie uśmiecha się nieszczerze, ale szeroko. Emil patrzy jak grzechotnik na mysz.

– Relacjonuję fakty. Nie moja wina, że one są takie.

– A co z prawdą?

– Opisuję stan rzeczy niezależnie od tego, co inni na ten temat sądzą, panie komisarzu.

– A prawda?

– Co z nią?

– Właśnie! Sam chciałbym wiedzieć. A wiesz dlaczego? Bo w tym, co robisz, jej nie ma!

– Wasza akcja okazała się kompromitacją. Moim obowiązkiem było poinformować o tym opinię publiczną.

– Dowodził inspektor Grzybek, naczelnik wydziału kryminalnego z Krakowa – odpowiada Emil. – Oczywiście nie masz na ten temat pojęcia. Nie sprawdziłaś tego, bo dla ciebie prawdą jest to, co napiszesz! To są te twoje fakty. Zależy ci tylko na kasie, rozgłosie i sławie. Zabawiałaś się kosztem mnie i setek innych gliniarzy, kosztem ofiar mordercy. Oto twoje credo. Kłamstwo. Żal mi cię.

– Dość! Proszę wyjść.

– Nie wiesz nawet, czym ona jest.

– Powiedziałam panu już.

– Masz w ogóle pojęcie, co robisz? Co zrobiłaś? Zdajesz sobie sprawę z tego, że pewnego dnia możesz potrzebować pomocy kogoś takiego jak ja? A zapewniam, że możesz się komuś spodobać. Tak samo, jak to było z Andrzejewską i Wolską. A skąd wiem? Ponieważ znam smak zmęczenia w ściganiu takich jak on.

– Napiszę na pana skargę.

– Nie zapomnij napisać, że jesteś nędzną hieną, która utrudnia życie gliniarzom zmyślnymi historyjkami, omyłkowo nazywaną dziennikarką.

– Nie była zmyślona! – wykrzykuje Żurawska.

– Po co do mnie dzwoniłaś?

– Daliście ciała.

– Po co dzwoniłaś?

– Nigdy do pana nie dzwoniłam.

– Odebrała moja żona.

– Oszalał pan? Nawet nie znam pana numeru telefonu!

Gliniarz zaciska palce. Przez chwilę ma ochotę poszarpać to wredne, kłamliwe, skrzekliwe babsko, ale się powstrzymuje. Stoi, spoglądając jej w oczy. Znowu czuje jej perfumy.

— W sprawie skarg — mówi bez uśmiechu — Puławska sto czterdzieści osiem do sto pięćdziesiąt albo do właściwego miejscowo prokuratora.

A potem odwraca się i nieśpiesznym krokiem wychodzi. W plecy gliniarza wraz z wściekłym spojrzeniem Żurawskiej wbija się kilkanaście par innych oczu.

Emil wchodzi do budynku Komisariatu Rejonowego Policji w Warszawie na Grenadierów. Budzą się w nim wspomnienia. Dlatego wychodzi szybko, bez sentymentów, spogląda na zdobyty przez kryminalnych wydruk z monitoringu stacji paliw.

– Zapamiętała pani coś? Interesuje mnie ten mężczyzna – mówi kilka minut później.

– Niby co?

– Może coś, co zwróciło pani uwagę?

– Nic nie zwróciło mojej uwagi, panie policjancie.

– Coś nietypowego – dodaje Emil. – Może pani coś zapamiętała?

Dziewczyna za ladą zerka obojętnym wzrokiem. Wzrusza ramionami. Jej spojrzenie jest nieprzyjemne, wręcz wrogie. Emil zabiera zdjęcie. Rozgląda się po niewielkiej stacji paliw.

– Bywałem tu w czasach pracy w patrolu.

– Aha.

– Nic?

– Nie.

– To może być ważne – Emil dodaje. – Proszę się zastanowić.

– Bo co?

– Bo proszę.

– Nie gadam z glinami.

– A dlaczego?

– Nie jestem konfidentem.

– Rozumiem. Sam brzydzę się nimi, ale tu mamy subtelną różnicę. Szukam mordercy.

– A co ja mam z tym wspólnego?

– Istnieje prawdopodobieństwo, że widziałaś faceta, który ma na koncie trzy łby. Jedną spalił żywcem, drugiej ofierze obciął głowę, trzecią obdarł ze skrótów i uszył z niej kombinezon. Żadnego nie chciałabyś oglądać – dodał, niepostrzeżenie przechodząc na ty.

Dziewczyna uśmiecha się nerwowo.

– Pracowałem tu. Wiem, co znaczy ulica.

– Nie chcę być pana kapusiem.

– Myślisz, że pierwszy raz rozmawiam z dziewczyną z Pragi? Znam temat braci, kolegów z podwórka, chłopaka, pijanego ojca i wiecznie zapracowanej matki. Dla mnie żadna różnica, czy będę w prosektorium oglądał zwęgloną twarz twoją czy innej dziewczyny z Pragi.

– Jaja sobie robisz?

– Wyglądam na komika?

– Wyglądasz na zwykłego gościa – odpowiada ekspedientka.

Emil sięga po paczkę cameli leżącą na ladzie.

– Nie pomyślałabym, że jesteś gliną.

– Możesz być następną.

– Był tu.

– Wiem. To przecież zdjęcie z twojej kamery. Na twojej zmianie – gliniarz dodaje, odkładając papierosy.

Przed dziewczyną pojawia się wydruk z monitoringu. Ekspedientka przygląda się.

– Tankował na twojej zmianie – Emil dodaje.

– Myślisz, że pamiętam wszystkich z kanistrami?

– A może co drugi tankuje wachę do kosiarki?

– To było dwa tygodnie temu!

– Pomyśl.

– Nie wiem.

– Nie? – Emil uśmiecha się. – To może przypomni ci się, jak dostaniesz wezwanie. I nie na Grenadierów, ale do Pałacu Mostowskich. To się nazywa stawiennictwo obowiązkowe w charakterze świadka.

– Chcesz mnie na huki wziąć?

– A wiesz co to składanie fałszywych zeznań pod rygorem odpowiedzialności karnej?

– Dobra. Był tutaj. Dziwny.

– Zapamiętałaś coś?

– Tu wielu pojebów przychodzi.

– Dlaczego dziwny?

– Zatankował ropę i benzynę do jednego kanistra. A tak nikt nie robi. Tankują benzynę do kosiarek, ewentualnie ropę. Nie zwróciłabym na niego uwagi, ale pytał, gdzie jest olej.

– I co?

– No to pytam się: „jaki?”. A on na to: „wszystko jedno”. Tak powiedział. A ludzie, kupując olej, dokładnie wiedzą, jaki ma być, albo godzinami modlą się przed półką. „Jak wszystko jedno?”, zapytałam. Olej może być przecież mineralny, syntetyk, do diesla, benzyny, gazu, kosiarki, piły albo skrzyni biegów.

– I co powiedział?

– „Byleby gęsty był”.

Emil obrzucił ekspedientkę spojrzeniem, którego dziewczyna nie zrozumiała. Mimo tego się przestraszyła. Raz jeszcze pokiwała głową, jakby nie wierząc w to, co zaraz zrobi, a potem nabrała powietrza.

– Śmierdział wodą.

– Potem wszedł do samochodu i odjechał?

– Tego nie widziałam.

– Dobra, dobra. Nie zadzwoniłaś i dlatego nie chciałaś gadać?

– Coś mi za to grozi?

– Ogień piekielny – odparł Emil. – Albo facet skosi cię na przejściu dla pieszych. Byleby tylko ciebie potrafił, a nie mnie albo moją córkę. Pamiętasz co to za wóz?

– Większy, dostawczy.

– Marka, model?

– Zaparkował tam – wskazała chodnik. – Tam kamery nie łapią. Płacił gotówką. Metr osiemdziesiąt, szeroki w ramionach, barczysty. W wieku jak pan, może młodszy. Zarost miał i brodę. Przystojny, ale się nie uśmiechał. Czapka z daszkiem i kaptur. Zielona, wojskowa bluza.

– Sporo szczegółów.

– Przypomniałam sobie, jak łapsy z Grenadierów po monitoring przyszli.

– Nie lubisz nas? – spytał Emil.

– Nikt was nie lubi.

– Taki fach.

– No wiem – odpowiedziała. – A dziewczynom na stacji każą pracować prawie za darmo. Dlatego zdawałam do was, ale pani psycholog była innego zdania.

– Suka.

– Mogę powiedzieć coś jeszcze? To głupio zabrzmiało, ale miał znajome oczy.

– Znajome?

– Mówiłam, że to zabrzmiało głupio.

– Znasz faceta? Widziałaś gdzieś?

– Tak myślę.

Emil napisał w notatniku numer telefonu, podziękował i wyszedł. Poczł się jak za starych czasów, kiedy jeździli nieoznakowanym polonezem pomiędzy tymi odrapanymi kamienicami nocą, wypatrując złodziei samochodów i włamywaczy. Coś zaczynało się układać w niepewną, ale bardziej wyraźną całość.

Po wizycie Stompora zepsuł jej się humor. Wciąż udawała tę samą przebojową, odnoszącą sukcesy Agatę, ale w głębi pojawiło się coś, co uwierało i piło. Niczym firmowe, drogie i piękne, ale za małe buty. Skupiła się na pracy. Zanim wyszła z redakcji, zadzwonił telefon.

– Agata Żurawska.

– Nie poznajesz mnie?

– Chwileczkę, zaraz wracam – odpowiedziała, słysząc nienaturalnie brzmiący głos.

Wcisnęła nagrywanie. To był inny głos. Intuicja podpowiedziała jej, że to nie jest zwykły telefon. Zakryła słuchawkę i pomachała do naczelnego.

– Nigdy nie mów: zaraz wracam. Przed chwilą tak powiedziałaś. Zaraz wracam.

– „Kuśnierz”? To pan dzwonił w ubiegłym tygodniu?

– To nie byłem ja, tylko jakiś przebieraniec pierdolony. Rozmawiamy pierwszy i ostatni raz – odparł ze złością.

Dziennikarka spojrzała na naczelnego.

– Dlaczego?

– A jaki jest twój ulubiony horror?

– Nie wiem – powiedziała. – Nie oglądałam ich wiele.

– Powinnaś obejrzeć Krzyk.

– Dzięki za radę. Może kiedyś się zastosuję.

Zabrzmiało obcesowo. Niemal niegrzecznie.

– To „kiedyś” w twoim wypadku może oznaczać „nigdy”.

– Nie lubię horrorów tak samo jak rad.

– Mam ich więcej.

– Horrorów?

– Rad. Chcesz posłuchać? Nie odbieraj. Nie otwieraj drzwi. Jeśli otworzysz, nie próbuj się ukryć – szepnęła. – I nie krzycz.

Żurawska poczuła znów ten sam strach, jak wtedy, kiedy zadzwonił poprzednio. Teraz jednak dotarło do niej, że wtedy rozmawiała z kimś innym.

– Bo to nic nie da. Już śmierdzisz ziemią.

– Proszę?

– Niebawem umrzesz – odparł spokojnie.

– Zgłoszę groźby karalne, zwyrołu! Gliniarze namierzają, skąd dzwoniś i...

Naczelnny zaczął rozpaczliwie machać rękoma. Żurawskiej zabrakło słów, ale spojrzała na szefa. To wystarczyło, aby się uspokoiła. Dała się ponieść. Szef dał znak, aby mówiła dalej.

– Chyba będę musiała polubić horrory – odparła spokojnie.

– To nie będzie konieczne.

– A dlaczego?

– Nie będę już dzwonił.

– Naprawdę?

– Powiedziałaś: „gliniarze”? Straszysz mnie? Zastanów się, kim jesteś – powiedział. – Ośmieszasz tych, którzy na mnie polują. O mnie piszesz nieprawdę. A kiedy mówię ci, co cię spotka, straszysz mnie tymi, których oczerniasz. To hipokryzja. Powinnaś ich doceniać. Potraktuj to jak wymuszony rachunek sumienia, nie spowiedź, ale żal za grzechy. Wielki Pies pragnie mnie dopaść. To mu się nie udaje, ale to oczywiste. Jestem sprytniejszy, mądrzejszy. Nie złapią mnie do chwili, kiedy im na to nie pozwolę.

– Zamierzasz się poddać?

– Zamierzam cię zabić.

– Tak po prostu?

– Nie, zrobię to po swojemu.

– Poczekaj, nie rozłączaj się – dodała szybko.

– Chcesz mi coś powiedzieć?

– Chciałam zapytać. Co zrobiłam, że teraz...

– Jesteś kurwą, która zarabia na kłamstwach i pomówieniach! Zamierzałam zjeść twoją wątrobę, ale to byłaby niewspółmierna kara do tego, kim jesteś. Zapłacisz za to inaczej. Tak-tak, tik-tak – dodał, po czym się rozłączył.

Goli wszystko, łącznie z głową, nogami i umięśnioną klatką piersiową. Szczególną uwagę poświęca okolicom intymnym. Jest to tym trudniejsze, że lubi oglądać u siebie te miejsca. Nacieria ciało balsamem o delikatnym, kwiatowym zapachu. Stojąc przed lustrem, czerpie z tego, co robi, przyjemność. Przygotowanie jest jednym z najbardziej przyjemnych etapów misterium, a przyjemność powinno się przedłużyć. Tym razem cel należy osiągnąć szybciej, myśli, siedząc przed jasno oświetlonym lustrem, które przypomina te w garderobach za kulisami teatrów albo przyczep na planach filmów. Przykleja ostrożnie brodę, zakłada nos z wosku i perukę. Naciąga gumowe rękawiczki. Na łóżku w półmroku leżą: rewolwer, amunicja, brzytwa, nóż, bandaże i apteczka z morfiną w ampułkach. Jest też skalpel, igły oraz strzykawki. A także plecak z palnikiem gazowym na wymienne kartusze z propanem-butanem i zapasowym półlitrowym nabojem w żółtym kolorze. Tak na wszelki wypadek. Do kieszeni plecaka chowa dwa pudełka z igłami szewskimi w różnych rozmiarach. Delikatnie ujmuje żółtawe łuski bocznego zapłonu z mosiądzu. W sercu tego człowieka duma miesza się z podnieceniem, a żądza zabijania z czymś na kształt wyrzutów sumienia. Wyciera ściereczką naboje. Zamek wydaje cichy, przyjemny odgłos. Broń wkłada do kieszeni, zakłada wojskową bluzę. Spogląda w lustro, na perukę narzuca kaptur. Światło gaśnie, noc jest spokojna i czuła.

Jarecki traktował Emila z mieszaniną wymuszonej uprzejmości, ostrożnego ignorowania i pozornej chęci pomocy. Nic dziwnego, że zaprzeczył pytany, czy Krajewski wspominał kiedykolwiek o jakiejś skrytce. Emil spodziewał się dokładnie takiej odpowiedzi.

– Nigdzie na planach Krakowa nie mogę znaleźć ulicy Skulimowskiego.

– I to cię dziwi? – zapytał Jarecki. – W Krakowie nie ma takiej ulicy.

– Dziękuję za pomoc.

– Kumpli szukasz?

– Nawet gdybyś miał jakąś informację, byś mi jej nie zdradził. Dobrze, że nic nie wiesz. Problem w tym, że ja wiem jeszcze mniej.

– Skulimowski to lekarz. Leczył górników – Jarecki odparł, nie patrząc na Stompora. – Pasuje do Wieliczki jak ulał. Może gdybym przyjechał tu, na przykład ze stolicy, to bym tego nie wiedział, ale urodziłem się na ziarnku soli. Byłeś tam chociaż raz?

Emil uśmiechnął się, zerknął na przysłuchującego się z zaciętą miną Szepelę. Pokiwał głową zadowolony, że czegoś się dowiedział, po czym nachylił się nad biurkiem, przy którym siedział Jarecki.

– Na wycieczce. Dwanaście lat miałem.

– No to masz kwalifikacje, żeby szukać miejscowego mordercy. Teren znasz.

– Widzę, że się rozkręcasz. A ja wolałbym się czegoś dowiedzieć.

– Ode mnie? Nawet jeśli coś wiem, to ci nie powiem. Zapomniałeś?

– A co tam macie na tej ulicy?

Jarecki się zastanowił.

– Nic.

– No i taka z tobą rozmowa.

– Niedawno archiwum IPN tam otworzyli.

– Dobra, wystarczy! – Szepela wtrącił ze złością. – Skończcie już to pierdolenie! Nie mogę was słuchać. I weźcie się do roboty.

Emil zamierzał odpyskować, ale kierownik zespołu ubiegł detektywa z Warszawy. Zaczerwieniony, ze złością, wycelował palcem w pierś Emila i natarł z furią byka.

– A ty co? Widzę, że nie dociera! Miałeś się, kurwa mać, zajmować Andrzejewską, a Krajewskiego nam zostawić! No co się patrzysz, jakbym ci psa potracił?

– Bo uwierzyć nie umiem.

– Wszyscy wisimy na włosku. Komendant jest na granicy cierpliwości. Z Grzybkiem lepiej nie gadać, bo warczy. Nic, kurwa, nie mamy i śmigłowce se z Warszawy sprowadzamy. Kręcimy się jak gówno w przeręblu, a wy o wycieczkach do kopalni soli pierdolicie! Kiedy przedstawisz nam profil psychologiczny mordercy?

Emil uniósł brwi. Potem wsadził ręce w kieszenie i przekrzywił głowę. Widząc kątem oka zaskoczoną twarz młodego oficera, poczuł, że coś tutaj nie gra.

Następnego dnia Emil od rana czytał. Modraszek sprawdzał numery dokumentów niejawnych, porównując z wykazem dołączonym na początku każdej teczki. Emil wreszcie odłożył czytanie. Następnie wyjął wizytówkę Mordki, podniósł na wysokość oczu, a nogi położył na biurku.

– Co tak naprawdę łączyło Krajewskiego z Mordką? – zapytał.

– Zabrałeś ją stamtąd?

– Zabrałem.

– Kurwa, Emil. Przecież to jest... Tak się nie robi!

– Taka jest nasza robota, Modry. Czegoś się nie powinno, ale policjanci to robią. Wiesz, co myślę? A może morderca Krajewskiego czegoś tam szukał. Mieszkanie było splądrowane. Czyli czegoś szukał. Pytanie, czy znalazł? – Stompor schował wizytówkę do portfela.

Modry pokręcił głową z dezaprobatą, spojrzął spode łba na partnera, po czym rzeczowo wyjaśnił, co na ten temat uważa. Wreszcie wskazał czasopismo *Brum*, nad którym Emil ślezczał prawie godzinę.

– Intryguje mnie sprawa kasety. Staralem się coś zrozumieć z tego bełkotu – Emil stuknął palcem w artykuł. – Ciekawych rzeczy dowiedziałem się na temat głównego singla albumu.

– Ciekawa to może być Paktofonika albo Kaliber 44. HIM to sieczka dla małałatów.

– „Drugi album studyjny HIM skupia się mocniej na gitarze niż w debiucie. Brzmienie jest bardziej eleganckie i melodyjne, inspirowane muzyką lat osiemdziesiątych. *Join Me in Death* – Emil zerknął w tekst – jest przełomowym singlem HIM. Osiągnął pierwsze miejsce na listach przebojów w Finlandii i Niemczech, ale wzbudził też wiele kontrowersji. Piosenka opisuje naznaczony tragedią romans, zbliżony do *Romea i Julii*. Nie warto żyć, a świat jest okrutny”.

– I co?

– Z czym ci się to kojarzy?

– A powinno?

– Tę piosenkę odbierano jako wezwanie do samobójstwa. Z tej przyczyny niektórzy obwiniają wokalistę o rzekome zachęcanie do odbierania sobie życia.

– Złącz się ze mną w śmierci?

– Muzycy twierdzą, że utwór jest źle interpretowany. Piosenka nie opowiada o tym, co na pozór wydaje się oczywiste.

– Czyli wspólnym samobójstwem?

– „Pytanie, czy umrzesz tej nocy za miłość, odwołuje się do poświęcenia, którego możemy dokonać w imię uczucia, ale niekoniecznie przez śmierć” – Emil odpowiedział cytatem z magazynu *Brum*, po czym rzucił czasopismo przed siebie.

Modry podszedł, spojrzął na tytuł. To, co Emil wyczytał, i fakt, że Andrzejewska uwielbiała HIM oraz umarła w niewyjaśnionych okolicznościach, wydało się obu gliniarzom co najmniej dziwne.

– Efekt Wertera?

– Nawet jeśli, to sama się ze skóry nie obrała – Emil wzruszył ramionami. – Przeczytałem akta, wszystko, co do tej pory wydano w Polsce Harrisa, byłem na miejscu zabójstwa Krajewskiego i Wolskiej. Nadal mam wązienie, że krążymy koło jakiejś wskazówki. Czegoś, co jest zajebiście blisko, praktycznie na wyciągnięcie ręki, ale nie umiem tego dostrzec.

– Powinieneś iść nad Wisłę. Tam, gdzie to się zaczęło. Gdzie znaleźliśmy skórę. Przeczytałeś akta, książki Harrisa, byłeś w Sandomierzu i fabryce drutu w Warszawie. Nie byłeś w Dąbiu.

– A najbardziej w tym wszystkim wkurwia mnie pomysł przydzielenia mnie do was.

– Niektórym z nas też to nie pasuje – Modry wskazał wzrokiem drzwi.

– To śledztwo źle poprowadzono.

– Powiedz to Wolskiej.

– Wciąż nie wiemy, skąd miała kasetę.

– Ciekawa rzecz – odparł Modraszek. – Album oczywiście można kupić w Polsce, oryginał i wydanie pirackie, ale tej konkretnie kasety Andrzejewska nie kupiła w Polsce. Nie mogła. W EMPiK-u dowiedziałem się, że kasetka pochodzi z Wielkiej Brytanii.

– Żartujesz?

– To wydanie było tylko tam sprzedawane. W Polsce była edycja na Polskę. Chodzi o to, że tytuł utworu, o którym czytałeś, na anglojęzyczne rynki zmieniono na *Join me*.

– Czyli źródło niemożliwe do ustalenia?

– Mówiłem, strata czasu.

– No dobrze. Zastanówmy się, w jakich okolicznościach zagubiona studentka historii mogła wejść w posiadanie oryginalnej i niedostępnej w Polsce kasety ulubionego zespołu.

- Prezent?
- Od kogo?
- Na pewno nie od Eliaszewskiego.
- Wiemy coś o jej wycieczkach na Wyspy Brytyjskie?
- Nigdy nie wyjeżdżała z Polski.
- Wszystko jak po grudzie, kurwa.
- Chciałeś znać źródło.
- I nadal chcę — Emil wskazał palcem partnera. — Sprawy rozwiązuje się po kolei. Kroczek po kroczku, centymetr po centymetrze. Pytanie, odpowiedź. A potem dalej. Kasety nie można kupić w Polsce. A to znaczy, że skądkolwiek miała to *Razorblade Romance*, przeszło przez ręce kogoś, kto był w Wielkiej Brytanii.
- Może kasetę kupiono wysyłkowo?
- Nie jesteśmy jeszcze w Unii Europejskiej. Przesyłka zza granicy przechodzi odprawę celną. Taka przesyłka musiałaby zostawić jakiś ślad.
- A wiesz co to Allegro.pl?
- Sklep w sieci.
- No właśnie — odparł Modry. — Może kupiła ją jakoś przez internet?
- Można to sprawdzić?
- Musiałaby zostawić ślad. Zapłacić, zamówić. Jeszcze tego nie sprawdzałem.
- A sprawdzałeś to, o czym rozmawialiśmy?
- Pracuję nad tym — Modry się uśmiechnął. — Ustaliłem już, że korzystała z internetu na uczelni i w kafejce internetowej. Na biurku Grzybka czeka wniosek o zabezpieczenie historii przeglądania. Na dniach będę coś miał, o ile nie łączyła się z siecią gdzieś indziej.
- *Razorblade Romance*. Co to za tytuł? — Emil się zniecierpliwił.
- Żyletka albo ostrze brzytwy.
- Emil łypnął na kolegę. Potem w milczeniu potarł dłonią siwiejący, trzydniowy zarost. Modry przez chwilę patrzył na partnera z Warszawy, po czym zrozumiał, że sprawa kaset Emilowi nie daje spokoju. Położył na stole liczący jakieś piętnaście centymetrów grubości stos wydruków i westchnął.
- Aż mnie skręca na myśl, że mam to przeczytać.
- Myślałem, że lubisz literaturę.
- To zapis jej rozmów na czacie.
- Ja mam listy studentów.
- Coś ruszyło w sprawie Mordki?
- Czekam — odparł Modry. — Ci fachowcy od nagrań i głosów analizują to, co im przekazaliśmy. Rozmawiałem z prokuratorem. Jeśli okaże się, że to, co masz od Żurawskiej i głos Mordki są zgodne, dostaniemy zielone światło. Klepnie nakaz. Możemy go zgarnąć i robić przeszukanie — odparł Modry.
- Mam jeszcze jeden temat. Wczoraj Jarecki stwierdził, że adres mieszkania Krajewskiego nie jest z Krakowa, ale z Wieliczki. Szepela nagle na niego wyskoczył.
- Tak właśnie go traktują. Nie dziw się. Ma mniej służby niż ja, ale pojechał na oficerkę, ma wyższy dodatek służbowy. Jak to mówią: nie ma nic w życiu za darmo.
- To wyglądało inaczej.
- Niby jak?
- Szepela coś wie. Nie chciał, aby Janek mi o czymś powiedział.
- Trzeba z nim pogadać.
- Mnie teraz nic nie powie — Emil stwierdził, wracając do czytania.

W kancelarii panował półmrok. Wentylator pracował na najwyższych obrotach. Kurz wirował w przebijających się przez żaluzje sztylcikach promieni słonecznych. Widząc masywną postać w drzwiach klatki Szepeli, Emil poczuł nieprzyjemny prąd na plecach.

– Tu chcesz o tym gadać? – szepnął rosły dochodzeniowiec.

– Nie ma już czasu na konspirację. Mówiłem, że będzie z nim problem.

Emil wyteżył słuch. Nie było wątpliwości, że dinozaury rozmawiają o czymś, co nie powinno trafić do uszu kogoś trzeciego...

– A nie byłoby – syknął Szepela – gdybyś nie spierdolił tematu!

– Trzeba było to załatwić samemu. Znalazł coś?

– Nie, ale to kwestia czasu.

– Znów srasz w gacie?

– Wie, co jest na Skulimowskiego – odparł Szepela.

Stompor położył na klamce dłoń, lecz zamiast nacisnąć, czekał.

– Kurwa, niedobrze – odparł Kaffka. – Coś wymyślę.

– Za późno – Szepela stwierdził bezwzględny tonem. – Miałeś szansę. Jeśli zaczniesz grzebać, to się skurwieli dogrzebie.

– Myślisz, że wie aż tyle?

– O pracy magisterskiej tak.

– Pracą bym się nie przejmował – Kaffka zachrypiał. – Gorzej, jeśli znajdzie...

– Ciszej, kurwa!

– Może wybiorę się tam jeszcze raz?

– To za duże ryzyko. Zwrócilibyśmy jego uwagę. Musimy uważać.

– I liczyć, że Krajewski to dobrze schował?

– A co innego nam zostało? – odparł Szepela.

– A jak tamta sprawa?

– Powinna właśnie wypłynąć. Czekamy. Może się uda.

– Co chcesz zrobić?

– Nie wiem. Zobaczymy. Może to wystarczy? Miejmy nadzieję. A jak nie, to może jakiś wypadek?

Czyszczenie broni?

– Kurwa, Klimek! – syknął Kaffka. – Nie tutaj.

– Spokojnie. Panuję nad sytuacją. Modry o niczym nie wie. Wielki Pies też. Na razie udajemy, że nic o temacie nie wiemy i czekamy. Spokojnie, bo ci żyłka pierdolnie. Musimy to porządnie przegadać. Spotkajmy się tam, gdzie ostatnio. Nie ma czasu do stracenia. Po robocie. Od razu – Szepela powtórzył, a Emil nacisnął klamkę.

Kilkanaście minut później wyszedł jak cień z budynku przy Mogilskiej. Klemens Szepela stosował się do zasad rządzących pracą operacyjną, lecz Emil wzniósł się na wyżyny. Znów okazało się, że niepozorność jest jedną z najbardziej niebezpiecznych cech dla wrogów Emila.

Naczelnik Bernard Zolner sporządzał opinię służbową, kiedy sekretarka położyła na stole faksogram protokołu przyjęcia zawiadomienia o popełnionym przestępstwie. Zolner przeczytał i natychmiast wstał. Zacerwienił się i z rękoma w kieszeniach podszedł do okna.

- To niemożliwe — odparł dwie minuty później, odbierając telefon z Krakowa.
- Słyszę zdecydowany ton.
- Nigdy w nic takiego nie uwierzę.
- Rozumiem inspektorze, że pan broni swojego człowieka. Na pana miejscu postąpiłbym podobnie — skłamał Grzybek. — Co więcej, uważam, że tak właśnie być powinno, ale nie tym razem. Niestety.
- To niemożliwe.
- Aż tak dobrze zna pan Stompora?
- W tym wypadku ręczę za niego głową.
- Sporo pan ryzykuje — zauważył Grzybek.
- Bynajmniej.
- Ta kobieta zrobiła to na protokół. Nic się nie da zrobić.
- Tym gorzej dla niej.
- Machina ruszyła. Nie mamy możliwości jej zatrzymać.
- Zadzwoń do niego.
- No ale co to nam da?
- Napisze notatkę.
- Żartuje pan? Będzie musiał stawić się u prokuratora! Musi zostać jak najszybciej zawieszony.
- Prokurator nawet nie zacznie sprawy. To pomówienia.
- Może pan w to wierzy, ale ja nie. Sprawa trafi do wydziału kontroli. Będzie powiadomione biuro spraw wewnętrznych i prokurator. Usiłowanie zgwałcenia przez policjanta na służbie, i to pod wpływem alkoholu, to poważne oskarżenie.
- Ona kłamie.
- Przykro mi, inspektorze.
- Powiedziałem, co na ten temat uważam. Dziękuję za telefon — rzekł Zolner.
- Obaj jesteśmy naczelnikami. Stompor to problem mój, ale to pan jest jego szefem. Wolałbym wspólnie wypracować rozwiązanie, żeby smród na nas nie wpłynął. Dlatego wolałem zadzwonić.
- Zrobiłbym identycznie.
- Jeszcze nie informowałem komendanta. Niestety, inspektor Lerman jest czuły na tym punkcie. Czy mogę liczyć, że pan powiadomi stołecznego?
- Wykluczone.
- Proszę?
- To, co pan słyszał — odparł Zolner. — Nie mam zamiaru czymś takim zawracać głowy Woroniczowi. Stompor tego nie zrobił. Moim zdaniem to próba wpływania na śledztwo. Stompor to dobry, bardzo dobry, jeśli nie wybitny glina.
- Panie inspektorze — Grzybek odparł zniecierpliwiony. — Na tego pana wybitnego glinę wpłynęło zawiadomienie o popełnieniu przestępstwa! Przefaksowałem panu kopię. Czytał pan, prawda?
- Czytałem.
- No właśnie. I co?
- Nie zamierzam z tym nic zrobić.
- A jeśli sprawa przeniknie do mediów? Wszyscy będziemy mieli przesrane. Ja, pan, nasi komendanci. Nie zamierzam ryzykować kariery dla... Nie zamierzam się podkładać! Nie za kogoś takiego. Stompor to nie minister, komendant czy wojewoda. To zwykły gliniarz! A sprawa jest śmierdząca — burknął Grzybek, po czym zmienił ton. — Upredzdam, że zmusił mnie pan do zameldowania o tej rozmowie komendantowi Lermanowi.
- Powiem panu, co powinien pan zrobić. Proponuję wezwać tę kobietę na jeszcze jedno przesłuchanie. Następnie trzeba przyjąć od niej wyjaśnienia, tym razem w charakterze podejrzewanej o popełnienie przestępstwa. Przyznaję — dodał Zolner — Stompor sprawił mi wiele problemów. Bywa, że doprowadza mnie do szału. Jest krnąbrny, pyskawy, bardzo trudny we współpracy, natomiast to już przesada. Bronię Stompora, ponieważ jestem pewien, że ktoś go pomawia.
- Od tego jest wydział kontroli i prokurator. Jego problemy z alkoholem były kilka lat temu publiczne. Pisano o tym w gazetach!
- Okazały się pomówieniami — odparował Zolner.

— W protokole jest napisane, że był pod silnym wpływem alkoholu, miał wyczuwalną woń z ust, bełkotliwą mowę oraz problemy z równowagą.

— Są takie kraje, gdzie sprawdza się, czy dany świadek jest wiarygodny. U nas wierzymy ślepo w każde słowo przestępców i kurew. Ta cała Samanta Lenartowicz to kurwa, prawda?

— To nie ma związku ze sprawą.

— Tak czy nie?

— Jest takim samym obywatelem jak każdy.

— prostytutka. Ktoś ją zaszantażował albo przepłacił. Nie zamierzam dawać wiary sprzedanej kurwie, żeby złamać Stomporowi życiorys. On nie pije.

— To gliniarz! Jak ma nie pić? Ja piję, pan pije, a Stompor nie pije?

— Ma wszywkę alkoholową. Dziesięć minut po łyżku piwa czy wódki nie byłby w stanie normalnie iść. Jest trzeźwy od pięciu lat — powiedział naczelnik Stompora.

Zakończyli rozmowę i Zolner długo siedział w milczeniu. Myślał.

Emil stał przy oknie i patrzył przez szybę. Niebo sprawiało wrażenie, jakby się miało rozstąpić. Minutę później byli na parkingu przed komendą. Modry w twardym, nieustępliwym spojrzeniu Stompóra dostrzegł coś, co go przestraszyło.

— Coś mi tu nie gra — Emil warknął. — Żurawska wiedziała, że Andrzejewska choruje na fawizm. I gdzie jest jej praca magisterska? W magazynie dowodów jej nie ma. Magazynier twierdzi, że Kaffka ją wziął, ale Kaffka zaprzecza. „Nie mamy pańskiego płaszcza i co pan nam zrobi?” To nie są jaja, Modry.

— Uspokój się.

— Mam spokojny być? Żurawska wchodzi w posiadanie niejawnych informacji. Sprzedając mi bajkę, że zadzwonił do niej rzekomy morderca. Twierdzi, że przekazał jej cynk o miejscu ukrycia szczątków jednej z ofiar. Wszczynam raban i robię z siebie idiotę. Teraz okazuje się, że znikają dowody!

— Co ci jest?

— Co to, kurwa, ma być?

— Ciśnienie ci wali?

— Tobie wali — Emil odparł. — Widziałem podpis Kaffki. Przez jedno „ef”. A może to nie był błąd?

— No to zaczyna się robić poważnie.

— Będzie jeszcze poważniej, jak nam zaczną stawiać zarzuty.

— A co my mamy z tym wspólnego? — zapytał Modry.

— Porażka będzie dziełem nas wszystkich.

— Gustaw zastanawia się nad każdym przecinkiem. I nie wierzę, że przepuściłby takiego osobistego babola. To nie on.

— Czyli ktoś sfałszował podpis funkcjonariusza — Emil powiedział ponuro.

— Może to faktycznie tylko pomyłka?

— Ty mi tu nie pierdol!

— Tylko głośno myślę.

— Kiedy znikają dowody w sprawie, żarty się kończą. Wiesz, jakie jest moje sześć?

— Skąd mogę wiedzieć?

— Ja twojego też nie znam, ale miałem kiedyś przyjaciela. Razem zaczynaliśmy. Znałem jego sześć. Powiedz, kto w naszym cholernym zespole zna numer identyfikacyjny kolegi po fachu, ponieważ razem wstąpili do służby, dokładnie tego samego dnia, i ich numery różnią się tylko jedną cyfrą?

Zapadło milczenie, ponieważ ostatnie wypowiedziane zdanie było dla Modrego prawie niczym policzek. Zaledwie jedno wypowiedziane przez zęby zdanie trafiło w sedno. Piegowaty, rudy chłopak przez chwilę patrzył w stronę Emila, po czym zrobił krok w tył i spojrzał w niebo.

— A teraz kolejne pytanie. Jaki był temat pracy magisterskiej?

— Uznaliśmy, że ona nie ma nic wspólnego ze śmiercią Andrzejewskiej.

— My, czyli kto?

— Nie pamiętam — Modry wzruszył ramionami. — Zespół.

— To sobie, kurwa, przypomnij! Rozumiesz? Bo właśnie usiłuję ci uzmysłowić, że tuż obok nas dzieje się coś zajebiste podejznanego. Mamy trzy trupy! I znikł być może kluczowy dowód.

Modry spojrzał na Emila. Podniósł białe brwi i obiema rękami przeczesał czuprynę. Spojrzał za siebie, a potem w prawo i lewo, po czym jego spojrzenie powędrowało na rzędy radiowozów. Nikogo w pobliżu nie było. Zaczął mówić. Skończył, zanim lunęło. Pierwsze krople deszczu rozbiły się o pokryty kurzem parking, a oni byli już z powrotem w budynku. Gdyby zostali, deszcz w kilka sekund zmoczyłby ich do cna. Na górze, w pokoju Modrego Emil poczuł kłucie pod mostkiem i przypomniał sobie lekarza łudząco podobnego do Kojaka.

Jest w nim coś, co sprawia, że się nie wyróżnia. Chociaż widzieli się, rozmawiali ze sobą i kilka razy widziała Stompóra w telewizji, to o mały włos przeoczyłaby to, jak przechodził. Poprawiła włosy i otworzyła drzwi czerwonego citroëna saxo.

– Wreszcie pana złapałam – powiedziała.

– Czego pani chce?

– Prawie pana nie zauważyłam.

– Ma pani tupet!

– To pan narobił mi wstydu w redakcji.

– Sądziłem, że to uczucie jest pani obce.

– Nie – odpowiedziała. – A gdybym miała informacje?

– To, szanowna pani, proszę je sobie wsadzić w dupę.

– Ostro.

– Za przeproszeniem.

– W takim razie mam problem – odparła poważnie.

– Nie mamy o czym rozmawiać. – Gliniarz odparł, ruszając.

– Przepraszam za ten Kazimierz. Naprawdę – dodała, zrównując się z nim.

– I to załatwia sprawę?

– Mam z panem iść do łóżka?

– To pani metoda? – odparł, przystając. – Jak nie morda, to dupa?

– To było niegrzeczne.

– Obsmarować gównem jest w dobrym tonie? Chodzę do łóżka z miłości. Pani nawet nie lubię.

– Miałam nadzieję, że coś pan znajdzie – odpowiedziała.

– Mam w to uwierzyć?

– Pamięta pan o naszej randce?

– Pamiętam, że przełożeni przeczytali pani artykuł. Zresztą nie jeden, serię. Żałuję, że panią spotkałem.

– Cóż – szepnęła. – Też mam swojego komendanta. I wypłatę.

– Kupiła pani już nowe perfumy?

– Dawno temu naczelny New York Timesa powiedział, że nie ma czegoś takiego jak niezależna prasa.

Nic takiego nie istnieje, no może gdzieś w szkolnych gazetkach albo na zadupkach, ale nie tu i teraz.

– Nie mamy o czym rozmawiać.

– Nieprawda. Mamy. Znów rozmawiałam z „Kuśnierzem”.

– Tym razem prawdziwym?

– Tak – odparła. – Przyznaję, dałam się ostatnio zmanipulować. Pan oberwał przy okazji.

Gliniarz zawahał się, by coś powiedzieć. Żurawska jednak sprawiała wrażenie szczerzej. Spuściła wzrok i milczała przez dwie, trzy sekundy.

– Przepraszam, że dzwoniłam, ale miałam ważny powód.

– Ważny dla kogo?

– Pan chyba też chce go złapać?

– I dlatego mam dążyć po trupach do celu?

– Niechże pan dorośnie! – jęknęła. – To taka praca! Co miesiąc dostaję przelew. A one są niezbędne do życia. Pieniądże żądają światem, czy to się idealście Stomporowi podoba, czy nie. Nie płacą mi za opinie, ale za to, że bym się od nich powstrzymywała. Gdybym nagle zaczęła pisać uczciwie, musiałabym ustawić się w kolejce po zasiłek.

– Na tym polega dziennikarstwo?

– Teoretycznie ma pan rację – przyznała ze smutnym uśmiechem – ale ja uprawiam je w świecie prawdziwym. Tu prawda, ideały i misja to puste frazesy. Prawdziwy świat to kłamstwa, niszczenie prawdy, sensacyjne półprawdy, niedopowiedzenia, płaszczenie się przed pieniędzmi i sprzedawanie wizerunku, nazwiska, a czasem nawet kraju i narodu w zamian za przelew. Nie ma czegoś takiego jak prawdziwe dziennikarstwo, komisarzy. Wierzyć w nie to szaleństwo.

– Podobnie jak w to, że nie jest pani cyniczna.

– Taka jest prawda.

– Nie wygląda mi pani na autorytet w dążeniu do niej.

– Upiorne plotki sprzedają się lepiej.

– Nie – odparł Emil. – Pisanie o plotkach jest łatwiejsze.

– Mówi pan, jakby był kimś lepszym. A jesteśmy tylko narzędziami w rękach ludzi bogatszych i silniejszych, którzy kryją się za kurtyną. Dostosujemy się albo zginiemy. Taki jest świat.

– Świat to my.
– Myśli pan, że nie miałam ideałów? Jest pan taki jak ja. Tylko do mnie dotarło wcześniej, że mam tańczyć tak, jak inni zagrają.
– To założenie to sofizmat. Nie jestem jak pani.
– A jaki pan jest?
– Nie jestem intelektualną prostytutką.
– Więcej pan wie o moim zawodzie, niż przypuszczałam.
– Nie wiem, czego pani ode mnie chce.
– Mówiłam, że mam problem. „Kuśnierz” grozi mi śmiercią.
– Proszę udać się do właściwej terytorialnie jednostki policji i złożyć zawiadomienie o groźbach – Stompor wyrecytował jednym tchem. – A najlepiej wynająć ochronę. Sama pani wie, jak nieskuteczna potrafi dziś być polska policja.

– Wyczuwam ironię.
– Może pani wyjechać, zaszyć się gdzieś. Zrobić rachunek sumienia.
– Przywiozłam panu nagranie rozmowy z nim – powiedziała. Przez chwilę patrzył, jak Żurawska sięga po kasetę z torebki.
– Stała się pani altruistką?
– Chcę pomóc policji.
– Tak makiaweliczna osóbką miałyby się zmienić w Matkę Teresę z Kalkuty?
– Chcę pomóc panu. I sobie.
– Chyba nie w tej kolejności.
– To ostatnie nagranie. Może się panu przyda – Żurawska powiedziała, podając Emilowi kasetę.
– „Kuśnierz”, dzwoniąc do pani, zmienia głos. Stosuje bardzo prostą, ale skuteczną metodę. Sreberko w usta. Fonoskopia nic tu nie wskóra.

I nagle poczuł deszcz. Elektryczność wzdłuż kręgosłupa była jak olśnienie. Gliniarz wręcz się zezłościł. Przecież to nagranie także można wykorzystać jako materiał porównawczy do ogólnodostępnych nagrań głosu Mordki. Jeśli to on, ekspertyza powinna to potwierdzić.

– Strach panią obleciał? – glina sięgnął po camela.
– Pan by się nie wystraszył?
– Boję się każdego dnia, proszę pani. Od kilkunastu lat.
– To ryzyko pana zawodu.
– Układ z mordercą to chyba coś więcej niż zbieranie informacji?
– Naprawdę się boję.
– Mówiłem, ja też.
– A jeśli on naprawdę zechce to zrobić?
– Możliwe, że już zdecydował.
– Nie pomoże mi pan?
– A co ze mną? Pewnego dnia decyzją sądu, prokuratora, prezydenta czy kogoś innego, jak pani to pięknie powiedziała, stojącego za kurtyną, któryś z tych, których zamknąłem, może wyjść i zechcieć wziąć odwet na psie, który zamknął go na kilka lat. Pół biedy, jeśli wpakuje mi nóż między żebra i żona zostanie wdową, a córka sierotą. Gorzej, jeśli robi to im. Więc proszę nie mówić o strachu, gównu pani o nim wie.
– Proszę mi pomóc.
– Jeśli spogląda się w stronę zła, ono może zwrócić na nas uwagę. Jak mam pomóc?
– Nie wiem – odpowiedziała. – Opublikuję wszystko, co pan chce. Sprostuję, odwołam, możemy pójść na współpracę, abyście go złapali. Tylko niech pan coś zrobi. Przedstawię pana w superlatywach.
Emil zaśmiał się głośno, naprawdę rozbawiony. Potem odsunął papierosa i przez chwilę patrzył, jakby chciał przeświecić Żurawską na wylot. Żadne układy z tą cyniczną, goniącą za sławą i pieniędzmi kobietą nie wchodziły w grę.

Tomasz Stroker czuł już zmęczenie. Prowadził od czterech godzin. Rankiem wyjechał z Warszawy. Teraz śpieszył się, aby w drodze powrotnej z Leżajska zmieścić się w przepisowych dziewięciu godzinach jazdy. Zapadł zmrok. Bębnił palcami w kierownicę w rytm tego, jak Grzegorz Ciechowski śpiewał, by nie pytać o Polskę. Myślami był już na parkingu. Za plecami czekała kuszeta, pulpety z pomidorami w słoikach i amerykański film z pirackiej kasety VHS na czternastocalowym telewizorze. Kiedy obciążony puszkami zestaw znalazł się kilka metrów przed wiaduktem, Stroker coś dostrzegł kątem oka. Rozległ się huk. Zamknął oczy, wcisnął prawą stopę do oporu i ścisnął kierownicę. Uderzył go pęd powietrza i odłamki szkła. Rozpędzone do dziewięćdziesięciu kilometrów na godzinę trzydzieści kilka ton sprawiło, że ciężarówka sunęła przez następne sekundy. I to właśnie je kierowca ze zdarzenia zapamięta najlepiej. Nie huk, przeciążenie hamowaniem, walka o to, aby koła naczepy nie wpały w poślizg, ale tych kilka sekund było najgorsze. A także to, że mężczyzna nie wiedział, co dalej. Policjantowi drogówki powiedział później, że modlił się, aby w nic nie uderzyć. A kiedy ciężarówka już się zatrzymała, nie był w kabinie sam. W szoku pojął, co się wydarzyło. Szybko zapomniał o czekającym miejscu do spania, przygotowanych przez żonę pulpetach i filmie Helikopter w ogniu. Krew była wszędzie.

Nienawidziłem bidula. Przez lata marzyłem o dniu, w którym stamtąd odejdę. A kiedy to miało się stać, pojawiła się pustka. Miałem dziewiętnaście lat, świeżo skończoną zawodówkę. Mogłem zacząć naukę w trzyletnim technikum. Ucząc się, mógłbym zostać w sierocińcu. Wybrałem szkołę, ponieważ dzięki temu należało mi się pięćset złotych od państwa. Odchodząc, pewnie wylądowałbym w końcu na ulicy. Wolałem poczekać na miejsce w lokalu chronionym z nadzieją, że za kilka lat może dostanę mieszkanie od państwa. Zwykli ludzie nie zdają sobie sprawy, co dla sieroty oznacza wyjście z bidula. Nie wiedzą jednak też jeszcze jednego. Ktoś, kto przeżył bidul, poradzi sobie ze wszystkim. Skończyłem szkołę. Zdałem maturę. Miałem dość biedy. Zgłosiłem się do wojska. Mówiło się, że to dwa lata wycięte z życiorysu, a ja miałem szczęście. Na stu poborowych tylko ja miałem średnie wykształcenie z maturą. Po unitarce okazało się, że ktoś taki jest potrzebny do pomocy w szpitalu wojskowym. A wszystko jest lepsze od monotonii koszar, służby na kompanii i nocnych wart przy płocie wokół jednostki. W szpitalu graliśmy w karty z sanitariuszami. Nieraz, kiedy na oddziale zaistniał zgon, jak się mówiło, zabierałem ciało do prosektorium. Z czasem pozwolono mi zostawać na sekcjach. A na sto kilkadziesiąt dni do cywila zdarzyło się coś, co zaważyło na tym, kim zostałem. Kim jestem.

Emil leżał z otwartymi oczyma. Pragnął spać, ale z każdą minutą rozumiał, że sen nie nadejdzie. Wsłuchując się w odgłosy nocnego Krakowa, myślał o Loli. Nagle mały simens zabrzączał.

— Odebrałeś. To dobrze — stwierdził Zolner. — Tej nocy i tak nie prześpisz, więc po prostu posłuchaj. Wsiądziesz zaraz w samochód. Pojedziesz do bazy naszego lotnictwa na starym lotnisku Rakowice-Czyżyny, przy muzeum lotnictwa. Ściągamy pilotów, lecisz do Warszawy. To decyzja głównego.

— Znowu uderzył?

— I to jak! — szepnął naczelnik.

Emil przymknął powieki.

— Żurawska?

— Porwał ją. Torturował, potem zrzucił z wiaduktu na TIR-a z piwem.

— Jak torturował?

— Oślepił.

— Jak?

— Wydłubał oczy. I teraz mamy taki syf, jakiego nikt by nie podejrzewał.

— Ostrzegąłem, że niebawem uderzy.

— Obciął jej obie ręce w nadgarstkach, przypalił rany, a potem zabandażował. Powbił w jej ciało setki sześciocentymetrowych igieł szweskich.

— Mutilatio — szepnął detektyw. — Kara mitylacyjna. Znana w starożytności, popularna w średniowieczu, do dziś stosowana na Bliskim Wschodzie, na przykład w Iranie.

— Co nam to daje?

— To, jak zabija, jest pewną wskazówką. On ją ukarał!

— Potem.

— On karze, rozumie pan?

— Nie ma czasu — odparł Zolner. — Pogadamy na miejscu. Wylądujecie przy szpitalu na Szaserów. Musimy coś do rana zrobić, bo to nie wygląda dobrze. Premier dzwonił do komendanta głównego. Czuję, że dopiero od rana się zacznie. Nie oglądasz telewizora, to nie wiesz, ale w mediach mamy pożar w burdelu.

— Nasz prawdziwy problem to nie „Kuśnierz”, ale polityka.

— Policja zawsze z nią przegrywa.

— A jeśli ktoś chce wciągnąć nas w jakąś grę? — Emil odparł poważnie.

— A oni z nami grają od osiemdziesiątego dziewiątego.

— Policja w demokratycznym państwie powinna być apolityczna.

— Powinna — przyznał Zolner. — Wiem. Powinna służyć państwu i społeczeństwu. Strzec bezpieczeństwa i porządku, a nie wysługiwać się rządzącym, ale żyjemy w Polsce. W kraju, w którym wszyscy wszystkich robią w chuja. Tu wiele rzeczy powinno być, ale nie jest. Powinniśmy mieć autostrady i drogi bez dziur. Dziur nie ma dlatego, że nie mamy dróg, jakie powinny być — naczelnik mówił szybko, a Emil zrozumiał, że Zolner pierwszy raz jest z nim naprawdę szczery. — Powinny być czyste szpitale, powinna być opieka nad najbardziej szczytami i godziwe wynagrodzenie za pracę, której nie ma, a powinna być. A my powinniśmy się zajmować łapaniem przestępców, którzy przeszkadzają zwykłym ludziom spokojnie żyć i płacić podatki na państwo i na te czyste szpitale, których też nie ma, a powinny być. Nasze związki zawodowe powinny bronić policjantów i dbać o ich interesy, a nie swoje stołki, dodatki i medale. Kościół powinien zajmować się religią, a nie polityką i bogaceniem się z roku na rok. Owszem, tak powinno być. Wiele rzeczy powinno być, ale ich nie ma. I nie ma na nie pieniędzy, bo jesteśmy zdominowanym przez kler narodem złodziei okradających się i skaczących sobie do oczu, kiedy tylko nie ma bata. Nic z tym nie zrobisz, tak samo jak i ty. W pojedynkę możesz najwyżej wsadzić sobie palec w dupę.

— Pierwszy raz słyszę, że mówi pan z sensem.

— Dawno powinienem być generałem, a nie jestem. I nim nie zostanę. Nic z tym zrobić nie mogę. Więc robię to, czego wymagają. I dlatego, do kurwy nędzy, dzwonię, bo jak tego nie zrobię, to ktoś mi łeb utnie, a mam hipotekę do zapłacenia. I znam się na fizyce na tyle, żeby zaręczyć ci, że gówno również podlega grawitacji. Ono spadnie. I ciebie też ochlapie.

— Do czego tam jestem potrzebny?

— Na miejscu pojawili się dziennikarze, telewizja. Rozpętało się piekło. Spróbuj przedostać się do szpitala tak, żeby cię nie rozpoznali. Ona żyje. Ciągłe powtarzała twoje nazwisko.

Emil przetarł oczy palcami. Dochodziła północ. Stojąc z czarnym siemensem w dłoni, detektyw patrzył w ciemność. Wiedział, że czai się w niej zło. I ktoś je musi powstrzymać.

W okna wydziału zabójstw od kilkunastu minut świeciło już poranne słońce. Zolner otworzył drzwi do cuchnącego dymem pomieszczenia. Emil siedział przy biurku z papierosem w ustach. Zerknął na naczelnika, strząsnął popiół do popielniczki i wrócił do pisania.

- Co tu jeszcze robisz?
- Takie mam hobby – odparł. – Zapierdalać na zlecenie przełożonych.
- Mógłbyś już dać sobie spokój.
- Nie trzymam pana tutaj.
- To powinna być moja kwestia.
- Tego, że wyrwał mnie pan z łóżka, żadne kwestie już nie zmieniają – westchnął glina.
- Pewnie i tak nie mogłeś spać.
- Aż tak dobrze mnie pan zna?
- Wyglądasz na starszego o kilka lat – Zolner rzekł, patrząc, jak Emil pije kawę.

Na twarzy Stompora rysowało się zmęczenie. Podkrążone oczy i blada, ziemista skóra potęgowały to wrażenie. Emil podszedł w milczeniu do okna, wyjmując kolejnego camela. Utkwił nieruchome spojrzenie w chmury, które podświetlone krwistym kolorem wschodzącego słońca sprawiały wrażenie gigantycznego pasma górskiego.

– Cenię cię jako śledczego, ale prywatnie myślę, że mógłbyś może czasem odpuścić.
– Dziennikarka, która w ostatnich dniach napisała kilkanaście artykułów ze mną w roli głównej, zostaje zrzucona z wiaduktu na ciężarówkę – szepnął. – W karetce powtarza moje nazwisko. To nie wygląda dobrze.

– Może ruszyło ją sumienie?
– Dzwoniła do mnie.
– I co?
– Nic – odparł glina. – „Kuśnierz” groził jej śmiercią.
– Mogła wynająć ochronę.
– Mówiłem jej. I teraz ją operują – odpowiedział policjant, po czym pomyślał o tych wszystkich latach, które poświęcił służbie, żonie, córce. Wreszcie włożył niezapalonego papierosa za ucho i usiadł. Ciche biuro w Pałacu Mostowskich znów wypełniło się nieregularnym, głośnym stukaniem palców w klawiaturę. – Dziś znów napiszą – dodał. – Pewnie przeczytamy, że znów się spóźniliśmy. Niech piszą. Zamierzam robić swoje.

– Mogłeś poczekać z tym do rana – naczelnik wskazał monitor.
– Już jest rano.
– Przecież nie będę cię teraz kontrolował!
– Pan może nie, ale to źle wygląda – Emil powiedział ponuro. – Skurwiel zawiadomił kilka redakcji jednocześnie. Nie zabezpieczyliśmy ani jednego śladu. Nic nie mamy – Emil rzekł, patrząc w oczy naczelnika. – Nie chcę nawet myśleć o tym, jakie będą nagłówki w gazetach.

– To, że przeżyła, stwarza nam jakieś szanse.
– Na co? Na pozostanie warzywem? I to, żebym to ja dostał po dupie – zauważył Emil.
Zolner zerknął na policjanta znad okrągłych okularów.
– Nie zapominaj, że masz żonę i dziecko. Może nie powinienem, ale... na tej robocie świat się nie kończy.

– To pan mnie w to wpierdolił.
– A wiesz co to naciski? – Zolner zapytał ponuro. – Gównno cię to obchodzi, co?
– Nie za to mi płacą.
– Gdybyś mnie słuchał – Zolner odpowiedział – zamiast coś udowadniać, pewnie byłbyś wyżej. Dziękuj Bogu, że jest demokracja, bo kiedyś dawno dostałbyś w mordę.

– Nie wierzę w Boga, kapitanie.
– Nie zaczynaj, kurka wodna.
– Od początku pracuję w po-li-cji – detektyw przesyłabizował ostatnie słowo przez zęby. – Minęło czternaście lat, a ciągle decydujące funkcje pełnią ci, którzy zaczynali w MO, w ZOMO, a bywa, że i w SB, kapitanie Zolner.

- Całym zawodowym życiem udowodniłem, że...
- Można się przefarbować?
- Kawał gnoja z ciebie.
- Sam pan zaczął.

— Od początku mnie wkurwiasz — Zolner warknął, celując paluchem w detektywa. — Zamiast się przypierdalać, mógłbyś się ode mnie czegoś nauczyć.

— Zaraz pan powie, że robił tylko w paszportach?

— Przyjmij do wiadomości, że służymy w policji. Ty też wyrosłeś w tym systemie. Jesteś jego częścią. Kto cię uczył roboty? Policjanci? No właśnie! Trzeba dwudziestu, trzydziestu lat, żeby zerwać z przeszłością. Moją, ale i twoją.

— Na zgliszczach starego systemu wyrosły nowe chwasty. Tacy jak pan dawno powinni siedzieć na emeryturze. Mógłby pan dorabiać jako taksówkarz, gdyby się panu nudziło — Emil dodał. — I wędkować. Przynajmniej pana kot zjadłby od czasu do czasu świeżą rybkę, a nie tanie gówno z dyskontów.

Zolner nie odpowiedział. Niespodziewanie zacisnął zęby, odwrócił głowę i wbił wzrok w pomalowaną żółtą farbą ścianę. Nagle pomyślał, że chociaż minęło prawie ćwierć wieku, to wszystkie ściany, we wszystkich pomieszczeniach fabryki, przez ten czas zawsze miały ten sam obrzydliwy kolor. Potem zdjął okulary, odłożył je na biurko i przetarł oczy palcami.

— To była kotka. Lea. — Naczelnik szepnął. — Umarła, miesiąc temu. W dniu, kiedy skończyła się milicja i zrobili ze mnie policjanta, znalazłem ją na ulicy — dodał. Stał przy biurku i spojrzał w monitor przed Emilem. — Miała zaropiałe oczy i koci katar. Została na czternaście lat. Tam, teraz, gdzieś jest jej lepiej.

— Niech pan się nie gniewa.

— Nie mam żalu. To tylko kot, a wszyscy wiedzą, że jesteś gnojkiem. Dużo wiesz. Mógłbyś być wzorem dla policjantów na szkole policji, gdybyś chciał — Zolner powiedział i wyszedł.

Stompor nagle poczuł się głupio. Po raz pierwszy w naczelniku zobaczył człowieka, a nie tylko przełożonego i byłego milicjanta. Zolner tymczasem poczłapał do gabinetu, gdzie usiadł w fotelu poza zasięgiem światła. A potem pociągnął wódkę z upitej w połowie butelki. Pustą odstawił na podłogę obok szeleka ze sfatygowaną, skórzaną kaburą, z której brązowa farba zaczęła się złuszczać już dawno temu. Teraz tylko przypominała, jaki kiedyś miała kolor.

Wszedł przemoczony do suchej nitki. Lola siedziała w kuchni, dłońmi obejmowała kubek z herbatą. Jedno spojrzenie mężczyzny na jej twarz wystarczyło. Poczul elektryczność wzdłuż kręgosłupa, a pomiędzy jej brwiami dostrzegł zmarszczkę.

— Młody rozmawiał z dyrektorem. Pół roku to za długo — powiedziała, a zmarszczka na jej czole stała się jeszcze bardziej widoczna. — Nie mogą trzymać wakatu.

— Miałem ciężką noc — odparł, zdejmując moką koszulkę. — Jestem zmęczony.

— Sprawa pensji też wygląda inaczej.

— Miałeś dostać tysiąc dwieście na rękę?

— To było przed oficjalną rozmową z dyrektorem.

— Aha, czyli oficjalnie jest gorzej?

— Dostanę tysiąc pięćset — Lola odpowiedziała, a zmarszczka znikła. — I umowę na trzy lata. Cały etat! Pomyśl! Zoo. No i Opolo — Lola nie kryła zadowolenia. — Tak mi się tam spodobało.

Emil spojrział na żonę. Po chwili zmarszczka znów się pojawiła. Mężczyzna dostrzegł też, jak drży jej dolna warga. Niewidzialny ciężar położył się na jego klatce piersiowej, jakby założył kamizelkę przeciwwybuchową używaną przez policyjnych pirotechników.

— Tato — dopowiedziała łamiącym się głosem — dzwonił do mnie.

— Dzwonił i co?

— Ciszej. Obudzisz Julkę.

— Co się stało?

— Jest chory — odpowiedziała, ocierając łzy krawędzią dłoni. — To rak — wybuchła, po czym skryła ręce w dłoniach.

Objął żonę, przytulił, a potem spojrział za okno. Niebo w ołowiano-granatowym kolorze w tamtej chwili było jeszcze bardziej ponure, niż kiedy patrzył na nie w Krakowie.

— Był też drugi telefon — wydusiła.

— Do mnie?

— Nazywa się Eliaszewski. Nie powiedział, dlaczego dzwonił.

A potem opowiadała, a mężczyzna słuchał, z rzadka kiwając głową na znak, że zrozumiał. Po wszystkim znów ją przytulił. Przypomnił sobie, co jest tak naprawdę ważne.

Z każdym zdaniem w premierze rosła wściekłość. Raport zawierał tylko lakoniczne frazy, a nagłówki leżących na biurku gazet nie nastrajały optymistycznie. Nic dziwnego, że kończąc lekturę, ten twardy człowiek chwycił ze złością słuchawkę.

— W dwa tysiące pierwszym mieliśmy poparcie czterdziestu kilku procent — rzucił do telefonu. — Ponad! Teraz mamy kilkanaście!

— To było prawie trzy lata temu! Wtedy było inaczej.

— Inaczej? — powtórzył premier. — Bo nie wybuchają afery? Bo dziennikarze nie wywlekali spraw, które nam nie służą?

— Dwa lata temu sojusz dopiero co się sformował. W życie weszła nasza konstytucja, a o powodzi tysiąclecia większość już zdążyła zapomnieć. I pamiętaj, że mieliśmy nową ordynację wyborczą i nową metodę liczenia głosów.

— Nie zapominaj, że to ty odpowiadasz za służby. Nasze poparcie topnieje w oczach — premier warknął do słuchawki. — A ta sprawa z Krakowa nam nie pomaga. Mamy problem. Bliźniak wyczuł słabość w służbach i zaczął grę. Zapowiedział podwyższenie kar i wytyczne dla prokuratorów, aby w sprawach przeciwko życiu i zdrowiu występowali do sądów o areszt i wysokie wyroki.

— Czy to w ogóle legalne?

— To tylko populistyczna strategia marketingowa.

— Każdy prawnik w Polsce to zakwestionuje.

— Europejski Trybunał Sprawiedliwości też zwrócił na to uwagę, ale czy ich to obchodzi? Zgrywają się na twardych. Idą po trupach. Mamią gawieź sprawiedliwością, prawem, rozliczeniem z komuną, więc w tym świetle to, co się dzieje, nam nie służy.

Przez wysokie okna gmachu Kancelarii Prezesa Rady Ministrów przy Alejach Ujazdowskich na mahoniowe biurko padły poranne, niezbyt jeszcze dokuczliwe promienie słońca. Premier zacisnął pięść. Zaczynając pracę jako robotnik czterdzieści lat temu, nigdy nie przypuszczałby, że z żyrardowskiej przędzalni lnu zawędruje aż tutaj, gdzie każdego dnia tworzy się historia tego kraju i narodu.

— Musisz coś zrobić.

— Sam mam złapać mordercę?

— Załadują komisji śledczej — ostrzegł premier. — Szykują coś dużego.

— Wysłałem tam najlepszego kryminalnego w kraju.

— Zrób porządek, masz przecież Goldmanna — premier powiedział, kończąc rozmowę.

W zasnutej smogiem stolicy dziesiątki tysięcy warszawiaków nie miało pojęcia, że za ciężkimi, drewnianymi drzwiami wyłożonych dywanami gabinetów przestępstwo kryminalne zaczyna wpływać na losy narodu i państwa.

Maciej Eliaszewski spojrzął na policjanta za biurkiem. Emil wpatrywał się w kartonik z numerem telefonu oraz imieniem i nazwiskiem redaktora Mordki. Chłopak wszedł i niepewnie zamknął drzwi. Stompor zmrużył oczy, po czym splótł ramiona na piersiach. Tym razem miał do czynienia z kimś innym niż wtedy, kiedy rozmawiali za pierwszym razem. Eliaszewski sprawiał wrażenie zagubionego chłopca.

– Sumienie cię gryzie?

– Przecież pan wie, że to nie ja jej to zrobiłem.

– Nie wiem.

– Mnie pan nie oszuka.

– No dobra — Stompor kiwnął głową. — To nie ty. O co tu chodzi?

– Okłamałem pana. Ich też.

– A wiesz, że składanie fałszywych zeznań jest przestępstwem? Za to osiem lat jest!

– Lepsze to niż trumna.

– Ciekawe rzeczy mówisz, Maciuś — zdziwił się Stompor.

– Alę spotkałem dwa razy przed zaginięciem. Pierwszy raz, w październiku, drugi już w listopadzie.

Jakiś tydzień przed... No, wie pan.

Emil kiwnął głową, patrząc czujnie.

– Za pierwszym razem była w fatalnym stanie. Zaniedbana, wycofana, zupełnie inna niż ta, którą znałem. Nie chciała rozmawiać. Mówiła o poczuciu bezsensu i braku wartości życia. Koncentrowała się na śmierci ojca, straconym roku studiów. Opowiadała, że jest w sytuacji bez wyjścia i się boi. Widziałem w jej twarzy przygnębienie i mrok. Myślę, że była w kryzysie.

– A za drugim razem?

– To była ta sama Ala, w której się zakochałem. Podekscytowana, jakby cieszyła się czymś. Śmiała się, żartowała i widziałem w jej oczach blask. Opowiadała, co się u niej przez ten czas wydarzyło, a prawdę mówiąc, uzbierało się sporo. Normalnie, nie? Wypiliśmy kawę, porozmawialiśmy.

– Nie miałeś żalu do niej?

– O tamto?

– A masz inny powód?

– Minęły lata... Dobrze się stało, że wolała, żebyśmy zostali przyjaciółmi. Dla mnie to się skończyło lepiej. Przynajmniej wiem, kim jestem. Skończyła pracę magisterską. Powiedziała, że znalazła coś, czego od lat szukała.

– Wiesz o co jej chodziło?

– O ojca. Była z nim związana. Ciągle o nim mówiła. Trochę mnie to wkurzało. Rzuciła tę szkołę filmową, bo miał coraz gorsze zdrowie i chciała być blisko. Zawsze była czuła na jego punkcie. Bardzo przeżyła rozwód rodziców. Zerwała z nim kontakt, obwiniając go o rozpad małżeństwa, a potem jako dorosła chciała nadrobić stracone lata. Taka, wie pan, formacja reaktywna. Mechanizm obronny. Zastępujemy w świadomości impuls wzbudzający lęk jego przeciwieństwem.

– Na przykład nienawiść miłością — uciął Stompor.

– Studiował pan psychologię?

– Nie da się nadrobić straconego czasu.

– Nasza podświadomość tego nie wie. Jej ojciec umarł po jakimś wypadku w Tatrach i wyczułem, że odjechała na jego punkcie. Dręczyło ją chyba sumienie. Zaczęła go idealizować. Z poczucia winy drażyła tematy z przeszłości.

– Jakie to tematy?

– Andrzejewski działał w „Solidarności” — Eliaszewski odparł, ścisząc głos. — Był aresztowany przez komunistów i pobity. I dlatego napisała pracę magisterską o zbrodniach komunizmu na terenie Krakowa. Nieźle nad tym się napracowała. Jeździła do Wieliczki, badała akta, wreszcie znalazła coś o ojcu. To był jej sposób na odkupienie win. I spokój po jego śmierci. Wiem, że poznała jakiegoś glinę — szepnął Eliaszewski. — Miał zająć się sprawą.

– Czeka, czeka. Jeździła do Wieliczki?

– Do archiwum IPN.

– Co tam znalazła?

– Nie wiem. — Mężczyzna wzruszył ramionami. — Nie widziałem jej pracy. Powiedziała tylko, że jej ojcu zrobili to ubecy o pseudonimach „Literat” i „Wawer”.

Emila ogarnęło dobrze znane mu uczucie. Dreszcz pojawił się i natychmiast znikł. Na przedramionach wystąpiła gęsia skórka i przypomniał sobie pierwsze spotkanie z Kaffką. Czerwone dinozaury, pomyślał z goryczą.

- Dlaczego nie powiedziałeś o tym za pierwszym razem?
- Nie chcę skończyć jak Przemek.
- Ubecji już nie ma.
- A co się stało z Krajewskim?
- To o nim mówiła? – zapytał Emil.

Chłopak pokiwał smutno głową. Emil wstał, podszedł do okna. Przez długą chwilę przyglądał się zniechęconemu miastu za oknem. A potem pomyślał, że sprawa zaczyna się nieprzyjemnie komplikować. Podrapał się po szorstkiej od zarostu brodzie.

– Ktoś upozorował jej śmierć na bestialski mord?

– To pan jest gliną. Zastanawiałem się, czy panu pomóc. Po rozmowie z panem sporo o tym myślałem – dodał chłopak. – Minęły trzy lata, jej już nie ma i nigdy nie będzie. Życie toczy się dalej. Biłem się z myślami, poszedłem nawet na cmentarz do Ali. Doszedłem do wniosku, że powinien pan o tym wszystkim wiedzieć.

– Mam w to uwierzyć?

– A pan wierzy, że Krajewskiego zamordował „Kuśnierz”? A może on nie istnieje? Może to zostało upozorowane?

- A skóra?
- To pan jest detektywem. Mówię, co myślę i co wiem.
- Niby po co ktoś miałby robić coś takiego?
- A dlaczego prokuratura wszystko tuszowała?

Emil poczuł, że znalazł się właśnie tak blisko mordercy, jak nigdy wcześniej w tej sprawie.

– Poznała kogoś – dodał chłopak.

– Kogo?

– Mężczyznę.

– Nie wiem, co kombinujesz, ale radzę ci mówić tak, żebym zrozumiał.

– Z tego, co mi opowiadała, to ktoś taki jak ja. Poznali się przez internet. Na czacie.

Policjant wiedział, że powinien teraz zadać odpowiednie pytanie, ale w głowie czuł tylko pustkę. Nabrał powietrza, spojrzął na Eliaszewskiego i po prostu pozwolił, by ten mówił.

– Sądzę, że to on jej jakoś zrobił. Może tylko pomógł? Tamta rozmowa. Ala była dziwna. Proszę się nie śmiać, ale kiedy rozmawialiśmy za pierwszym razem, ona sprawiała wrażenie, jakby była zupełnie inną dziewczyną niż miesiąc później. Jakbym miał do czynienia z dwiema kobietami.

– Wcale mnie to nie śmieszy.

– Mnie też. Mam, prawdę mówiąc, żal do siebie – przyznał – Eliaszewski. – Powinienem wyczuć, że coś jest na rzeczy, jestem przecież psychologiem, a Ala poruszała temat śmierci. Drastycznie zmieniła zachowanie, przyzwyczajenia. Była dziwnie ubrana, zachowywała się jak nie ona. Wiedział pan, że zaczęła chodzić do kościoła? A religia jest dla słabych. Silni ludzie nie nabierają się na te haczyki.

– A umierający?

– No właśnie. Umierający są w kryzysie. Ala skarżyła się, że nikt poza tym człowiekiem z sieci jej nie rozumie. Dodała, że życie jest trudne i nawet matka nie chce jej pomóc. Mówię o kryzysie poprzedzającym zamach samobójczy. Jestem pewny, że miała typowe objawy syndromu presuicydalnego. Będę obarczał się winą do końca życia.

– Obaj wiemy, że nie prowadzi się terapii bliskich osób.

– Mogłem jej pomóc inaczej.

– Tego nie wiemy. I się nie dowiemy. Może uda się poznać prawdę. Uważasz, że pragnęła śmierci? Wygodna myśl, jeśli masz coś wspólnego z jej śmiercią – zauważył glina.

– Bo mam. Powinienem dostrzec, co się z nią dzieje. A nie zauważyłem. Przecież straciła ojca, przeżywała długotrwałą depresję. Może miała nawet jakiś samobójczy epizod?

– Chcesz mnie przekonać, że sama się obdarła ze skóry?

– Nie umiała się wyzwolić od dręczących ją spraw z przeszłości – odparł Eliaszewski. – Myślała o samobójstwie. Tacy ludzie są bardziej narażeni na... Nie wiem. Ta religijność, wszystko to dziwne. Może powinien pan sprawdzić, czy ktoś nie nakłaniał jej do samobójstwa, a potem wykorzystał jej ciało?

Emil spojrzął na mężczyznę. Pomyślał o czymś innym. Wcześniej nie wierzył w to, że Eliaszewski ma coś wspólnego ze śmiercią przyjaciółki.

Park Praski wypełniali spacerowicze i zmierzający do wejścia głównego, prowadzącego do zoo. Lipy po obu stronach wyłożonej betonowymi płytami alei dawały obu mężczyznom cień. Siedząc na niewygodnej ławce, mogli rozmawiać bez obaw, że ktoś ich podsłuchuje.

– Od początku mi coś nie pasowało – Emil przyznał, wpatrując się w przechodniów.

– Bo nie chciałeś tam jechać.

– To nie to.

– Przecież wszystko wygląda jak atak seryjnego mordercy.

– Właśnie. A drugie dno?

– Jakie drugie dno?

– Z Andrzejewskiej został kombinezon ze skóry, noga, fragment pośladka, plecak, kasetka i maska. A także praca magisterska – Emil szepnął półgłosem. – Ta ostatnia zniknęła.

– Na jaki temat?

– *Zbrodnie aparatu bezpieczeństwa PRL w latach tysiąc dziewięćset osiemdziesiąt do osiemdziesiąt sześć na terenie byłego województwa krakowskiego.* Zniknęła z magazynu dowodów i ktoś sfałszował podpis pobierającego – Emil powiedział, podsuwając paczkę z wizerunkiem wielbłąda w stronę naczelnika.

Zolner spojrzał na policjanta, potem wyjął camela. Włożył do ust, Emil zrobił to samo. Przez kilkanaście sekund palili w milczeniu, jak dwóch kolegów, którzy omawiają wspólny poważny problem.

– Mówisz o sprawie, w której w niewyjaśnionych okolicznościach znikają dowody?

– Nie wiedziałem, że pan pali – zauważył Emil.

– A wiedziałś, że się robi niefajnie. Nadzór nad skórą przejęła Prokuratura Krajowa. Teraz łapę na wszystkich czterech sprawach trzyma jeden człowiek.

– Wiesław Goldmann?

– Kariera, zero zasad.

– Nic nowego.

– Wolska to jego wnuczka.

– Żartuje pan?

– Nie – odpowiedział Zolner. – Niedawno awansowała z Krakowa do okręgu. Bez konkursu, bez sukcesów. Spójrzmy prawdzie w oczy. Położyła sprawę Andrzejewskiej.

– Położyła albo zatuszowała.

– Działała w Socjalistycznym Związku Studentów Polskich, jej były mąż to zarejestrowany przez bezpiekę TW „Wolfgang”. Z zawodu gliniarz. Ojciec adwokat, wiele lat działał w PZPR. A dziadek teraz to już sam wiesz. Rozwiodła się, dzieci nie mieli, mąż wyjechał do Kanady. Nawet na pogrzeb nie przyjechał. Ojciec nie żyje, umarł na zawał kilka lat temu, ale znał się z twoimi kolegami z Krakowa. I teraz były prokurator z czasów komuny bierze osobisty nadzór nad taką sprawą.

– Dlaczego mi pan o tym mówi?

– Odchodzę. Dosyć mam.

– Likwidują wydział?

– Wcielają do terroru. Czekam do lutego, biorę trzynastkę i odchodzę do cywila.

– Myślałem, że awansują pana do stołecznej?

– Nie mam szans. Teraz rządzi układ sprzed osiemdziesiątego dziewiątego. Synowie, córki, wnukowie i wnuczki. Stare mocno się trzyma. Mówię ci o tym wszystkim, bo mam jakiś sentyment do ciebie. A może wyrzuty sumienia? Lepiej uważaj. Mnie to już nie dotyczy. Nic mi nie zostało. Kotka zdechła, żona zostawiła mnie dwadzieścia lat temu. Dzieci nie mam. Zaczynam nowe życie. Pojadę do Norwegii łapać łososie i dorsze. Byle dalek od tego burdelu. Tobie współczuję. Nie ma co, masz, kurwa, jakieś pieprzone szczęście.

– Co pan wie o Grzybku?

– Byłem z nim na oficerce. Nawet gdybym coś więcej wiedział, to i tak ci nie powiem. Jesteś nieprzewidywalny. Jak wściekły pies, co się zerwie z łańcucha.

– Ojciec Wolskiej znał się z Grzybkiem?

– Daj sobie z tym spokój.

– Chyba pana nie posłucham.

– Znał się z Szepelą. I z Kaffką.

– Co oni robili za brązowych butów?

– Opuść. To dobry moment. Jeszcze nie jest za późno.

– To ubecy?

— Dla twojego dobra — warknął Zolner. — Odpierdol się od nich. Daj sobie z tym tematem spokój. Nie powinieneś grzebać w ich przeszłości. Skup się na sprawie „Kuśnierza”. Najlepiej się nie wychylaj. I mówię ci to jak glina glinie. Rozgrzebieś przeszłość i narobisz syfu. Nic nie wskórasz.

— Może się czegoś dowiem?

— Powinieneś być bardziej ostrożny. Prawda o tamtych czasach jest niewygodna. Bywa niebezpieczna. Czerwoni, którzy mieli wtedy dwadzieścia, trzydzieści lat, wciąż żyją. Pracują i wiele mogą. Nie znam policjanta, który by z nimi wygrał — odpowiedział naczelnik. — Znam tych, którzy próbowali. Zapamiętaj. Nikt nie lubi, jak się grzebie w starych teczkach. Idealnie, kiedy się kurzu nie ściera.

— A może kurz ma tu większe znaczenie?

— Nie zaczynaj z nimi — odpowiedział Zolner. — Nie znasz ich, nie wiesz, do czego są zdolni. Zatruli mi i wielu porządnym gliniarzom życie przez lata. Myślisz, że za komuny lubiliśmy tych politycznych skurwysynów z bezpieki?

— Nie byłem w milicji.

— Mieli stopnie, dodatki, talony, przydziały na mieszkania, samochody. Wszystko. A my zapierdalałiśmy za damski chuj. Goniliśmy bandytów, a czerwoni chlali, wozili się najlepszymi furami i balowali z dziewczynkami. A nam ludzie pluli w twarz, bo gliniarz to gliniarz. Lepiej nie kombinuj. Skup się na „Kuśnierzu”. Złapiesz go i możesz iść do Opoli. Myślałem o tym, co mi powiedziałaś i tak naprawdę masz rację, gnojku. Już mi wystarczy. Mam pięćdziesiąt lat, jak zdrowie pozwoli, może jeszcze trochę pociągnę. Mam dość naszej fabryki marzeń.

— To ja chciałem iść na emeryturę — zauważył Stompor.

— Ty nigdy nie pójdziesz. Przestań się oszukiwać! Dla ciebie ta robota to najważniejsza rzecz na tym pieprzonym świecie. Jesteś chory na policję. Nienawidzisz w niej tego, z czym ona sobie nie radzi. Poświęcasz każdego dnia życie po to, by bandzior miał świadomość, że nie wszystko może robić bezkarnie. I wciąż wierzysz, że jest w tym sens.

— Nawet jeśli prawdziwej sprawiedliwości nigdy nie było i nie będzie, to pewnego dnia ktoś o szóstej rano zapuka do drzwi takiego skurwysyna. I tym kimś będzie...

— Wielki Pies?

— Po prostu policjant, prawdziwy pies.

— Nie ma takiej rasy. Wydaje ci się, że masz rację, jesteś szlachetny i romantyczny. Chcesz być w porządku, ale jesteś głupi.

— Bo robię to, co do mnie należy?

— Cały ty. Prawy, sprawiedliwy, uczciwy, a przy tym wierny. Pytanie tylko: komu?

— Może sobie?

— Wierny zasadom. Nikogo nie obchodzisz! Nawet mnie. Wszyscy mają cię w dupie. Obaj to wiemy. Krótko i na temat.

— W naszym świecie nic nie jest proste, kapitanie.

— Kiedyś też byłem młody, prawy, sprawiedliwy, uczciwy, a przy tym wierny. Część z tego zachowałem, ale wiem jedno. W tej cholerniej firmie nie można płynąć pod prąd. To męczy. Jesteś twardy. Znasz się na robocie. Nieraz pokazałeś, że nie odpuszczasz. Kochasz robić porządek, ale tym razem odpuść. I właśnie dlatego rozmawiamy.

— Mam pozwolić, żeby ten zwyroł dalej mordował?

— Nie — odpowiedział Zolner. — Złap albo zabij skurwysyna. Zrób, co do ciebie należy. Tylko tyle i aż tyle. Nie rób nic więcej. Nie szukaj prawdy, nie drąż. Załatw temat i układaj sobie życie. Nie naprawisz świata, nie zreformujesz naszej fabryki, bo na to potrzeba dekad. Wyznacz granicę. Wiesz, gdzie ona przebiega?

— To trudne pytanie.

— Tym bardziej powinieneś być na nie przygotowany — zauważył naczelnik. — Ponieważ pewnego dnia postawi ci je sędzia, prokurator albo żona czy córka. I co powiesz?

Emil przygryzł dolną wargę.

— Jest tak rozmyta, że aby wyznaczyć jej przebieg, musiałbym przy wszystkim, co w życiu jest ważne, postawić jeden albo zero.

— Najważniejsza jest rodzina. Wracaj do żony i córki.

— Mówi pan to dlatego, że się rozwiódł?

— Ta praca niszczy porządnym ludzi, pozwala istnieć i błyszczeć kanaliom. — Teraz postawiłbym cyfrę jeden przy żonie, ale jej już nie mam. I mogę tylko żałować. Ty się oszukujesz. Znajdź tę jebaną granicę, bo jeśli tego nie zrobisz, targniesz się na swoje życie. Zabijesz się, i to nawet nie za pomocą służbowej broni, bo ci ją odbiorą. Pewnego dnia nie będziesz już policjantem — szepnął Zolner. — Nie będziesz już prawdziwym psem, wielkim psem.

— Prawdziwym, nieprawdziwym, wielkim czy małym. Jeden chuj.

— Nie warto, Emil, naprawdę nie warto. Nie wygrasz. Nikt nie jest w stanie wygrać. To wojna z układem. Jej nie można wygrać. Życie to nie film Pasikowskiego.

— O czym pan mówi?

— O skorumpowanych przez polityków glinach, o politykach skorumpowanych przez bandytów, o bandytach współpracujących ze służbami, które działają na rzecz najbogatszych. Mówię o układzie polityki z Kościołem, który w zamian za coraz więcej dogaduje się z kolejnymi politykami łasymi na agitację przed wyborami.

— Pan mówi o Polsce.

— Nie zadzieraj z nimi. Wiesz, ilu byłych esbeków pracuje w stołecznej?

— Esbek w ogóle nie powinien być policjantem.

— Stu ośmiu — odparł Zolner. — W głównej stu siedemdziesięciu. A w całej, pieprzonej polskiej policji ponad trzy tysiące. Trzy tysiące byłych funkcjonariuszy Służby Bezpieczeństwa! Co drugi oficer ma przeszłość esbecką. Wychowali już synów i córki. Niektórzy są nawet dziadkami. I są bardziej niebezpieczni niż chłopcy z miasta w skórzanych kurtkach, drogich samochodach, z telefonami i pistoletami za paskiem.

— To brzmi jak intryga z niezłego kryminału.

— To nie żarty.

— Mówi pan o mafii?

— Wysokie stanowiska, pieniądze, kontakty. To układ, z którym nie można wygrać. Jeśli wpadniesz w ich tryby, zgniotą cię w kółeczkach powiązań jak orzeszka. Nie zadzieraj z nimi. Świat byłych esbeków jest bardziej niebezpieczny niż zorganizowane grupy prawdziwych gangusów. Nie są tak prymitywni jak mafia. Znają profesjonalne sposoby krzywdzenia. Mają do dyspozycji dawnych kolegów wyspecjalizowanych w podkładaniu ognia, strzelaniu z odległości, podawaniu trucizny czy oczernianiu w mediach. Gangsterzy nie potrafią zatrzeć śladów zbrodni, ludzie służb są w tym mistrzami.

Świetlicę, wyłożoną boazerią, która pamiętała PRL, wypełniał zaduch, mimo że ledwie minęła ósma. Emil zerknął na godło nad zieloną tablicą. Potem jego spojrzenie zatrzymało się na dwóch jasnych kreskach, które na niebie za oknem rysował jakiś pasażerski samolot.

– I to rozrosło mi się za płotem – Kaffka powiedział do Szepeli demonstracyjnie, ignorując Emila. – Amerykańska czeremcha, kurwa. Wyobrażasz sobie? Całe życie zapierdalałem na ten dom, a teraz jakieś krzaki mi powietrze zaczęły zatruwać.

– Dlaczego jej nie wyniesiesz?

– Wyciąłem. Na wiosnę, ale teraz...

Dochodzeniowiec urwał, patrząc na drzwi. Grzybek wszedł zdecydowanym krokiem. Sala zamilkła, nim naczelnik usiadł. Officer położył notes na stole. Powiedział uważnym wzrokiem po zgromadzonych. Stompor pomyślał, że brakuje tu tylko papierosowego dymu.

– Od piątku się nam nieźle porobiło. Zaczniemy od komisarza Stompora – Grzybek zawiesił wzrok na Emilu. – Jest pan z nami już trzeci tydzień.

– Jedenasty dzień.

– Bez drobiazgowości.

– To tylko precyzja – odparł Emil.

– Precyzyjnie to sprawdzamy wszystkich militarystów, survivalowców, zapalonych turystów, harcerzy, wędkarzy, myśliwych i zbieraczy grzybów w mieście. I nic jak dotąd.

– Nie dziwię się – odpowiedział policjant z Warszawy.

– Przydzielono cię tu nie po to, żebyś się dziwił, ale żebyś nam pomógł – natarł Szepela. – Masz profil „Kuśnierza”?

Emil spojrzał na Szepelę, potem na naczelnika. W oczach Grzybka nie dostrzegł nic poza zainteresowaniem. Jarecki kończył przeżuwać kanapkę. Kaffka patrzył gdzieś nad ramieniem Emila. Szepela wbił wzrok w Stompora, skubiąc nerwowo mikroskopijne skórki na wewnętrznej stronie lewej ręki.

– I tak nie będziecie mnie słuchać – Stompor odparł ze smutnym uśmiechem. Wstał i powiódł wzrokiem po zebranych. – Nie powiem, że mam to gdzieś, bo tak nie jest. Chciałbym, abyśmy dorwali tego skurwiela, ale to wasze śledztwo.

– Również i pana – zauważył Grzybek.

– Jestem tu tylko gościem. Niechcianym. Nie będę się skarżył. W gorszych sytuacjach się odnajdywałem – Emil dodał, ruszając na spacer za plecami siedzących przy stole. – Myślałem, że się coś w naszej fabryce zmieniło, ale... No nic.

– Do rzeczy – mruknął Kaffka. – Mamy cztery ofiary, jedną w szpitalu.

– Będzie ich więcej.

– Uważasz, że „Kuśnierz” wkrótce uderzy po raz piąty?

– Raczej czwarty – odpowiedział Emil.

Na twarzy Kaffki pojawił się grymas, ale niezbyt przypominał uśmiech. Jarecki przestał żuć. Modry wolno unosił brodę i jakby zbłądł. Szepela wbił wzrok w swoje dłonie, chrząknął i rzucił szybkie spojrzenie na Grzybka. Ten patrzył uważnie, czekając na rozwój wypadków. Emil ruszył w stronę wiszącej na ścianie tablicy.

– Krajewskiego nie zamordował ten, kogo szukamy.

– Co? – Szepela aż podskoczył na krześle.

– Spokojnie, Klimek – Grzybek unosił dłoń. – Panie Emilu, może pan jaśniej?

– Z każdego elementu zabójstwa możemy coś uzyskać. Wyciągać wnioski. Analiza informacji o ofiarach wskazuje na interakcję pomiędzy sprawcą a ofiarami. Możemy na tej podstawie wysnuć wnioski na temat wyrobienia przestępczego sprawcy, umiejętności zachowania samokontroli i tak dalej.

– Co wiadomo na pewno?

Stompor uśmiechnął się smutno, patrząc na naczelnika.

– Tych ludzi nie zaatakował ten sam człowiek.

– Twierdzi pan, że te zabójstwa się nie łączą?

– Przeciwnie – odparł Emil. – Łączą się, ale nie osobą sprawcy. Proszę zauważyć, że tu nic nie pasuje. W dwóch z tych trzech zabójstw sprawca działał z dużą przewagą. Była broń palna, było prawdopodobnie zaskoczenie. Przy Wolskiej mieliśmy krępowanie. Jak było z Andrzejewską, nie wiadomo. Jeśli przyjmiemy, że Żurawska jest również ofiarą, to trzy z czterech ofiar mają tę samą płęć. A seryjni mordercy rzadko atakują i kobiety, i mężczyzn. To uprawdopodobnia hipotezę, że mamy do czynienia z dwoma sprawcami.

– Bzdety – fuknął Szepela.

– Nie wierzę – dodał Kaffka. – I chyba nikt w tej sali, poza tobą, Stompor.

- Za każdym razem miejsce ujawnienia szczątków jest zupełnie inne.
- No i co z tego?
- Seryjny morderca działa powtarzalnie, nieznacznie modyfikując *modus operandi*.
- Nie wiemy, gdzie zamordował Andrzejewską — zauważył Jarecki.
- Nie mówię o miejscu zabójstwa, ale ujawnienia szczątków.
- O ile Andrzejewska została w ogóle zamordowana — wtrącił Kaffka.
- Gustaw ma rację — Grzybek wskazał dochodzeniowca długopisem. — Nie wiemy, czy hipoteza Wolskiej kiedyś się nie potwierdzi. Andrzejewska faktycznie mogła być samobójczynią. A jej sprawa to makabryczny przypadek bezczeszczenia zwłok.
- Mogła być też ofiarą wypadku — zauważył Szepela.
- Jakkolwiek było — Emil odparł bez zastanowienia, zatrzymując się przy Jareckim — ktoś jej ciało bezczeszczył. Krajewskiemu ktoś obciął głowę. Wolska została spalona, a Żurawska była z pewnością bestialsko torturowana. To nam daje do myślenia. W sposobie działania sprawcy z jednej strony zupełnie nie ma emocji, a z drugiej to, co ten człowiek wyczynia z ciałami ofiar, tej tezie przeczy. Tej bestii to coś daje.
- W sposobie jego działania nie ma emocji?
- Mówię o zabójstwie Krajewskiego, naczelniku. Tam sprawca panował nad emocjami. Był spokojny, kalkulował. W pozostałych przypadkach tracił hamulce. Na razie mogę powiedzieć, że on realizuje jakiś plan, misję. Stara się coś osiągnąć. Jest inteligentny. Otrzymał co najmniej średnie bądź wyższe wykształcenie. Bardzo dobrze zna język angielski, na pewno interesuje się filmem, może literaturą. Jego zachowanie nie jest spójne. Jakbyśmy mieli połączone ze sobą dwie różne sprawy.
- To jasne, połączone osobą sprawcy — odparł Szepela.
- Raczej ofiarami. Wszystkich łączy pierwsza zbrodnia. To od niej się zaczyna. Najpierw Andrzejewska. Potem Krajewski i Wolska, którzy prowadzili sprawę Andrzejewskiej. Teraz redaktor Żurawska. Pisała o tym.
- Czyli też brała w tym udział — szepnęła Grzybek.
- I co? Teraz uderzy w kogoś z nas? — zadrwił Szepela.
- Nie wiem, w kogo uderzy, ale gość jest cholernie niebezpieczny. Ma doświadczenie z bronią. Potrafi posługiwać się ostrymi narzędziami. Umie szyć. Jest kimś, kto rozpaczliwie pragnie uwagi. Chce być zauważony, doceniony i podziwiany, a to swoje pragnienie mylnie określa jako ego. Cierpi na narcyzm patologiczny. Nie akceptuje tego, kim jest.
- Transseksualista?
- To pasowałyby do *Milczenia owiec* — Emil odpowiedział, patrząc na naczelnika — ale sądzę, że więcej w tym dziennikarskiej sensacji niż faktycznej inspiracji. Z pewnością to człowiek zaburzony, ale nie wariat. Wszystkie zabójstwa, poza przypadkiem Krajewskiego, popełniono na tle seksualnym.
- Seksualnym? Przecież żadnej nie zgwałcił!
- Jemu nie chodzi o stosunek. To morderca ekwiwalentny.
- Co to za psychologiczny bełkot? — wtrącił Kaffka.
- Znajduje spełnienie w zadawaniu cierpienia. Dopuszczając się zabójstwa, tortur, a potem bezczeszczenia zwłok, zastępuje stosunek seksualny. To „Kuśnierzowi” daje satysfakcję podobną do tej, jaką my odczuwamy po stosunku. To krańcowa postać sadyzmu. On zabija, aby zaspokoić narcyzm. Pragnie sławy. Przez zabójstwa staje się sławny. Media wprawdzie nie znają jego zdjęć, tożsamości, ale mówią o nim. Oskórował Andrzejewską, aby stać się nią. Ona pozwoliła przekształcić się sprawcy w rolę ofiary. Jest nieakceptującym się homoseksualistą.
- No a co z kanibalizmem?
- Nie mamy dowodów — odpowiedział Emil. — Nekrofagia wśród ludzi zdarza się, ale zwykle ma podłoże religijne albo rytualne. Ono do naszych zabójstw nie pasuje. Zakładając, że zrobił coś takiego z Andrzejewską, powraca pytanie, dlaczego nie zrobił tego z Krajewskim?
- Przecież obciął jego głowę — zauważył Szepela.
- Zastanawiałeś się, dlaczego?
- Skąd mogę wiedzieć?
- Też tego nie wiem — Emil odparł. — Udało mi się ustalić, że Andrzejewska tydzień przed śmiercią ubierała się w pewną bluzę wojskową. Otóż bluza ta była identycznego wzoru jak u mężczyzny zarejestrowanego na kamerach monitoringu stacji paliw na Pradze, typowanego na sprawcę śmierci Wolskiej. Sprawca mógł ją mieć na sobie przy zabójstwie Andrzejewskiej. To bluza z polskiego munduru wojskowego, wzór osiemdziesiąt dziewięć, w kamuflażu „puma”. Morderca założył ubranie ofiary, potem jej skórę.
- Tego nie wiemy.
- Być może, bo po co szyłby z niej ubranie?
- Nawet jeśli, to co? — uciął Grzybek.
- Ma jakieś pragnienie. Może to robić w zemście albo by przeistoczyć się w ofiarę.

– Przeistoczyć się jak Buffalo Bill?
– Symbolicznie.
– Kurwa! – naczelnik uderzył dłońmi w stół. – Przecież to naprawdę przypomina Hollywood!
– Uszył kombinezon ze skóry Andrzejewskiej. Możliwe, że nosił jej ubranie. Umie szyć, ma doświadczenie w posługiwaniu się nożem i brzytwą. Prawdopodobnie normalnie funkcjonuje społecznie. Praca, dom, możliwe nawet, że hobby. To mężczyzna w wieku od trzydziestu do pięćdziesięciu lat. Porusza się samochodem. Możliwe, że dostawczym. Wolską musiał przewieźć do tej fabryki, gdzie ją zabił. Ustaliłem to na stacji paliw w Warszawie – wyjaśnił Emil.
– Numery?
– Już by siedział, gdybym je znał.
– Coś jeszcze?
– Wzrost około metra osiemdziesięciu, szczupły lub dobrze zbudowany, przystojny. Sądzę, że jest samotny, ma dom albo dysponuje jakimś lokalem.
– Na jakiej podstawie ten wniosek?
– Gdzieś przetrzymywał Wolską. Gdzieś zadawał rany Żurawskiej.
– Racja – przyznał Grzybek. – Coś jeszcze?
– Ma źródło utrzymania, może dysponować sporymi sumami. Czuje się niespełniony albo niedoceniony.
– Jako kochanek?
– To dotyczy innej sfery życia. Możliwe, że zawodowej, może uczuć albo płci. Powinniśmy przy typowaniu zwrócić uwagę na jego związek z drzewem limba, jego drewnem albo żywicą – Emil odparł, przykładając papierosa do górnej wargi. – A, właśnie. Moim zdaniem jest niepalący.
– A skąd pan to wie?
– Nie wiem, przypuszczam.
– Ale na jakiej podstawie?
– Kupił składniki do mieszaniny palnej i zapalniczkę. Jest niepalący albo tuż przed zabójstwem Wolskiej właśnie skończyły się mu zapałki lub gaz w zapalniczce.
– Powiedział pan, że wkrótce znowu uderzy – wtrącił Grzybek.
– Tak sądzę.
– Kiedy?
– Niebawem.
– Mówimy o miesiącach?
– Ataki morderców rozdzielają okresy wyciszenia. Charakterystyczne, że one się skracają z każdym kolejnym zabójstwem. On rozsmakował się w tym, co robi – odparł Emil. – Polubił to. Myślę, że uderzy za kilka dni. A potem, jeśli wciąż będzie wolny, zrobi to znowu.
Żaden z piętnastu policjantów, którzy zebrali się w ten parny, poniedziałkowy poranek nie mógł wiedzieć, jak bardzo Emil miał rację. Gliniarz z Warszawy jednak wciąż myślał o tym, co na polecenie dociekliwej prokurator Kuleszy znaleźli na miejscu zabójstwa Krajewskiego policjanci z Sandomierza. Nieoczekiwanie jedno i drugie zaczęło nieprzyjemnie pasować.

Droga doprowadziła policjanta do portierni ze szlabanem i podjazdu z ogromną wyspą w środku. Samodzielny Publiczny Zakład Opieki Zdrowotnej w Krakowie wyglądał na pałac, a nie placówkę zdrowia. Budynek był niewysoki, o fantazyjnie ukształtowanym dachu. Pałacyk, pomyślał Jarecki. Nagle detektyw poczuł, jak telefon komórkowy wibruje mu w kieszeni.

- Gdzie jesteś? – zapytał Szepela.
- U Babińskiego.
- Gdzie?
- W szpitalu dla czubków. Klinice Babińskiego.
- Na Kobierzynie?

Jarecki przytaknął, a potem wyjaśnił ściszym głosem, w jakim celu tutaj przyjechał. Przyznał, że coś znalazł, przeglądając rejestry karne.

– Przez ostatnie czterdzieści lat w okolicach Krakowa było dwadzieścia zabójstw połączonych z rozczłonkowaniem zwłok. Dwa razy morderca zdjął fragmenty skóry – powiedział do telefonu.

- Kiedy?
- Pierwszy raz w stanie wojennym.
- A dokładnie? – dopytał Szepela.
- W listopadzie osiemdziesiątego trzeciego.
- Stan wojenny był już wtedy zniesiony. No dobra, mów konkretnie. Złote pytania kryminalistyki: co, kto, kiedy, gdzie i w jaki sposób?

– Facet zabił żonę i syna. Najpierw udusił chłopca, potem odrąbał siekierą jego obie nogi i ręce przy ramionach. Ciało podzielili na dziewięć części, a z głowy żony zdjął skórę.

- A drugi?
- Student medycyny z Brzeczyny, niedaleko Skawiny.
- Gmina Mogilany?
- Słyszał szef o tym?
- Maksim Emelyanov. Emigrant z Kazachstanu – Szepela odparł bez przekonania.
- Raczej repatriant z Kazachstanu czy Kaukazu, czy jakoś tak. Przyjechał w dziewięćdziesiątym czwartym, potem sprowadził tu ojca i dziadka. Kupili dom na wsi.

– Braliśmy pod uwagę ten temat.

– I co? – zapytał Jarecki. – Szef uważa, że to nie on?

– A czego się dowiedziałeś?

– W aktach jest notatka z rozpytania sąsiadów. Uważali, że był dziwny. Nie mówił dzień dobry, ludzi mijął ze spuszczoną głową. Nikt nigdy nie widział go z dziewczyną. W Krakowie mieszkał w akademiku. Jesienią dziewięćdziesiątego dziewiątego wyleciał z niego za burdy po alkoholu, wrócił na wieś i zabił ojca, uderzając prętem w potylicę. Potem odciął jego głowę, zdjął z niej skórę z włosami. I najciekawsze: Emelyanov posolił twarz ojca, spał w niej, jadł. Przez dobę chodził w niej po podwórku i w domu. Wyobraża szef to sobie? Facet paradował w skórze ojca na twarzy i słomianym kapeluszu na głowie!

- Masz coś jeszcze?
- Przy zatrzymaniu powiedział: „No, wreszcie mnie znaleźliście”.
- To nie on.
- Andrzejewska studiowała na tej samej uczelni!
- Tak, wiem. Krajewski na niego też trafił. Po liście studentów. Emelyanova deportowano do Rosji. Mów co z tym drugim.

– Ernest Mikaszewski. Po tym, jak zabił żonę i dzieciaka, biegli orzekli, że jest niepoczytalny. Dwadzieścia lat siedzi na oddziale zamkniętym.

- Skoro siedzi, to chyba nie może mieć lepszego alibi?
- Owszem, ale Mikaszewski od trzech lat ma prawo do przepustek.

W słuchawce zapadła cisza. Policjant z wytatuowanym pajakiem na szyi przez chwilę pomyślał, że telefon stracił zasięg. Tak jednak nie było. Szepela pochwalił Jareckiego, a potem młody oficer spotkał się z panią dyrektorką kliniki i w piętnastominutowej rozmowie ustalili, że Ernest Mikaszewski to schizofrenik paranoidalny.

- Przyjmuje leki, stosujemy terapię, nie jest agresywny. Jego stan się poprawia.
- Jest niebezpieczny?
- Nie jest – zaprzeczyła dyrektorka.
- Z tego, co pani powiedziała, wynika, że Alicja Andrzejewska zniknęła trzy dni po tym, jak pani pacjent wyszedł na pierwszą przepustkę. A oboje wiemy, za co tutaj trafił.

— Ręczę za tego człowieka — odpowiedziała dyrektorka. — Przyjmuje bardzo silne leki. Od lat opiekuje się naszym parkiem, przycina krzewy, zajmuje się pielęgnacją kwiatów oraz utrzymaniem trawników. Terapia w jego przypadku przynosi zadowalające efekty. To inteligentny człowiek, tyle że dotknięty straszłą chorobą.

— Zabił żonę i syna.

— Może gdyby wtedy przyjmował lekarstwa, do tej tragedii by nie doszło?

— Może gdyby nie został znów wypuszczony, Andrzejewska nadal by żyła?

— Nie mamy o czym rozmawiać — odparła zdenerwowana kobieta. — Powtarzam, że ten człowiek nie mógłby tego zrobić. Nawiasem mówiąc, przepustki są ważne kilkanaście godzin. I zawsze z nich wracał przed czasem.

— Do zabicia człowieka wystarczy sekunda.

— Ale nie do odarcia kogoś ze skóry i jej spreparowania.

Jarecki kiwnął głową, a potem poprosił o spotkanie z Mikaszewskim. To jednak okazało się niemożliwe, bo pacjent pojechał do Krakowa. Policjant oświadczył, że poczeka na ławce przed budynkiem dyrekcji na rejestr przepustek. Kilka minut później oderwał wzrok od książki wyjść i powrotów pacjentów, zagryzł usta i wyjął telefon. Następnie oświadczył, że daty śmierci pasują. Z wyjątkiem ataku na Żurawską.

Po rozmowie spojrzął na klomb, kwiaty i drzewa przed sobą. Mimo pozornego spokoju i ciszy zabytkowy park tętnił życiem. Nad kwiatami uniosły się tysiące pszczoł i motyli. Policjant przymknął powieki, wsłuchując się w śpiew ptaków. Nie znał się na drzewach. Nie mógł wiedzieć, że czeka na próżno, bo tym razem Mikaszewski z przepustki nie wróci. Nie rozumiał też, że niezgodność przepustek ze śmiercią Żurawskiej dla Emila oznacza kłopoty. A także nie miał pojęcia, że wokół niego rośnie kilka starych limb.

Słońce chowało się za horyzontem, kiedy zaczęli. Nad Krakowem rozpoczął się wyjątkowy spektakl. Zachodzące słońce przybrało krwiste barwy. Horyzont wybuchł czerwonym kolorem we wszystkich odcieniach. W willi Gustawa Kaffki grał cichy, przytłumiony blues. Szepela schował pliczek żółto-oliwkowych banknotów z wizerunkiem Zygmunta I Starego do kieszeni i napełnił kieliszki.

– Wtedy robiliśmy blokady – mruknął Kaffka. – Pamiętam, że się o nim mówiło.

Wypili. Kaffka przyłożył kromkę chleba do nosa. Dawno temu nauczył się tego sposobu picia od Rosjan na specjalnym kursie dla milicjantów realizujących zadania związane z przesłuchiwaniami więźniów niebezpiecznych dla socjalistycznych struktur państwa.

– Gutek, byku! – uniósł się Szepela. – Czyżbyś i ty się martwił?

– Nie jestem już tym samym młodzieńcem z siłą niedźwiedzia i głową jak stal.

– Jak się chce psu przyzypierdolić, wystarczy dobry patyk.

– Rozwiązania siłowe to teraz zły pomysł.

– Mam lepszy – Szepela mruknął podпиты. – Zrobimy to jak za starych czasów.

– Za dużo szumu się wokół tej choleralnej sprawy narobiło.

– Dlatego będziemy w białych rękawiczkach.

– To ty tak robiłeś, Klimek – Kaffka zauważył ponuro. – Syf mnie zostawiliście.

– Bo byłeś najlepszy.

– Wykonywałem rozkazy.

– Wszyscy je wykonujemy. A jaki koń był, każdy widział. Przecież to nie ja boksowałem w Wiśle Kraków, zanim trafiłem do milicji. Tak się złożyło i już. Nie możesz mieć o to pretensji.

– Jaki masz plan?

– Gówna nie wypłynęło, a nasz młody sprawił się koncertowo. Mieliśmy szczęście. Zrobi się tak, że „Kuśnierz” to Mikaszewski. Pierdolnął na przepustce z domu wariantów tamtą trójkę, ale nie dziennikarkę, rozumiesz?

– Chcesz w to zrobić Stompora?

– Chcę się go pozbyć – Szepela odparł, nalewając wódki.

– No, ale kto uwierzy w to, że zrobił to glina?

– Ludzie.

– Naprawdę myślisz, że to przejdzie?

– Zrobimy to czysto i legalnie.

– Będzie się bronił! To przecież nie jest jakiś zwykły sierżant z drogówki.

– Ludzie są baranami. Dawali wiarę większym bzdurom. W to, że wielki glina, gwiazdor po przejściach, ale z problemami wypalił się i coś diamencikowi się odkleiło, też uwierzą.

– Kłamstwo powtórzone tysiąc razy staje się prawdą.

– My robiliśmy porządek, a prokurator stawiał zarzuty frajerom.

– Mieliśmy inne czasy – westchnął Kaffka.

– Czasy zawsze są inne.

– Innych mamy sędziów, prokuratorów i władze.

– A Goldmann?

– Za mało.

– Wystarczy. Ma kolegów. Zresztą – Szepela uniósł kieliszek – dobrze powiedziałaś. To my mamy sędziów, prokuratorów i władze. Napijmy się za to.

Wódka przypominała im tamte czasy. Trwała komuna, mieli po dwadzieścia kilka lat, dostawali nagrody, awanse, talony na zakupy i wszystko, czego potrzebowali.

– Władza nam sprzyja – Szepela dodał, popijając wódkę – ale lepiej byłoby znaleźć ten film.

– Może Krajewski zabrał choleralne nagranie do grobu?

– Oby.

– Tak, ale to ryzykowne założenie.

– I dlatego Wielki Pies dostanie po grzbiecie.

– Jak?

– Już ma problemy.

– Mówisz o sprawie z kurwą?

– Mówię o groźbach wobec Żurawskiej – westchnął Szepela. – I gwałcie na kurwie. Twoja bajka z telefonem nie przeszła, ale teraz załatwimy gnojka na dobre.

– Skąd mogłem wiedzieć, że nic chujowi nie zrobią i jest zaszyty! Wszyscy, kurwa, piją! Cała Polska chleje, a Stompor jest abstynentem! Pierdolony Wielki Pies. Niepijący alkoholik, kurwa – westchnął

Kaffka. — Wszystko się zaczyna pierdolić. Do tego jeszcze mi wnuczek choruje. Nieustające pasmo sukcesów, kurwa. A co, jeśli się nie uda? To nie jest zwykły glina. Trzeba uważać.

— Radziliśmy sobie z lepszymi.

— Nie masz racji — Kaffka pokręcił głową. — Nigdy nie trafiliśmy na kogoś takiego.

— Nie poznaję cię. Boisz się go?

— Wydawał mi się śmieszny. Ot, waśniak z Warszawki, ale obserwuję faceta, śledzę.

— I co? — zabuczał Szepela.

— To geniusz.

— Geniusz to błąd genetyczny, prawdziwy bardzo rzadko się trafia.

— Ten jest prawdziwy.

— Poradzimy sobie. Nie mamy wyjścia. To my teraz siedzimy, pijemy wódkę, a nie oni. No, co ten twój wybitny, rzekomy geniusz potrafi? — zadrwił Szepela. — Jeden zapchlony porucznik, pożał się Boże, w pojedynkę miałby wygrać z nami? Z całą starą gwardią?

— Nie ma już starej gwardii. Tamte czasy odeszły.

— Ale my wciąż jesteśmy.

— Prawie już nikt nie został — odparł Kaffka. — A jeśli nawet, to siedzą cichutko, żeby nikt sobie nie przypomniał o socjalistycznej przeszłości z czasów mlekiem i miodem płynącej Polski Ludowej. Siedzą przeważnie wysoko, wysoko. Tak, by nikt nawet nie pomyślał, że można ich strącić.

— Damy radę.

— A jak nie? To mnie łeb zetną — Kaffka rzekł i dodał z żalem: — Tylko ja jestem nikim. Nawet nie zostałem oficerem.

Szepela spojrział na Kaffkę. Tak, nigdy nie został oficerem, bo jego zadanie było inne. Teraz, kiedy czasy się zmieniły, mógłby, ale nie było nikogo, kto nie obawiałby się zwrócenia na siebie uwagi sprawą specjalisty od ostatniego przesłuchania, bo tak lata temu, półgębkiem mówiło się o tym wielkim, łysym glinie z szeroko rozstawionymi oczyma i brodą jak u wikinga.

— Glinę wystarczy oskarżyć i pyk — Szepela strzelił palcami — już po problemie.

— Modry zaczyna grzebać w komputerach. Sprawdzają też listy studentów. Zauważyli, że brakuje pracy magisterskiej.

— A Wieliczka?

— Do niczego nie dotarli.

— I nie dotrą — zabełkotał Szepela. — Niedługo zrobi się taki smród, że mądrala będzie się modlił, żeby nie wylądować na dołku. Napijmy się za to, Gutek. Na pohybel Wielkiemu Psu.

Gustaw spojrział mętym od alkoholu wzrokiem. Uśmiechnął się, uniósł kieliszek i kromkę suchego chleba. Wyborowa zaczynała świecić pustkami. Druga stała się już historią. W głowach obu szumiała wódka. Krew na niebie z każdą sekundą ciemniała, zamieniając się w granat, a potem czerń. Blues pasował do tej ponurej, lipcowej nocy.

Znalazł kartotekę. W rejestrze karnym było zdjęcie sygnalicyzyczne. Wieczorem wsiadł do samochodu. Zaparkował w okolicy dworca Kraków Główny. Wysiadł, wyjął camela z paczki i ruszył w noc. Przeszedł antresolę. W przejściu podziemnym pod torami kręciło się wciąż sporo ludzi. Emil rozejrzał się i ruszył dalej. Przeszedł Worcella, zauważył kilku przy placu Matejki. Wreszcie wybrał odpowiedniego. Stał niedaleko Barbakanu, gdzie pod kasztanowcem było ciemniej.

— Która godzina? — zagał.

— Zbliża się północ.

— A ma pan ognia? — uniósł niezapalonego papierosa. — Zostawiłem zapalniczkę w aucie. Nie chce mi się wracać.

— Jakim samochodem pan jeździ?

— Fordem — odparł glina. — Fordem escortem.

Chłopak uśmiechnął się zachęcająco. Emil odwzajemnił uśmiech. Na pierwszy rzut oka młody mężczyzna wyglądał zupełnie normalnie: jasne dżinsy, krótka kurtka z brązowej skóry, sportowe buty. Emil wsadził papierosa do ust, chłopak także. Płomień oświetlił ich twarze.

— Ile masz lat?

— Osiemnaście.

— A ja tak naprawdę nie mam forda — mruknął glina.

— A co masz?

— Poloneza.

— A ja osiemnastkę będę miał w przyszłym roku.

Chłopak się jeszcze nawet nie goli, pomyślał glina. Był jednak wyrośnięty, silnie zbudowany i przystojny. I dobrze ubrany. W każdym razie odpowiednio.

— Uczysz się, pracujesz? Czym się zajmujesz?

— To zależy. — chłopak odparł wymijająco. — Nigdy cię tu nie widziałem.

— Ludzie mnie nie zapamiętują.

— Czego szukasz?

— Wszystkiego.

— To dobrze się składa — chłopak odpowiedział, patrząc w oczy gliniarza.

Emil wypuścił dym w górę, a potem bez słowa znów się zaciągnął.

— U mnie masz usta, ciało i tyłek. Anal, oral, full option. Przytulanie i przebieranki. Obojętnie. Brawura czy ostry fetysz nie wchodzi w grę. Mogę się zgodzić na delikatny wulgar, ale uzgodniony co do drobiazgu. Wyjściowo dwie stowy za godzinę. Jak masz niewygórowane oczekiwania, czyli przytulanie i masturbacja, zejść do stu pięćdziesięciu. Oczywiście zapomnij o całowaniu. Dłuższe spotkania do negocjacji. Noc liczę od dwudziestej do ósmej.

Policjant kiwnął głową. Kilka ulic dalej przejechała na sygnale karetka. Zachęcająco kiwnął głową. Ruszyli do samochodu. W środku chłopak zobaczył policjantkę legitymację i zdjęcie z rejestru karnego.

— Znasz?

— Nie.

— Nie kłam.

— Nie kłamię.

— Nic ci nie zrobię, to jej szukam.

— Chce pan ze mnie zrobić uchola?

— Nie chcę ci robić problemów.

Chłopak zaciągnął się i wyrzucił papierosa za okno.

— Za coś takiego możesz dostać kwita — zauważył glina.

— Siedemnaście lat skończę dopiero we wrześniu. Nie mogę dostać mandatu.

— Przy biciu w mordę to nie przeszkadza.

Chłopak po chwili zaczął mówić. Emil czuł, że nienawidzi takich miast. Miast pełnych grzechu, zła i niesprawiedliwości.

Hektor Modraszek ze słuchawkami na uszach, z których rapował Peja, wyglądał jak student. Przeszedł przez jezdnię, przepuszczając tramwaj ze studentami. Wchodząc pomiędzy budynki z czerwonej cegły, uświadomił sobie, że za kilka dni zaczynają się wakacje. W Collegium Witkowskiego zatrzymał się pod drzwiami, a kiedy wyszła przez nie zapłakana dziewczyna, po prostu wszedł, pokazując czekającym policyjne etui z gwiazdą. Profesor słuchał uważnie z dłońmi ułożonymi w piramidkę.

— Tak, był taki. To Święty Bartłomiej — odparł. — Znany także jako Bartłomiej Apostoł, fakultatywnie jako Natanael. Nie wiadomo, czy słusznie. Jego atrybuty to kordelas i obdarta skóra.

— Kordelas?

— Nóż rzeźniczy. Taki do oddzielania skóry od ciała. Przynajmniej tak przedstawił Bartłomieja Michał Anioł w Kaplicy Sykstyńskiej na fresku Sąd Ostateczny. Kojarzy pan?

— Nie byłem we Włoszech.

— Wracając do Bartłomieja, jest uznawany za patrona rzemieślników, w tym szewców, introligatorów, garbarzy i oczywiście rzeźników. Wśród uczniów Chrystusa wyróżniał się wykształceniem. Nie do końca jest jednak pewne, kim był naprawdę.

— Nie rozumiem.

— Kościół rzymskokatolicki przyjął wbrew apokryfom, że Bartłomiej i Natanael to ta sama osoba, ale nie wiemy, czy w ewangeljach to o niego chodzi. Tu właściwym rozmówcą byłby duchowny.

— Interesuje mnie skórowanie. Jak to wyglądało?

— Prawdopodobnie najpierw męczono Bartłomieja, następnie rozpięto na krzyżu. W czasach jemu współczesnych było to typową śmiercią. Rozpięto go na krzyżu z głową w dół. Jak Świętego Andrzeja. Umarł obdarty ze skóry, po śmierci został ścięty. Oczywiście to nie odosobniony przypadek. Odzianie ze skóry było do osiemnastego wieku dość popularną karą, szczególnie chętnie praktykowaną przez ludy wschodnie.

— Rosjan?

— Chaldejczyków, Babilończyków i Persów — odparł profesor — ale tę wyjątkowo okrutną karę stosowali również Europejczycy, szczególnie chętnie wobec tych, którzy dopuścili się zdrady. Z pleców i klatki piersiowej skazańca odcinano kilkucentymetrowe kawałki skóry, aż nastąpiła śmierć z szoku, bólu i utraty krwi.

— A czy oprócz Bartłomieja zamordowano tak kogoś znanego?

— Kochanków siostrzenicy francuskiego króla, Filipa IV. To na początku czternastego wieku. Dziesięć wieków wcześniej za pomocą ostrakonów, czyli skorup naczyń i ostrych kamieni, zamordowano tak niejaką Hypatię z Aleksandrii. Filozofkę i matematyczkę. Jest jeszcze Herodot i oczywiście sprawiedliwość Kambyzesa.

— Co to takiego?

— Herodot z Halikarnasu był greckim historykiem, właściwie ojcem historii. Pięć wieków przed Chrystusem w swoich Dziejach opisał legendę o perskim królu Kambyzecie II. Ów żyjący sześć wieków przed naszą erą władca miał na jednego ze swoich sędziów wydać karę obdarcia ze skóry. Następnie tą skórą nakazał obić sędziowskie krzesło, a nowym, królewskim sędzią mianował syna oskórowanego.

— Czym tak podpadł?

— Wydał niesprawiedliwy wyrok. Za pieniądze.

— Czyli korupcja?

— Tak. A historię rozpropagował niejaki Waleriusz Maksymus. I na jej podstawie powstał dyptyk w końcu piętnastego wieku. To rodzaj malowidła sakralnego. Diptychos, czyli podwójnie składany — profesor złożył i rozłożył dłonie jak książkę. — Sprawiedliwość Kambyzesa to jego tytuł. Na prawej części znajduje się scena obdzierania ze skóry Sisamnesa. Dzieło namalował pewien niderlandzki malarz.

Wykład nic policjantowi nie powiedział, więc Modry zapytał o Andrzejewską. Rudzielca najbardziej interesowało to, czym dziewczyna się zajmowała. Profesor uśmiechnął się, sięgnął po telefon. Kwadrans później policjant wyszedł z miasteczka akademickiego z kopią pracy magisterskiej dziewczyny pod pachą i informacją, że listy studentów przesłano na Mogiłską.

Skręcił z Warszawskiej w Szlak. Światła latarni odbijały się od mokrego asfaltu. Jechał wolno. Minął Dom Opieki Społecznej Helców i wyjechał na Długiej. Tu, po chodniku, przechadzało się kilka dziewczyn. Każda ubrana w innej tonacji. Rozglądał się zgodnie z tym, co powiedział młody, za kimś w różowej peruce. Wreszcie podjechał, zatrzymał się przy krawężniku i otworzył okno.

— No, cześć przystojniaku — dziewczyna zaczęła przymilnie. — Czego ci trzeba?

— Wszystkiego.

— Wybrałeś idealnie — odparła, rozchylając wyszmykowane usta. — To co, decydujesz się? Nie ma co czekać, bo noc jeszcze młoda.

Emil spojrzął w jej oczy, potem przesunął wzrok w dół. Tak, to była ona. Ta sama ze zdjęcia przy linii. Króciutka spódniczka, pończochy i buty na wysokich obcasach z błyszczącej, sztucznej skóry aż za kolana. Białe kozaczki i też białe, krótkie spodenki. I błyszcząca, srebrna torebka. Z pewnością z miotaczem gazu.

— Mam wszystko, czego potrzebujesz.

— Tego nie można kupić, kochana.

— Spróbuję ci to sprzedać — odpowiedziała.

Emil uśmiechnął się rozbawiony. Raz jeszcze spojrzął w jej oczy.

— Masz dar przekonywania.

— Będziesz zadowolony.

— Wsiadaj.

— Hajs z góry.

— Nie mam czasu, kochanie — Emil odparł, pokazując jej legitymację.

Uśmiech zgasł z jej wyszmykowanych ust. Emil spojrzął w lusterko i ruszył. prostytutka sięgnęła po camele pod drążkiem zmiany biegów. Policjant podał jej zapalniczkę. Zapaliła, wydmuchała dym za okno. Z radia popłynął głos Trojanowskiej śpiewającej „Wszystko, czego dziś chcę”.

— Ale z ciebie gnojek — powiedziała.

— Nie gniewaj się, ale nie będę tam sterczał jak napalony frajer.

— A w ogóle mi psem nie zaśmierdziałeś.

— To komplement?

— Nie znam cię.

— Nie martw się — odparł, skręcając w Słowiańską.

— Chcesz, żebym ci dała prywatnie?

— Chcę tylko pogadać.

— O czym?

— To zależy — powiedział, wjeżdżając na Krowoderską.

— Jesteś tu nowy?

— Przygotuj się na poświęcenie dla ojczyzny.

— Ojczyzny?

— Ona o tobie nie zapomni.

— Kochany, sram na twoją ojczyznę. Kasę przez ciebie tracę. Na chuj mnie stamtąd zabrałeś? — zapytała z wyrzutem.

Emil zatrzymał samochód, wyłączył silnik i światła. W skupieniu przez kilkanaście sekund patrzył w lusterko, po czym przeszedł do rzeczy. Wypytywał o to, co mówi się na mieście o sprawie skóry. Potem zapytał o dziwnych klientów.

— Co drugi jest dziwny — odpowiedziała.

— A pamiętasz jakiegoś w wojskowej kurtce? Wysoki, szczupły. Dobrze zbudowany, raczej przystojny — opowiedział, wyjmując kolorową fotografię wojskowej kurtki w maskowaniu „puma”. — W wieku od trzydziestu do pięćdziesięciu, kojarzysz jakiegoś?

— Niejeden trep do nas przychodzi.

— To nie musi być wojak.

— Przecież nie sprawdzam im książeczek wojskowych!

— Mogłaś coś zapamiętać.

— Nie zapamiętałam.

— Zastanów się. Mógł być przy kasie. Prawie na pewno nie śmierdział fajkami. Możliwe, że przyjechał samochodem dostawczym.

— Odwal się! — zaoponowała. — Nie rozumiesz, jak po dobroci mówię?

— Może mieć problemy ze wzrodem. Kojarzysz coś?

— Bo co?

– To raczej homoseksualista, ale może tego w sobie nie akceptować.
– Do mnie rzadko przychodzą normalni. Jesteś tego najlepszym przykładem.
– Nigdy w niczym nie byłem najlepszy – odpowiedział.
– Mam ci współczuć? Zresztą nie wiem w ogóle, dlaczego z tobą gadam – dodała. Wyjęła lusterko i zaczęła poprawiać usta.

Gliniarz pomyślał, że dziewczyna niczego nie wie. Położył jej na kolanach kopię protokołu.

– Teraz druga sprawa. Poznajesz?
– Zabieraj to gówno – oburzyła się.
– To twój podpis.
– No, na pewno.
– I protokół zawiadomienia o usiłowaniu zgwałcenia.
– Mylisz mnie z kimś, kochaniutki.

Emil rzucił w dziewczynę zdjęciami z ciałem Krajewskiego i spalonymi zwłokami Wolskiej. Fotografie rozsypały się po desce rozdzielczej i podłodze.

– Słuchaj, Samanta. Moja cierpliwość się kończy.
– Skąd wiesz, jak mam na imię?

Policjant błyskawicznym ruchem sięgnął po broń. Przyłożył lufę do skroni prostytutki.

– Nie wkurwiał mnie!
– Tak, tak. Nie rób mi krzywdy – wyszeptwała.
– Ktoś ci kazał złożyć na mnie to gówno – policjant syknął. – Samanto Lenartowicz. Wystarczyło ci wrzucić na bęben. Kto kazał ci to zrobić?

– Za chuja sobie nie przypominam.
– Nie wkurwiał mnie!
– Przecież jak ci powiem, to będę miała przejebane!
– I tak masz – Emil napał lufą na skroń. – Kto to był?
– Nie mogę powiedzieć.

– A ja zagwarantować, że nie pociągnę za spust. Za złożenie zawiadomienia o fałszywym przestępstwie dostaniesz działę. Jedyne, co możesz, to powiedzieć prawdę. Mów, kurwa! – Emil pchnął broń, aż dziewczyna uderzyła głową w słupek.

– Nie znam nazwisk!
– Jak mnie przekonasz, to poproszę proroka, żeby umorzył ci to za współpracę z organami ścigania. A teraz skup się, bo mnie już ręka boli. Kto ci kazał? – Emil nacisnął lufę, aż dziewczynie zsunęła się z głowy różowa peruka. – Mów, kurwa!

– No twoi.
– Gliniarze?
– No przecież nie ministranci.

Emil zabrał broń. Schował do kabury.

– Taki z pająkiem na szyi – prostytutka dodała. – Nie wiem, jak się nazywa.
– Inni też są?
– W zamian mam spokój.
– Opłacacie się im?
– Nie wiesz, jak to działa?
– Może nowy jestem.

– Całe miasto się im opłaca. A był u mnie ten z pająkiem – odpowiedziała głośniej, poprawiając perukę. – Zmusił mnie. Tak samo, jak ty, gnoju. Wszyscy jesteście tacy sami.

Narzekania dziewczyny w różowej peruce mało Stompóra interesowały. Kazał jej pozbierać zdjęcia i ruszył na Długą. Na miejscu wyjął zwinięty banknot, za połowę stawki. prostytutka dostrzegła w papierku karteczkę z numerem telefonu. Złożyła na pół. Wsadziła za stanik. A potem kołysząc z zawodową wprawą biodrami, zniknęła w ciemnościach brudnego od kłamstw, niewierności i grzechów miasta.

Było upalnie. Na szczęście wiatr poruszał liśćmi topól rosnących wokół placu. Emil wyjął papierosa z paczki, zerknął na gołębie pijące wodę z fontanny, a potem zmrużył oczy, patrząc na budynek. Policjant nie znał się na historii architektury. Domyślał się, że pokryty czerwoną dachówką pałac z tarasem i ścianą frontową w kolorze wyblakłego piachu mógł pochodzić co najmniej z osiemnastego wieku. Interesowało go jednak zupełnie co innego. Spojrzał na godło nad drewnianymi drzwiami i na czerwoną tablicę oznajmiającą, że w pałacu mieści się małopolsko-świętokrzyski oddział Instytutu Pamięci Narodowej.

— Skulimowski jeden — mruknął. — No, Krajewski, zobaczymy, co kombinowałeś.

Policjant ruszył w kierunku schodów do pałacu, by spędzić w nim kolejne godziny na zadawaniu pytań i oczekiwaniu na odpowiednią teczkę. Przy okazji od starszego i uczynnego pana dowiedział się, że znajdują się w dawnej rezydencji rodu Konopków.

— Jak pan mówi?

— Szepela — powtórzył Stompor.

— Nie ma.

— Kaffka.

— Nie figuruje — odparł zażywny staruszek, po czym wyjaśnił, że właściciele pałacu sprzedali budynek władzom austriackim, które zaadaptowały rezydencję na mieszkania dla wysokich rangą pracowników związanych z kopalnią soli.

Emil dowiedział się, że zamieszkiwał tu wieloletni kierownik Szkoły Górniczej w Wieliczce, a podczas szalejącej w mieście epidemii cholery budynek służył za szpital wojskowy. Po II wojnie światowej natomiast w pałacu urządzono bibliotekę i miejski dom kultury.

— Pamięta pan tę dziewczynę? — Emil pokazał zdjęcie Andrzejewskiej.

— Tak, bywała tu — wyjaśnił mężczyzna.

— Przeglądała akta?

— Do pracy magisterskiej.

— Pamięta pan, czego szukała?

— Mogę to sprawdzić. Tyle że nie na dzisiaj — odparł staruszek.

Emil zwrócił się z prośbą o przygotowanie wykazu. Poprosił też o telefon i zapowiedział, że za kilka dni tu wróci.

Dzwony z kościoła pod wezwaniem Świętej Trójcy przy Franciszkańskiej w Opolu zaczęły bić na godzinę dwunastą, kiedy pojawił się na placu Wolności. Mężczyzna patrzył uważnie. Wspiął się na wyżyny umiejętności aktorskich, by nie wzbudzać niczyjej ciekawości i nie zostać rozpoznanym. Ktoś mógłby odnieść wrażenie, że tylko odpoczywa. Siedział na ławce, obok pomnika poświęconego walce o pozostawienie województwa opolskiego na administracyjnej mapie Polski. Miał doskonałą widoczność. Zza przeciwstonych okularów uważnie przyglądał się dziewczynce i matce stojącym przed lodziarnią. Wybrał miejsce po drugiej stronie ulicy celowo. Rozłożyste korony kilkudziesięcioletnich platanów zapewniały cień, który dawał przyjemny chłód, a oprócz tego sprawiał, że mężczyzna nie wyróżniał się z tłą. A to oznaczało bycie niedostrzeżonym. Wiedział, że one się tu pojawią i nie pomylił się. Nie mogły go rozpoznać, więc ucharakteryzował się tak, jak tamtej nocy z Wolską. A kiedy ruszyły z lodami w stronę ulicy Krakowskiej, odczekał, a potem przekrzywił głowę, markując spojrzenie na zegarek. Następnie podążył za nimi. Jeszcze nie miał skryzalizowanego pomysłu, jak ich śmiercią zrobi przypis do światowego dorobku filmowego, ale czuł, że to szansa, aby ukazać rozmiar swojego wyjątkowego talentu.

Robak wspomnień wkręcił się w mój mózg. Może gdyby nie on, gdyby nie to, co stało się tamtego dnia, wszystko potoczyłoby się inaczej? Jedno wiem dziś na pewno. Do dnia, kiedy nie ukończę dzieła, moje wspomnienie z dzieciństwa nie zniknie. Jest pierwszy maja siedemdziesiątego ósmego. Jestem w pierwszej klasie. Sala gimnastyczna szkoły tonie od aksamitu i zwisających z okien biało-czerwonych flag. W oknach wiszą portrety Gierka i Lenina o surowych i zarazem ciepłych spojrzeniach. Mam granatowy mundur i czerwoną chustę. Recytuję wierszyk. Sala jest wypełniona uczniami, nauczycielami i rodzicami. Mama jest w jednym z pierwszych rzędów, patrzy. Może jest nawet trzeźwa. W pewnej chwili myślę tekst, wychowawczynie podpowiada, ale jest za późno. Wszyscy to zauważają i wybucha śmiech. Poprawiam się, ale nikt nie chce mnie już słuchać. Wszyscy chichoczą jak hieny. Śmieją się, ale mnie nie jest wesoło. Oni drwią, a ja nie umiem zostać na miejscu. Uciekam do szatni. Wychowawczynie przychodzi, potem jest i dyrektor. Wreszcie pojawia się mama. Chcę się przytulić, wypłakać, ale ona przekłada mnie przez kolano i leje, wykrzykując coś o wstydzie, nauce i tym, że jestem głupi. Głupek. Tak nazywają mnie przez następne lata. Za każdym razem, kiedy to słyszę, pakuję się w kłopoty. W sierocińcu nikt już mnie tak nie nazywa. Tam tylko ja pamiętam tę przekłętą pierwszomajową akademię. Któregoś dnia postanawiam, że zrobię coś, za co wszyscy mnie będą podziwiać. Jeszcze nie wiem, co to będzie, ale pragnienie zostanie ze mną. Właśnie je spełniam.

Emil Stompor czytał pracę magisterską Andrzejewskiej do nocy z nadzieją, że znajdzie coś, co naprowadzi ich na ślad mordercy. Robił to uważnie, do ostatniej z niemal stu stron. Więc kiedy Modry wpadł do biura, detektyw z Warszawy nie wyglądał najlepiej.

— Pamiętasz, jak poradziłeś, żebym sprawdził, co Andrzejewska robiła w internecie? Odpisali z Interii — Modry rzekł, wyjmując dwie rzyzy papieru.

— Masz jej rozmowy?

— To gorsze niż słuchanie na drutach. Używała tego samego nicka — Modry wskazał początek wydruku. — Ala 1979.

— A coś ciekawszego?

— Chciała popełnić samobójstwo.

— Co ty pieprzysz?

— Brakowało jej sił do tego.

Emil wstał i oparł się o parapet. Następnie splótł ramiona na piersiach.

— Sprawdziała strony związane z tematyką autodestrukcji, życia po śmierci i suicydologii — powiedział Modry. — Nawiązała kontakt z tajemniczym EM. Dużo rozmawiali. Jestem pewien, że zbliżyli się, a potem spotkali. Z rozmów wynika, że podarował jej kasetę HIM. Pisał jej, że był w Anglii. I zamówił dla niej kasetę.

— Można coś więcej ustalić? — Emil wskazał wydruki.

— Umówili się, że on jej to robi. A ona się zgodziła.

— Jak Armin Meiwes — szepnął Emil. — Heski Kanibal, nazywany też Potworem z Rotenburga. Poznał przez internet mężczyznę, a potem zamordował na życzenie. Ja pierdołę! — Emil wstał i chwycił się za głowę. — Nie wierzę.

— Z rozmów wynika, że chciała śmierci. Wszystko pasuje — Modraszek stuknął w wydruki. — Nagła zmiana zachowania, depresja. To, że on potem nosił jej ubranie.

— Czekaj, czekaj. Powiedziałeś EM?

— Takiego nicka używał.

— To jeśli posługiwał się w rozmowie z nią tym...

— ...nickiem — dopowiedział Modry.

— To może w nim być zaszyfrowana tożsamość!

— Pieprzenie. To zwykłe inicjały.

— Na tej podstawie możemy typować podejrzanych.

— Chcesz sprawdzać w bazie PESEL?

— Byłoby wspaniale.

— Może kiedyś tego dożyję — Modry odparł — ale teraz to niemożliwe.

— Nie musimy sprawdzać wszystkich.

— A kogo?

— Wystarczą jakieś kryteria.

— PESEL zawiera datę urodzenia i płeć — zauważył Modry.

— To już jest dużo.

— Dużo to się szykuje sprawdzania.

— Szukamy mężczyzny urodzonego pomiędzy tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym trzecim a sześćdziesiątym trzecim rokiem — Emil odparł z nadzieją.

— W Polsce mamy kilkaset tysięcy narodzin rocznie! Emil! Dwadzieścia roczników oznacza kilka, jeśli nie więcej milionów osób! Nawet jeśli z puli numerów pomiędzy pięćdziesiątym trzecim a sześćdziesiątym trzecim usunęlibyśmy wszystkie numery z przedostatnią cyfrą parzystą. Parzystą i zero — Modry dodał ponurym głosem. — Tak się oznacza kobiety. Co z tego? Nawet jeśli, to i tak tego sami nie przerobimy.

— Wystarczy wybrać wszystkich z inicjałami EM albo ME.

— Naprawdę w to wierzysz?

— Na tym przecież polega śledztwo.

— To byłoby za proste.

— Musimy spróbować — odparł Emil. — To nasza jedyna szansa. Wyliminujemy niespełniających kryteriów. A tych, co zostaną, porównamy z profilem. Pasujących zaczniemy sprawdzać.

— Naprawdę uważasz, że „Kuśnierz” byłby aż tak głupi, żeby używać swoich inicjałów? Przecież to inteligentny człowiek. Miały być na tyle nieostrożny, żeby korespondując z jedną z ofiar, podawać prawdziwe inicjały?

— Nie wiem. Ale wiem jedno — odpowiedział Stompor. — Wszyscy jesteśmy wygodni. Mógł tak zrobić. Nie mówię, że jak rozszyfrujemy EM, to uzyskamy jego imię i nazwisko, ale to zawsze jest jakaś szansa.

— A bierzesz pod uwagę, że to może być praca na marne?

— Sprawdzenie nawet nieprawdopodobnej hipotezy nie idzie na marne. To tylko wykluczenie jeszcze jednej możliwości. Nie wykluczając jej, nie będziemy mieć pewności, czy nie pominęliśmy tropu, którym mogliśmy wyjść na sprawcę.

— Będziemy to sprawdzać latami.

— Wiem — Emil podrapał się po głowie. — Trzeba to jakoś zawęzić geograficznie.

— Tylko numery PESEL z Krakowa?

— Najlepiej byłoby zacząć od Sandomierza. I zobaczymy, co dalej. Potem Warszawa albo Kraków. Jeśli nic nie znajdziemy, skupimy się na powiatach przylegających do Wisły — ręka Emila zakreśliła na mapie łuk wygięty na wschód. — On przemieszcza się pomiędzy Warszawą a Krakowem. Sądzę, że coś łączy faceta z jednym i drugim. Sprawdzimy numery PESEL, potem będziemy pisać do komend rejonowych, miejskich i powiatowych. Wyślemy ludziom z terenu listę cech z mojego profilu.

— Z inicjałami?

— To sprawdzimy sami.

— Ja pierdołę — mruknął Modry. — To nadal jest kilka miesięcy żmudnej roboty.

— Pomyśl o tym, czy nie można tego zrobić jakoś szybciej przez komputer. Sprawdzę studentów z uniwerku na wykazie. Po inicjałach — wyjaśnił Stompor, po czym zamilkł.

Na twarzy rudzielca tymczasem pojawił się szelmowski uśmiech. Modry podsunął wydruk. A potem stuknęła palcem w papier. Emil zmrużył oczy i utkwiał wzrok na zakreślonych jaskrawoczerwonym, fluorescencyjnym flamastrem sześciu znakach: EM1970.

— Rok urodzenia? — szepnął Emil. — To dwadzieścia razy mniej sprawdzania.

— Jeśli faktycznie urodził się w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym.

— Z jakiegoś powodu użył tych cyfr. Tych, nie innych.

Emil spojrział na Modrego i zbladł. Uświadomił sobie, że wie, jakie powinien zadać pytanie. Jeśli Modry odpowie tak, jak by chciał, to zbliżą się do „Kuśnierza” na wyciągnięcie ręki.

Dolores wychodzi z klatki na tonące od czerwcowego słońca podwórze. To, że zdecydowała się na przeprowadzkę, dodało jej sił. Brat Emila pomógł jej znaleźć mieszkanie. Wczoraj podpisała umowę. Idzie z Julką na przystanek. Przechodząc pomiędzy blokami, zauważa znajomy samochód. Zwalnia zaciekawiona, potem się zatrzymuje. Mężczyzna wpycha ciężką skrzynię do żółtego renault kangoo.

– Edi? – mówi Julka.

Mężczyzna odwraca się. Spogląda na blok. Przez chwilę patrzy, widać, że jest zaskoczony. Potem uśmiecha się i przeciera rękawem czoło.

– Przecież wy gdzieś tutaj mieszkacie, prawda?

– Mieszkałyśmy.

– Zdecydowałaś coś?

– Najpierw powiedz, co tu robisz? I co ci się stało? Połamany, z brodą, włosy też masz jakieś inne. Kombinujesz coś? – kobieta pyta, zwracając uwagę na zagipsowaną rękę.

– A, to nic – odparł niedbale. – Praca.

– To teraz jesteś kaskaderem?

– Wciąż gram.

– Z tym? – kobieta wskazuje gips.

Edi kuca przy dziewczynce. Lola przygląda się, jak mężczyzna śmiesznie przekrzywia głowę, rozbawiając Julkę. Potem pozwala małej dotknąć zagipsowanej ręki. I nie wie, dlaczego, patrząc na to, kobiecie do głowy przychodzi mąż, który gdzieś daleko stara się złapać kogoś bardzo złego.

– Nie musisz się martwić – Ed odpowiada. – Jestem zdrow jak ryba.

– Czyżbyś szykował się do roli?

– To moja rola życia.

– Zdradzisz coś?

– Nic ważniejszego nie grałem.

– Brzmi szalowo.

– Jest takie.

– Opowiedz coś – Lola prosi. – Serial, teatr czy może film?

– Niebawem się przekonasz.

– Dziś jesteś wyjątkowo tajemniczy.

– Bo nie chcę zapeszać – odpowiada mężczyzna. – No, ale dość o mnie i mojej rzekomo złamanej ręce. Co u ciebie? Bo coś mi mówi, że się gdzieś wybierasz? Mam rację?

Kobieta potakuje głową.

– Wyprowadzamy się.

– Dokąd?

– Do rodzinnego miasta Emila.

– Jak ci się udało przekonać?

– Nie udało się. Doprowadzi śledztwo do końca i dołączy do mnie.

– Co to w ogóle za sksynia? – Julka sepleni.

Ed rzuca pytające spojrzenie. Lola daje znak. Ed chwyta dziewczynkę pod pachy. Uśmiecha się pełnym uroku, uwodzicielskim uśmiechem. Prosi Lolę o pomoc przy skrzyni. Kobieta wkłada głowę do przestrzeni ładunkowej blaszaka. I nagle czuje koluszek kajdanek na nadgarstku, a uderzenie zatopionym w gipsie metalowym prętem sprawia, że zapada w otchłań, z której już nie wróci. Telefon Loli dzwoni. Nieprzytomna kobieta nie może powiedzieć Emilowi, że nigdy nie był jej bardziej potrzebny niż teraz.

Deszcz bębnił w parapet. Emil odwrócił się od okna, spojrzał na partnera z Krakowa. W jego głowie kłębiły się dziesiątki możliwości i myśli. Wszystkie dotyczące „Kuśnierza”.

– Znalazłeś kafejkę – szepnął – z której Andrzejewska pisała z zabójcą. Wiemy, jakim pseudonimem się posługiwał. Mamy dokładny czas, kiedy rozmawiali.

– Powiesz mi wreszcie, do czego zmierzasz?

– Musi być możliwość namierzenia miejsca, z którego łączył się z internetem!

– O, kurwa! – Modry zerwał się z krzesła i chwycił rękoma za czuprynę. – Masz rację! Każdego możemy namierzyć, jeśli wiemy, kiedy się łączył. Jego też znajdziemy. Musimy tylko ustalić adres IP.

– Co ustalić?

– Każde urządzenie podłączone do sieci ma pewien numer. To coś w rodzaju blach samochodu i ma dwie funkcje: identyfikację oraz adresowanie. Aby można było wejść do sieci, urządzenie musi mieć ten adres. IP pozwala urządzeniom nadawcy i odbiorcy wymieniać informacje. Od ośmiu lat działa protokół wersji szóstej, wykorzystujący sto dwadzieścia osiem zamiast wcześniejszej, trzydziestodwubitowej.

– To komputerowy bełkot! – przerwał Emil.

– Jak mam ci to wyjaśnić?

– Mów, jak go namierzyć!

– Po połączeniu z siecią komputer zostawia ślady u dostawcy internetu. W tym numer IP, z którego możemy wyczytać kraj, województwo, miasto, a nawet kod pocztowy – wyjaśnił Modry.

– Czyli musimy uderzyć do usługodawcy?

– On zna imię i nazwisko, adres, numer telefonu, a nawet numer karty kredytowej, dane konta bankowego i potencjalnie o wiele więcej. Pod warunkiem, że „Kuśnierz” korzystał z internetu w domu.

– A jeśli korzystał z kawiarenki?

– Będziemy znać jej adres.

– To i tak już coś.

– Potrzebujemy nakazu. Będzie trzeba porozmawiać z dinozaurami. I z Grzybkim.

– Dobra. – Emil klasnął w rękę. – A teraz słuchaj. Też coś znalazłem.

– W Wieliczce?

– Tam nic nie ma. Przynajmniej na razie. Szepela i Kaffka nie figurują, ale przeczytałem jej zaginiony apokryf. Nie ma w tej pracy żadnego nazwiska. Opisała dokładnie ludzi, którzy zajmowali się wymuszaniem zeznań, torturami i nieludzkim traktowaniem zatrzymanych, ale bez nazwisk. Są tylko pseudonimy.

– Pewnie ustalili to z promotorem – mruknął Modry. – Dla bezpieczeństwa.

– W jej pracy są kryptonimy: „Bolek”, „Lolek”, kurwa mać, „Góral”, „Balbina”, „Literat”, „Brylant”, „Wanda”, „Jodła” – westchnął Stompor. – Cała plejada ubeckich aparatczyków.

Modry zatrzymał się nagle w pół kroku. Tak, jakby usłyszał coś, czego nie rozumiał rozmówca. Policjant z Krakowa obrzucił Emila zagadkowym, świdrującym spojrzeniem. Potem przekreślił wolno głowę w bok niczym czapla. Wreszcie usiadł i przeczesał grzywę palcami.

– Kiedy się tutaj pojawiłeś, za pierwszym razem, zaraz jak wszedłeś do kancelarii, przywitałeś się z wszystkimi – szepnął. – Słyszac nazwisko Kaffki, powiedziałaś: „jak literat”. Zwróciłem uwagę, że jakoś się wtedy bardzo zdziwił – Modry powiedział, uważnie przyglądając się Emilowi. – Szepela też dziwnie się wtedy na ciebie popatrzył.

Modry miał rację. Stompor zrozumiał, kim był specjalista od ostatnich przesłuchań o pseudonimie „Literat” z pracy magisterskiej zamordowanej dziewczyny. A kiedy Grzybek zadzwonił z informacją, że Emil musi się spotkać z prokuratorem, glina wydał usta.

Emil Stompor widzi plamy słońca na parkiecie. Patrzy na twarz komendanta stołecznego. Nadinspektor Julian Woronicz bębni nerwowo palcami w blat, rzuca spojrzenia na pozostałych. Emil spogląda na mężczyzn ubranych po cywilnemu przy stoliku pod ścianą, a potem na Woronicza w mundurze z naramiennikami inspektora generalnego policji.

— To nie przesłuchanie, ale wstępna rozmowa — wyjaśnia inspektor Kanis.

— Mamy wiedzę o pewnych nieprawidłowościach. Pragniemy ją zweryfikować — dodaje prokurator Goldmann. — Czy prawdą jest, że groził pan redaktor Żurawskiej?

— Wątpię.

— Jak pan wyjaśni wizytę w redakcji u Żurawskiej w ubiegłą sobotę?

— O ile pamiętam, kilka dni temu ktoś mnie pomówił o inne przestępstwo.

— To nie odpowiedź.

— A wizyty w redakcji są zabronione?

— Groził pan jej czy nie?

— To pomówienie. Takie samo, jak ostatnie. Byłem tam w sprawie randki.

— Czego?

— Intymnego spotkania, które może, ale nie musi, doprowadzić do stosunku seksualnego lub innych czynności seksualnych pomiędzy dwójką ludzi. W tym wypadku mnie i...

— Wiem co to randka.

— Stompor — wtrąca generał. — Co wy kombinujecie?

— My?

— Tak, kurwa, ty!

— Ja, panie generale, już powiedziałem.

— Połowa redakcji *Gazety* twierdzi, że pan jej groził — zauważa Goldmann.

— Nie przypominam sobie.

— To co pan tam robiłeś, do jasnej cholery?! — znów wtrąca Woronicz.

— Żurawska zaproponowała mi randkę. Oczywiście odmówiłem, jestem przecież żonaty — Emil unosi dłoń, wskazując obrączkę. — Obawiam się, że Żurawska trudno znosi odmowy. I dlatego spod jej pióra wyszło kilka artykułów, w których nie przedstawiła nas w różowych barwach.

— Stompor! Co wy mi tu pierdolicie?

— Oględnie rzecz biorąc.

— I co? Poszedł pan jej grozić?

— Poszedłem wyjaśnić, że niezależnie od tego, co będzie pisała, z randki nici.

Inspektor Kanis ledwie powstrzymuje uśmiech. Woronicz robi się purpurowy i spogląda na prokuratora wzrokiem pełnym ostrożnego wyczekiwania. Tymczasem prokurator Goldmann wstaje. Bez zapinania marynarki robi dwa małe kroczki. Następnie wsadza lewą rękę w kieszeń spodni, a prawą wskazuje Emila.

— Panie generale, czy pan chce mnie przekonać czymś takim?

— Stompor — odpowiada generał — co wy na to?

— Mam powtórzyć?

— Masz powiedzieć panu prokuratorowi prawdę.

— To, w jaki sposób prowadzę pracę operacyjną, jest moją sprawą — mówi Stompor. — Nie mam zamiaru się tłumaczyć. Jeśli pan prokurator ma coś do zakomunikowania, to proszę na piśmie.

— Mam panu przedstawić zarzut?

— Groźby karalne nie są ścigane z urzędu — zauważa detektyw. — Będzie pan musiał poczekać, aż Żurawska się wybudzi, dojdzie do zdrowia i złoży zawiadomienie.

Zapada cisza. Goldmann siada. Prokurator jest typem mężczyzny szczupłego, o twarzy pociągłej, czole wysokim i włosach prostych, czesanych ku górze i tyłowi, w których siwy kolor przetyka się naprzemiennie z kolorem jak pióra kruka. Emil widzi, jak z jasnobrażowych oczu zasłoniętych okularami bije wściekłość. Policjant spogląda na tę rumianą, dokładnie ogoloną twarz z pogardą, jaką czuje do każdego, kto wysługiwał się czerwonym przed osiemdziesiątym dziewiątym.

— Mówiłem o zabójstwie — odpowiada Goldmann. — Ze szczególnym okrucieństwem. Żurawska zmarła dziś o szóstej. Premier naciska. Pytają, co zrobiliśmy, żeby złapać „Kuśnierza”. Jak pan zapewne rozumie, to zmienia postać rzeczy. Mamy czwartą ofiarę. Ostatnia powtarzała pana nazwisko. Wahamy się, co robić.

Emil sięga po papierosa. A potem wysuwa dolną wargę i spogląda bez słowa za okno. Refleksy słońca tańczą na przemian z ciemnymi plamami na firankach. Detektyw wie, że generał Woronicz, inspektor Kanis i Goldmann patrzą i czekają.

— Żurawska mogła powtarzać Jezusa Chryste! I co?

– Gdzie pan był w noc, kiedy zniknęła Żurawska?

– To przesłuchanie?

– Gdzie pan był w dniu, kiedy zniknęła moja wnuczka? – pyta Goldmann.

– Szanowni panowie. Proszę wybaczyć słownictwo, ale to mnie już zaczyna wkurwiać. – Emil mówi wolno. – Nie wiem, co kombinujecie, ale to jest, kurwa, skandal! Zapierdalam trzysta kilometrów od domu, żony i dziecka po to, żeby takie tłuste koty – detektyw podnosi głos, spoglądając w stronę Woronicza – mogły nagrody, awanse i medale rozdzielać, a wy pytacie mnie o takie rzeczy?

– Spokojnie, Emil.

– Nie jesteśmy na ty, prokuratorze! Takie pytania mnie obrażają! Do czego zmierzacie? Co to ma być? Komendancie! Co to ma znaczyć? Byłem pewnie w pracy, bo przez ostatnie kilka lat prawie ciągle w niej jestem, i nie wiem, co robiłem dokładnie. I kiedy zginął Krajewski, też nie wiem. I przy Andrzejewskiej również!

– Zawieszamy cię, Stompor – oznajmia Woronicz i spogląda spode łba na policjanta, który bez słowa wstaje, odwraca się i wychodzi.

Przed budynkiem byłego Wojewódzkiego Urzędu Spraw Wewnętrznych w Krakowie gliniarza uderza wilgotne powietrze. Stompora już zawieszano nie raz, więc wie, że do wyjaśnienia sprawy będzie otrzymywał uposażenie obcięte o połowę bez dodatków. A mimo wszystko nie czuje się źle. Przeciwnie, ma wrażenie, jakby pozbył się dręczącego od wielu dni wrzodu. Słońce świeci w oczy. Myśli o żonie, wyjmując telefon i naciska przycisk. Uśmiecha się i przykłada simensa C25 do ucha. Lola nie odbiera.

W tym zawodzie najbardziej lubię to, że mogę się zmieniać. Pociąga mnie bycie kimś, kim nie jestem, mężczyzna mówi do kamery. Dzięki rolom ludzie mnie podziwiają, kochają. Zaczęło się od wojska. Dowódca jednostki, pułkownik Wolf, miał córkę w szkole, w maturalnej klasie.

Pewnego dnia wyznaczono mnie do przedstawienia dla miejscowego liceum. Wolf naszym kosztem zafundował małolacie rozrywkę, więc przez trzy miesiące uczyliśmy się ról, ot tak, dla pryszczatych chłystków przygotowujących się do matury. Po przedstawieniu Wolf wezwał mnie i pogratulował występu. Przy rozmowie była nauczycielka języka polskiego z liceum Wolfówny. Oboje zwrócili uwagę, że po wyjściu do cywila powinienem iść do szkoły filmowej. I pewnie, gdyby nie to, nie zostałem aktorem. I świat nie poznałby mojego dzieła. W Polsce zaczął się kończyć komunizm. Przez jakiś czas pracowałem, a kiedy Wielka Brytania zapowiedziała zniesienie wiz, wyjechałem. W Londynie nauczyłem się angielskiego. Oglądałem filmy, bywałem w teatrze i czytałem. Po kilku latach, kiedy się zaczęła stawać bardziej modna, poczułem, jak wzbiera we mnie tęsknota. Miałem dość mgły, wilgoci, braku słońca i tego, że tam jest wszystko odwrotnie. Po pracy wychodziłem do kawiarenek internetowych. Gdzieś tkwiły we mnie słowa Wolfa i polonistki. Pewnego dnia odpowiedziałem na ogłoszenie firmy szukającej aktorów do reklam. Dostałem zaproszenie na casting. Zagrałem drugą rolę w życiu. Był rok 1999. Mieszkałem na Wyspach ponad siedem lat, miałem lokum i żyło mi się nieźle. Nie miałem jednak ochoty zmywać naczyń do końca życia. Wróciłem. Tu zdałem egzamin do szkoły filmowej, zacząłem grywać. Po roku wszedłem na czat. I poznałem tę zagubioną dziewczuchę z Krakowa. Nie wiedziała, co zrobić z życiem. Twierdziła, że pragnie śmierci, ale nie ma siły. To wtedy zacząłem pisać w głowie scenariusz najwspanialszego dzieła, które kiedykolwiek powstało. Lepszego od oscarowych superprodukcji z Hollywood i wszystkiego, co do tej pory wyprodukowano. Po raz pierwszy i jedyny na świecie w fabule stawiam na totalny realizm. Śmierć jest nieudawana, rekwizyty realne, a krew prawdziwa.

Emil przesuwa wzrokiem po tym, do czego zdążył się już przyzwyczać. A potem, po dokończeniu camela przed komendą, wraca do wydziału. Pakując się, oznajmia, że wraca do Warszawy. Rudzielec spogląda podejrzliwie. Zauważa, że coś się zmieniło. Porządkując biurko, Stompor wyjaśnia szczegóły intrygi, której padł ofiarą. Wchodzi Szepela. W pomieszczeniu zapada cisza. Kierownik zespołu splata ramiona na piersiach, wysuwa dolną wargę i na jego twarzy rysuje się pełen triumfu, szyderczy uśmiech.

— Znaleźliśmy podejrzanego bez ciebie. Bez psychologicznego pieprzenia.

— Jestem pod wrażeniem.

— Widzisz, synku — Szepela cedzi przez zęby — też byłem taki arogancki. Teraz jestem po prostu górą.

— Chyba gnoju.

— Od początku wiedziałem, że Wielki Pies nie jest nikomu tutaj potrzebny.

— Świnia wciąż jest świnia — odpowiada Emil.

— Jestem cwańszy, mądrzejszy.

— Chociaż nie. Nazywanie kurwy świnia to obraza dla tych zwierząt.

— A w każdym razie wystarczająco, żeby wygrać — Szepela dodaje, kiwa głową i uśmiecha się lekceważąco.

Emil wie, że to prawda. Przegrał tak, jak mówił Zolner. Załatwili go w białych rękawiczkach. I teraz te prawie trzynaście lat, kiedy był policjantem, nie ma znaczenia. Stompor zaciska zęby, zamyka szafę pancerną, aż nieprzyjemnie trzaskają drzwiczki z metalu. Przekręca klucz i w milczeniu robi trzy kroki w stronę Szepeli.

— Może dostaniesz Gwiazdę Bohatera Związku Radzieckiego — mówi.

— A ty nie będziesz się już musiał pokazywać przed kamerami. Sam się zwolnisz czy poczekaasz? — głos Szepeli wypełnia drwina. — Szkoda. Niewiele ci do emerytury zostało. No ale trudno. I tak jej nie doczekasz. Za kilka dni prokurator odczyta ci zarzuty. A Woronicz, jak to Woronicz, wypierdoli cię z uwagi na ważny interes służby. Przegrałeś.

— Pieprz się, Szepela!

— Do zobaczenia, synku. Uważaj, jak przechodzisz przez jezdnię, bo mandant dostaniesz. Na twoim miejscu zacząłbym szukać jakiejś roboty. Może zapisz się na kuroniówkę? Łatwo nie będzie. Kto przyjmie byłego gliniarza? Gdybyśmy ci nie kazali oddać klamki i legitymacji, mógłbyś jeszcze przynajmniej pierdolnąć sobie w łeb. Jak glina.

Emil nabiera powietrza, spogląda za okno. Granatowe niebo szczelnie zatykają strzępki pary mieniące się kolorami, poczynawszy od atramentowego granatu na wschodzie, poprzez kobalt, szafir, ultramarynę i coraz jaśniejsze błękity, lazury, aż po zupełnie jasne cyjany. Modry unosi głowę, obserwując rozwój wypadków.

— Nawet tego teraz nie możesz — dodaje Szepela. — Jesteś zerem. Wypierdalaj.

— Ty nie jesteś świnia — Emil kiwa głową. — Jesteś szmatą, której jakimś cudem nikt nie zauważył przy czerwonym korycie.

Emil uśmiecha się, podaje dłoń Modremu. Minął miesiąc, odkąd się spotkali. Rudzielec zdążył się przyzwyczać do gliniarza z Warszawy. Nie wie, co powinien powiedzieć. To dla Emila nieważne. Zdecydował, że zaczyna życie od nowa. Sprawia wrażenie, jakby już nie był wypalonym czterdziestolatkiem wyglądającym na dziesięć lat więcej, który pojawił się u nich przed miesiącem. Nie wie tylko, co to naprawdę oznacza.

Samanta Lenartowicz wysypia się, zjada jajko i kanapkę na śniadanie. Potem robi drinka. Dochodzi czternasta. Kobieta wkłada do odtwarzacza płytę Grzegorza Turnaua. W kupionej za gotówkę kawalerce z głośników płynie melancholijna ballada o tym, że pada. Muzyka jednak nie pomaga. Wódka z martini też. Kobieta od kilku dni dręczy to, co usłyszała. Kończąc drinka, przygryza usta. W palcach miętoli karteczkę z numerem telefonu. Wysoki, szczupły, dobrze zbudowany, przystojny, w wojskowej kurtce. Jakieś trzydzieści, najwyżej pięćdziesiąt lat. Przy kasie i niepalący, myśli. To on. Wszystko pasuje, nawet samochód. Samanta od dziecka zna się na motoryzacji, ma przecież trzech braci. Cholerny glina, dobry był, bo przecież facetowi naprawdę nie stawał, chociaż starała się, jak mogła. Też jej przeszło przez myśl, że to gej. Obraca w palcach skrawek papieru. Wreszcie odstawia szklankę i wchodzi pod prysznic. Strumienie gorącej wody spływają po jej opalonych w solarium pośladkach. Mimo odprężającego działania wody, Samanta nie potrafi zapomnieć o Emilu. Zakręca kran, suszy włosy, ubiera się, maluje i wychodzi. W kiosku kupuje kartę telefoniczną. Potem wystukuje numer w budce telefonicznej. I mówi, że był u niej. Dodaje, że jeździ renault kangoo w kolorze słoneczników. Nie, nie zapamiętała tablicy rejestracyjnej. Mówi wszystko, co wie. Gliniarz rozłącza się bez słowa, a ona czuje się lepiej.

Twarz policjanta nabiera koloru białej ściany. Emil chwytą drżącą dłonią siemensa. Telefon Loli nie odpowiada. Nie umiając połączyć się z żoną, detektyw zmienia taktykę.

— Są w niebezpieczeństwie — policjant krzyczy, kiedy odbiera Zolner. — Wyślij do nich kogoś z bronią!

— Gdzie?

— Na Marymoncką.

— A co się dzieje?

— Niech nie pukają, nie dzwonią. Mają tam wejść na pełnej kurwie!

Modry patrzy w milczeniu na partnera, który miota się jak karaluch na podgrzewanej patelni. Rudzielec jeszcze niezupełnie rozumie, co się wydarzyło, ale chwytą powagę sytuacji.

— Rób, co mówię! Z drzwiami i na przeładowanych klamkach, słyszysz?

— Powiedz, chociaż kurka wodna, co...

— Nie ma czasu! — gliniarz krzyczy. — To Edmund Mazurkiewicz.

— Kto?

— Lola się z nim kilka razy spotkała, rozumiesz?

Zolner rozłącza się. Emil siada na krześle. Jest błądy. Trzyma się za głowę i kołyszę na krześle w przód i w tył. Zwabieni krzykami pojawiają się Szepela, Gustaw i Jarecki. Modry bez słowa przystępuje do gorączkowego kartkowania listy z nazwiskami studentów z Uniwersytetu Jagiellońskiego.

— Przystojny, wysoki, szypuły i dobrze zbudowany. Inteligentny, wykształcony i ma pieniądze — rudzielec mówi, jakby doznał olśnienia. — Aktor, więc siłą rzeczy interesuje się filmem. Wszystko się zgadza. Jak mogłem to przeoczyć?! Grając, może być kimś innym. Kimś lepszym. Chce być zauważony, doceniony i podziwiany. Pragnie uwagi. Dlatego to robi! — dopowiada z szeroko otwartymi oczyma.

Emil się nie odzywa. Spogląda przed siebie. Kaffka patrzy wyczekująco na Modrego. Ten jest zaszokowany tym, co się stało. W drzwiach staje tym razem naczelnik Grzybek.

— Co tu się dzieje?

— Wiemy, jak nazywa się nasz EM — odpowiada Modry. — To Edmund Mazurkiewicz.

— Chyba Ernest Mikaszewski — mówi Jarecki.

— Zamknij się! Nie odzywaj się, gnoju! — Stompor wrzeszczy, zrywa się z krzesła i wymierza krótki, prawy sierpowy w żuchwę Janka.

Policjant pada. Następny cios trafia w podbródek Szepeli. Kaffka chwytą Emila, starając się zastosować chwytą obezwładniające. Policjanci się szarpią. Grzybek przeładowuje broń. Staje z P-64 w dłoni na środku pokoju. Stompor się uspokaja, Kaffka zwalnia uścisk. Emil wbija tępe spojrzenie w siemensa. Serce Grzybka ścisła współczucie, sam jest przecież mężem i ojcem. Telefon Emila nie dzwoni. Kolejne minuty wloką się jak wieczność, która się właśnie zaczyna dla Loli i Julki.

Kryminalni na Marymonckiej zastaną puste mieszkanie. Rozpytają sąsiadów, sklepikarzy pod blokiem i miejscowych w błyszczących dresach. Dowiedzą się o znalezionej torebce z dokumentami w monopolowym Przy Agorze, obok kantoru. Portfel będzie już bez pieniędzy, ale z dowodem osobistym na nazwisko Dolores Stompor. Modry w tym czasie ustali, że Mazurkiewicz jest zameldowany w miejscowości Zalesie. To niewielka wieś na skraju Lasów Janowskich. Emil zatelefonuje do Teatru Roma przy Nowogrodzkiej w Warszawie. Tam przecież pierwszy raz spotkał Mazurkiewicza. Dowie się od księgowej, że aktor wynajmuje mieszkanie na Wawrzyszewie. Godzinę później kryminalni z Komendy Powiatowej w Sandomierzu oraz policjanci operacyjni z Komendy Rejonowej Warszawa V wejdą pod oba adresy. Na Wawrzyszewie znajdą na białych ścianach oprawione w ramy czarno-białe fotosy Mazurkiewicza. Domyślą się, że to kadry z filmów, reklam, seriali i spektakli. Podczas przeszukania zabezpieczą dyskietkę z pracą magisterską Andrzejewskiej. Oprócz tego w ręce śledczych z Warszawy trafi kilkanaście kaset wideo z nagraniami monologów Mazurkiewicza oraz scenami, w których aktor tańczy w body ze skóry. W filmach podniecony mężczyzna będzie opowiadał o dzieciństwie. Znajdą film, na którym Mazurkiewicz zrobi zastrzyk przywiązanej rzemieniami do łóżka Andrzejewskiej, potem zdejmie z niej skórę i poćwiartuje zwłoki. W Zalesiu policjanci odkryją pokój przekształcony w atelier filmowca. Grupa dochodzeniowo-śledcza zabezpieczy tam profesjonalną kamerę wraz z ciężkim, trójnożnym statywem z drewna oraz wysokiej klasy lampy studyjne. Znajdą kilka skalpeli, kajdanki, liny, skórzane pasy oraz igły szewskie i strzykawki z lekami na receptę. W piwnicy zabezpieczą ślady krwi Andrzejewskiej oraz Dolores i Julii Stompor. Ich ciało nie będzie. Mazurkiewicz zapadnie się pod ziemię. Emil zemdleje. Potem dostanie leki uspokajające. Następnego dnia pójdzie do lekarza, by usunąć wszyswkę. Trzy dni później dowie się, że jakieś dzieciaki znalazły w Krakowie, w parku Jerzmanowskiego korpus kobiety bez nóg i głowy z odciętymi rękoma. Jeszcze przed identyfikacją się upije. Następnego dnia w okolicy Tynieckiej i fortu Bodzów przechodnie natrafią na główkę trzyletniej dziewczynki. Stompor będzie leżał upojony alkoholem. Wódka nie pozwoli zapomnieć, ale stępi ból, którego policjant nigdy już nie będzie umiał się pozbyć.

Stompora budzi kac. Mężczyzna z trudem otwiera napuchnięte powieki. Pojawia się dojmujące uczucie pustki. Gliniarz, starając się myśleć o czymś innym, wlecze się do łazienki. Tam, nie patrząc w lustro, opróżnia pęcherz. W kuchni otwiera lodówkę. Wyjmuje butelkę wódki. Wypija połowę bez zastanowienia, a potem, kiedy alkohol zaczyna krążyć w żyłach, zerka na zegarek. Podchodzi do ściany. Patrzy przez kilka sekund. Kalendarz. Nigdy nie miał czasu na wrywanie przeklętych dat, myśli. Wrywa kartkę, zgniata papierek w kulkę, wyrzuca. Potem wydziera kolejną i następne. Nadrukowane czarnym lub czerwonym tuszem prostokąci zatrzymują się na podłodze, obok pogiętych puszek, pustych butelek po wódce, ubrań, skarpetek i zgniecionych niedopałków. Wreszcie glina wydziera ostatnie trzy kartki, przekrzywia głowę, przeczesuje palcami zbyt długie włosy. Jest piąty dzień sierpnia. Od kilku lat nie lubi tej daty. Tym razem urodziny mają niemal groteskowy wymiar. Emilowi zdaje się, że zamiast rozpaczy jest w nim tylko pogorzeliśko. Tak jakby zamiast uczuć wypełniały go pustka, ciemność, popiół i spalenizna, a myśli zmieniły się w snujący się nad zgliszczami dym z dopalających się uczuć. Głęboko pod rozpaczą i bólem coś jeszcze w nim żyje, ale detektyw nie chce tego przyznać. Pod żalem, zrezygnowaniem i bezsenssem czai się chęć zrobienia tego, co powinien. Nie umie jednak znaleźć na to siły. Ma wrażenie, że nic nie ma już znaczenia. Wreszcie odwraca się od kalendarza, spogląda na gitarę. Pociąga z butelki, sięga po instrument. A potem siada pomiędzy rozrzuconymi kartkami z datami, kładzie palce na gryfie. Muska opuszkami struny. Instrument nie wydaje fałszywych dźwięków. Policjant od kilkunastu dni codziennie gra z zamkniętymi oczyma. Gitara spod jego palców wydobywa melodię *She's Gone* zespołu Steelheart. Dźwięki hitu z czasów początków w policji padają niemal chaotycznie, dźwięk potęguje ból. Gliniarz gra, tłumiąc spazmy pełnego rozpaczy szlochu. Po kilkunastu minutach zapada cisza. Słychać tylko gruchanie gębeli i rytmiczny oddech.

Bernard Zolner słysząc pukanie, uniósł wzrok. Stompor wszedł, zamknął drzwi. Sprawiał wrażenie cienia tego policjanta, jakim był jeszcze niedawno. Zolner przez chwilę w milczeniu wpatrywał się w Emila zmartwionym wzrokiem. Detektyw tymczasem usiadł i wyjął camele.

– Miałem nadzieję, że wpadniesz.

– I to dlatego wygląda pan, jakby zobaczył szatana?

– Miałem nadzieję, że jakoś mnie to ominie. Skoro jesteś, to zamieńmy dwa słowa jak mężczyźni – Zolner rzekł cicho, wstał i wsadził ręce do kieszeni. – Nie wyglądasz najlepiej. Martwię się o ciebie.

– Mogło być gorzej. Mogłem mieć obcięte ręce, nogi i głowę.

– Znów pijesz?

– Piję.

– Powiedziałbym, że rozumiem, ale byłbym kłamcą.

– Byłyś sobą, ale spokojnie. Nie mam pretensji – rzekł ciszej.

Zolner poluzował krawat. Emil wyjął zapalniczkę, przytrzymał camela zębami. Zapalił, zaciągnął się i w milczeniu wydmuchał dym w stronę sufitu.

– Skąd mogłeś wiedzieć, że to się tak skończy? Ostrzegłeś mnie.

– Szkoda, że to nic nie dało – szepnął Zolner. – Przykro mi. Naprawdę.

– Myślisz, że to coś zmienia? – Stompor odparł i gorzko się uśmiechnął.

– Wiele bym dał, żeby było inaczej – dodał Zolner. – Będę miał wyrzuty sumienia do końca życia.

– To im nie wróci życia.

– I co? Myślisz, że mam to gdzieś? Nie, kurwa, nie mam! Wysłałem cię do Krakowa, bo musiałem! Zmusił mnie do tego Woronicz.

– Nie mogłeś wiedzieć, że to się tak skończy.

– A może mogłem? – szepnął Zolner. – Może powinienem pozytywnie zaopiniować twoje papiery o przeniesienie?

– Teraz to już nie ma znaczenia.

– Kurwa! Wstajesz na kacu, pijesz wódkę, przychodzisz i po prostu mówisz, że nic się nie stało?

– Tego nie powiedziałem.

– A co powiedziałaś?

– Słyszałeś. Nie piłem dzisiaj. I nie mów mi, kurwa, o wyrzutach sumienia. O tym, co ma znaczenie, a co nie ma, dobra? Zostaw to mnie – szepnął detektyw. – Bo coś o tym wiem. Nie mów mi, kurwa, co jest dobre, a co jest złe. To ja trafię do piekła, nie ty. Moja żona i córka nie żyją, więc nie dziw się, inspektorze Zolner, że wszystko inne nie ma dla mnie znaczenia.

Zolner drżącą ręką otworzył szufladę. Wyciągnął korek z płaskiej butelki, błyskawicznie przyłożył ją do ust. Emil wyszarpał butelkę z rąk zaskoczzonego naczelnika.

– Widzę, że się pakujesz?

– Zgodnie z tym, co ci mówiłem – odpowiedział naczelnik. – Dostałem urlop zdrowotny. Potem przechodzę do cywila.

Stompor utkwili tępy wzrok za oknem. Przez chwilę obaj mężczyźni nie odzywali się słowem, jakby ta cisza zawierała w sobie słowa, które teraz ktoś powinien powiedzieć.

– Mnie pomaga gitara i wódka.

– Wiesz, że możesz się leczyć i pół roku?

– I co potem?

– Chciałem powiedzieć – naczelnik dodał pośpiesznie – że niczego teraz nie musisz robić. O niczym decydować, bo masz na wszystko czas. Odpocznij, nawet powinieneś. Bo jak cię znam – naczelnik szepnął, skupiając spojrzenie na etui na kolanach detektywa – to planujesz coś głupiego.

– Mam wrażenie – powiedział Emil – że czasem czytasz w moich myślach.

– Widać znamy się jak tyse konie.

– Wyjeżdżam.

– Do twojego Opola?

– Byle dalej stąd – Emil kiwnął głową.

– Nie powinieneś odchodzić z policji.

– To moje życie.

– To ci nie wyjdzie na dobre.

– To może być gorzej?

– Odkąd zostałeś sam, może też mam coś na ten temat do powiedzenia?

– Szkoda, że dopiero teraz.

— Zawsze byłeś gnojkiem.

— Nauczyłem się od najlepszych.

— Staralem się nie pokazywać ci tego, ale żadna rozmowa z tobą nie była łatwa. Kurwa, ile ty mi krwi napsułeś. I wiesz co? Sram na to! Rozumiesz? W dupie to mam! Odchodzę, więc mnie uważnie, kurwa, posłuchaj, bo nie będę powtarzał. Dobrze wiesz, że coś jeszcze masz do zrobienia. I jak to zrobisz, to w porządku. Możesz sobie pisać, co chcesz, ale nie teraz. Teraz masz wrócić do domu, napić się wódki, jeśli musisz, a potem wytrzeźwieć. Wziąć zimny prysznic, ogolić się, zjeść jajecznicę na maśle i wsiąść w pociąg do Krakowa. Bo po to jesteś, kurwa mać, glina! Masz zrobić porządek!

— Nie mam broni, legitymacji i jestem na zwolnieniu lekarskim.

— Nazywasz się Emil Stompor. Tamten Stompor łapał najbardziej zdeprawowanych ludzi w tym kraju. Jesteś legendą. Gliniarzem, którego stawiają za wzór prawdziwego policjanta. Za kilka lat będą o tobie książki pisali! Jesteś prawdziwym psem. Wielkim Psem.

— Jestem wdowcem, któremu zamordowano żonę i córkę.

— I właśnie dlatego to musisz zrobić ty! — powiedział Zolner. — Nie ja, nie nikt inny. Ty to musisz zrobić. Dla siebie, dla nich, rozumiesz? Tylko ty! A potem daję ci słowo oficera i klnę się na wszystkie świętości, że na chuju stanę, kurka wodna, żebyś mógł stąd odejść.

Emil położył raport o zwolnienie ze służby na biurku przed naczelnikiem. Zolner bez czytania wsunął papier do szuflady i spojrzał Emilowi w oczy. Ten uściśnął dłoń naczelnikowi, po czym wyszedł. Zolner zdjął okulary, nacisnął palcami powieki i opróżnił butelkę.

Zegarek wskazuje prawie południe, kiedy w mieszkaniu na Wrzecionie rozlega się dźwięk telefonu. Emil po ósmym dzwonku odbiera. Słyszając starszka, nagle czuje coś, co zna. Dreszcz jest intensywny. Detektyw sięga drżącą ręką po butelkę.

– Umawialiśmy się, że oddzwonię – odpowiada starszek.

– Chciałbym mieć taką pamięć.

– Taki fach, żeby pamiętać. Wie pan, czym był drugi szereg? – pyta, nie kryjąc zadowolenia. – Nie? Pod taką nazwą funkcjonowała w latach osiemdziesiątych w milicji grupa sformowana do rozbijania demonstracji ulicznych od wewnątrz. W jej skład wchodziła funkcjonariusze, którzy mogli wykazać się znajomością sztuk walki, boksu lub po prostu byli wysportowani i brutalni. Funkcjonowali dla usprawnienia działań bezpieki, ponieważ zwykli esbecy bali się wchodzić w tłum demonstrujących, szczególnie w czoło demonstracji.

– Bojówka milicji?

– Specjalnie przygotowana, zakamuflowana i o zorganizowanej strukturze.

– Skąd kierowana?

– Z Wojewódzkiego Urzędu Spraw Wewnętrznych w Krakowie. Konkretnie z pionu kryminalnego i plutonu specjalnego ZOMO.

– Rozumiem – westchnął Stompor.

– Wątpię. Trzeciego maja w osiemdziesiątym siódmym roku drugi szereg przeprowadził likwidację demonstracji na Wawelu. Pobito ojca Andrzejewskiej. Pamiętam, że pani Andrzejewska drażyła sprawę, pytała o to. Pytał też komisarz Krajewski. I z tego, co pamiętam, wydałem temu człowiekowi tamtą taśmę, nagranie z esbeckiej kamery. Tamtego dnia esbecy nagrywali działania drugiego szeregu. Potem ono służyło do szkoleń jako przykład fachowo przeprowadzonej operacji rozbicia demonstracji.

– Co na nim jest?

– Atak drugiego szeregu. To, proszę pana, było normalne pobicie – starszek dodał ze smutkiem. – Oni uderzali metalowymi rurkami, na rękach mieli kastety, kopali i bili niewinnych ludzi. Studentów, kobiety... Taśmę wydałem Krajewskiemu, potem został zamordowany.

– To może oznaczać motyw.

– Żyjemy w Polsce, proszę pana.

– Chce pan powiedzieć, że oni pozostali w resorcie?

– Znalazłem dokumenty świadczące, że do drugiego szeregu należał Gustaw Keler. Kryptonim operacyjny to „Literat”. Klemens Szepela używał pseudonimu operacyjnego „Wawer”.

– Też zmienił nazwisko?

– Nazywał się Wawrytko.

– Czyli Kaffka to „Literat”, a Szepela to „Wawer” – Emil odparł ponurym głosem.

– Minęły lata, zmieniono nazwy, przeprowadzano reformy, wymieszano struktury, ale niektórzy ludzie pozostali. Dawni esbecy chętnie pozowali do zdjęć z biskupami. Układ z Kościołem był przepustką do tego, aby być kimś w nowej służbie. Milicyjne pałki zamieniono za krzyże i medaliki. Nic na ich temat nie mogliśmy znaleźć, ponieważ w dokumentach są ujęci pod innymi nazwiskami.

Wszystko stało się jasne. Wszystko poza tym, co stało się z nagraniem. Detektywowi coś jednak mówiło, że wizytówka Mordki, którą odszukał na dnie szuflady Krajewskiego, znalazła się tam nieprzypadkowo.

Przegadali wszystko trzy razy. Modry wstał i ruszył do kancelarii. Emil zaczął udawać przy szafie pancерnej, że pakuje papiery. Po mniej więcej minucie w drzwiach pojawił się mały, zażywny glina.

— Nie powinieneś być przypadkiem w Warszawie? — mruknął Szepela.

— Gównu ci do tego.

— Przebywasz na terenie obcej jednostki organizacyjnej policji. Mam prawo zadać takie pytanie.

— Może mam tu coś do załatwienia? Na przykład kraty, Klimek.

— Kraty?

— Uhm. Dla was obu.

Szepela spojrzął na Modrego, po czym wolno wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi. Przez chwilę inspektor Klemens Szepela zastanawiał się nad ostatnim zdaniem Emila. Modry usiadł przy biurku.

— Między innymi za czerpanie korzyści majątkowych z nierządu. Wiem, że nie jesteś sam. A to oznacza, że któryś dostanie kierownicę. Tak w każdym razie mówi się na sprawstwo kierownicze w Warszawie. I nie mów mi, że nie działacie wspólnie i w porozumieniu, Klimek. A tak przy okazji — dodał Emil. — Wiesz, że praca magisterska się jednak znalazła? Egzemplarz dowodowy nieszczęśliwie przepadł, ale trafiliśmy z Modrym na jeszcze jeden egzemplarz. Co nie, Modry? — Emil zwrócił się do partnera.

Rudzielec popatrzył na Szepelę z pogardą.

— „Kto, w celu użycia za autentyczny, podrabia lub przerabia dokument lub takiego dokumentu jako autentycznego używa” — Modry zacytował kodeks. — Artykuł dwieście siedemdziesiąt, Klemens. Podpis. Pobierzemy próbki od wszystkich z wydziału, a jak będzie trzeba, to z całej Mogiłskiej. To koniec, rozumiesz?

— I to ma być dowód na cokolwiek?

— *À propos*, Klimek, jesteś może alergikiem?

— Boli cię głowa? — Szepela zapytał, spoglądając podejrzliwie znad okularów.

— Może, kto wie? Wracając do alergii, to jest kłopot. Wapno trzeba pić, uważać. Gdybyś był alergikiem, rozmowa o pyleniu drzew byłaby dla ciebie pewnie łatwiejsza. Nie rozmawiałeś kiedyś o tym z Gustawem?

— Widzę, że ci się pomieszało we łbie.

— Ponieważ dowiedziałem się czegoś ciekawego — Emil odparł. — Przyjmijmy, że mniej więcej mamy przełom marca i kwietnia.

— O wiośnie chcesz gadać?

— Tak, bo była nieciekawa nie tylko dla Krajewskiego, ale także dla alergików. Kończyła pylić leszczyna i silnie pyliła wierzba, ale nie tylko ona. Pyliły topola, dąb, grab i czeremcha.

Żrenice starego ubeka rozszerzyły się. Szepela wyprostował się, robiąc to zupełnie nieświadomie. Patrzył przed siebie z przyklejonym do twarzy lekceważącym uśmiechem. Modry wiedział, jak stara się ukryć to, że ostatnie słowo Emila zrobiło na nim wrażenie.

— Tak narzekaliście na Kuleszę, a to świetny prorok. Ktoś mógłby pomyśleć, że jest nadgorliwa. Może faktycznie rozkręcanie rur to przesada. Ostatecznie nic to nie dało, ale zebranie pyłków z mieszkania Krajewskiego jednak się przydało.

— Co ty pieprzysz?

— Byłeś tam? — warknął Emil.

— Nie.

— A Kaffka?

— Jego pytaj.

— Kulesza zapyta.

— Co ty pieprzysz?

— Gustaw dał dupy. Obaj daliście.

— Rozchorowałeś się przyjacielu?

— Nie nazywaj mnie tak. Nie jesteś nim. Jesteście za to razem z Kaffką mordercami. A w każdym razie on jest. Był tam, Klimek, wiesz o tym. Był w mieszkaniu Krajewskiego i zostawił odcisk buta. Czterdzieści sześć, czyli polską jedenastkę.

— Odcisk buta to odrobinę za mało, żeby gliniarza oskarżać o zabójstwo.

— A pyłki czeremchy amerykańskiej? Były u Krajewskiego.

— *Prunus serotina* — mruknął Modry.

— No i co? — zniecierpliwili się Szepela. — Będziecie mi tu o drzewach opowiadać?

— Gdybyś był alergikiem, byłoby łatwiej. Mówiłem. No ale nie jesteś. I nie masz za płotem zarośli z czeremchy, ale Kaffka ma jej sporo za płotem. Piękna posiadłość. Aż trudno uwierzyć, że to wszystko tylko z pensji psa.

– Będziesz tu wykład o alergiach robić?

– O pyłkach.

– Nie pomyliłeś przypadkiem adresów?

– Zawsze lubiłem kwiaty, drzewa i krzewy. I dlatego łatwiej mi zrobić ci teraz wykład o palinologii. Widzisz, pyłki mają egzynę – Emil powiedział, biorąc do ręki jakiś dokument z szafy panczernej – czyli skorupkę zbudowaną ze sporopolenin. Dzięki nim pyłki mogą przetrwać dziesiątki tysięcy lat. Ziarenka pyłków pozwalają na identyfikację. Jeśli w otoczeniu jest drzewo, krzew albo inna roślina, która pyli, to pyłek zostanie, Klimek. Głównie w odzieży, ale nie tylko, bo jak mówiłem, pyłki są odporne na substancje chemiczne. Zostają we włosach, w ubraniu, na butach, a nawet skórzanych i metalowych elementach odzieży. Nie szkodzą im nawet stężone kwasy ani zasady. Wytrzymują temperaturę do trzystu stopni Celsjusza. A że pyłek brzozy łatwo można odróżnić do pyłku czeremchy amerykańskiej, to mamy drugą poszlakę na Kaffkę. Rozumiesz już?

– Tak, ale nie wierzę.

– Ja też – szepnął Emil. – Bo nie ma nic gorszego niż policjant bandyta.

– Pomieszało ci się w głowie, ja to rozumiem, żalu nie mam.

– Nie – Emil odparł, wyjmując camela. – On nie jest policjantem. To ubek. Jak ty.

– Licz się z tym, co mówisz.

– Najłatwiej w przypadku rzadkich roślin – Emil odparł i dotknął listka bonsai Krajewskiego. – Modry, ty uczyłeś się o drzewach?

– Czeremcha amerykańska pochodzi z Ameryki. Trafiła jakieś cztery wieki temu do Europy i w ostatnich stu latach dziko się rozprzestrzeniła. Najpierw we Francji, potem także u nas i w Niemczech, ale wokół bloku Krajewskiego nigdzie jej nie ma. W promieniu kilku kilometrów.

– A za płotem Kaffki jest jej mnóstwo – Emil odparł, przekrzywiając głowę. – A że to gatunek u nas nietypowy, to się nadaje do identyfikacji miejsca, a nawet czasu – gliniarz dodał i zamilkł, pozwalając, by Szepela mógł te informacje przez chwilę przetrawić.

– To brzmi jak intryga kryminalna.

– Życie pisze ponoć najciekawsze scenariusze.

– Zamierzasz srać we własne gniazdo?

– Jestem policjantem, a nie ubekiem.

– Jesteś chujem. Nie miałem pojęcia, że aż takim.

– A ja, że jesteście mordercą – syknął Modry. – Obaj jesteście. Ty i Gustaw.

– Nic na nas nie macie.

– Mówiłeś, że nie byliście w mieszkaniu Krajewskiego – Emil zauważył spokojnym tonem. – Kaffka tak mi powiedział i ty również. I tak zeznam w sądzie. Nie było go tam, ale znalazł się tam odcisk jego buta. Chętnie opowiem o tym Kuleszy. A tak się składa, że nas jest dwóch, Klemens. I we dwójkę jesteśmy bardziej wiarygodni. Pójdziecie siedzieć. Tak kierowaliście sprawą skóry, aby Mazurkiewicz mógł dalej zabijać, bo baliście się tego, co dziewczyna znalazła w teczkach IPN. Zabiliście Krajewskiego, bo wiedział o nagraniu spod Wawelu i pieniądzech, jakie macie z dziwek na mieście. Krajewski to odkrył. I to, kim byliście za komuny i co obaj robiliście, panie Wawrytko. Gdyby nie wy, moja żona i córka nadal by żyły – Emil warknął, a Szepela wybiegł, trzaskając drzwiami.

Modry zerwał się, ale Emil uniósł dłoń. Modraszek spojrział zdziwiony, a Stompor jak gdyby nic się nie stało, położył wniosek do Kuleszy o zatrzymanie i doprowadzenie Szepeli i Kaffki jako osób podejrzanych o popełnienie zabójstwa.

Deszcz leje strumieniami. Woda ścieka po samochodach, krople roztrzaskują się na kostce placu. Kałuże zbierają się wzdłuż krawężników. Nieopodal Wisła toczy brudne wody spokojnie, bez względu na to, co dzieje się na jej brzegu. Kaffka patrzy z niedowierzaniem na pistolet w rękę Szepeli.

— Zawsze byłem po twojej stronie, Klimek. Od pierwszego dnia w ubecji. Powtarzałeś, że mam być bezwzględny, wierny. Nie byłem?

— Popełniłeś błąd — odpowiada Szepela. — Obaj popełniliśmy.

— Każdy się myli.

— Miałem nadzieję, że nie Gustaw Keler.

— Nie nazywaj mnie tak. Wstydzę się tamtych czasów.

— Naprawdę, panie chorąży „Literat”?

— Zmusiliście mnie, żebym został potworem — syczy Kaffka. — Ty i ta cała czerwona reszta. Do dziś mi się śnią krzyki przy łamaniu palców i wrywaniu paznokci.

Szepela uśmiecha się słabo. Kaffka patrzy na broń.

— Nieźle na tym wyszedłeś. Dom, działki, samochód i złoto.

— A tobie pieniądze z kurew śmierdziały?

— Nie, ale też nie mów, że do czegoś cię zmusiliśmy.

— Jesteś tchórzem, Klemens. I dlatego nie miałeś odwagi uciszyć Krajewskiego.

— Miałem ciebie.

Szepela przeładowuje pistolet. Po drugiej stronie Wisły trzaska piorun. Upiorny blask przez ułamek sekundy oświetla ich jak flesz. Dolatuje ich grzmot. Dochodzeniowiec czeka, kiedy następna błyskawica oświetli twarz Szepeli bladym, błękitnawym światłem.

— Kiedy wyłowią cię z Wisły, mnie już tu nie będzie.

— I co dalej? — pyta Kaffka.

— Wyjadę. Kupię dom w Bieszczadach. Może na Mazurach albo nad Bałtykiem. W Hiszpanii, we Francji albo w Szwecji też jest pięknie. I bezpiecznie. Tam nikt mnie nie będzie szukał.

— Znowu zmienisz nazwisko?

— Będę się śmiał z takich jak ty i Stompor. Na nowych papierach nikt mnie nie rozpozna. To koniec, Gutek.

— Myślałem, że to będzie wyglądało inaczej.

— Jak?

— Nie wiem.

— Lepiej?

— Jest dobrze — odpowiada Kaffka.

— Wszystko przez tego skurwiela. Kulesza już nas szuka. Nie chcę zostawić śladów. Zrobiłbyś na moim miejscu to samo. Nie miej żalu.

Szepela jest rozdarty. Chce przyjacielowi jakoś wyjaśnić i wytłumaczyć, że to nie tak miało być. Chciałby powiedzieć, że wszystko wymknęło się spod kontroli, a reszta potoczyła się już bez jego udziału. Pragnie wyjaśnić, ale nie potrafi.

— Nigdy mnie nie doceniałeś — szepcze Kaffka.

— Nieprawda. Jestem z ciebie dumny. Sporo się ode mnie nauczyłeś.

— Nie musisz tego robić.

— Nie wiedziałem, że jesteś aż taką szmatą.

— Obaj jesteśmy, Gutek. Wybacz.

— Tego nie można wybaczyć.

— Można spróbować.

— Tej nocy już nie zapomnisz — Kaffka mówi ochryplym, niskim głosem. — Bo tego nie da się zapomnieć. I nie da się wybaczyć.

— W tym zawodzie rzadko udaje się tego uniknąć, przyjacielu.

— Nigdy nim nie byłeś — mówi większy esbek, przetykając ślinę.

— Kiedyś musiała nadejść ta chwila.

— Dla ciebie ona również nadejdzie.

— Świat się zmienia.

— Nie nasz. Nie zły świat — odpowiada Kaffka. — Zło nie znika. Ono wróciło. Potem wróci do ciebie. Nie odpokutowaliśmy za naszą przeszłość. I dlatego nasz świat się nie zmienił. On cię zabije tak samo jak mnie.

Wystrzał zlewa się z grzmotem. Kula trafia rosnącego policjanta w serce. Postrzelony chwieje się, otwiera usta i robi nieporadny krok. Po czym pada na klęczki. Szepela chwyta przyjaciela pod pachy. Wielki esbek krztusi się krwią. Spogląda w oczy Szepeli. I nagle powietrze rozdzierają dwa strzały. Szepela wypuszcza Kaffkę z objęć. Klęczący pada twarzą w kałużę, w ręce trzyma pistolet. Szepela patrzy, jak przez mokre ubranie na brzuchu przesącza się krew. Niebo rozświecła błyskawica. W jej świetle nad dwoma ciałami widać trzecią postać.

Prokurator Kulesza siedząca za ciężkim, dębowym biurkiem poprawiła okulary. Gliniarz mówił to, co powinien. Wyjaśnił, że po prowokacji liczył się z tym, że Szepela będzie chciał się spotkać z Kaffką. Nie przypuszczał, że sprawy potoczą się w ten sposób.

– Los wymierzył sprawiedliwość – stwierdziła Kulesza.

– Kiedyś w nią wierzyłem. Z czasem zmieniłem zdanie. Myślałem, że jeśli jakaś istnieje, to tylko boska. To nieprawda. Bóg nie jest dobrym sędzią. Jest bardziej niesprawiedliwy od ludzi. Prawdziwej sprawiedliwości nie ma.

– Zrobił pan więcej, niż wymagały od pana obowiązki. Prawo pomaga nam odróżniać dobro od zła. Dziękuję za pomoc. Przyjmuję wyjaśnienia na temat śmierci Szepeli i Kaffki – dodała, podchodząc do Emila.

– Odwaliła pani kawał dobrej roboty – policjant odparł, ściskając Kuleszy rękę. – Gdyby nie pani skrupulatność, nic bym w Sandomierzu nie wskórał.

– Czyli jednak są tacy policjanci, którzy to doceniają?

– Lubię perfekcjonizm.

– Nie jest pan zwykłym gliniarzem.

– Jakbym moich przełożonych słyszał. Zwykle mi to powtarzali. Przez zaciśnięte zęby.

– Wpłynęło zawiadomienie – powiedziała oficjalnym tonem. – Mordka wskazuje, że Szepela i Kaffka w osiemdziesiątym szóstym roku brutalnie spacyfikowali demonstrację pod Wawelem. Twierdzi, że ujawni wszystko opinii publicznej. Mam nadzieję, że sprawiedliwość osiągnie również Mazurkiewicza. I nieważne, jaka: boska, ludzka albo prawdziwa.

Emil pomyślał, że w takim razie taśma się jednak znalazła. To jej Kaffka szukał w mieszkaniu Krajewskiego. Uśmiechnął się mrocznie. Wyjaśnił, co wiedział. Nie wspomniał, że podejrzewał związek Mordki z zabójstwem Krajewskiego i manifestacją z 3 maja 1987 roku.

– Co pan zamierza?

– Od bardzo dawna chciałem pływać, poznawać nowe kultury, daleko od... – policjant urwał, spojrzawszy za okno w zamyśleniu. – Stąd daleko.

– Zostawi pan to tak jak teraz?

– Marzenia i rzeczywistość to nie to samo. Nie mam pojęcia, czy będę policjantem – odparł, naciskając klamkę.

Promienie słońca oświetliły stojącą na biurku Kuleszy figurkę. Prokurator spojrzała na opaskę zakrywającą oczy Temidy. Sprawiedliwość nie jest ślepa. Zakryte oczy symbolizują bezstronność. Bogini, wydając wyrok, opiera się tylko na argumentach.

Policjant idzie praską, ponurą ulicą w stronę wypalonego neonu. Tamtego dnia wiatr zaczął śniegiem. Dziś nie wieje. A mimo to Stompor wchodzi w bramę i wyjmując camele. Nagle zatrzymuje niezapalonego papierosa w połowie drogi do ust. Przez chwilę nie odrywa spojrzenia od idącego człowieka. Kiedy ten jest blisko, Emil wychodzi z ciemności.

– Sie ma, Edi – mówi.

– Dzień dobry, panie władzo.

– Ed, co z tobą? Zegarka nie masz, czasu nie liczysz? Wieczór jest, noc nawet. Jest pierwsza w nocy. Nosisz teraz okulary?

Mazurkiewicz wolno unosi podbródek, patrząc na broń w dłoni policjanta.

– Zapuciłeś brodę, przefarbowałeś włosy – Emil dodaje, wkładając papierosa do ust. – Ale wciąż jesteś tym samym człowiekiem. Myślałeś, że ciemne włosy i zarost cię zmienią? A tu patrz, jaka niespodzianka! Myślałem, że przez lata cię będę szukał. Już nawet pogodziłem się z tym, że może cię nigdy nie znaleźć i co? Bum! Ed, we własnej osobie!

– Oddali panu broń – stwierdza Ed.

– Oddali.

– To dlaczego pan do mnie po prostu nie strzeli?

– Bezustannie się opieram takiej pokusie.

Zapada cisza. W „Poczekalni Dusz” na moment cichnie muzyka. Do ich uszu dochodzą śmiech i rozmowy. Ed stoi jak sparaliżowany. Oddycha głęboko. Emil patrzy jak wąż na ofiarę. Wie, że morderca będzie chciał uciec albo zabić. Ed tymczasem odruchowo robi krok w tył.

– Najprościej byłoby wpakować w ciebie cały magazynek.

– Dlaczego tego jeszcze nie zrobiłeś? – Mazurkiewicz gorączkowo myśli o rewolwerze w kieszeni, krok po kroku odsuwając się od światła z latarni.

Detektyw czuje dreszcz. Rzęzi dopalająca się żarówka, dwie ulice dalej szceka pies. Z „Poczekalni Dusz” dochodzą pierwsze takty Final Countdown z repertuaru Europe.

– Nie mam zamiaru marnować amunicji.

– Ktoś i tak pociągnie za spust.

– Jedna kula załatwi sprawę.

– Jakie to filmowe, komisarzu. Dobry i zły w ciemnym zaułku.

– Zamierzam patrzeć ci w oczy.

– Tak jak ja to robiłem z nią?

– Chcę widzieć w nich strach.

– Tak, bała się, jeśli pytasz. Obie się bały – Mazurkiewicz szepcze, po czym głośno, niemal histerycznie się śmieje. – Czekaj, czekaj. A czy to nie tutaj poznałeś Lolę? Opowiadała mi – Ed dodaje, sięgając ręką błyskawicznie pod kurtkę.

I nagle wszystko staje się bez znaczenia. Zostają tylko we dwóch. Emil i Ed. Przez głowę policjanta przelatuje pół życia. Piaseczno, góry, zadymiony Śląsk, Praga, dziesiątki twarzy, setki spraw. A potem Lola i Julka. Rewolwer w dłoni Mazurkiewicza się unosi. Policjant pociąga za spust. Kula szarpie ramieniem Eda. Sekundę później ciało mordercy pada na bruk.

Emil spojrzął na orła w koronie za plecami nowego komendanta. Ten kołysał się na obrotowym krześle. Było cicho. Niewytłumaczalne i ledwo uchwytnie przecucie podpowiedziało, że stanie się coś istotnego.

— Jest pan wyróżniającym się funkcjonariuszem — oznajmił komendant — ale w pana sprawie mogłem podjąć tylko jedną z dwóch decyzji. Wybrałem lepszą.

— Dla kogo?

— Dla wszystkich. Czas skończyć z przeszłością. Jest rok dwa tysiące trzeci. Wchodzimy do Unii Europejskiej, musimy utrzymywać standardy. One muszą być przestrzegane. Nie będzie pan wydalony. Policja potrzebuje ludzi doświadczonych, ale musi pan zniknąć.

— Wysła mnie pan na banicję?

— Tu zostać pan nie może. Schodzi pan ze świecznika. Przenoszę pana.

— Dokąd?

— Poza Warszawę. Na coś mniejszego. Wstawił się za panem naczelnik Zolner.

— Ludzie się jednak czasem zmieniają.

— Mazurkiewicz był jednym z najbardziej poszukiwanych przestępców. Osobiście o tym przypominałem komendantom wojewódzkim na odprawach. Udało się, ale nie tak powinniśmy to rozwiązać. Zachowuje pan pobory bez zmian. Napisze pan raport. I żebyśmy się zrozumieli — dodaje komendant — tutaj już pan nie ma powrotu.

— Jakoś się z tym pogodzę.

— Proszę na to spojrzeć inaczej. Może pan wybrać dowolną jednostkę. Legionowo, Grodzisk, Otwock, Piaseczno, Mińsk, Prószków czy Wołomin. Ma pan spore możliwości.

— Melduję, że wybieram Opole.

— Przecież to sto siedemdziesiąt kilometrów stąd! — Stołeczny uniósł brwi.

— Miałem na myśli Opole na Śląsku, panie komendancie.

— Pan zwariował? To trzysta kilometrów! Chyba nie zamierza pan tutaj dojeżdżać?

Policjant dodał w myślach, że nie zamierza. A potem spojrzął na komendanta, uśmiechnął się i ścisnął wyciągniętą na pożegnanie rękę.

Podróżni znikają z peronu za wahadłowymi drzwiami z drewna. Stojący na schodkach ostatniego wagonu konduktor macha latarką z czerwonym światłem. Rozlega się gwizd. Dźwięk odbija się od holu z ciemnoczerwonej cegły. Osiemdziesięcotonowa lokomotywa w oliwkowozielonym kolorze rusza. Stompor stawia torbę podróżną na brudnych płytach peronu, wyjmując papierosa, przykłada camela do wargi. Jego wzrok wędruje w kierunku bezdomnego na ławce. Ten wskazuje policjantowi tabliczkę z zakazem palenia. Emil patrzy pomiędzy rzędy obskurnych filarów, które podtrzymują zadaszenie peronu. Skład z mozołem rozpędza się w kierunku pełnego fabryk i hut, śmierdzącego dymem Śląska. Wszystko w życiu gliniarza tak naprawdę nie zaczęło się w Katowicach, w Warszawie czy Piasecznie. To stało się tu, na sennej stacji Opole Główne. To tutaj zostawił braci, groby rodziców i dzieciństwo. Poorana zmarszczkami twarz nie daje jednak wątpliwości, że to było dawno. I tamtego chłopaka już nie ma. Został dojrzały, siwiejący mężczyzna z kilkudniowym zarostem i walizką. Ciemniejszą pomiędzy dachami przestrzeń przecinają nieruchome, pierzaste chmury. Na ciemnym tle przypominają poszarpaną watę. Są jak życie, myśli glina. Ślubował, że będzie służyć wiernie narodowi, przestrzegać prawa i chronić porządku prawnego oraz strzec bezpieczeństwa, nawet z narażeniem życia. Sobie obiecał, że będzie robił wszystko, aby inni przestali się bać. Tylko dlaczego dochowanie przysiężenia kosztowało aż tyle?

JUŻ W KSIĘGARNIACH



LIRA poleca bestsellerową serię kryminalną z Emilem Stoporem autorstwa Aleksandra Sowy – pisarza i policjanta w służbie czynnej. To kryminały uderzające realizmem i autentycznością, inspirowane prawdziwymi wydarzeniami!

www.wydawnictwolira.pl

L I R A
WYDAWNICTWO

Emil Stompor staje do nierównej walki z mordercą. I z systemem...

Kraków, rok 2001. Z Wisły zostaje wyłowiona spreparowana skóra zaginionej studentki. Śledczy podejrzewają, że sprawcę bestialskiej zbrodni zainspirował film. Prokurator w obawie przed paniką tuszuje makabryczne odkrycie, potem śledztwo staje w martwym punkcie. Okrzyknięte przez dziennikarzy krakowskim *Milczeniem owiec* morderstwo wzbudza zainteresowanie mediów. Wreszcie w cieniu skandalu do śledztwa wkracza Emil Stompor – krnąbrny, ale zarazem utalentowany oficer Wydziału Zabójstw Komendy Stołecznej Policji. Stompor mierzy się tym razem nie tylko z własnymi problemami, ale też z najbardziej nietypową sprawą w karierze...

W tym śledztwie nic nie jest takie, na jakie wygląda, a stawką jest wszystko, co w życiu doświadczonego gliny najważniejsze.

Raz popełnionych błędów nie można cofnąć, a niewygodnej przeszłości pozbyć się bez właściwej kary i... pokuty.

ALEKSANDER SOWA — pisarz i policjant w służbie czynnej. Jego kryminały uderzają realizmem i autentycznością — nie ma wątpliwości, że zna od podszewki tajniki pracy organów ścigania. Autor bestsellerowej serii kryminalnej z Emilem Stomporem, zwanej astronomiczną, m.in.: „Gwiazdy Oriona”, „Czas Wagi”, „Wenus umiera”.



www.wydawnictwolira.pl

LIRA
WYDAWNICTWO

Patronat medialny:

PORTAL
KRYMINALNY

ISBN: 978-83-67388-15-3



cena: 42,99 zł
(w tym 5% VAT)